

# SARAH DESSSEN

Coś świętego



**Sarah Dessen**

# **Coś świętego**

Tłumaczenie  
Barbara Budrecka

*Dla wszystkich dziewcząt, które są niewidzialne.  
A także dla moich czytelników. Tych, którzy mnie widzą.*

## Rozdział pierwszy

- Oskarżony, proszę wstać!

Ale nie była to prośba, choć mogłoby się tak wydawać. Wiedziałam o tym od chwili, gdy przyszliśmy tu wszyscy pierwszy raz. Polecenie, a nawet rozkaz, lecz na pewno nie prośba. Słowo „proszę” dorzucono tylko dla formy.

Mój brat wstał. Mama, która siedziała obok mnie, znieruchomiała. Wstrzymała oddech, tak jak każą nam to zrobić przy zdjęciu rentgenowskim, jeśli klisza ma wyjść wyraźnie. Tata patrzył gdzieś w dal, przed siebie, z jak zawsze nieprzeniknioną twarzą.

Sędzia znów zaczął mówić, ale nie potrafiłam zmusić się do słuchania. Spoglądałam przez wysokie okna na drzewa, które kołysały się z wiatrem w przód i tył. Był początek sierpnia. Za trzy tygodnie zaczynał się rok szkolny, a ja miałam wrażenie, że spędziłam w tej sali i na tej ławce całe lato. Oczywiście nie było to prawdą, tyle że dla nas po prostu zatrzymał się tu czas. Ludzie w sytuacji Peytona zapewne tak to odczuwali.

Zdałam sobie sprawę, że ogłoszono wyrok, dopiero w chwili, gdy mama głośno wciągnęła powietrze i schyliła się, łapiąc za oparcie krzesła przed nią. Podniosłam wzrok na brata. Był znany ze swej odwagi jeszcze jako dziecko, w czasach gdy wszyscy bawiliśmy się w lesie za domem. Ale pewnego dnia starsi chłopcy zaczęli z niego kpić. Twierdzili, że nie przejdzie po cienkim, spróchniałym pniu przerzuconym nad głębokim uskokiem. On jednak się nie uląkł, traktując wyzwanie serio. Krok po kroku przeszedł przez niepewną kładkę, choć zapamiętałam, że gdy w końcu znalazł się po drugiej stronie, jego uszy miały barwę szkarłatu. Był wystraszony. Tak samo jak teraz.

Sędzia uderzył młotkiem. Rozprawę zamknięto. Obaj adwokaci odwrócili się do mojego brata. Jeden nachylił się nad nim i zaczął coś mówić, a drugi położył mu dłoń na ramieniu. Ludzie wstawali i kierowali się do wyjścia. Czując na sobie ich wzrok, wpatrywałam się w zaciśnięte kurczowo dłonie i z trudem przełykałam ślinę. Obok mnie spazmatycznie szlochała matka.

- Sydney - rozległ się głos Ames. - W porządku?

Nie mogłam wykrztusić słowa, więc tylko kiwnęłam głową.

- Chodźmy. - Ojciec wstał i wziął mamę pod rękę. Gestem wskazał, bym podeszła

tam, gdzie stał Peyton i adwokaci.

- Muszę iść do toalety - oświadczyłam.

Mama tylko spojrzała na mnie zaczerwienionymi oczami. Jakby po wszystkim, co się wydarzyło, tego już nie mogła znieść.

- Nie denerwuj się - powiedział do niej Ames. - Pójdę z nią.

Ojciec skinął głową i klepnął go w ramię, gdy odchodziliśmy. W sądowym korytarzu ludzie przepychali się do drzwi, by wyjść na światło dnia, a ja niczego nie pragnęłam bardziej, niż znaleźć się wśród nich.

Ames objął mnie opiekuńczo.

- Zaczekam tu na ciebie - zapewnił, gdy dotarliśmy do toalet.

Wewnątrz oślepiło mnie bezlitośnie jaskrawe światło. Gdy podeszłam do rzędu umywalek i spojrzałam w lustro, ujrzałam bladą twarz i pociemniałe, pozbawione wyrazu oczy. Za mną otworzyły się drzwi jednej z kabin i wyszła jakaś dziewczyna. Była mniej więcej mojego wzrostu, ale drobniejszej budowy. Gdy stanęła obok, dostrzegłam jej jasne włosy splecione w niedbały warkocz, który przerzuciła przez ramię, i kilka kosmyków opadających na twarz. Miała na sobie letnią sukienkę, kowbojskie buty i dżinsową kurtkę. Myjąc ręce raz i jeszcze raz, poczułam na sobie jej wzrok. Nie oderwała go aż do chwili, gdy wyrzuciłam ręcznik i skierowałam się do drzwi. Pchnąwszy je, na wprost siebie ujrzałam Amesa, który stał oparty o ścianę z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Na mój widok wyprostował się i zrobił krok w przód. Zawahałam się i przystanęłam, a wtedy ta dziewczyna, wychodząc, wpadła na mnie z tyłu.

- Och, przepraszam! - wykrzyknęła.

- Ależ nie - odwróciłam się do niej - to... moja wina.

Przez chwilę patrzyła na mnie, a potem ponad moim ramieniem przeniosła wzrok na Amesa. Widziałam, jak uważnie patrzy na niego jej zielone oczy, zanim znów przesunęły się na mnie. Nigdy przedtem jej nie widziałam. Ale wystarczyło mi jedno spojrzenie na jej twarz, bym dokładnie wiedziała, o czym myśli.

- Wszystko w porządku?

Przywykłam do tego, że jestem niewidzialna. Rzadko zdarzało się, by ktokolwiek mnie zauważył, a już na pewno nikt nigdy nie przyglądał mi się uważniej. Nie miałam czaru i urody mojego brata, elegancji i wdzięku matki ani inteligencji i energii moich przyjaciół. Ale w tym rzecz. Myślisz, że pragniesz, by cię zauważono? Do czasu, gdy tak się stanie.

Dziewczyna stała w miejscu. Miałam wrażenie, że czeka, bym odpowiedziała na pytanie, którego nie zadała na głos. I może nawet doczekałaby się odpowiedzi,

gdyby Ames nie położył mi dłoni na ramieniu.

- Dobrze się czujesz, Sydney?

Na to również nie odpowiedziałam, gdy kierowaliśmy się w stronę rodziców, którzy rozmawiali z prawnikami. Od czasu do czasu zerkalam w tył, rozglądając się za nieznajomą, ale zasłonił ją tłum zmierzający w kierunku sali rozpraw. Kiedy w końcu się rozpierzchnął, a ja odwróciłam się po raz ostatni, ze zdumieniem spostrzegłam, że ona wciąż stoi w tym samym miejscu. Patrzyła na mnie tak, jakby nawet na chwilę nie straciła mnie z oczu.

## Rozdział drugi

Pierwszą rzeczą, którą widzi każdy, kto wchodzi do naszego domu, jest portret mojego brata. Wisi dokładnie naprzeciw olbrzymich przeszklonych drzwi, tuż nad kredensem i chińską wazą, w której tata trzyma swoje parasole. Trudno się jednak dziwić, że niewiele osób dostrzega te przedmioty, nikt bowiem, kto ujrzy Peytona, nie może oderwać od niego oczu.

Byliśmy do siebie podobni, gdyż oboje mieliśmy ciemne włosy, oliwkową cerę i brązowe, a właściwie niemal czarne oczy. A jednak on wyglądał zupełnie inaczej. Moja powierzchowność była miła, lecz przeciętna, natomiast Peyton – drugi o tym imieniu w naszej rodzinie, gdyż pierwszym Peytonem był ojciec – wręcz olśniewał. Słyszałam, jak porównywano go do gwiazd filmowych głośnych w czasach, gdy nie było mnie jeszcze na świecie, a także do literackich bohaterów przemierzających szkockie pustkowia. Jestem przekonana, że jako dziecko mój brat nie był świadom wrażenia, jakie wywierał w supermarketach i kolejkach na poczcie. Ciekawiło mnie natomiast, co czuł, gdy w końcu zdał sobie sprawę, jak urodą oddziałuje na ludzi, a zwłaszcza na kobiety. Jak zareagował, gdy nagle odkrył ten niezwykły dar, równie ekscytujący, co groźny.

Ale wcześniej był po prostu moim starszym o trzy lata bratem. Jego błękitną pościel w odróżnieniu od mojej – różowej w kwiatki – zdobiły zastępy królewskich wojowników. Jak mogłam go nie wielbić? Był uosobieniem prawdy i odwagi, najszybszym biegaczem w całej okolicy i jedyną osobą, która utrzymywała równowagę, stojąc na kierownicy rozpedzonego roweru.

Jednak największym z jego talentów była umiejętność znikania.

Jako dzieci bawiliśmy się często w chowanego i Peyton traktował to bardzo poważnie. Kucać pod pierwszym lepszym krzesłem lub kryć się w schowku na miotły? To dobre dla amatorów. Mój brat potrafił wcisnąć się w łazienkę pod szafkę z umywalką, idealnie rozpląszczyć się pod narzutą, wspiąć na kabinę prysznicową i zawisnąć pod sufitem, cudem się tam utrzymując. A kiedy go pytałam, jak to robi, tylko się uśmiechał.

- Po prostu musisz znaleźć niewidoczne miejsca – rzucił kiedyś od niechcienia. Tyle że znajdował je tylko on.

Rankami w weekendy trenowaliśmy zapaśnicze chwytty przed telewizorem,



jednocześnie oglądając kreskówki, rywalizowaliśmy o względy naszego psa (zgadnijcie, kto wygrywał), a po szkole, jeśli nie mieliśmy innych zajęć (on piłki nożnej, a ja gimnastyki), odkrywaliśmy nieznane tereny za granicami naszego sąsiedztwa. Tak nadal pamiętam mojego brata, gdy o nim myślę. Widzę go przed sobą w rzeźki, piękny dzień, jak idzie z laską w dłoni przez kolorowy jesienny las. Nawet wtedy gdy bałam się, że zgubimy drogę wśród drzew, Peyton zdawał się beztroski. Odwaga nigdy go nie opuszczała. Nie interesował go płaski krajobraz, potrzebował wyzwań. Kiedy jego sprawy przybrały zły obrót, gorąco pragnęłam móc powrócić do tego lasu i nadal iść przed siebie. Być znów kimś, kto jeszcze nie dotarł do celu i wciąż ma szansę na zmianę.

Byłam w szóstej klasie, gdy coś zaczęło się zmieniać. Od przedszkola oboje uczęszczaliśmy do prywatnej szkoły Perkins Day i należeliśmy do kampusu dla klas niższych. Ale w tamtym roku Peyton poszedł do liceum. Po kilku tygodniach dołączył do grupy chłopców z wyższych klas. Traktowali go jak zabawkę i skłaniali do różnych głupstw - na przykład podkradania z bufetu lodów na patyku albo zakradania się do bagażnika jakiegoś samochodu, by wymknąć się z kampusu na lunch. Wtedy właśnie zaczął stawać się legendą. Przerastał wyobraźnię. Przerastał nas wszystkich.

Od tamtej pory wracałam autobusem do domu sama i sama jadłam kanapkę przy kuchennym blacie. Oczywiście miałam koleżanki, ale w tygodniu większość z nich angażowały zajęcia pozaszkolne. Było to zjawisko typowe dla Arbors, gdzie mieszkaliśmy. Przeciętni mieszkańcy tej okolicy mogli z łatwością pozwolić sobie na sfinansowanie dzieciom różnorodnych zajęć dodatkowych, od nauki chińskiego począwszy, na tańcach irlandzkich kończąc. Moja rodzina nie różniła się pod tym względem od innych. Tata pracował dla wojska, zanim podjął studia prawnicze i dorobił się na negocjacjach w konfliktach korporacyjnych. Korzystano z jego usług, gdy jakaś korporacja stanęła wobec groźby odpowiedzialności prawnej, poważnego konfliktu pracowniczego czy ujawnienia wątpliwych praktyk - wszędzie tam, gdzie pojawiały się problemy, które należało rozwiązać. Trudno się zatem dziwić, że dorastałam w przeświadczeniu, że nie ma takiej sprawy, której tata nie mógłby zaradzić. Zresztą przez większą część mojego ówczesnego życia nie bywało inaczej.

Jeśli w naszym domu ojciec był generałem, to mama pełniła funkcję szefa sztabu. W odróżnieniu od innych rodziców, którzy traktowali swe obowiązki naprzemiennie, w naszej rodzinie obowiązywał ścisły podział ról. Ojciec prowadził rachunki i odpowiadał za stan techniczny domu oraz wygląd ogrodu, mama natomiast



zajmowała się wszystkim innym. Trzeba dodać, że Julie Stanford była matką idealną. Przeczytała wszystkie książki na temat rodzicielstwa, a liczba kanapek i sportowego ekwipunku, jaką mieścił jej minivan, zaspokajała potrzeby wszystkich dzieci z okolicy. Podobnie jak ojciec, jeśli coś robiła, robiła to dobrze. I właśnie dlatego byłam tak zaskoczona, kiedy sprawy przybrały zły obrót.

Kłopoty z Peytonem zaczęły się w dziesiątej klasie. Pewnego zimowego popołudnia, gdy siedziałam przed telewizorem z miską popcornu na kolanach, rozległ się dzwonek do drzwi. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam na podjeździe wóz policyjny.

- Mamo! - zawołałam. Była na górze w swoim pokoju, który stanowił coś w rodzaju centrum operacyjnego. Tata nazywał go salą narad wojennych. - Ktoś przyjechał - poinformowałam.

Nie wiem, czemu nie powiedziałam, że to policja. Obawiałam się chyba, że gdy wymówię to słowo, stanie się ono faktem. A przecież nie wiedziałam, co nastąpi dalej.

- Sydney, chyba potrafisz sama otworzyć drzwi - odpowiedziała, ale oczywiście po chwili na schodach rozległy się jej kroki.

Nie odrywałam oczu od telewizora, gdzie bohaterowie „Big New York”, mojego ulubionego reality show, wdali się w kolejną awanturę w trakcie imprezy.

Od kiedy Peyton przeszedł do liceum, seans z Big stał się częścią mojego popołudniowego rytuału, najbardziej grzeszną z grzesznych przyjemności. Nie raz słyszałam, że bogate kobiety są ładne i głupie, a to znajdowało tu pełne potwierdzenie. Podobnych programów było sześć - wśród nich Dallas, Los Angeles i Chicago. Wystarczyło, bym dziennie obejrzała dwa, a wypełniałam w ten sposób czas między powrotem ze szkoły a kolacją. Stopniowo zżyłam się z bohaterami tych widowisk jak z przyjaciółmi i często łąpałam się na tym, że mówię do telewizora, jakby mogli mnie słyszeć. Myślałam również o ich życiu i problemach nawet wtedy, gdy nie oglądałam programu. Świadomość, że ludzie tak bliscy nie wiedzą nawet o moim istnieniu, rodziła dziwaczne uczucie samotności. Ale bez nich dom wydawał się pusty nawet wtedy, gdy była w nim mama. A to sprawiało, że ja też odczuwałam pustkę, której zaczynałam się obawiać już w chwili, gdy wracałam autobusem ze szkoły. Moje własne życie w tamtym czasie było tak smutne i nudne, że utożsamianie się z kimś innym w pewien sposób podnosiło mnie na duchu.

Tak więc patrzyłam, jak Rosalie, była aktorka, oskarża modelkę Ayre o to, że tyranizuje wszystkich wokół, podczas gdy w życiu naszej rodziny zachodziły nieodwracalne zmiany. W jednej chwili drzwi były zamknięte i wszystko toczyło się

normalnie, a już w drugiej, gdy zostały otwarte, stał w nich Peyton w asyście policjanta.

- Czy to pani syn? - zwrócił się funkcjonariusz do mamy, która zrobiła krok w tył, łapiąc się za serce.

Tak właśnie zapamiętałam tę chwilę. A także to pytanie, w końcu przecież proste, z którym moi rodzice, a zwłaszcza mama, mieli się odtąd zmagać. Począwszy od dnia, w którym przyłapano Peytona na tym, jak ćpał z kumplami na parkingu Perkins Day, mój brat zaczął zmieniać się w kogoś, kogo nie zawsze umieliśmy rozpoznać. Potem zaczęły się wizyty przedstawicieli różnych władz, wezwania na policję, a na koniec rozprawy sądowe i pobyty w centrum odwykowym. Ale to ten pierwszy raz wyrzył mi się w pamięci ze szczególną dokładnością. Miska popcornu, ciepła na moich kolanach. Ostry głos Rosalie. Moja matka cofająca się od drzwi, by wpuścić brata do środka. Kiedy policjant prowadził go korytarzem w stronę kuchni, Peyton odwrócił się w moją stronę. Jego uszy miały szkarłatną barwę.

W związku z tym, że nie znaleziono przy nim narkotyków, władze Perkins Day postanowiły go ukarać jedynie tymczasowym zawieszeniem, a ponadto obowiązkiem prowadzenia zajęć uzupełniających w podstawówce. Ponieważ Peyton jako jedyny z grupy uciekał, zmuszając policję do pościgu, wśród uczniów zaczęły krążyć opowieści o tym, jak daleko zdołał zbiec (ulicę, pięć ulic, milę?), za każdym razem wzbogacane o nowe szczegóły. Mama płakała, a ojciec, rozwścieczony, zabronił mu przez miesiąc wychodzić po szkole z domu. Ale nic już nie było takie jak dawniej. Peyton wracał do domu, szedł do swojego pokoju i siedział tam do kolacji. Odbił wyznaczoną karę i przysięgał, że przemyślał swój czyn. Tyle że trzy miesiące później złapano go na włamaniu.

Jest coś zdumiewającego w tym, jak jednorazowy wybryk przekształca się w nawyk. Jakby chwilowy gość postanowił zadomowić się na dobre.

Po tym zajściu popadliśmy w rutynę. Mój brat podporządkował się karze, a rodzice z wolna się odprężyli, snując liczne teorie, wedle których nigdy już nie miało się to powtórzyć. Wtedy jednak znów go zatrzymywano - za posiadanie narkotyków, kradzieże sklepowe lub niebezpieczną jazdę - i wszyscy wracaliśmy do świata pozwów, prawników, sądów oraz wyroków.

Po pierwszym aresztowaniu za kradzież w sklepie, gdy podczas przeszukania znaleziono przy nim marihuanę, dostał skierowanie na odwyk. Wrócił stamtąd w elektronicznej bransoletce z czipem na trzydzieści dni. Z ośrodka Evergreen wyniósł również upodobanie do gry na gitarze, którym zaraził go współlokator. Rodzice załatwili mu lekcje i zamierzali przekształcić część piwnic w niewielkie

studio, by mógł nagrywać tam swoje kompozycje. Prace zbliżały się do końca, gdy w jego szkolnej szafce znaleziono niewielką ilość prochów.

Zawieszono go na trzy tygodnie, podczas których miał przebywać w domu, ucząc się i czekając na rozprawę. Dwa dni przed terminem jego powrotu do szkoły obudził mnie z głębokiego snu hałas otwieranego garażu. Gdy wyjrzałam przez okno, zobaczyłam, jak samochód taty wyjeżdża na podjazd. Mój zegar wskazywał trzecią piętnaście nad ranem.

Wstałam i wyszłam na korytarz, gdzie było ciemno i cicho, a potem zeszłam po schodach. W kuchni paliło się światło. Mama w pidżamie i dresowej bluzie parzyła sobie kawę. Na mój widok potrząsnęła tylko głową.

- Wracaj do łóżka - powiedziała. - Rano ci wszystko opowiem.

Nazajutrz mój brat został wypuszczony za kaucją z aresztu, gdzie trafił pod zarzutem włamania, wtargnięcia na teren prywatny i stawiania oporu władzy. Poprzedniego wieczoru, gdy rodzice poszli spać, wymknął się z pokoju i ruszył przed siebie ulicą, by w pewnej chwili przeskoczyć ogrodzenie największej rezydencji w Arbors. Widząc niedomknięte okno, wśliznął się do środka i myszkował tam najwyżej kilka minut, nim przyjechała policja zawiadomiona cichym sygnałem alarmowym. Wtedy uciekł tylnymi drzwiami. Złapali go na tarasie nad basenem i unieruchomili, zostawiając na jego twarzy głębokie krwawe zadrapania. O dziwo, mama zdawała się bardziej przejęta tymi obrażeniami niż wszystkim innym.

- Chyba powinniśmy wystąpić ze skargą - powiedziała do ojca nieco później tego samego ranka. Była już spokojna, ubrana i gotowa na spotkanie z adwokatem wyznaczone na godzinę dziewiątą. - Widziałeś jego twarz? To niedopuszczalna brutalność.

- Julie, on uciekał - rzekł ojciec zmęczonym głosem.

- Owszem, wiem o tym. Ale przecież jest niepełnoletni i nic nie uzasadnia użycia siły. Znajdował się wewnątrz ogrodzenia. Nigdzie nie mógł uciec.

A jednak mógł - pomyślałam, choć wolałam nie mówić tego na głos. Im dalej posuwał się Peyton, tym bardziej rozpaczliwie mama winiła wszystko i wszystkich. Twierdziła, że w szkole się na niego uwzięli, a policja zachowała się brutalnie. Wystarczyło jednak przyjrzeć się faktom, by nie mieć złudzeń, że mój brat jest niewiniątkiem. Choć odnosiłam wrażenie, że poza mną nikt tego nie dostrzegął.

Nazajutrz w szkole wszyscy już o tym wiedzieli i gdy szłam przez hol, zewsząd czułam na sobie ukradkowe spojrzenia. Ustalono, że Peyton opuści Perkins Day i ukończy liceum gdzie indziej, choć nie było do końca jasne, czy zdecydowała o tym

szkoła, czy rodzice.

Na szczęście miałam przyjaciół, którzy mnie wspierali, głosząc wszędzie, że nie jestem taka jak brat mimo wspólnego nazwiska i zewnętrznego podobieństwa. Szczególnie troszczyła się o mnie Jenn, z którą znałyśmy się jeszcze z przedszkola Kościoła św. Trójcy. Jej ojciec również miał w college'u zatargi z prawem.

- Nigdy nie ukrywał, że traktował to jako rodzaj eksperymentu - powiedziała mi kiedyś, gdy siedziałyśmy w stołówce. - Ale spłacił społeczeństwu swój dług, no i patrz, teraz jest szanowanym prezesem zarządu. Tak samo będzie z Peytonem. To wszystko minie.

Jenn zawsze wydawała się zbyt dojrzała na swój wiek. Zapewne dlatego, że gdy się urodziła, jej rodzice przekroczyli już czterdziestkę i od dziecka traktowali ją jak dorosłą. Włosy obcięte w praktyczny sposób, okulary i wygodne obuwie nadawały jej również poważny wygląd. Czasami sprawiała dziwaczne wrażenie kogoś, kto przeoczył własne dzieciństwo. Ale teraz dodawała mi otuchy. Chciałam jej wierzyć. Chciałam wierzyć w cokolwiek.

Peyton dostał wyrok trzech miesięcy więzienia i pieniężną grzywnę. Wtedy po raz pierwszy byliśmy w sądzie wszyscy. Jego adwokat Sawyer Ambrose, reklamujący swe usługi na każdym przystanku autobusowym w mieście, twierdził, że wywrze to dobre wrażenie, jeśli wesprzemy mojego brata swoją obecnością, jak przystało na lojalną, kochającą się rodzinę, którą przecież byliśmy.

Towarzyszył nam również jego nowy przyjaciel, chłopak, którego poznał w grupie anonimowych narkomanów, gdzie uczęszczał z wyroku sądu. Ames, o rok starszy od Peytona, był wysoki, kudłaty i poruszał się, stawiając wielkie kroki. Zatrzymany przed rokiem za handel marihuaną, odsiedział sześć miesięcy i po wyjściu unikał kłopotów, stanowiąc dla mojego brata przykład, który wszyscy uznawali za korzystny. Pili wspólnie mnóstwo kawy, grali w gry wideo i obaj się uczyli. Peyton z podręczników eksperymentalnej szkoły, gdzie w końcu wylądował, Ames natomiast, który uczęszczał na kurs hotelarstwa w technikum Lakeview, utrwał zdobytą wiedzę.

Planowali, że Peyton rozpocznie tam naukę po ukończeniu szkoły, a potem będą razem pracować w jakimś ośrodku wczasowym. Mama popierała ten pomysł i zebrała już wszystkie niezbędne informacje, które teraz leżały na jej biurku w specjalnie opisanej kopercie. Przedtem jednak należało wybrnąć z incydentu z więzieniem.

Mój brat przesiedział w sumie siedem tygodni w okręgowym zakładzie karnym. Nie mogłam się z nim widywać, ale mama odwiedzała go, gdy tylko było to możliwe.

Tymczasem Ames całkowicie się u nas zadomowił. Miałam wrażenie, że od zawsze tkwi przy kuchennym stole i tylko czasem wychodzi do garażu, by zapalić papierosa i wyrzucić niedopałek do wiadra z piaskiem. Mama – nietolerująca tego nałogu – postawiła je tam specjalnie dla niego. Niekiedy pojawiał się z dziewczyną o imieniu Marla, manikiurzystką o blond włosach i wielkich niebieskich oczach, tak nieśmiałą, że bała się odezwać. Gdy ktoś się do niej zwracał, reagowała nerwowo jak mały, wiecznie drżący piesek w zbyt mocno zaciśniętej obroży.

Wiedziałam, że Ames dodaje mamie otuchy, ale było w nim coś, co sprawiało, że czułam się nieswojo. Czasem łapałam go na tym, że przygląda mi się znad brzegu kubka z kawą, wodząc za mną ciemnymi oczami. No i zawsze znajdował okazję, by mnie dotknąć, a gdy się witał, ścisnął moje ramię albo ocierał się o rękę. Ponieważ jednak nigdy nie posunął się dalej, uznałam, że jestem przewrażliwiona. Miał przecież dziewczynę i stale powtarzał, że pragnie tylko opiekować się mną pod nieobecność Peytona, tak jak robiłby to on.

– To jedyne, o co mnie prosił, zanim go zamknęli – oznajmił wkrótce po tym, jak mój brat został osadzony. Byliśmy w kuchni, a mama wyszła odebrać telefon i zostawiła nas samych. – Opiekuj się Sydney, człowieku, powtarzał. Liczę na ciebie.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Po pierwsze, to było niepodobne do Peytona, który prawie nie zwracał na mnie uwagi. Nigdy się mną specjalnie nie przejmował. Ale Ames dobrze znał mojego brata, a ja, prawdę mówiąc, straciłam z nim kontakt. Musiałam uwierzyć mu na słowo.

– Aha... – wyjąkałam, czując, że powinnam jakoś zareagować. – Ee... dzięki.

– Drobiazg. – Obrzucił mnie jednym ze swych długich spojrzeń. – Przynajmniej tyle mogę dla niego zrobić.

Po wyjściu z więzienia Peyton był milczący, ale udzielał się i pomagał w domu, sprawiając wrażenie bardziej zaangażowanego w życie rodzinne niż dawniej. Czasem nawet po moim powrocie ze szkoły oglądaliśmy razem telewizję. Wytrzymał jednak takie programy jak „Big New York” czy „Miami” dość krótko, bo szybko każdy z bohaterów budził w nim obrzydzenie.

– To jest Ayre – próbowałam mu tłumaczyć, gdy wychudzone przyjaciółki po raz kolejny się rozstawały. – Ona i ta aktorka Rosalie wciąż się kłócą.

Nie odpowiedział, tylko przewrócił oczami. Zauważyłam, że stał się niecierpliwy.

– Wybierz coś – zaproponowałam, przesuwając pilota w jego stronę. – Naprawdę nie muszę tego oglądać.

Ale to nic nie dawało. Miałam wrażenie, że nie może wysiedzieć dłużej niż chwilę. Zaraz wstawał, by sprawdzić e-maile, brzdąkać na gitarze lub zrobić sobie coś do



jedzenia. Jego niepokój narastał, co sprawiało, że ja też byłam zdenerwowana. Widziałam, że i mama to dostrzega. Jakby wewnętrzna energia mojego brata nie znajdowała upustu i stopniowo się gromadziła, czekając, aż znajdzie ujście.

W czerwcu otrzymał świadectwo ukończenia szkoły. W skromnej ceremonii uczestniczyło ośmiu kolegów z klasy, w większości również usuniętych z innych szkół. Byliśmy tam wszyscy, a potem razem z Amesem i Marlą poszliśmy na kolację do Luna Blu, jednej z naszych ulubionych restauracji. Tam przy słynnej przystawce ze smażonych pikli wznieśliśmy na cześć mojego brata toast bezalkoholowymi napojami, po czym rodzice wręczyli mu prezent. Był to bilet dla dwu osób do Jacksonville na Florydzie, gdzie razem z Amesem mogli naocznie ocenić słynne kursy hotelarstwa. Mama umówiła ich nawet na rozmowę z dyrektorem szkoły, a także zarezerwowała prywatne zwiedzanie placówki. Jasne.

- To wspaniałe - ucieszył się mój brat, patrząc na bilety. - Naprawdę wspaniałe. Mamo, tato, dziękuję.

Mama uśmiechnęła się ze łzami w oczach, a tata wyciągnął rękę i poklepał Peytona po ramieniu. Siedzieliśmy na patio, nad naszymi głowami lśniły małe światełka i po prostu cieszyliśmy się wspólnym wieczorem. Wydawał się tak odległy od tego, co przeżyliśmy w ostatnim roku, jakby wszystko, co wydarzyło się jesienią i wcześniej, było tylko złym snem. Nazajutrz usiadłyśmy razem z mamą, by porozmawiać o moich studiach. Teraz ja stałam się przedmiotem uwagi. Nadeszła moja kolej.

Tej jesieni zaczęłam chodzić do dziesiątej klasy. Moje przejście do liceum rok wcześniej odbyło się bezgłośnie, choć w przypadku mojego brata wręcz je celebrowano. Jenn i ja zaprzyjaźniłyśmy się z nową dziewczyną, Meredith, która przeniosła się do Lakeview, by trenować w tutejszym ośrodku sportowym. Była niewysoka, ale zdawało się, że jest zbudowana z samych mięśni. Miała najlepszą figurę, jaką kiedykolwiek widziałam, i koński ogon, którym nieustannie potrząsała. Trenowała, odkąd ukończyła sześć lat. Nigdy nie widziałam nikogo równie zdyscyplinowanego i ambitnego. Każdą godzinę poza szkołą spędzała na sali gimnastycznej. Zaprzyjaźniłyśmy się, gdyż wszystkie trzy czułyśmy się starsze od naszych szkolnych rówieśników. Jenn w związku ze swoim wychowaniem, Meredith z racji sportowych ambicji, a ja z powodu wszystkiego, co wydarzyło się w ostatnim roku. Legenda mojego brata towarzyszyła mi na dobre i złe, ale dobór przyjaciół oraz fakt, że unikałam wszystkich imprez i niedozwolonych wyczynów nawet wtedy, gdy brali w nich udział moi koledzy z klasy, dowodził, że jesteśmy zupełnie różni.

Gdy Peyton podjął pracę na parkingu hotelowym, uczęszczając jednocześnie na



kursy hotelarstwa w Lakeview Tech, tata znów zaczął podróżować, a mama wróciła do działalności dobroczynnej. Często po powrocie ze szkoły, wchodząc do pustego domu, czułam, że ogarnia mnie znajomy smutek, który snuł się za mną przez całe popołudnie aż do zachodu słońca. Próbowałam go stłumić, oglądając „Big New York” lub „Miami”, wpatrzona w ciąg następujących po sobie scen, aż w końcu zamykały mi się oczy. Ale nawet wtedy doznawałam uczucia ulgi, słysząc odgłos otwieranego garażu. Oznaczał powrót kogoś z domowników, a wraz z nim zbliżającą się porę kolacji i snu, kiedy to nie byłam już w domu sama.

Ale pewnego razu, dzień po walentynkach, mój brat wyszedł z pracy jak zawsze, nieco po dziesiątej wieczorem, lecz zamiast wrócić do domu, wybrał się do kolegi z Perkins Day. Wypił tam kilka piw i kilka kieliszków wódki, ignorując nieustanne telefony matki, które zapełniły całą pocztę głosową. Pożegnał kolegę o drugiej w nocy, wsiadł do samochodu i ruszył w drogę powrotną. W tym samym czasie piętnastoletni David Ibarra wsiadł na rower, by pokonać krótką odległość dzielącą go od domu. Wracał od swego kuzyna, gdzie podczas gry komputerowej zasnął na kanapie. Skręcał w prawo z Dombey Street w Pike Avenue, gdy mój brat czołowo się z nim zderzył.

Tego dnia o świcie zbudził mnie krzyk mamy. Był to przerażający, pierwotny odgłos, jakiego nigdy dotąd nie słyszałam. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, co czuje człowiek, któremu krew zastyga w żyłach. Wypadłam z pokoju, zbiegłam po schodach na dół, a potem zatrzymałam się przed wejściem do kuchni, zdając sobie nagle sprawę, że nie wiem, czy jestem gotowa na to, co zobaczę. Ale wtedy znów rozległo się jej zawodzenie i zmusiłam się, by wejść.

Kłęczała na podłodze ze schyloną głową, a tata kucnął przed nią, trzymając ją oburącz za ramiona. Jej jęki brzmiały bardziej przerażająco niż wycie cierpiącego zwierzęcia. Pierwszą myślą, która przyszła mi wtedy do głowy, było to, że mój brat nie żyje.

- Julie - błagał ojciec - oddychaj, kochanie, oddychaj.

Ale ona tylko potrząsała głową. Miała kredowobiałą twarz. Widok mojej silnej, dzielnej matki w takim stanie był jedną z najstraszliwszych rzeczy, jakie przeżyłam. Chciałam tylko sprawić, by ucichła, więc w końcu wykrztusiłam:

- Mamo?

Ojciec odwrócił się, by na mnie spojrzeć.

- Idź na górę, Sydney. Zaraz tam przyjdę.

Wróciłam do pokoju. Nie wiedziałam zresztą, co innego mogłabym zrobić. Usiadłam na łóżku i czekałam. W tamtej chwili, w ciągu tych pięciu, a może

piętnastu minut, nieważne jak długo to trwało, wydawało mi się, że czas stanął.

W końcu ojciec pojawił się w drzwiach. Pierwszą rzeczą, którą zauważyłam, była pomięta, a gdzieniegdzie wręcz skręcona koszula. Wyglądała tak, jakby ktoś ją złapał i mocno ścisnął. Zapamiętałam tę wymiętoszoną szkocką kratę wyraźniej niż wszystko inne.

- Doszło do wypadku. - Jego głos brzmiał surowo. - Twój brat potrącił kogoś samochodem i ciężko go okaleczył.

Kiedy później myślałam o tych słowach, zdałam sobie sprawę, jak wiele mówiły. „Twój brat kogoś okaleczył”. To brzmiało jak metafora, gdyż oprócz dosłownego znaczenia miało wiele innych. David Ibarra był tu główną ofiarą, ale nie tylko on został okaleczony.

Peyton znajdował się na komisariacie. Badanie alkomatem wykazało, że poziom alkoholu w jego krwi dwukrotnie przekracza dozwoloną normę. Ale zarzut jazdy pod wpływem alkoholu nie był tu najważniejszy. Obejmował go nadzór sądowy i tym razem nie mógł liczyć na złagodzenie wyroku lub zwolnienie za kaucją. Ojciec zadzwonił do Sawyera Ambrose`a, po czym zmienił koszulę i wyjechał po niego na stację. Mama poszła do swego pokoju i zamknęła drzwi, a ja ruszyłam do szkoły, nie wiedząc, co innego mogłabym zrobić.

- Na pewno dobrze się czujesz? - spytała Jenn, gdy spotkałyśmy się w szatni. - Jakoś dziwnie wyglądasz.

- W porządku - odparłam, wsadzając głowę do torby. - Jestem tylko zmęczona.

Nie wiem, czemu nic jej nie powiedziałam. To mnie przerastało. Nie byłam w stanie wymówić tego na głos. Poza tym wszyscy by się wtedy dowiedzieli.

Esemesy zaczęły napływać dopiero wieczorem przy kolacji. Najpierw od Jenn, potem od Meredith, a potem od innych przyjaciół. Wyłączyłam telefon, wyobrażając sobie, jak wiadomość się rozprzestrzenia. Niczym kropla koloru, która powoli zabarwia szklanekę wody. Mama wciąż była w swoim pokoju, a tata wyszedł, ugotowałam więc trochę makaronu z serem i zjadłam go na stojąco przy kuchennym blacie. Potem poszłam do siebie, padłam na łóżko i gapiałam się w sufit. W końcu rozległ się znajomy odgłos otwieranej bramy garażu. Tym razem jednak nie odczułam z tego powodu ulgi.

Kilka minut później rozległo się pukanie i do pokoju wszedł ojciec.

Miał zmęczoną twarz i głębokie cienie pod oczami, jakby postarzał się o dziesięć lat od czasu, gdy ostatnio go widziałam.

- Boję się o mamę - rzuciłam, zanim zdołał cokolwiek powiedzieć. Wydawało mi się, że przemówił za mnie ktoś inny, bo wcale nie zamierzałam tego zrobić.

- Wiem. Wszystko się ułoży. Jadłaś coś?

- Tak.

Patrzył na mnie chwilę, a potem przeszedł przez pokój i usiadł na brzegu łóżka. Tata nigdy nie był zbyt czuły. Nie przytulał mnie i nie pieścił. Jego serdeczności sprowadzały się do klepięć po ramieniu i krótkich mocnych uścisków. To mama nas tuliła, głaskała po włosach i całowała. Ale teraz, w tym najstraszniejszym dniu, tata objął mnie, a ja przylgnęłam do niego tak mocno, że zabrakło mi tchu. Miałam wrażenie, że trwaliśmy tak wiecznie.

Wiele nas jeszcze czekało. Zarówno sprawy boleśnie znajome, jak też, co gorsza, zupełnie nowe. Mój brat nigdy już nie miał być taki jak dawniej, a ja nie miałam przeżyć nawet dnia, nie myśląc o Davidzie Ibarrze. Mama starała się jakoś trzymać, ale coś w niej zgasło. Nigdy już nie zdołałam spojrzeć na nią tak, by tego nie dostrzec. Wiele było tych „nigdy”. Ale w tej chwili po prostu tuliłam się do taty i mocno zaciskałam powieki, pragnąc, by czas się zatrzymał. Na próżno.

## Rozdział trzeci

- Denerwujesz się?

Spojrzałam na mamę, która siedziała za kuchennym stołem nad nietkniętym bajgłem. To było wzruszające, że starała się coś powiedzieć.

- Właściwie to nie - odparłam, zaciągając zamek szkolnego plecaka. Ale nie było to prawdą. Już dwukrotnie sprawdziłam, czy mam kartę parkingową i rozkład lekcji, a wciąż nie czułam się pewnie. Nie chciałam jednak, by się martwiła. Przynajmniej o mnie.

- Nowa szkoła to zawsze poważna zmiana - powiedziała.

W ciszy, która zapadła, zdanie to zawisło między nami jak pusty wieszak, który czeka, by coś na nim powiesić. Od chwili gdy z początkiem czerwca postanowiłam opuścić Perkins Day i zapisać się do Jackson, mama wciąż szukała okazji, by skłonić mnie do wyjaśnień. Myślałam, że wystarczy jej to, co już mówiłam. Tłumaczyłam, że spędziłam w Perkins całe życie i że potrzebuję zmiany, zwłaszcza po ostatnim roku. Ale o mojej decyzji przesądził jeszcze jeden powód, którego nie chciałam poruszać, a mianowicie finanse.

Prawna obrona Peytona nie była tania. Z kancelarii Sawyera Ambrose`a nieustannie napływały rachunki. I choć nie mówiono o tym głośno, wiedziałam, że sytuacja finansowa rodziców jest trudniejsza niż kiedykolwiek. Zwolnili gosposię, sprzedali jeden z samochodów, a także domek na plaży w Colby, naszej ulubionej nadmorskiej miejscowości. Nikt nie komentował kosztów mojej nauki, ale wobec perspektywy college`u, który miałam rozpocząć za dwa lata, uznałam, że przynajmniej tyle mogę zrobić. A poza tym chciałam stać się anonimowa.

Pojechałam z mamą zapisać się do Jackson dwa dni po ogłoszeniu wyroku. Wyglądała jak duch. Piła kawę za kawą i niemal nic nie jadła. Tata znów zaczął podróżować, przyjmując zlecenia w odległych miejscowościach, toteż byliśmy w domu niemal zawsze we dwie. Chyba że wyruszała w trzygodzinną podróż do zakładu karnego w Lincoln, którą odbywała dwa razy w tygodniu i co drugi weekend. Zmobilizowała się jednak, by pojechać ze mną do Jackson na rozmowę z wychowawcą, zrobiła makijaż i starannie ułożyła szkolne dokumenty w teczkę podpisanej moim imieniem. Gdy wjechałyśmy na parking dla gości, wyłączyła silnik i spojrzała na główny budynek.

- Ale duży. - Odwróciła się do mnie, jakby oczekując, że zmienię zdanie. Ale ja otwierałam już drzwi.

Wewnątrz gmachu unosił się zapach środków do czyszczenia i sportowych mat, co było dość dziwne, gdyż sala gimnastyczna znajdowała się po przeciwnej stronie dziedzińca. W Perkins Day zakończono właśnie poważny remont sponsorowany przez absolwentów, którzy stworzyli społeczną stronę internetową Ume.com. Teraz wszystko było tam nowe lub prawie nowe. Jackson natomiast sprawiało wrażenie dziwnej składanki. Kampus zapełniały stare budynki rozbudowane często o nowe skrzydła, a pomiędzy nimi stały również przyczepy. W dniu naszych odwiedzin w szkole nie było nikogo oprócz kilkorga nauczycieli i pracowników administracji, co sprawiało, że korytarze wydawały się jeszcze większe, a teren bardziej rozległy. Kancelaria, gdzie unosiła się cynamonowa woń odświeżacza powietrza, zdawała się nieczynna. Rozejrzałyśmy się i w końcu postanowiłyśmy usiąść na wysłużonej kanapie.

Mama założyła nogę na nogę, po czym spojrzała na metalową półkę po prawej stronie. Znajdowało się tam pudło z różnymi przypadkowymi częściami garderoby opatrzone podpisem „Rzeczy znalezione”, a obok piętrzyła się sterta broszur na temat zaburzeń łaknienia i leżało puste pudełko po chusteczkach. Widziałam na jej twarzy, że jeśli dotąd nie poddawała się przygnębieniu, to ten widok do reszty ją załamał.

- W porządku, mamó - powiedziałam. - O to mi właśnie chodzi.

- Och, Sydney - westchnęła i nagle ni stąd, ni zowąd zaczęła płakać.

Nigdy wcześniej się to nie zdarzało. Zawsze łatwo ulegała wzruszeniu, ale tylko w przypadku ślubów i łzawych filmów. Te ostatnie nagle napady szłochu były czymś nowym, a ja nigdy nie wiedziałam, co robić w takiej sytuacji. Na dodatek tym razem nie mogłam jej nawet zaproponować chusteczki do nosa.

Teraz, stojąc w kuchni, ponownie sprawdziłam plecak, a potem pomyślałam, że może powinnam się przebrać. W Perkins Day nosiłyśmy mundurki, więc nie miałam zwyczaju specjalnie ubierać się do szkoły. Po licznych próbach zdecydowałam się w końcu na dzinsy i moją ulubioną białą bluzkę w maleńkie muchomorki. Założyłam także srebrne kolczyki w kształcie kółek, które dostałam na szesnaste urodziny. Ale byłabym gotowa włożyć na siebie wszystko, co pozwoliłoby mi zniknąć w tłumie.

- Ślicznie wyglądasz - powiedziała mama, jakby czytając w moich myślach. - Ale lepiej już idź. Nie powinnaś się spóźnić pierwszego dnia.

Skinęłam głową, zarzuciłam plecak na ramię, a potem do niej podeszłam. Bajgiel był lekko nadgryziony. Postęp.

- Kocham cię, mamó. - Nachyliłam się i pocałowałam ją w policzek.

Obróciła się, wzięła mnie za rękę i mocno uścisnęła.

- Ja też cię kocham. Powodzenia.

Uśmiechnęłam się, a potem wyszłam do garażu i wsiałam do samochodu.

Wycofując się podjazdem na drogę, spojrzałam w kuchenne okno i zobaczyłam, że mama wciąż siedzi przy stole. Pomyślałam, że może też na mnie patrzy, ale tak nie było. Ze wzrokiem wbitym w ścianę ścisnęła oburącz kubek. Nie piła z niego ani też nie zamierzała go postawić. Po prostu przyciskała go do serca, a mnie ogarnął taki smutek, że zapragnęłam jak najprędzej się oddalić.

\* \* \*

Lekcje skończyły się o trzeciej piętnaście. Dziesięć minut po dzwonku mój samochód jako jedyny został na parkingu. Choć raz cieszyłam się, że jestem sama.

Szkoła była ogromna. Korytarze, które trzy tygodnie wcześniej wydawały mi się takie szerokie, teraz z trudem mieściły tłumy uczniów. Trudno było zrobić krok, nie zderzając się z kimś, a w każdym razie nie wpadając na czyjąś rękę lub łokieć. Ale tego się spodziewałam. Natomiast prawdziwe zaskoczenie stanowił hałas - przeszywający, długi dźwięk dzwonek, ryk wiertarek ekipy budowlanej wymieniającej kolejny ze zniszczonych chodników i nieustanny wrzask uczniów, który niósł się wszędzie - przez korytarze, dziedziniec i wdzierał się do klas - osiągając takie natężenie, że nie tłumili go nawet zamknięte drzwi. Było rzeczą absurdalną, by w miejscu tak zatłoczonym liczyć na to, że ktoś cię usłyszy. A jednak wszyscy się o to starali, ile sił w płucach. Najwyraźniej.

Przez cały dzień miałam prawdziwy kontakt tylko z jedną osobą - bardzo pewną siebie dziewczyną imieniem Deb, która przedstawiła się jako „samozwańczy ambasador Jackson”. Przyszła do mojej klasy z torbą prezentową, która zawierała szkolny kalendarz, długopis z logo drużyny futbolowej Jackson i ciasteczka domowej roboty. Dołączyła tam również swoją wizytówkę na wypadek, gdybym miała jakieś pytania lub kłopoty. Kiedy wyszła, wszyscy spojrzeli na mnie jak na kompletne dziwadło. Super.

Teraz, gdy byłam sama, zaczęłam się zastanawiać, co ze sobą zrobić. Nie mogłam wrócić do domu, bo do kolacji pozostały jeszcze co najmniej dwie godziny, a więc ilość czasu, której bałam się nawet wtedy, gdy mój brat nie został jeszcze skazany. Nagle poczułam się zupełnie bezradna. Jeśli nie znoszę zarówno tłumu, jak i własnego towarzystwa, to co mi pozostaje? Dawno już nie czułam tak głębokiego



smutku. Uruchomiłam silnik i ruszyłam, jakbym oddalając się z tego miejsca, mogła zostawić ten smutek za sobą.

Przecznicę za szkołą, stojąc na światłach, spojrzałam w bok i zobaczyłam niewielkie centrum handlowe. Znajdował się tam salon manicure, sklep z alkoholem, gabinet dietetyka, a w rogu pizzeria.

Porcja pizzy po szkole była dla mnie tym, czym popcorn w trakcie emisji „Big New York”, a może nawet więcej. Przecznicę od Perkins znajdowało się również małe centrum, a w nim włoska pizzeria U Antonelli, która w gruncie rzeczy pełniła funkcję szkolnego klubu. Mieli tam znakomitą, pieczoną na drewnie pizzę, a także bar z kawą, lody i najśodsza fontannę z coli, jaką kiedykolwiek piłam. Meredith zawsze po lekcjach jechała na trening, ale ja i Jenn bywałyśmy u Antonelli co najmniej raz w tygodniu. Dzieląc się pizzą z szynką, ananasem i brokułami, udawałyśmy, że odrabiamy lekcje, ale w rzeczywistości większość czasu spędzałyśmy, plotkując i podglądając szkolne gwiazdy. Te zawsze siadały przy dużym, długim stole obok okna, flirtując i dmuchając na siebie przez słomki do napojów.

Tego dnia wszystko było dla mnie obce i nowe. Pomyślałam, że pizza to wreszcie coś znajomego. Zanim zdążyłam zmienić zdanie, włączyłam kierunkowskaz, zjechałam na sąsiedni pas i skręciłam na parking.

Już w momencie, gdy weszłam do środka, wiedziałam, że to miejsce w niczym nie przypomina lokalu Antonelli. Seaside Pizza – bo tak się nazywało – była mała i wąska. W odróżnieniu od nowoczesnego sufitowego oświetlenia tamtej pizzerii świeciły tu żółtym światłem lampy fluorescencyjne, z których nie każda działała. W kilku boksach ustawiono przetarte skórzane kanapy, a na ścianach pokrytych ciemną boazerią wisiały czarno-białe fotografie plaż i nadmorskich promenad. Za wysoką szklaną ladą leżały rzędem porcje różnych rodzajów pizzy, a w głębi stał wysłużony piec, na którym widniał wyblakły napis „Gorące!”. Telewizor, w którym toczyła się jakaś dyskusja na temat sportu, zawieszony był na suficie nad automatem z napojami, a obok niego piętrzył się wysoki, chwiejny stos plastikowych jadłospisów. Gdzieś z góry dobiegała muzyka i mogłabym przysiąc, że słyszałam coś, co brzmiało jak bandžo.

Wchodząc, puściłam wprawdzie drzwi, które zamknęły się za mną, ale wciąż trzymałam klamkę, zdając sobie sprawę, że zapewne popełniam błąd. Najwyraźniej nie było to miejsce uczęszczane przez uczniów z Jackson ani też nikogo innego, gdyż oprócz mnie nie było tu ani jednej osoby.

Obróciłam się, by wyjść, ale wtedy po drugiej stronie drzwi zobaczyłam jakiegoś

chłopaka. Był wysoki, kasztanowe włosy opadały mu na ramiona, miał na sobie biały T-shirt i dżinsy, a na ramieniu plecak. Czekał, bym cofnęła się o krok od drzwi, po czym wolno je pchnął i wszedł.

Głupio byłoby gwałtownie wybiegać, toteż odwróciłam się do lady i wzięłam do ręki jeden z jadłospisów. Pomyślałam, że udam, że studiuje menu, i wymknę się w czasie, gdy on będzie coś zamawiał. Ale kiedy w końcu podniosłam wzrok znad karty, zobaczyłam, że stoi za ladą i zawiązuje fartuch. No tak, pracuje tutaj. A teraz na mnie patrzy.

- Czym mogę służyć? - spytał. Na jego koszulce widniał napis: „Zarządzanie gniewem: The show.wcom. radio”.

- Ee... - jękałam się, znów oglądając menu. Lepiło mi się w dłoni i nie mogłam zrozumieć ani słowa z tego, co czytam. W panice spojrzałam na wystawione w gablocie porcje pizzy.

- Poproszę kawałek pepperoni. I jakiś napój.

- Już się robi. - Złapał metalową blaszkę do pieczenia, która leżała za nim. Przesunął szczypcami porcje, by wyciągnąć jedną z nich i położyć ją na blasze, którą włożył do pieca. Potem podszedł do kasy, odrzucił opadający mu na czoło lok i wcisnął kilka klawiszy.

- Trzy czterdzieści dwa.

Wyjęłam portfel i podałam mu piątkę. Gdy wydawał resztę, spostrzegłam, że obok kasy stoi kubek z lizakami YumYum podpisany różowym flamastrem: „Poczęstuj się”. Uwielbiałam je jako dziecko i od lat nie miałam żadnego w ustach. Zaczęłam więc je przeglądać, szukając swoich ulubionych pośród jabłkowych, czereśniowych i tych o smaku melona.

- Proszę resztę, dolar pięćdziesiąt osiem. - Chłopak wyciągnął do mnie rękę z bilonem. Gdy go wzięłam, a także pusty kubek na napój, który postawił na ladzie, odezwał się ponownie: - Jeśli szukasz cukrowej waty albo gumy balonówy, to nie trać czasu. Nie ma ani jednego.

Uniosłam brwi.

- Są aż tak popularne?

- Mało powiedziane.

W tej samej chwili otworzyły się za mną drzwi i ktoś przebiegł obok, głośno stukając obcasami. Obróciłam się w porę, by ujrzeć, że w głębi pomieszczenia, w drzwiach, na których widniał napis: „Prywatne”, znika jakaś blondynka.

Chłopak zmrużył oczy, patrząc w tamtą stronę, a potem obrócił się do mnie.

- Pizza będzie zaraz gotowa. Podam ją do stolika.

Skinęłam głową i podeszłam do automatu z napojami, by napełnić kubek. Po drodze wzięłam kilka serwetek, a potem usiadłam w boksie i zaczęłam przeglądać wiadomości w telefonie, tylko po to, żeby się czymś zająć. Chwilę później usłyszałam odgłos otwieranego i zamykanego pieca, a zaraz potem chłopak wyszedł zza lady przez podwójne drzwi wahadłowe, niosąc pizzę na papierowym talerzu, i postawił ją przede mną.

- Dzięki.

- Smacznego - powiedział, a potem ruszył w stronę drzwi z napisem „Prywatne” i zapukał.

Znow sama, ugryzłam kawałek pizzy, choć wcale nie byłam głodna. Nie zdążyłam go jeszcze przełknąć, a już musiałam opanować gwałtowną chęć pochłonięcia całej porcji. Pizza pepperoni to tylko pizza pepperoni, jedna z najmniej oryginalnych odmian tej potrawy. Ale ta była niesamowita. Z ciastem, o dziwo, zarazem kruchym i miękkim, oraz apetycznym sosem, słodkim i nieco pikantnym. Na ser zabrakło mi słów. Był boski.

Całkowicie skupiłam się na jedzeniu i początkowo nie zauważyłam, że za ladą stanął ktoś inny. Zaskoczyło mnie, gdy usłyszałam nieznamy głos:

- Jak smakuje?

Podniosłam wzrok i ujrzałam mężczyznę w wieku mojego ojca, a może nieco młodszego. Miał ciemne włosy lekko przetykane siwizną, a na sobie biały fartuch.

- To coś niesamowitego - odparłam z pełnymi ustami. A gdy przełknęłam, dodałam: - Chyba jeszcze nigdy nie jadłam tak fantastycznej pizzy.

Uśmiechnął się, gdyż najwyraźniej sprawiło mu to przyjemność, a potem sięgnął przez blat i podniósł pojemnik z YumYum.

- A dostałaś lizaka? To dobre zakończenie. Ale nawet nie szukaj cukrowej waty ani balonowy. Nic nam nie zostało.

- Słyszałam, że są bardzo popularne.

W tym momencie pokręcił głową i zmarszczył czoło, słysząc, że w głębi otwierają się drzwi. Chwilę później wyszedł stamtąd chłopak, który podawał mi pizzę, a za nim blondynka. Trzymała w dłoni różowy lizak.

- Cóż to, nie zamierzasz obsługiwać? - spytał starszy mężczyzna, biorąc szczypcę, by przełożyć kawałki pizzy. - Nie wiedziałem, że pracujemy w systemie dowolnym.

- Nie krzycz na niego - odezwała się dziewczyna. Miała sukienkę na ramiączkach, na nogach klapki, a na ręce pęk srebrnych bransoletek. - Sprawdzał tylko, co się ze mną dzieje.

Mężczyzna otworzył piec, zajrzał do środka, a potem znów go zamknął.

- To trzeba cię sprawdzać?

- Dzisiaj tak. - Przysunęła krzesło do kontuaru i usiadła. - Daniel mnie właśnie rzucił.

Zatrzymał się i obrócił, by na nią spojrzeć.

- Co takiego? Naprawdę?

Dziewczyna wolno skinęła głową, a potem znów wsunęła lizaka do ust. Po chwili wyciągnęła rękę do pojemnika z chusteczkami, wyjęła jedną i otarła oczy.

- Nigdy nie lubiłem tego smarkacza. - Starszy mężczyzna znów obrócił się do pieca.

- Owszem, lubiłeś - zaprzeczył chłopak, zniżając głos.

- Wcale nie. Był za ładny. I te jego włosy! Jak można wierzyć komuś z takimi włosami.

- Tato, daj spokój. - Dziewczyna nie przestawała ocierać oczu. W końcu wyjęła lizaka z ust. - Powiedział, że to ostatni rok szkoły i nie chce mieć zobowiązań, ple, ple.

- Niech się pocałuje gdzieś - prychnął jej ojciec, po czym zerknął na mnie. - Przepraszam.

Poczułam, że się rumienię, złapana na podsłuchiwanie. Wróciłam do swojej pizzy, a raczej tego, co z niej zostało.

- Wkurza mnie tylko - ciągnęła dziewczyna, wyjmując kolejną serwetkę - że to samo powiedział Jake, gdy mnie rzucił na początku lata. „Jest lato! - oznajmił. - Nie chcę być uwiązany”. Naprawdę mam już dość tych sezonowych porzuceń. To nie do wytrzymania.

- Te włosy - mruzczał starszy z mężczyzn. - Nie mogłem na nie patrzeć.

W tym momencie otworzyły się drzwi frontowe i do środka weszli dwaj chłopcy z deskorolkami. Podczas gdy składali zamówienie, wyjadłam nawet okruchy i starałam się nie patrzeć na blondynkę, która teraz podwinęła nogi pod siebie i siedziała z podpartym dłonią podbródkiem, liżąc YumYum i patrząc w okno.

Deskorolkowcy zajęli miejsca przy stoliku i w niedługim czasie chłopak zza lady podał im zamówioną pizzę. Wracając na swoje stanowisko, dotknął ramienia dziewczyny i powiedział do niej coś, czego nie zrozumiałam. Podniosła na niego wzrok, skinęła głową, a on ruszył dalej.

Zerknęłam na zegarek. Gdybym teraz wyszła, miałabym do kolacji jeszcze co najmniej godzinę. Już na samą myśl o tym czułam przygnębienie. Seaside Pizza nie była niczym nadwyczajnym, ale przynajmniej nie znajdowałam się sama

w dzwoniących pustką czterech ścianach. Wstałam i poszłam ponownie napełnić kubek.

- Powinnaś spróbować lizaka - odezwała się dziewczyna, nie odrywając wzroku od okna, gdy wracałam na swoje miejsce. - Są wliczone w cenę.

Najwyraźniej opór był daremny. Oczekiwano, że poczestuję się lizakiem. Wróciłam więc do lady i zaczęłam wybierać. Właściwie to czekałam, aż dziewczyna powie, że zabrakło różowych, ale nie zrobiła tego. Po chwili jednak spytała:

- A czego szukasz?

Odwrociłam się do niej. Jej ojciec polewał sosem uformowane okrągło ciasto, a chłopak liczył przy kasie banknoty.

- Korzennego piwa - odparłam.

Tylko na mnie spojrzała.

- Serio?

Najwyraźniej była zdumiona. Co z kolei zaskoczyło mnie tak, że nie zdołałam odpowiedzieć. Po chwili znów się odezwała.

- Przecież nikt - powiedziała - nie lubi YumYum o smaku korzennego piwa. Te lizaki zawsze zostają, gdy znikną wszystkie inne, nawet te niejadalne, jak Tajemnica czy Czarne Jagody.

- Czym podpadły ludziom czarne jagody? - spytał starszy z mężczyzn.

- Są granatowe - stwierdziła obojętnie, po czym znów zwróciła się do mnie: - Nie ściemniasz? To faktycznie twoje ulubione?

Teraz wszyscy na mnie patrzyli. Przełknęłam ślinę.

- Ee...no tak - wykrztusiłam.

Odepchnęła krzesło i wstała. Zanim się zorientowałam, ruszyła w moją stronę. Pomyślałam, że zaraz mnie zaatakuje z powodu moich upodobań, ale przeszła obok, a gdy się obróciłam, zobaczyłam jej głowę przed drzwiami w głębi lokalu. Otworzyła je i zniknęła.

Spojrzałam na mężczyznę za ladą, ale tylko wzruszył ramionami, posypując serem kolejną pizzę. Tymczasem z pokoju dochodziły odgłosy otwieranych i zamykanych szuflad, trzaskających drzwi szafek i wiele innych, nic jednak nie mogłam zobaczyć. Potem wszystko ucichło i dziewczyna znów się wyłoniła, trzymając w ręku plastikową torbę. Ruszyła w moją stronę, a gdy dzieliły nas już centymetry, wyciągnęła ją do mnie.

- Proszę - powiedziała. - To dla ciebie.

Wzięłam torbę z jej rąk i zajrzałam do środka. Było w niej co najmniej pięćdziesiąt sztuk lizaków YumYum o smaku piwa korzennego, a może nawet

więcej. Patrzyłam na to, nie mogąc wykrztusić słowa, a potem podniosłam na nią wzrok.

- Wprawdzie ich nie znoszę, ale to przecież YumYum - oznajmiła. - Nie mogłam tak po prostu ich wyrzucić.

Znów spojrzałam na torbę. Zaczynała mi już ciążyć w rękach.

- Dziękuję. - Nie mogłam otrząsnąć się ze zdumienia.

- Smacznego. - Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. - Jestem Layla.

- Sydney.

Uścisnęłyśmy sobie dłonie. A potem zapadła cisza. Kiedy znów na nią spojrzałam, uniosła brwi.

- Och... - Szybko wyciągnęłam lizak i rozwinęłam papiererek.

Wsunęłam go do ust i nagle znów miałam dziesięć lat i wracaliśmy z Peytonem z Quilk-Zip, gdzie wydałam całe kieszonkowe na cukierki. Mój brat zawsze wybierał czekoladowe - z orzechami albo migdałami, ja natomiast nie lubiłam dodatków. Wolałam czysty smak cukru i potrzebowałam czasu, by się nim delectować. W każdej paczce YumYum były zawsze co najmniej dwa lizaki o smaku piwa korzennego. Jeden zjadałam od razu, a drugi trzymałam do chwili, gdy zjadłam już wszystkie inne. Pomyślałam o moim bracie i zastanowiłam się, czy w więzieniu w Lincoln kiedykolwiek dostaje czekoladę. Trzeba powiedzieć mamie, żeby mu zawiozła - stwierdziłam.

W tej samej chwili za ladą rozległ się telefon. Odebrał go chłopak.

- Seaside Pizza, tu Mac. - Złapał notes, a potem wyjął zza ucha ołówek.

- Mhm, tak, dolar dopłaty. Jaki adres?

Gdy zapisywał, starszy mężczyzna zerknął mu przez ramię, przeczytał zamówienie, po czym uformował z ciasta kulę i zaczął ją przerzucać między dłońmi.

- Mam dostawę blisko domu. Mogę cię podrzucić - zwrócił się chłopak do Layli. - Zadzwoń do mamy i spytaj, czy czegoś nie potrzebuje.

- Dobra - rzuciła przez ramię, a potem znów spojrzała na mnie.

- Chodzisz do Jackson?

- Od dziś - przytaknęłam.

- No i jak?

- Niespecjalnie. - Spojrzałam na torbę. - Ale to mi pomoże.

- Zawsze pomaga. - Pomachała mi, obróciła się na pięcie i znów ruszyła ku drzwiom w głębi. Wróciłam do stolika, wyrzuciłam do kosza papierowy talerz i kubek, a potem podniosłam plecak.

- Powiedz jej, że czekam na zewnątrz - rzucił chłopak do starszego mężczyzny,



gdy szłam w stronę drzwi. – Silnik coś ostatnio źle zapala. To może trochę potrwać.

– Tylko nie zapomnij o znaku!

W końcu wyszliśmy razem, tak jak weszliśmy.

Gdy szłam do swojego samochodu, on skierował się do starej furgonetki. Patrzyłam, jak sięga na tył auta, wyciąga znak z magnesem i umieszcza go na drzwiach po stronie kierowcy. „Seaside Pizza – głosił napis. – Najlepsza w okolicy”. A pod spodem numer telefonu.

Było już wystarczająco późno, by dotrzeć do domu w porze kolacji. Mimo to zwlekałam, aż w końcu ukazała się Layla, niosąc jeden z tych kwadratowych podgrzewaczy na pizzę. Na pierwszych światłach dzieliło nas kilka samochodów, ale jechałam za nimi jeszcze przez parę przecznic, aż w końcu rozdzielił nas strumień pojazdów. Dopiero wtedy rozwinęłam kolejny lizak i wciągałam jego zapach przez całą drogę do domu.

## Rozdział czwarty

Przez kolejne dwa dni w szkole nic się nie poprawiło, ale też i nie pogorszyło. Opanowałam najszybszą drogę do klas i odkryłam, że najłatwiej znaleźć miejsce na górnym parkingu. Ponadto dwa razy rozmawiałam z koleżankami z klasy (wprawdzie jedna z tych rozmów była przymusowa, gdyż wynikała z udziału w grupowym projekcie, ale to zawsze coś).

Nie odwiedziłam ponownie pizzerii Seaside. Bałam się, że wyjdę na na świruskę, która chce się do nich przykleić. Natomiast nazajutrz spotkałam się z Jenn w cukierni Fraziera, by pogadać i wspólnie odrobić lekcje. Dzień później wróciłam do domu zaraz po szkole, myśląc, że może nie będzie tak źle. Ale wtedy zobaczyłam na podjeździe samochód Amesa.

- Sydney? To ty?

Położyłam plecak na schodach i wciągnęłam powietrze, nim weszłam do kuchni. Oczywiście siedział przy stole, popijając z mamą kawę. Między nimi stał talerz z ciasteczkami. Kiedy mama mnie zobaczyła, pchnęła talerz w moją stronę.

- Witaj, nieznajoma - odezwał się Ames, gdy podeszłam do lodówki, by wyjąć butelkę wody. - Kawał czasu.

Wprawdzie się uśmiechał, gdy to mówił, ale mnie cierpła skóra. Tymczasem mama, pewna, że chcę do nich dołączyć, już podsuwała mi krzesło. Usiadłam.

- Jak tam w szkole? - spytała, po czym obróciła się do niego, wyjaśniając: - Sydney przeniosła się do Jackson.

- Naprawdę? - Wyszczrzył zęby. - Moja stara buda. Czy wciąż tak tam jedzie lizolem?

- Chodziłeś do Jackson? - zdziwiła się mama. - Nic o tym nie wiedziałam.

- Przez pierwsze dwa lata liceum. - Rozparł się w krzesło, wyciągając nogi. - Potem mnie pożegnali. Bardzo uprzejmie.

- To przypomina mi kogoś, kogo znam. - Pociągnęła z kubka łyk kawy.

- I jak ci się podoba? - spytał.

- Może być. - Skinęłam głową.

Podobny unik stosowałam, odpowiadając na inne warianty tego pytania. Tylko raz powiedziałam prawdę, i to Layli, której nie znałam. Wciąż nie mogłam zrozumieć, dlaczego to zrobiłam.

W tej samej chwili rozległo się buczenie telefonu mamy, który leżał na blacie. Wstała, zerknęła na ekran i westchnęła.

- Zupełnie zapomniałam, że jeszcze wiosną zobowiązałam się do udziału w organizacji uroczystości w szpitalu dziecięcym. Teraz oczekują spotkań i prac nad budżetem.

- Pamiętaj, o czym mówiliśmy, Julie - rzekł Ames. - Są sprawy ważne i ważniejsze. Posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie.

- Wiem o tym i powinnam ci gorąco podziękować. Postaram się zaraz wrócić.

Z tymi słowy wyszła i wkrótce usłyszałam, jak idzie po schodach do swego gabinetu. Zostałam sama z Amesem.

- No więc - zaczął, pochylając się w przód - teraz, gdy jesteśmy tylko we dwoje, powiedz naprawdę, jak jest.

Zawsze otaczała go woń papierosów, nawet wtedy, gdy nie palił. Lekko się odsunęłam.

- W porządku. To zmiana, ale sama tego chciałam.

- Założę się, że niełatwo być siostrą Peytona. Mój młodszy brat przeżywał podobny stres.

Kiwnęłam głową, wzięłam ciastko i nadgryzłam kęs. Pragnęłam, by mama jak najszybciej wróciła do kuchni.

- Wiedz - ciągnął - że gdybyś chciała pogadać, to zawsze jestem. O Peytonie albo czymkolwiek innym, okej?

Nie, dzięki - pomyślałam. Ale głośno powiedziałam:

- Jasne.

Nazajutrz już w porze lunchu drżałam na myśl o ostatnim dzwonku. Nie miałam pojęcia, jak często Ames przychodzi do nas popołudniami, ale byłam pewna, że nie chcę go widzieć, a tym bardziej z nim rozmawiać. Zwłaszcza gdy nie ma przy tym mamy. Jednocześnie czułam się winna. Wprawdzie mnie odstręczał, ale przecież nie zrobił nic złego.

Oczywiście mogłam powiedzieć mamie, co czuję, ale miała i tak dość na głowie, a przecież Ames był najlepszym przyjacielem Peytona. Od kiedy się pojawił, podtrzymywał nas wszystkich na duchu, a w ostatnim trudnym okresie nie odstępował mojego brata. Kiedy nawet tata miał już dość jego wywodów na temat Lincoln, naczelnika więzienia i apelacji, Ames go wysłuchiwał. Nie chciałam mamie odbierać tego wsparcia. Tym bardziej że nie miałam żadnych konkretnych zarzutów, tylko odczucia. A te miewa każdy.

Kiedyś mówiłam jej wszystko. Nawet wtedy, kiedy poznałam Jenn, a potem

Meredith, uważałam mamę za swoją najlepszą przyjaciółkę. Po prostu tak samo patrzyliśmy na świat. Do czasu.

Wszystko zaczęło się zmieniać po pierwszych wybrykach Peytona. Byłam zdumiona, słysząc, jak go broni, nawet wtedy, gdy popełniał czyny karygodne. Bez względu na rodzaj przestępstwa, zawsze szukała argumentów, by dowieść, że nie wszystko jest jego winą. A potem doszło do wypadku z Davidem Ibarrą.

W dniach, które po nim nastąpiły, wówczas gdy rodzice usiłowali załatwić mu wyjście za kaucją i spędzali większość czasu na rozmowach z prawnikami, potrafiłam myśleć tylko o jednym – o niewiele młodszym ode mnie chłopcu, który leżał na szpitalnym łóżku. Wiedziałam z doniesień – tych, które do mnie docierały, i tych, które wyszukałam – że uraz, którego doznał, spowodował paraliż i że nigdy już nie będzie chodził. Ale nie znałam szczegółów, przynajmniej na początku. Miałam wiele pytań i nie mogłam się powstrzymać, by ich nie zadać.

– Czy nie powinniśmy przeprosić? – spytałam rodziców pewnego dnia. – Na przykład w jakiejś gazecie? Albo może złożyć jakieś oświadczenie?

Mama rzuciła mi surowe i smutne spojrzenie.

– Stało się coś okropnego, Sydney. Ale prawo jest skomplikowane. Najlepiej, żebyśmy po prostu skupili się na tym, jak dalej żyć.

Za pierwszym razem skłoniło mnie to do myślenia. Ale słysząc to po raz czwarty i piąty, dostrzegłam wyraźną intencję. Podczas gdy sprawa Davida Ibarry budziła we mnie wstyd i żal, dla mamy liczył się tylko Peyton. Wtedy zdałam sobie sprawę, że niezależnie od tego, na co patrzymy, nigdy nie będziemy widzieć tego samego.

Czwartego dnia w Jackson, kiedy w porze lunchu jadłam kanapkę z indykiem, przeglądając podręcznik do matematyki, poczułam, że ktoś się zbliża i siada w pobliżu. Chwilę później nastąpiło pstryknięcie palcami, a potem dźwięk gitary. Gdy podniosłam głowę, zobaczyłam chłopca w ciemnych okularach, dżinsach i stylowej koszuli z kołnierzykiem przypinanym na guziki. Uderzał w struny gitary, którą trzymał na kolanach.

O ile mogłam poznać, nie grał nic konkretnego, ot, jakieś fragmenty – to akord, to znów urwaną melodię. Co pewien czas sam zaczynał nucić lub podśpiewywać, po czym nagle przerywał, by zapisać coś w leżącym obok notesie. Powróciłam do swego podręcznika, ale kilka minut później dobiegł mnie czyjś głos.

– Och, Eric. Czyżby?

Podniosłam wzrok i ujrzałam Laylę. Była w szortach, zbyt obszernym T-shircie w kwiatki, a na nogach miała sandały z pasków. Jej blond włosy luźno opadały na ramiona. Stała, opierając ręce na biodrach i przechylając głowę w bok.

- O co ci chodzi? - odezwał się chłopak. - Przecież ćwiczę.

- Prooszę cię, nie ściemniaj - odparła. - Ćwiczysz najwyżej swoje zgrane sztuczki na tej biednej dziewczynie. Ale nic z tego, bo już ją ostrzegłam.

Nagle przestał grać.

- Ostrzegłaś ją? Przede mną? Teraz jestem niebezpieczny?

- Lepiej się posuń.

Niechętnie posłuchał, a ona usiadła między nami, obracając się twarzą do mnie.

- Szukałam cię, choć powinnam wiedzieć, że Eric będzie pierwszy. Wyczuł świeżą krew.

- No dobra, ale teraz już dość. - Tym razem serio się obruszył.

Zbyła go machnięciem ręki jak natarczywego komara i ciągnęła:

- Nie sądzę, że mogłabyś się na to nabrać. To by ci uwłaczało. Ale ja miałam pecha i moją misją jest teraz ostrzegać inne przed tym doświadczeniem.

- Słuchaj - przerwał jej, mocno uderzając w struny - zerwaliśmy ze sobą ponad rok temu. Myślę, że mogłabyś wreszcie dać spokój.

Obróciła się do niego z nadal przechyloną głową. A potem wyciągnęła rękę i odgarnęła opadające mu na czoło włosy.

- Musisz się ostrzec. Ten kudłaty hipster nie jest w twoim stylu.

- Nie dotykaj mnie - mruknął, a ja pomyślałam, że zabrzmiało to ciepło. Zaraz zresztą pochylił się nad gitarą i zaczął grać, a ona uśmiechnęła się i znów powiedziała do mnie:

- Eric gra w zespole z moim bratem. Tak naprawdę to nie daje się ich słuchać.

- Jej brat - poprawił ją Eric - gra na perkusji w moim zespole. - Właśnie jesteśmy w trakcie przekształceń.

- Nie mogą znaleźć drugiego gitarzysty. - Skinęła w jego stronę. - Za dużo gwiazd na jednym boisku.

- Ktoś musi być szefem. - Eric się nie poddawał.

Layla znów się uśmiechnęła.

- Tak czy owak, grają w piątek wieczorem. W Bendo, tak? Tym klubie na Overland? Dla osób w każdym wieku. Jeśli zdążysz, dostaniesz pizzę gratis. Powinnaś przyjść.

Byłam zaskoczona tym zaproszeniem. Widziałyśmy się zaledwie raz i nie musiała tego robić. Ale od razu wiedziałam, że tam pójde.

- Jasne - odparłam. - Chętnie.

- To super. - Wstała i założyła włosy za uszy. - Och, i jeszcze jedno. Jeśli szukasz towarzystwa, to my siedzimy tam. - Wskazała ręką na prawo od głównego budynku,

gdzie pod rozłożystym drzewem stały kręgiem ławki. Na jednej zobaczyłam chłopaka, który obsługiwał mnie w pizzerii, i wtedy zrozumiałam, że to jej brat. Obierał pomarańczę, trzymając na kolanach jakiś podręcznik.

- Aha - powiedziałam. - Dobrze.

- Bez nacisku - dodała szybko. - Ale gdybyś chciała...

Skinęłam głową, a ona odeszła, wsuwając ręce do kieszeni.

Gdy patrzyłam za nią, Eric odchrząknął.

- Nasz zespół nie jest taki zły - odezwał się po chwili. - Tylko ona ma wysokie wymagania.

Nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć, ale na szczęście rozległ się dzwonek. Eric odłożył gitarę, a ja zebrałam swoje rzeczy, skinęliśmy sobie i każde ruszyło w inną stronę. Ale przez całe popołudnie - dwie lekcje i laboratorium nie przestawałam myśleć o tym, co powiedział. Wysokie wymagania. A przecież mnie zaprosiła. Może jeszcze tego pożałuje. Miałam jednak głęboką nadzieję, że tak się nie stanie.

\* \* \*

- No nie wiem. - Jenn zmarszczyła nos, jak zawsze, gdy miała jakieś wątpliwości.

- Czy to nie jakiś nocny klub?

- To scena muzyczna - odparłam. - A koncert jest dla osób w każdym wieku.

Podniosła ołówek i zaczęła go obracać między kciukiem a palcem wskazującym.

- Myślałam, że w piątek idziemy na spotkanie u Mer.

- Na czwartą. A to jest trzy godziny później.

Nie chciała ze mną iść. Widziałam to od chwili, gdy o tym wspomniałam. Nie bywałyśmy w klubach, nigdy. Ale nasze „my” uległo teraz zmianie. Przynajmniej z mojej strony.

Rozejrzałam się po cukierni Fraziera, gdzie wpadałyśmy po szkole, jeśli nie miałyśmy ochoty iść do Antonelli. Lokal, gdzie serwowano kanapki, sałatki i ciasta, był dziwną próbą udomowienia sieciówki. Zdobiły go koronki ręcznej roboty, a przy sztucznym kominku stały szlachetnie wytarte skórzane fotele. Dania podawano na stolikach przykrytych woskowanym papierem w czerwono-białą kratkę, a sztucce obwiązywano kokardą. Tym razem wzięłam jakiś specjalny napój kawowy, namówiona przez miłego chłopaka za ladą. Na plakietce miał napis „Dave” i przysięgał, że ten drink odmieni mi życie. Oznaczało to niechybnie, że napompowana kofeiną będę wciąż kursować do toalety. Niezbyt zachęcające.



- Wpadnij choć na godzinę - przekonywałam ją, mimo wszystko pociągając drugi łyk. - Przecież możesz wyjść, jeśli ci się nie spodoba.

- Czemu tak ci na tym zależy? - Odłożyła ołówek. - Nigdy nie chodziłaś do klubów.

- I nie chodzę. To występ zespołu muzycznego.

Poprawiła okulary, a potem spojrzała na leżący przed nią podręcznik.

- To po prostu mnie nie interesuje. Wybacz, Sydney.

Dobrze znałam Jenn. Gdy raz coś postanowiła, nie było odwrotu.

- W porządku, jak chcesz.

Uśmiechnęła się do mnie i obie wróciłyśmy do lekcji. Współczesna muzyka poważna docierająca gdzieś z góry, bułeczka z jagodami, którą zamówiła Jenn, stojąca przede mną porcja ciasta marchewkowego, a także nasz boks przy oknie - wszystko to było mi tak dobrze znane jak własne odbicie w lustrze. Ale pomimo starań nie mogłam skupić się na matematyce. Siedziałam i słuchałam, jak jej ołówek skrobie po papierze, aż w końcu nadszedł czas, gdy musiałyśmy się rozstać.

Tak więc następnego wieczoru byłam sama, gdy weszłam do Bendo, gdzie na powitanie jakiś potężny typ z tatuażem na szyi omal nie zmiażdżył mi ręki. W porze lunchu nie widziałam Layli, bo omawiałam z grupą wspólną pracę z angielskiego. Wyruszyłam zatem pełna obaw, ponieważ miałam tylko ustne zaproszenie. Nie wspomnę też o kłamstwie, do którego musiałam się uciec.

- Wychodzisz? - spytała mama, gdy zeszłam po kolacji na dół, wcześniej dwukrotnie się przebierając, by na koniec wrócić do pierwszej wersji. Spojrzała na zegarek. - Nie wiedziałam, że masz jakieś plany.

- Umówiłam się z Meredith i Jenn na deser u Frazier - odparłam. - Wrócę o dziesiątej.

Spojrzała na tatę, który siedział obok na kanapie, jakby oczekując, że on zareaguje. A gdy tego nie zrobił, pochłonięty wiadomościami na temat zmiany granic okręgów szkolnych, które nadawano w całodobowym lokalnym kanale informacyjnym, powiedziała:

- Może jednak będziesz o dziewiątej trzydzięci?

Ogarnęła mnie irytacja. W odróżnieniu od Peytona nigdy nie zrobiłam nic, co uzasadniało jakiegokolwiek ograniczenia. Mimo że w tej chwili bezczelnie kłamałam, poczułam się skrzywdzona.

- Naprawdę, mam? Jestem już w liceum.

Teraz patrzyli na mnie oboje. Mama uniosła brwi, spoglądając na ojca, który postanowił się włączyć.

- Czy mam ci przypominać, że przyjęliśmy pewne zasady?

- Ależ, tato - zaprotestowałam. - Od kiedy mam prawo jazdy, pozwoliliście mi wracać o dziesiątej.

- Twoja matka życzy sobie, żebyś wróciła wcześniej. - Odwrócił się znów do telewizora. - Zrób tak dzisiaj, a potem porozmawiamy.

Teraz ogarnęła mnie prawdziwa wściekłość. Spojrzałam na mamę.

- Tak?

Nie odezwała się, tylko wróciła do magazynu, który leżał na jej kolanach. Stałam bez ruchu minutę, a potem drugą. W końcu obróciłam się na pięcie i wyszłam. Nie pamiętam, kiedy byłam na nią tak zła. Ostatnio odczuwałam jedynie smutek i współczucie, a także potrzebę zapewnienia jej ochrony. Złość była czymś dotąd mi nieznanym i wywoływała niepokój. W moim życiu nastąpiła zmiana, na którą nie byłam przygotowana.

Gdy znalazłam się w Bendo, nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Była to wielka sala o ścianach pomalowanych na czarno, z długim barem ciągnącym się wzdłuż jednej z nich. Na scenie w głębi ustawiono już perkusję, wzmacniacze i mikrofony. Spodziewałam się tłoku, licząc na to, że ukryję się w tłumie. Tymczasem ujrzałam zaledwie garstkę osób, z których większość tłoczyła się przy rzędzie pudełek z pizzą stojących na jednym z krańców lady. Poczulałam się tak obco, że postanowiłam wyjść, zanim sytuacja stanie się naprawdę żenująca.

- Hej! A więc przyszłaś.

Obróciłam się i ujrzałam Erica. Był w dżinsach i kraciastej koszuli, która sprawiała wrażenie nabytej w szmateksie. Z przedniej kieszeni wystawał tuner gitarowy. Wyglądał, jakby się ostrzygł.

- Byłam ciekawa - odparłam.

Uśmiechnął się, jakby sprawiło mu to przyjemność.

- Dziś wieczorem chcemy zagrać coś, nad czym wciąż pracujemy. To jest trochę meta, ale mam nadzieję, że ludzie nadążą.

Skinęłam głową, niepewna co odpowiedzieć. Okazało się jednak, że nie muszę się martwić, gdyż mówił dalej:

- Ostatnio jako zespół przeszliśmy sporą ewolucję, co zresztą uważam za konieczne. Muzyka nie ulega stagnacji, prawda? Więc i nas to dotyczy. W ubiegłym roku skupiliśmy się na melodyce łączącej rockabilly, bluegrass i elementy metalu. Naprawdę nikt nie robił wcześniej tego co my, ale oczywiście zaraz wszyscy zaczęli kopiować nasze aranżacje, no i znów musiałem wymyślić coś nowego. Wierz mi, stworzenie dobrego zespołu to duże wyzwanie. Każdy potrafi prowadzić pospolite

badziewie. I na ogół tak robią. Ale ja...

Nagle poczułam, że ktoś ściska mnie za ramię i odciąga od niego. Zaskoczona, potknęłam się o własne stopy, nim zdałam sobie sprawę, że to Layla. Miała na sobie błękitną suknię i japonki, a gruba czarna kredka nadawała jej oczom koci wygląd.

- Robię to dla twojego dobra - oznajmiła, gdy odwróciłam się ze skruszoną miną do Erica. - Lepiej unikaj dyskusji na temat jego zespołu, bo nigdy się nie wyrwiesz.

Z tymi słowy posadziła mnie na stołku przy barze, po czym sama wspięła się na sąsiedni. Chwilę później przyłączył się do nas zirytowany Eric.

- Rozmawiałem z nią - zwrócił się do Layli.

- Ty zawsze rozmawiasz - odparła. - To moja koleżanka i to ja ją tu zaprosiłam.

Zamrugałam. A więc byłyśmy koleżankami? Spojrzał na nią z wyrzutem, po czym nałożył sobie kawałek pizzy i oparł się o ladę.

- Byłaś tu już kiedyś? - spytała.

Pokręciłam głową.

- To naprawdę fajne miejsce, poza tym, że wszystko się tu lepi. Chcesz kawałek?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, złapała dwa tekturowe talerze ze sterty obok, nałożyła na każdy porcję pizzy i podsunęła mi jeden.

- Pizza to podstawa popularności tego zespołu - powiedziała. - W myśl zasady: Przyjdą, jeśli ich nakarmisz.

- Przychodzą posłuchać muzyki - zaproponował Eric.

- Gadaj sobie, co chcesz. - Uśmiechnęła się do mnie, a potem odgryzła spory kęs, patrząc na scenę. Jej brat stał teraz przy perkusji i coś poprawiał. - No więc jak ci minął pierwszy tydzień w Jackson? Tylko szczerze.

Przełknęłam kęs pizzy. Był pyszny. Nawet lepszy, niż zapamiętałam.

- Nieszczerze.

- Przeprowadziłaś się tutaj?

- Nie. Przeniosłam się z Perkins Day.

Słyszając to, spojrzeli po sobie.

- Uuu, to duża forsa - powiedział Eric.

- I naprawdę dobra szkoła - dodała Layla, patrząc na niego wymownie. - Dlaczego stamtąd odeszłaś?

Rozległo się uderzenie w talerze, a po nich piskliwy pogłos.

- Potrzebowałam zmiany.

Layla przez chwilę uważnie patrzyła mi w twarz.

- Rozumiem. Zmiana dobrze robi.

- Mhm - mruknęłam. - Mam przynajmniej taką nadzieję.

Spojrzała gdzieś za mnie, nagle przestając słuchać. Podążyłam za jej wzrokiem i ujrzałam dziewczynę w džinsach i T-shircie. Kilka lat od nas starsza, miała włosy wysoko związane w koński ogon i pchała wózek inwalidzki. Siedziała w nim kobieta ubrana w welurowy dres, starsza od wszystkich obecnych o co najmniej dwadzieścia lat.

Na widok tego wózka stanął mi przed oczyma David Ibarra. Ujrzałam wyraźnie twarz znaną mi z fotografii w gazetach i informacji, których szukałam w internecie w dniach, a potem miesiącach po wypadku. Powracała, gdy rozlegał się nagły pisk hamulców, gdy widziałam rowerzystów na ulicy, a także, mówiąc szczerze, wraz z własnym oddechem. Nigdy nie zniknął z mojej świadomości. Mimo polityki mamy moja wiedza o nim i potrzeba jej przywoływania stały się pokutą za czyn Peytona. A także wyrokiem, który został wydany na mnie.

Wiedziałam, że David skończył piętnaście lat zaledwie kilka dni przed wypadkiem. Że grał w piłkę nożną i był napastnikiem. Że uderzenie złamało mu kręgosłup, powodując paraliż dolnej części ciała i skazując go na wózek inwalidzki. Potrafiłam wymienić całą listę darczyńców, którzy sponsorowali zakup nowoczesnego wózka, w tym organizatorów sprzedaży podwórkowych i koncertów dobroczynnych, a także inicjatywy społeczne, dzięki którym dom jego rodziców wyposażono w rampy, szerokie drzwi i niezbędne urządzenia. Szukałam tych informacji, gdyż czułam, że powinnam w tym wszystkim uczestniczyć. Jakby mogło to zmniejszyć ciężar naszej winy. Ale tak się nie stało.

- Już są - powiedziała Layla do Erica, przywołując mnie do rzeczywistości. - Chodźmy.

Oboje wstali i ruszyli w stronę kobiety w wózku w chwili, gdy dziewczyna, która go pchała, dotarła na środek sali. Nie bardzo wiedziałam, co robić, zostałam więc na miejscu. Patrzyłam, jak Eric przesuwa tam stolik, a Layla przejmuje wózek od tamtej dziewczyny i ostrożnie ustawia go obok. Chwilę później nadszedł jej brat, niosąc puszkę pepsi i szklankę z lodem. Nalał do niej napój i postawił na stole, gdy usiadła przy nim starsza z dziewcząt.

Layla spojrzała w moją stronę, przywołując mnie gestem, jakby wszystko to było zupełnie naturalne. Wstałam więc, a gdy zbliżałam się do stolika, usłyszałam, jak Layla mówi do kobiety na wózku:

- Widzisz, mamó? To jest Sydney. Opowiadałam ci o niej, pamiętasz?

Kobieta podniosła wzrok. Miała okrągłą, miłą twarz, jasne włosy zapewne uczesane na tę okazję, a na ustach czerwoną szminkę. Wyciągnęła do mnie rękę.

- Tricia Chatham. Miło cię poznać.

- Mnie również - powiedziałam.

- Zjesz kawałek pizzy? - spytała ją Layla. - Jest jeszcze ciepła.

- Nie, skarbie, mam coś innego. Rosie, podaj mi torbę.

Dziewczyna sięgnęła na tył wózka i zdjęła z rączki jedną z tych dużych, kolorowych, pikowanych toreb. Była różowa i haftowana w róże. Rozsunęła zamek, a potem postawiła ją na stole. Jej matka wyciągnęła rękę i przez chwilę grzebała wewnątrz, po czym wyjęła puszkę ptysiowych ciasteczek. Brat Layli sięgnął po nią bez słowa, zdjął wieczko i zaraz ją oddał.

- To jest Mac - przedstawiła mi go Layla. - A to moja siostra Rosie.

Na moje „cześć” Rosie skinęła głową. Zauważyłam, że wszystkie trzy mają takie same jasne włosy i zielone oczy. Były one jednak różnie rozstawione - u matki szeroko, u Rosie wąsko, zaś u Layli proporcjonalnie. Mac najwyraźniej swoje ciemne włosy i oczy odziedziczył po ojcu.

- Kiedy zaczynają? - spytała pani Chatham, wyjmując z puszek garść ptysiowych kulek. - Są tu tacy, którzy muszą zdążyć na telewizję.

- Mamo, przecież włączyliśmy nagrywanie - przypomniała jej Rosie.

- Podobno. - Wsunęła do ust kuleczkę i spojrzała na mnie. - Nie ufam technologii, zwłaszcza gdy chodzi o moje ulubione programy.

- Nie może bez nich żyć - wyjaśniła mi Layla, po czym spojrzała na Erica, unosząc brwi.

- Jasne. - Skinął głową. - Zaraz zaczynamy.

Razem z Makiem ruszyli ku scenie. Tymczasem Layla przysunęła do stolika dwa krzesła. Gestem wskazała mi jedno, sama zajęła drugie.

- No to powiedz mi teraz coś o sobie, Sydney - zwróciła się do mnie jej mama, wygrzebując kolejną garść kulek.

- Mamo! - Rosie przewróciła oczami. Siedziała prosto z ciasno skrzyżowanymi nogami. - Naprawdę....

- Co? Jestem niegrzeczna?

- Jeśli już pytasz, to odpowiedź brzmi „tak” - odparła jej starsza córka.

Ale pani Chatham, ignorując ją, nadal nie spuszczała ze mnie wzroku.

- No więc... - wyjąkałam - właśnie przeniosłam się do Jackson. Ale mieszkam w Lakeview od trzeciego roku życia.

- Przedtem chodziła do Perkins Day - dorzuciła Layla. Rosie i pani Chatham wymieniły spojrzenia. - Ale potrzebowała zmiany.

- Jak wszyscy - mruknęła Rosie.

- Perkins Day to znakomita szkoła - powiedziała pani Chatham. - Ma najlepsze

wyniki w hrabstwie.

- Mama pracowała w administracji szkolnej - wyjaśniła mi Layla. - Była zastępcą dyrektora.

- Przez dziesięć lat - dodała pani Chatham, podsuwając mi puszkę z ptysiówymi kulkami. Gdy podziękowałam, podała ją Layli, która wzięła jedną kuleczkę. - Nadal bym to robiła, gdyby nie choroba. Uwielbiałam tę pracę.

- Stwardnienie rozsiane - poinformowała Layla. - Z różnymi komplikacjami. I to jest najgorsze.

- Owszem. - Pani Chatham wyciągnęła puszkę do Rosie. - Ale losu się nie wybiera. Nie mamy na to wpływu.

Ze sceny rozległ się tak ogłuszający hałas, że wszystkie podskoczyłyśmy.

- Nieźle. Już mnie boli głowa - stwierdziła Rosie.

- Proszę, proszę... - Pani Chatham spojrzała w tamtą stronę. - Pracowali nad jakąś nową formułą. Najwyraźniej jest bardzo nowatorska.

Uśmiechnęłam się, co dostrzegła, i odpowiedziała mi uśmiechem. Moje wcześniejsze przecucia w pełni się sprawdziły. Byłam naprawdę bardzo zadowolona, że tu przyszedłam.

Eric stał teraz przed mikrofonem z gitarą i szarpał strunę.

- Raz, dwa, trzy - powtarzał, po czym zagrał kilka akordów. Drugi gitarzysta, wysoki, chudy chłopak z wydatną grdyką widoczną nawet z daleka, wspiął się na scenę. - Raz, dwa...

Layla spojrzała na mnie i przewróciła oczami.

- Przecież mieli już próbę głosu. Rany, ale on gwiazdorzy.

Spojrzałam na Erica, który obrócił się, mówiąc coś do Maca.

- Naprawdę chodziliście ze sobą? - spytałam.

- W mych młodych latach, gdy „zbyt zielona byłam w ocenie ludzi”<sup>[1]</sup> - odparła. Spojrzałam na nią zdziwiona, a ona parsknęła śmiechem. - To Szekspir. No co ty, Perkins Day, nie łapiesz?

Poczułam, że się czerwienię.

- Sorki.

- Wyglupiam się tylko. - Wyciągnęła rękę i uścisnęła mi dłoń. - Owszem, chodziliśmy ze sobą. Na obronę mogę tylko powiedzieć, że byłam głupią drugoklasistką.

Eric wrócił do mikrofonu i znowu zaczął odliczać.

- Nie wydaje się taki zły.

- Bo nie jest zły. - Uniosła rękę i odgarnęła do tyłu włosy. - Ale ma przerośnięte

ego i pozbawiony kontroli stanowi zagrożenie społeczne. Próbowałam tylko spełnić swój obywatelski obowiązek.

- Raz, dwa - powtarzał Eric, poklepując mikrofon. - Raz...

- Słyszemy cię! - wrzasnęła Layla. - Zaczynaj wreszcie.

Pani Chatham zaczęła ją uciszać, ale to podziałało. Przedstawili się jako „nowa, udoskonalona formuła znanego zespołu Hey Dude” i zaczęli grać. Nie jestem żadnym ekspertem i na pewno nie mam wysokich wymagań, ale pomyślałam, że dobrze brzmią. Wprawdzie trochę za głośno, ale siedzieliśmy bardzo blisko. Początkowo nie umiałam rozpoznać, co Eric śpiewa, choć melodia była mi znana. Ale gdy tylko usłyszałam refren, uświadomiłam sobie, że znam tę piosenkę na pamięć.

*Jest królową balu w złocistej koronie  
A gdy jej nie widzę, myślę tylko o niej.*

Nachyliłam się do Layli.

- Czy to...

- Logan Oxford - dokończyła za mnie. - Pamiętasz go? W szóstej klasie miałam jego plakat na ścianie w pokoju.

A ja notebook z jego podobizną na pokrywie. A także każdą piosenkę, którą nagrał, i kopię filmu z jego koncertu „This One`s for You”. I choć teraz bardzo się tego wstydziłam, byłam w nim tak zadurzona, że fantazjowałam na temat naszego małżeństwa. Żenada! Teraz jednak wszystko to powróciło w tej wielkiej, dusznej sali. Szkoda, że Jenn nie przyszła. Była na jego punkcie jeszcze bardziej zwariowana niż ja.

- Nie bardzo rozumiem! - przekrzykiwała orkiestrę Rosie. - Czy oni grają retro top listę?

- Przypuszczam - odparła pani Chatham, sięgając po pepsi - że to ma być ironiczny komentarz do uniwersalnego tematu doświadczeń wczesnej młodości. Ale mogę się mylić. Muszę przyznać, że w pewnej chwili się wyłączyłam.

- Uwielbiałam Logana Oxforda - westchnęła Layla, pochłaniając kolejną garść ptysiowych kulek. - Pamiętasz jego włosy? A ten dołeczek w brodzie, kiedy się uśmiechał.

Pamiętałam.

- Czy ostatnio nie przytknęli go za prochy?

- No patrzcie, kto to mówi!

Zamrugalałam, ale Rosie, nie przejmując się, pokazała siostrze dwa palce.

- Dziewczynki - upomniała córki pani Chatham - zachowujcie się.

Powiedzieć, że czułam się zaskoczona, byłoby niedomówieniem. Kim właściwie byli ci ludzie?

Zespół Hey Dude kończył teraz „Prom Queen” i niezbyt płynnie przeszedł do „You+Me+Tonight”. Ukryta we mnie trzynastolatka, omdlewając, patrzyła na Laylę, która teraz śpiewała na głos.

- Pamiętasz to wideo? I jego, jak samotnie jedzie przez pustynię tym kabrioletem?

- W dali ukazują się światła, a on nagle znajduje się na ruchliwej ulicy - dodałam.

- Tak!

- Przez lata marzyłam o takim samochodzie - wyznałam.

- A ja wciąż jeszcze marzę - westchnęła, podpierając brodę na dłoniach.

Muzyka nie milkła, niosąc wspomnienia mojej nastoletniej młodości. Po kolejnej piosence Logana Oxforda rozległ się utwór ze STAR7 („Baby, Take Me Back”), a potem składanka melodii z komediowego serialu „Bro`Town”, kiedy to dokładnie sobie przypominałam, jak pierwszy raz tańczyłam do jednej z nich. Co prawda, ich grę kilkakrotnie zakłócały trzaski, a Eric podchodził za blisko mikrofonu, tłumiąc własny głos, ale nim skończyli, wokół sceny zgromadził się pokaźny tłumek, w większości złożony z dziewcząt. Kiedy dwie brunetki przebiegły obok naszego stolika, głośno śpiewając i chichocząc, Layla zmrużyła oczy.

- Ho, ho - powiedziała. - Eric ma już fanki. Dasz wiarę?

- Nie - obojętnie odparła Rosie.

A jednak miał. Było to oczywiste, gdy z rozjaśnioną twarzą nachylił się do mikrofonu - znów zbyt blisko - po czym efektownie wykonał kilka finalnych akordów. Rozległy się głośne brawa, którym towarzyszyły gwizdy i okrzyki aprobaty.

- Tylko posłuchajcie. - Pani Chatham z uśmiechem rozejrzała się wokół. - Może jeszcze coś z nich będzie.

Eric machał do zebranych, upajając się tą chwilą, natomiast Mac i drugi gitarzysta zeszli ze sceny. Brunetki przepchnęły się w przód, by zwrócić na siebie uwagę Erica, a ten przykucnął, uważnie słuchając jednej z nich. Tym razem Layla milczała.

- Przepraszam - usłyszałam z tyłu czyjś głos i zobaczyłam wysoką rudowłosą dziewczynę w obcisłym czarnym T-shircie i białych dżinsach. - Ee... czy ty jesteś Rosie Chatham?

Rosie podniosła wzrok.



- Owszem.

- Nazywam się Heather Banks. Ćwiczyłam na lodowisku w Lakewood, kiedy tam chodziłaś.

Wyraz twarzy Rosie nie był zachęcający, toteż inicjatywę przejęła jej matka.

- To niezwykle! Pracowałaś z Arthurem?

- Nie, z Wendy Loomis. Ale ja jedynie się uczyłam. Nie brałam udziału w konkursach. - Znow spójrzała na Rosie. - Chciałam ci tylko powiedzieć, że... byłaś niesamowita. Gdzie teraz jeździsz?

- Nigdzie.

- Och... - Heather oblała się rumieńcem. - Nie wiedziałam. Jestem...

- Miała kontuzję - wyjaśniła pani Chatham. - Kolano. Ale przedtem przez dwa lata występowała w zespole Mariposa.

- Uau, to niesamowite! A więc byłaś artystką!

- Muszę się czegoś napić. - Rosie wstała z krzesła i odeszła, zostawiając dziewczynę, która w osłupieniu patrzyła, jak tamta znika w tłumie.

- To delikatny temat - łagodziła sytuację pani Chatham w ciszy, która zapadła. - Jestem pewna, że ją rozumiesz.

- Absolutnie - zapewniła Heather. - Chciałam się tylko przywitać. Życzę miłego wieczoru!

- Tobie również tego życzymy, skarbie - odparła. Gdy dziewczyna zniknęła, spójrzała w stronę baru, gdzie Rosie rozmawiała z Makiem. Patrząc na nią teraz, zdałam sobie sprawę, że istotnie ma ciało łyżwiarki - smukłe, zwinne i muskularne. W pewien sposób przypominała Meredith, choć była starsza i bardziej wyrobiona.

- Rosie ma problemy - wyjaśniła Layla.

- Wszyscy je mają - ucięła jej matka. - A teraz idź sprawdzić, co z nią.

Layla, krzywiąc się, wstała od stołu. Zastanawiałam się, czy nie pójść za nią, ale wtedy musiałabym pozostawić panią Chatham samą. Zostałam więc przy niej.

- Dobrze, że przyszłaś - odezwała się po chwili milczenia.

Nie wiedziałam, czy czyta w moich myślach, czy tak po prostu uważa.

- Bałam się trochę. Nie znałam tu nikogo.

- Ale teraz już znasz. - Uśmiechnęła się do mnie. - A ja cieszę się, że Layla ma nową koleżankę. Ostatnio przeżywa trudny okres.

- Słyszałam, że rozstała się z chłopakiem.

- Już z drugim w ciągu trzech miesięcy. - Potrząsnęła głową. - Chłopcy w tym wieku bywają okrutni. Ale nie wszyscy są źli. Tak jej przynajmniej powtarzam.

W tej samej chwili pojawił się Mac z nową puszką pepsi. Był w dzinsach

i spłóviałym T-shircie z napisem „Seaside Pizza”. Wyglądał jak po ciężkiej pracy. Chociaż wcale mu się nie przyglądałam. Skądże znowu.

- Jesteś kochany - podziękowała mu matka, gdy otwierał puszkę i nalewał płyn do szklanki.

- Co jeszcze mogę ci przynieść?

- Absolutnie nic. Usiądź.

Zajął krzesło obok, lekko mnie tym pesząc. W pizzerii przez cały czas coś nas dzieliło - drzwi, lada, a poza tym on stał, a ja siedziałam. Z bliska dostrzegłam szczegóły, których wcześniej nie widziałam, na przykład jego długie rzęsy i delikatne piegi na nosie. Zauważyłam również cienki srebrny łańcuszek, który wysuwał mu się spod T-shirtu.

- Serowe ptysie? - zaproponowała pani Chatham, wyciągając do niego puszkę.

- Coś ty, mammo!

- Dlaczego? To przecież wapno.

Mac przewrócił oczami, patrząc na scenę. Pani Chatham obróciła się do mnie.

- Ostatnio zdrowo się odżywia - powiedziała. - Ale to żadna przyjemność.

- Podobnie jak cukrzyca młodocianych - rzucił.

Jego matka westchnęła i podała mi puszkę. Zawahałam się, a wtedy skomentowała:

- Widzisz, co zrobiłeś? Teraz nie chce wziąć nawet jednej kulki. Nabawiłeś dziewczynę kompleksów.

Mac spojrzał na mnie.

- Przepraszam.

Czułam, że oblewam się rumieńcem. Nic zresztą dziwnego. Był piękniejszy niż Dave od Frazier'a łącznie z Loganem Oxfordem u szczytu kariery.

- Nie jestem fanką ptysiów. - Boże, robiłam z siebie idiotkę. Nawet nie bardzo wiedziałam, co mówię. Na szczęście w tej samej chwili pojawiła się Layla.

- Eric cię szuka - poinformowała brata. - Ma dla ciebie, cytuję: Uwagi i opinie dotyczące twojego wykonania.

- Świetnie - stwierdził obojętnie. Kiedy wstał, srebrny łańcuszek znów zniknął pod T-shirtem. - Mammo, zostaniesz na drugą część?

- Och, skarbie, jestem już zmęczona - odparła. - A o dziesiątej zaczyna się mój program, więc...

- Mówiłam ci - weszła jej w słowo Rosie, która właśnie wróciła - że wszystko się nagrywa.

Przypomniałam sobie nagle, że i ja powinnam gdzieś być o wyznaczonej porze.

Spojrzałam na zegarek. Minęła już dziewiąta.

- Właściwie to ja też muszę już wracać.

- Niech no zgadnę - powiedziała Layla. - Jesteś uzależniona od „Status: Mystery” i również nie wierzysz, by nowoczesna technologia mogła prawidłowo funkcjonować pod twoją nieobecność.

Rosie parsknęła, ale sprostowałam:

- Niezupełnie. Na ogół mogę wracać później, ale w związku z pewną sytuacją mama życzy sobie, bym była więcej w domu. Dlatego obiecałam, że wrócę dziś wcześniej.

Dopiero gdy skończyłam ten monolog, uświadomiłam sobie, jaki był długi i niepotrzebny. Nie rozumiem, dlaczego tłumaczyłam się przed ludźmi, których dopiero poznałam. Patrzyli teraz na mnie, nic nie rozumiejąc. Dałam niezły popis.

- No tak, powinnaś iść - uratowała mnie w końcu pani Chatham. - Ale nie zapominaj o nas, dobrze? I wpadnij kiedyś.

Skinęłam głową, a potem wstałam.

- Dziękuję.

- Odprowadzimy cię. - Layla kiwnęła do Maca. - Ten parking nie budzi zaufania. Zaraz wracamy, mamó.

Pani Chatham pomachała do nas, a ja ruszyłam za Laylą przez gęstniejący tłum. Mac szedł tuż za mną. Ściśnięta między nimi dwojgiem widziałam, jak ludzie lustrują nas wzrokiem, gdy przesuwaliliśmy się do wyjścia. Byłam pewna, że wyglądam przy nich jak niedopasowana część, obce ciało. Ale nie było to nic nowego. I przynajmniej tu, z nimi, wydawało się uzasadnione.

- Gdzie stoisz? - spytała Layla, gdy znaleźliśmy się w końcu na parkingu. Wskazałam miejsce, do którego podeszliśmy, mijając kilka osób stojących obok swoich samochodów.

- Niezła fura - stwierdziła z uznaniem. - To wersja sportowa?

Popatrzyłam na swoje bmw, które należało do mamy, zanim postanowiła kupić hybrydowego SUV-a.

- Może. - Poczulałam się jak idiotka. - Ja nie...

- Siódemka - stwierdził Mac, zaglądając do środka. - Automat, więc na pewno nie.

- Wygląda na podrasowaną. Widzisz te koła? - Layla cicho gwizdnęła. - Ale cudne.

Musiałam wyglądać równie głupio, jak się czułam, bo sekundę później Mac spojrzał na mnie z zakłopotaniem.

- Och, przepraszam - powiedział. - Nasz tata ma fioła na punkcie samochodów.

- Edukacja w tej dziedzinie jest u nas obligatoryjna, czy tego chcesz, czy nie - dodała Layla. - A kiedy wiesz już wszystko na ten temat, po prostu nie możesz nie dostrzegać różnych rzeczy. Wierz mi, naprawdę próbowałam.

- Hej, ludzie! - rozległo się wołanie. Obróciliśmy się. W wejściu do klubu stał Eric z kwaśną miną. - Jeśli nie przeszkadzam, to chciałbym odzyskać swojego perkusistę.

- On nie jest twój! - krzyknęła Layla. - Jeśli dobrze pamiętam, to tworzycie zespół.

- Tak czy siak - Eric wyrzucił w górę ręce, a potem odwrócił się do wejścia - gramy w piątkę. Jeśli raczy do nas dołączyć.

Parsknęła śmiechem, ale Mac spojrzał na nią surowo.

- Przepraszam cię, przepraszam. Tak łatwo go podpuścić. Chyba przyznasz, że jest nie do zniesienia, gdy zaczyna się wymądrzać.

- Fakt, ale ty też nie ułatwiasz sytuacji.

Była dziewiąta piętnaście. Naprawdę musiałam już wracać. Gdy wcisnęłam przycisk pilota, w moim samochodzie mignęły światła. Podeszłam i otworzyłam drzwi.

- Dzięki za zaproszenie - powiedziałam do Layli. - Było naprawdę miło.

- Cieszę się - odparła. - A mama ma rację. Powinnaś nas czasem odwiedzić. Nauczę cię wszystkiego o twoim samochodzie. Nawet jeśli nie chcesz.

Uśmiechnęłam się.

- Brzmi zachęcająco.

- Do zobaczenia w szkole, Sydney.

Machnęła dłonią i w kilku szybkich krokach zrównała się z bratem, który wracał już do klubu. Parking był teraz znacznie bardziej zapełniony, niż kiedy przyjechałam, i wciąż nadjeżdżały nowe samochody. Dla niektórych ludzi wieczór nawet się nie zaczął. Natomiast dla mnie był bogatszy w wydarzenia niż jakikolwiek od lat. Patrzyłam, jak rodzeństwo Chathamów przecina parking. Nie spuszczałam ich z oczu aż do chwili, gdy zniknęli w tłumie przy drzwiach.

Dopiero wtedy ruszyłam w drogę powrotną, modląc się o zielone światła. Wjechałam do garażu o 9.35. Wpadłam do domu, gotowa się tłumaczyć, ale na dole nie zastałam nikogo. Mama była już w łóżku, a tata zamknął się w swoim gabinecie i rozmawiał przez telefon. Posłusznie spełniłam polecenie. Jak zawsze. Tyle że byłoby miło, gdyby jeszcze ktoś to zauważył.

## Rozdział piąty

Gdy w poniedziałek rano zeszłam na śniadanie, zobaczyłam na stole jakąś ulotkę. Widziałam ją od chwili, gdy wkroczyłam do kuchni, ale dopiero z bliska zdołałam przeczytać.

Dzień Rodzin: Sobota, 20 września

Godz. 13 - 17. Info tel. 2002 OR

warden@lincolncorrection.us.

- Co to jest? - spytałam mamę, która stała przy kuchni, przewracając bekon na patelni.

Spojrzała na mnie przez ramię.

- To się odbędzie za kilka tygodni w Lincoln.

- Ale Peyton nie chce mnie tam widzieć - przypomniałam jej. - Tak?

- Nie w tym rzecz, że nie chce cię widzieć. Po prostu... - Zamilkła z westchnieniem. - Mam nadzieję, że tym razem zmieni swoje stanowisko.

Kiedy mój brat znalazł się w więzieniu, musiał wypełnić formularze dotyczące każdej z osób, którą chciał widywać. Rodzice byli oczywiście, podobnie jak Ames, toteż mama zakładała, że Peyton wymieni i mnie. W Lincoln kładziono nacisk na więź skazanych z rodziną, dlatego dzieci i osoby niepełnoletnie nie tylko dopuszczano, ale wręcz zachęcano do wizyt. Peyton oznajmił jednak, że nie chce, bym go odwiedzała, a ja przyjąłam to z zadowoleniem.

Mama natomiast wierzyła, że z czasem mój brat zmieni zdanie. Chciała, bym się angażowała, rozmawiała z nim, gdy dzwonił na koszt rodziców, i pisywała do niego listy. Ale ja nie mogłam się do tego zmusić. Wiem, że byłam okropną siostrą, ale nie wiedziałam, co powiedzieć, gdy siedzieliśmy przy tym samym stole, a co dopiero wtedy, gdy przebywał w więzieniu w odległym stanie. Mama i Ames bez zastrzeżeń popierali Peytona, jakby zapomnieli, co zrobił Davidowi Ibarrze, nie wspominając już o naszej rodzinie. Ale dla mnie nie było to takie proste.

Rozmawiałam z nim tylko dwukrotnie od czasu, gdy został tam osadzony, i to wtedy, gdy nie było w domu nikogo innego. Nie miałam wyboru. Musiałam podnieść słuchawkę, nie czekając, aż włączy się sekretarka. Peyton z trudem uzyskiwał dostęp do telefonu, a gdy mu się to udało, należało zgodzić się na rozmowę i ciągnąć

ją tak długo, jak długo mu pozwolą. Kropka.

Nauczyłam się tego mimo woli pewnego popołudnia, gdy mama wyszła do sklepu spożywczego. Odebrałam telefon, wyraziłam zgodę na opłatę za rozmowę, a potem długo czekałam, słuchając pisków i trzasków. W końcu dotarł do mnie głos brata.

- Sydney?

Minął miesiąc, od kiedy go słyszałam ostatni raz. Jego głos zdawał się tak odległy, jakby stał daleko od słuchawki. Poza tym rozmowę utrudniało nieustające buczenie na linii.

- Cześć - powiedziałam. - Mamy nie ma w domu.

W tej samej chwili pożałowałam tych słów. Mogło mnie tłumaczyć jedynie to, że to ona zwykle z nim rozmawiała. Jeśli odebrał tata, dialog był zawsze krótszy i dotyczył głównie kwestii prawnych.

- Och... - Nastąpiła pauza, a potem: - Jak się miewasz?

- W porządku. A ty?

Zabrzmiało to tak głupio, że się wzdrygnęłam. No bo czy można pytać więźnia, jak się miewa? Z góry wiadomo, że odpowie „nieszczególnie”. Ale Peyton tak nie odpowiedział.

- Nieźle. Tyle że strasznie tu nudno.

Wiedziałam, że próbuje podtrzymać rozmowę. Ale przed oczami stanął mi wtedy David Ibarra na wózku inwalidzkim. To też musiało być nudne.

- Mogłabyś do mnie napisać - ciągnął. - Opowiedzieć coś o sobie.

Sama rozmowa była wystarczająco trudna, a on chciał jeszcze, żebym przelewała słowa na papier? Mama twierdziła, że korespondencja ma ogromne znaczenie dla psychicznego stanu więźnia, dlatego skłoniła wiele osób z rodziny i kilkoro bliskich przyjaciół, by wysyłali do niego listy i pisali kartki. Dostarczała nawet znaczki i koperty, których stos leżał niewykorzystany również na moim biurku. Za każdym razem, gdy pomyślałam, że mogłabym wziąć kartkę i coś napisać, przychodziły mi na myśl jedynie słowa, których nigdy nie chciałabym powiedzieć. Milczenie było znacznie bardziej bezpieczne.

Szybko skończyłam rozmowę, zapewniając, że powiem mamie o jego telefonie. Gdy wróciła dziesięć minut później, a ja poinformowałam ją o tym, aż się zatrzęsała.

- Nie zaczekałaś, aż każą mu się rozłączyć?! - wykrzyknęła, rzucając na kuchenny blat jedną z toreb z zakupami. - Sama odłożyłaś słuchawkę?

- Nie - odparłam. - Powiedziałam „do widzenia”. On zresztą też.

- Ale mógł rozmawiać dłużej. Nikt mu nie przerwał.

Czułam, że zaraz się rozpłaczę.



- Jest mi... Bardzo mi przykro.

Mama przygryzła wargę, a potem długo na mnie patrzyła. Na koniec westchnęła, wyciągnęła ręce i położyła je na moich ramionach.

- Sydney, nie potrafię wyrazić, jak ważne jest, by twój brat miał kontakt ze światem. Nawet jeśli będziesz mówić o pogodzie. Albo o tym, co jadłaś na lunch. Po prostu mów i zmuszaj go do mówienia tak długo, jak długo mu pozwolą. Czy mnie rozumiesz?

Skinęłam tylko w obawie, że nie zdołam powstrzymać się od płaczu, jeśli spróbuję coś powiedzieć. Gdy się odwróciła i zaczęła rozpakowywać zakupy, musiałam kilka razy głęboko odetchnąć, zanim uspokoiliłam się na tyle, by w tym pomóc.

Po raz drugi rozmawiałam z Peytonem, gdy wróciłam do domu ze spotkania z Jenn, z którą byłyśmy na kawie. Weszłam i zobaczyłam, że Ames trzyma słuchawkę.

- Właśnie weszła twoja piękna siostra - powiedział, jednocześnie machając do mnie wolną ręką. - Taa... spoko. Trzymam chłopaków na dystans. Nasza dziewczyna nie jest dla każdego.

Poczułam, że robię się czerwona, jak zawsze wtedy, gdy mówił coś takiego. On jednak, nie zważając na to, uśmiechnął się i przysunął mi krzesło.

- Mhm, jest tu obok. Zaraz ci ją dam. Mhm, będę za kilka dni z forszą na automaty. Dobra, oddaję jej telefon.

Podał mi słuchawkę. Mikrofon był wciąż ciepły od jego oddechu. Próbowałam odsunąć go od ust, gdy powiedziałam:

- Cześć, Peyton.

- Cześć - odparł. - Jak żyjesz?

- W porządku. - Spojrzałam na Amesa, który mi się przyglądał. - Czy... ee.. rozmawiałaś już z mamą?

- Tak, odebrała telefon.

- Aha... - wystękałam. - No więc...

W aparacie rozległ się głośny dźwięk, po którym nastąpiła automatyczna informacja, że do końca rozmowy pozostało trzydzieści sekund.

- Muszę kończyć - uprzedził mój brat. - Powiedz mamie, że ją kocham, dobrze?

- Jasne.

- No to pa, Sydney.

Nim odpowiedziałam, połączenie zostało przerwane. Jeszcze przez sekundę słuchałam świdrującego w uszach sygnału, nim nacisnęłam „rozłącz”.

- Czas się skończył - stwierdziłam.

- Zawsze za szybko się kończy. - Ames uśmiechnął się do mnie. - Ale jest w dobrej formie, prawda?

Kiwnęłam głową, choć dla mnie głos Peytona brzmiał dziwnie. Jakby nie był sobą.

Ale to były tylko telefony. W Dniu Rodzin mieliśmy się spotkać twarzą w twarz. Usiadłam w kuchni i podniosłam widelec, a mama zajęła miejsce naprzeciw mnie. Umierałam z głodu od chwili, gdy poczułam zapach smażonego bekonu, teraz jednak zupełnie odechciało mi się jeść.

- Czy tata też tam jedzie?

- Jeśli będzie w domu - odparła, skubiąc tosta i pijąc kawę. - W przeciwnym razie będzie nas tylko troje. Ty, ja i Ames.

Odłożyłam widelec na stół.

- No nie wiem - powiedziałam. - Boję się, że mogę spanikować.

Spojrzała na mnie.

- Spanikować?

Wzruszyłam ramionami.

- To dla mnie straszne.

- Owszem - potwierdziła i przełknęła kolejny łyk. Gdy znów przemówiła, jej głos miał ostry ton. - To istotnie straszne. Zwłaszcza dla twojego brata, który jest daleko, odizolowany, samotny i pozbawiony wszelkiego oparcia oprócz nas, rodziny.

- Mamo...

- Jeśli on może to wytrzymać przez siedemnaście miesięcy - ciągnęła - to myślę, że ty na kilka godzin możesz się wziąć w garść. Prawda?

- Tak - odparłam cicho. A ponieważ nadal patrzyła na mnie surowo, powtórzyłam głośniejszym głosem: - Tak.

Wtedy rozmawialiśmy o tym po raz ostatni. Gdy dziesięć minut później wychodziłam, zachowywała się tak jak zawsze. Pytała, czy mam pieniądze na lunch, i machała mi z okna, gdy zjeżdżałam z podjazdu na drogę. Najwyraźniej uznała, że sprawa jest załatwiona.

Ale ja nie mogłam się uspokoić. Gdy dotarłam do szkoły, wyłączyłam silnik i siedziałam w samochodzie, patrząc, jak wszyscy wchodzi do budynku. Dopiero gdy rozległ się dzwonek, nie miałam już wyjścia i musiałam przyłączyć się do innych uczniów.

Jenn - co weszło nam w zwyczaj - dzwoniła, gdy wychodziłam na lunch. Razem z Meredith przełączały się na tryb głośnomówiący, tak że miałam wrażenie, że jesteśmy razem, gdy opowiadały, co dzieje się w Perkins. Ich głosy brzmiały dziwnie kojąco, jakby tłumili ogłuszający hałas w Jackson. Ale dziś to Jenn usłyszała coś

w moim głosie.

- Nic ci nie jest? - spytała, gdy Meredith skończyła relacjonować spotkanie sportowe, w którym uczestniczyła podczas weekendu.

- Nie, czemu pytasz?

- Bo nie jesteś sobą. Wszystko w porządku?

- Taa.. - Przypomniałam sobie ulotkę leżącą na stole. - Tu jest po prostu strasznie głośno. Jak zawsze.

Jakby na dowód tych słów, tuż za mną ktoś ryknął śmiechem.

- Rany! - jęknęła Meredith. - Jak ty się możesz skupić?

- Teraz idę na lunch - ucięłam. - To nie wymaga wielkiej koncentracji.

Na chwilę obie zamilkły, wyczuwając moją irytację.

- Przepraszam, dziewczyny - powiedziałam. - Zadzwoń za chwilę, dobra?

Muszę znaleźć jakieś spokojne miejsce.

- Oczywiście - zgodziła się Jenn. - Pogadamy później.

Meredith milczała. Była niezwykle odporna fizycznie, ale wystarczyło, by ktoś podniósł głos lub nastąpiła ostra wymiana zdań, a wytrącało ją to z równowagi.

- No to na razie, Mer - próbowałam załagodzić sytuację.

- Na razie. - Najwyraźniej czuła się dotknięta.

Zanim jednak znów mogłam zatelefonować, wyłączyły już telefony.

Westchnęłam i wyszłam na dziedziniec. Idąc w stronę furgonetki z cateringiem, spojrzałam w miejsce, gdzie zwykle widziałam Laylę, ale na ławkach nie było nikogo. Wzięłam grillowany ser i jakiś napój, a potem usiadłam na murku, kładąc plecak na ziemi. Na koniec zrobiłam coś, na co od tygodni nie mogłam się odważyć. Wyjęłam telefon, otworzyłam przeglądarkę i wpisałam: David Ibarra.

Przez pewien czas robiłam to codziennie. Całymi godzinami śledziłam w internecie życie chłopca, którego nigdy nie spotkałam. Dowiedziałam się, że ma ksywę Brat, gdyż wedle jednego z wielu artykułów, które pojawiły się po wypadku, traktował wszystkich jak własną rodzinę. Jego nazwisko występowało również na licznych forach fanów gier wideo i najwyraźniej zyskał sławę w WarWorld. Natomiast sportowe archiwa lokalnej gazety zawierały wyniki osiągnięte przez niego w piłce nożnej, z których wynikało, że był silny w obronie, a nieco słabszy w ataku. I choć jego profil Ume.com miał charakter prywatny, istniała poświęcona mu otwarta strona o nazwie „Przyjaciele Brata”, którą najwyraźniej prowadziła jego siostra. To tu znalazłam najwięcej wiadomości na temat jego zdrowia i listę darczyńców, którzy pomogli mu opłacić koszty leczenia. Była to również platforma dla licznych komentarzy jego przyjaciół i rodziny.

„Naprawdę podziwiamy twoją nieugiętą siłę i odwagę. Kochamy cię”.

„Nie zdołamy przybyć na kolację ze spaghetti, ale przekazujemy nasz wkład. Jesteś naszym bohaterem, Bracie”.

„ Najlepsze życzenia z Teksasu, stanu Samotnej Gwiazdy. Nie możemy się doczekać, by Cię zobaczyć w chwili zjednoczenia. Bądź silny”.

Wielokrotnie wyobrażałam sobie, że i ja coś wpisuję, choć wiedziałam, że nie mogę tego zrobić. Moje nazwisko było ostatnim, którego mogliby sobie życzyć na tej stronie, nawet gdybym zamieszczała tu przeprosiny. Ale to nie zniechęcało mnie do planowania, co chciałabym napisać. Czasem, w naprawdę trudne dni, wyobrażałam sobie, że osobiście go odwiedzam i wyznaję wszystko, co ciąży mi na sercu. Czy chciałby mnie wysłuchać, a może jakoś zrozumieć? Ale już niebawem niczym policzek uderzała mnie myśl, jak żałosne są moje wyobrażenia. Bo czy cokolwiek, co mogłabym powiedzieć, zdołałoby cofnąć czas i przywrócić mu władzę nogach?

Jednak najwięcej odwagi wymagała lektura opisu wypadku zamieszczonego na początku strony Ume.com. Mogłam przeglądać setki życzeń, wyrazów miłości i wsparcia, ale za każdym razem, widząc tych kilka zdań, czułam się tak, jakby ktoś wymierzył mi cios w brzuch.

„W lutym 2014 David Ibarra, wracając na rowerze od swego kuzyna, został potrącony przez pijanego kierowcę i w wyniku doznanych obrażeń uległ częściowemu paraliżowi. Tę stronę poświęcamy jego historii. Proszę, nadsyłajcie wasze komentarze. Dziękujemy za wsparcie”.

Teraz, siedząc na murku, czytam te znajome słowa raz po raz. Jakby to była mantra, zaklęcie, które może odmienić to, co wydarzyło się dziś rano między mną i mamą. Zawsze będę pamiętać o prawdzie. Postanowiłam nieustannie ją przywoływać. W tygodniach, które nastąpiły po wypadku, nie brakowało trudnych chwil. Ale jedną zapamiętałam szczególnie. Kiedyś, gdy rodzice byli w kuchni, schodząc po schodach, usłyszałam rzuconą niedbale uwagę:

- A właściwie dlaczego piętnastolatek jeździ rowerem o drugiej w nocy?

Cisza, a potem głos taty:

- Julie...

- Wiem, wiem. Tylko się zastanawiam.

„Tylko się zastanawiam”. W tamtej chwili zrozumiałam, że mama nigdy nie zdoła

uznać odpowiedzialności Peytona. Ich więź była zbyt silna, by było to możliwe. Reagowała tak, jakby to, że ktoś został potrącony przez samochód i sparaliżowany, mogło być jego winą. Jakby mógł za to odpowiadać. Przez kolejne dni po prostu nie byłam w stanie na nią patrzeć.

„W lutym 2014 David Ibarra, wracając na rowerze od swego kuzyna, został potrącony przez pijanego kierowcę i w wyniku doznanych obrażeń częściowo sparaliżowany. Tę stronę poświęcamy jego historii. Proszę, nadsyłajcie wasze komentarze. Dziękujemy za wsparcie.”

Tylko się zastanawiam.

- Hej!

Gdy zaskoczona podniosłam wzrok, przez głowę przemknęła mi myśl, że ujrzę przed sobą Davida. Ale to była Layla. Widząc wyraz mojej twarzy, szeroko otworzyła oczy.

- Co się stało?

Z trudem przełknęłam ślinę. A potem nagle zaczęłam mówić:

- Mój brat siedzi w więzieniu za jazdę po pijanemu. Pewien chłopiec jest sparaliżowany z jego winy. Nienawidzę go za to.

Nagle zdałam sobie sprawę, że zbyt długo hamowałam te słowa. Teraz, gdy w końcu wybrzmiały, poczułam pustkę, którą po sobie zostawiły. Tak wielką, że nie potrafiłam powiedzieć nic więcej.

Layla długo na mnie patrzyła. A potem usiadła obok i wolno powiedziała:

- A więc to o to mi chodziło...

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie tego.

- Słucham? - Spojrzałam na nią, nie rozumiejąc.

- Nigdy nie zapominam twarzy, przenigdy, choć czasem bardzo bym chciała. - Odchrząknęła, a potem uważnie na mnie spojrzała. - Widziałam cię już wcześniej. To było kilka tygodni temu, w sądzie. Wychodziłaś z toalety.

Zdołałam zapomnieć wszystko, co wiązało się z tym dniem, poza tym, że Peyton został skazany. Ale Layla przywróciła mi wspomnienia. Przypomniałam sobie, jak Ames zaprowadził mnie do toalety i czekał na korytarzu. A także to, że długo myłam ręce, ociągając się przed wyjściem. Przypomniałam sobie również dziewczynę, która widząc moje spojrzenie, nie odwróciła głowy.

- To byłaś ty?

Przytaknęła.

- Zupełnie o tym zapomniałam.

- Jasne. Każdy by zapomniał - powiedziała. - Ale ja od razu cię poznałam, gdy przyszłaś do pizzerii.

- I nic nie powiedziałaś.

- Bo to budzi niepokój. - Westchnęła. - Każdy normalny człowiek, widząc kogoś obcego, natychmiast go zapomina. Zapamiętuje twarze tylko wtedy, gdy ma jakiś powód. A ja widzę je wszystkie jak na fotografii, jakby moja pamięć je rejestrowała.

- To niesamowite. - Pokręciłam głową.

- Wiem. Mac zawsze mówi, że powinnam zatrudnić się w cyrku albo prowadzić jakiś program. Żeby jakoś wykorzystać ten dar.

Na chwilę zamilkłyśmy, a potem zadałam jej pytanie:

- A co ty tam robiłaś?

- W sądzie?

Przytaknęłam.

- Byłam z Rosie. Od kiedy objęto ją nadzorem, musi się tam zgłaszać co dwa miesiące.

Przypomniałam sobie uwagę Rosie na temat Logana Oxforda i ciętą odpowiedź Layli.

- Chodzi o prochy?

- Mhm. - Odchyliła się, wystawiając twarz do słońca. - Po kontuzji kolana uzależniła się od vicodinu, który jej podawano. Próbowwała go zdobyć na sfałszowane recepty. To było naprawdę debilne. No i z miejsca ją aresztowali.

- Była w więzieniu?

Przecząco pokręciła głową.

- Tylko na odwyku. Potem założyli jej bransoletkę. Dopiero od dwu tygodni nie musi jej nosić.

- Nie do wiary.

- A jeśli myślisz, że teraz jest burkliwa, to wyobraź sobie, co się działo, kiedy przez sześć miesięcy nie mogła wyjść z domu. - Westchnęła. - I to przez własną głupotę. Naprawdę wkurzającą. Wszędzie odnosiła sukcesy. I wszystko schrzaniła.

- Zupełnie jak mój brat. - Pierwszy raz rozmawiałam o tym z kimś, kogo dobrze nie znałam, tymczasem okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczałam. - Miał tyle życiowych szans. Ale wciąż pakował się w kłopoty. A potem doszło do tego wypadku.

Zamilkłam, nie bardzo wiedząc, jak dalece chcę drążyć tę sprawę. Layla również milczała. W ciszy, która zapadła, uświadomiłam sobie jednak, że chcę mówić dalej.



I to bardzo.

- Nie pił przez ponad rok. Naprawdę był w porządku. I nagle pewnej nocy z niezrozumiałych powodów upił się i usiadł za kierownicą. Potrącił chłopca, który jechał na rowerze. Dzieciak jest skazany na wózek inwalidzki. Do końca życia.

Layla drgnęła.

- To straszne.

I takie było. Naprawdę straszne. Nie tylko dla Peytona, mamy, taty, a nawet dla mnie.

- Nazywa się David Ibarra. - Opuściłam wzrok na dłonie. - Myślę o nim przez cały czas.

- Jasne - powiedziała po prostu. - Każdy by tak robił.

- To tak samo jak ty z twarzami. Wciąż go widzę. - Wciągnęłam powietrze. - Mama zupełnie nie rozumie, co zrobił Peyton. Martwi się tylko jego samopoczuciem. Tata w ogóle nie chce o niczym rozmawiać, a teraz mama nalega, żebym pojechała z nią do więzienia. Nie chcę tam jechać. Nie chcę! Dziś rano posprzeczałyśmy się o to.

Mówiąc to, uświadomiłam sobie jeden z powodów, dla którego nigdy nie rozmawiałam w ten sposób z Jenn ani Meredith. Layla rozpoznała moją twarz, ale Peyton był dla niej abstrakcją. W odróżnieniu od wszystkich znajomych nie miała do niego żadnego stosunku i nie żywiła żadnych uczuć.

- Jeśli nie chcesz tam jechać, to nie powinnaś tego robić - stwierdziła. - Po prostu powiedz mamie, że nie jesteś jeszcze gotowa.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek będę - odparłam. - Widzisz, zawsze kochałam mojego brata. Ale teraz naprawdę go nienawidzę.

Po przeciwnej stronie dziedzińca rozległ się śmiech. Minęły nas dwie dziewczyny w sportowych strojach, z których jedna rozmawiała przez telefon, a druga odpakowywała gumę do żucia. Szczęśliwe, normalne życie toczyło się szczęśliwie i normalnie w świecie, który nie był normalny ani szczęśliwy. Jeśli sobie to uświadomisz i doświadczysz czegoś, co jasno to potwierdzi, nigdy już nie zdołasz o tym zapomnieć. Tak jak nie zapomina się twarzy. Albo imienia. I bez względu na to, kiedy cię to spotka, gdy raz pojmiesz tę prawdę, nigdy już cię ona nie opuści.

## Rozdział szósty

Przez pierwszych kilka dni po rozmowie z Laylą czekałam na moment, gdy zacznę żałować tego, co jej powiedziałam. Dziwnie było opowiadać tę historię od początku, zamiast uzupełniać ją tylko o ostatni straszny rozdział. Miałam jednak wrażenie, że znalazłam się wreszcie w miejscu na tyle spokojnym i bezpiecznym, by móc wysłuchać również samej siebie. Sprowadzić wszystko do zbioru faktów ułożonych jak karty na stole. Najpierw wydarzyło się to, potem to, a potem to. Koniec.

Ale liczyłam się i z tym, że moje wyznanie zniechęci Laylę do mnie. Było to bardzo prawdopodobne. Czyny Peytona i wyrok sądu wpłynęły na stosunek wielu osób do naszej rodziny. Ludzie z sąsiedztwa albo się nam przyglądali, albo celowo odwracali głowy. Rozmowy przy basenie lub przed osiedlową tablicą ogłoszeń milkły, gdy ktokolwiek z nas znalazł się w pobliżu. Byłam siostrą przestępcy i narkomana, a teraz jeszcze pijanego kierowcy. To nieważne, że sama w niczym nie zawiniłam. Hańba dosięga wszystkich, których łączy pokrewieństwo z przestępcą.

Ale Layla nie brała tego pod uwagę. Nie odsunęła się, przeciwnie, coraz silniej wciągała mnie w swój świat, w którym – jak wkrótce miałam się przekonać – było już i tak tłoczno. Ja byłam zawsze niewidzialna, natomiast ona jaśniała jak gwiazda, wokół której krążyli jej rodzina i przyjaciele. I nie tyle się ze mną zaprzyjaźniła, ile wciągnęła mnie w swą orbitę. A gdy się na niej znalazłam, zrozumiałam, skąd wzięli się tam wszyscy pozostali.

– Słuchajcie, to jest Sydney – oznajmiła dzień po naszej rozmowie, gdy w końcu zebrałam się na odwagę i dołączyłam do niej i jej towarzystwa w porze lunchu. – Przeniosła się tu z Perkins Day, ma supersamochód i lubi YumYum o smaku piwa korzennego.

Zamrugałam, zaskoczona taką prezentacją, ale nie potrafiłabym wymyślić lepszej. Usiadłam na jednej z trzech ławek, z których – jak już wiedziałam – korzystała wyłącznie ich grupa. Mac zajmował drugą i wyjadał z plastikowej torby winogrona, a obok niego Eric w kapeluszu, błędząc wzrokiem po dziedzińcu, brzdąkał w struny gitary.

– Myśmy się już poznali, pamiętasz? – rzekł Mac.

– Owszem, wy tak – potwierdziła Layla. – Ale nie Irv.

– Kto to jest Irv? – spytałam.

W tej samej chwili padł na mnie głęboki cień. I to nie w sensie przenośnym ani symbolicznym, ale najbardziej dosłownym. Coś wielkiego przesłoniło mi słońce. W ciągu sekundy przestałam mrużyć oczy, gdyż ogarnął mnie mrok. Spojrzałam w tył, nie wiedząc, czego się spodziewać – wyrosłego za mną nagle drapacza chmur? Jakiegoś muru? I wtedy ukazał się przede mną największy, najszerszy i najbardziej czarny facet, jakiego w życiu widziałam. Miał na sobie dresowe spodnie, koszulę z krawatem i pulower szkolnej drużyny futbolowej. Jego oczy zasłaniały ciemne okulary. Gdy wpatrywałam się w niego, wyciągnął potężną rękę.

- Irving Fearrington – powiedział. – Miło cię poznać.

Moja dłoń wyglądała jak zabawka, gdy ujął ją w swoją. Nie zdziwiłabym się, gdyby wyrwał mi ze stawu całą rękę i ją pożarł. Mimo to zdołałam jakoś wykrztusić: „Cześć”.

- Co dziś mamy na lunch, Irv? – zaciekawiała się Layla, gdy jego zwaliste ciało osunęło się na ławkę. – Jest coś dobrego?

- Jeszcze nie wiem. – Rozsunął zamek plecaka.

Dostrzegłam, że przeguby jego rąk są grubsze niż moje nogi. Wyjął dużą torbę chłodzącą. Gdy ją otworzył, ukazała się sterta plastikowych opakowań, które kolejno zaczął wyjmować. W jednym było coś, co wyglądało na kurze udka, w innym jakieś ziarna, a dalej wyłoniły się strączki soi, hamburgery i jajka na twardo. A na samym końcu paczka ciasteczek.

- Zgadłam! – zawołała Layla. Irv się uśmiechnął, a ja nagle poczułam się mniej onieśmielona. Może mógłby wyrwać mi rękę, ale raczej by jej nie zjadł. – Daj mi je.

- Co to, to nie. – Pokiwał swym potężnym palcem. – Znasz zasady. Najpierw proteiny.

- Irving, zlituj się! Mam już na głowie jednego dietetycznego świra.

- Nie powiedziałem jeszcze ani słowa – odezwał się Mac, wkładając do ust kolejne winogrono.

- Proteiny – powtórzył Irv, wskazując ręką prowiant. – Wybieraj.

- No dobra, dawaj jajka.

Podał jej plastikową torbę, którą otworzyła i wyjęła dwa jajka, po czym mu ją oddała. Teraz wyciągnął ją do mnie.

- Poczęstujesz się? Białko zawiera sporo protein.

- Nie, nie, dzięki. – Uniosłam rękę, pokazując mu porcję grillowanego sera, którą właśnie kupiłam. – To mi wystarczy.

- Szczęściara – zrzędziła Layla, obierając jajko. – Gdybym się z tym pokazała, ci dwaj nie daliby mi żyć.

- Nigdy byś się z tym nie pokazała - orzekł Mac. - Kupiłabyś frytki, twierdząc, że to lunch. A frytki nie są posiłkiem.

- Racja, babciu, ale zamknij się lepiej i żuj te swoje winogrona, okej?

W odpowiedzi rzucił w nią pojedynczym gronem. Zatoczyło szerszy łuk i trafiło mnie prosto w twarz. Gdy się odbiło i potoczyło w trawę, z przerażenia szeroko otworzył oczy.

- Pięknie, Macaulay Chatham - stwierdziła jego siostra. - To twoja nowa taktyka?

Ciskasz jedzeniem w ładne dziewczyny, żeby zwrócić na siebie uwagę?

Ja miałabym być ładna? Teraz zaczerwieniliśmy się oboje.

- Nie celowałem w nią. - Był wyraźnie zawstydzony. Zaraz też odwrócił się do mnie. - Naprawdę przepraszam.

- Nic się nie stało - odparłam.

- Tak mógłby brzmieć początek wielkiej love story - zamyśliła się Layla.

- Znow się zaczyna - jęknął Irving, pochłaniając jednym kęsem pół hamburgera.

Lekceważąc go, podciągnęła kolana pod brodę i ciągnęła:

- Serio. Spróbujcie tylko wyobrazić sobie taki początek: Rzucił we mnie winogronem w pewien słoneczny dzień, a ja od razu wiedziałam, że to jest miłość.

- To - wycedził Mac, plując pestką - jest najgłupsze ze wszystkiego, co dotąd słyszałem.

- W rzeczy samej - poparł go Irv.

Layla zmarszczyła nos, po czym zwróciła się do mnie:

- Ci faceci nie mają cienia wyczucia. A ja jestem w tych sprawach ekspertem.

- Jak i we wszystkich innych - drwił jej brat.

- Nie wszystkich. Tylko tych, które dotyczą lizaków, frytek i miłości. - Uśmiechnęła się do mnie. - A więc tego, co naprawdę ważne. A mówiąc serio, zawsze rozpoznam początek romansu. Nieomylnie. W końcu przeczytałam ich setki.

- Naprawdę? - Uniosłam brwi ze zdziwienia.

Z ławki, gdzie siedział Mac, dobiegło głośne westchnienie.

- O tak, to moja specjalność. - Obierała drugie jajko. - Romanse oraz instrukcje obsługi.

- Ale nie instrukcje obsługi romansów - wtrącił Eric, którego nie podejrzewałam o to, że nas słucha.

- Mówię poważnie. - Nie zwracała na niego uwagi. - Uwielbiam czytać, jak się coś robi. Nawet jeśli to jest coś, czego nigdy sama się nie nauczę, na przykład tkanie dywanów czy fugowanie płytek.

- Co ty! - Wpatrywałam się w nią zdumiona.

- No właśnie, czuję się uzależniona od technologii. - Jadła jajko, żując z namysłem, a gdy przełknęła ostatni kęs, dodała: - Albo jak jakiś ekspert.

Prawdę mówiąc, z trudem się dostosowywałam. Nie tylko do treści tej rozmowy, ale i sposobu, w jaki ją prowadzili. Ostatnio spędzałam tyle czasu sama, że zapomniałam, jak można się bawić w towarzystwie innych. I naprawdę sprawiało mi to przyjemność.

Od tej pory zaczęłam codziennie jadać z nimi lunch. Gdy rozległ się dzwonek, kupowałam coś z cateringu, a potem szłam przez trawnik, by usiąść tam, gdzie oni, albo też zsunąć ławki i czekać, aż nadejdą. Jeśli chodzi o posiłki, to codziennie było tak samo. Mac i Irving przynosili je z domu, Eric jadał wyłącznie grillowany ser, popijając napojem owocowym, a Layla polowała na frytki.

Nie żartowała, mówiąc, że ma zacięcie eksperta. Traktowała wybór frytek naprawdę serio. Nie zadowalała jej wiedza, że są to smażone w oleju ziemniaki, co większości ludzi, włączając mnie, zupełnie wystarcza. O nie! Miała wymagania. A także zasady dotyczące wszystkiego, począwszy od temperatury i opakowania, aż do rodzaju przypraw i tego, czy keczup jest w tubie, czy w butelce (ten ostatni podlegał licznym dodatkowym warunkom i wyjątkom). Kupowanie z nią frytek przypominało wyprawy po artykuły biurowe z moją mamą, która niezmordowanie studiowała wszystkie metki, wkładając w to wiele wysiłku i czasu. Kiedy Layla osiągała w końcu swój cel, ja najczęściej zapomniałam już o lunchu i znów byłam głodna.

- Najważniejszą rzeczą jest ich kształt - tłumaczyła, gdy po raz pierwszy wyprawiałam się po frytki razem z nią. - Powinny być długie i niezbyt grube. A także odpowiednio szerokie, ale nie więcej niż na palec. Do tego proste przyprawy, nic wymyślnego. No i muszą być naprawdę gorące.

- Ale nie za bardzo? - spytałam, gdy wsunęła głowę w okno furgonetki z logo DoubleBurger i pociągnęła nosem.

- To nierealne - odparła. - Gorące frytki stygną. Ale zimne nigdy się nie rozgrzeją. Chodźmy. Nie podoba mi się tutaj zapach tłuszczu.

Facet za ladą spojrzał wymownie, gdy się odwróciła. Rzuciłam mu przepaszający uśmiech i ruszyłam za nią.

- A co z frytkami z fast foodów? - spytałam. - Wszystkie są jednakowe, prawda?

Zatrzymała się tak gwałtownie, że prawie na nią wpadłam.

- Sydney - odwróciła się do mnie twarzą - to kompletna bzdura. Musisz przyjść, gdy następnym razem przyrządę Triadę. Udowodnię ci, jak bardzo się mylisz.

- Triadę?

- To degustacja frytek całej wielkiej trójki - wyjaśniła i zaczęła liczyć na palcach.

- Littles, Bradbury Burger i Pamlico Grill. Żadne same w sobie nie są idealne. Ale razem to frytkowy raj. Przygotowania są czasochłonne, więc robię to tylko na specjalne okazje albo wtedy, kiedy mam superdepresję.

Słuchając jej, znów nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że ta rozmowa jest jak galop stada dzikich koni, które mijają mnie, wzbijając chmurę pyłu. Triada? Depresja? Woń oleju? Ale Layla mówiła dalej:

- W tych furgonetkach trudno o coś dobrego, bo frytki z mobilnych kuchni mają inny smak. Ale można w nich znaleźć przyprawy, których nie uświadczysz w tradycyjnych miejscach. Czasem bywa tu dostawca, którego naprawdę lubię... O, jest i dzisiaj! Tam! Chodźmy!

Poczułam, że w kieszeni dzwoni mój telefon. Wyjęłam go i spojrzałam na ekran. Jenn -widniało na wyświetlaczu, a obok jej fotografia z ostatnich urodzin w plastikowej tiarze na głowie. Wcisnęłam „odrzuć”. Z lekkim poczuciem winy pomyślałam, że oddzwonię później.

Tymczasem Layla stała już przy furgonetce o nazwie Bim Slim's, gdzie sprzedawano dania azjatycko-kreolskie. Unosił się tam zapach, jakiego nie znałam. Ona jednak nawet nie spojrzała w jadłospis.

- Poproszę firmowe frytki - zamówiła. - Dwie porcje. Bez sosu, ale z dodatkowym opakowaniem keczupu.

- Już się robi.

Chwilę później sprzedawca podał jej białą torbę, z której dobywał się cudowny zapach i która z wolna pokrywała się tłustymi plamami. Layla uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Są perfekcyjne, chodź!

Gdy dotarliśmy do naszych ławek, zepchnęła Erica z miejsca.

- Rusz się, muszę się rozłożyć! - Potem usiadła, otworzyła torbę i wsunęła twarz w otwór. Gdy patrzyliśmy na nią, głęboko wciągnęła powietrze i zamknęła oczy. Zapadła cisza.

- Czy my na coś czekamy? - szepnęłam do Irva, który obgryzał indyczą nogę.

- Na werdykt - odparł równie cicho.

W końcu Layla otworzyła oczy.

- Okej, te mogą być.

Teraz nastąpił skomplikowany wielostopniowy proces, który rozpoczął się od umieszczenia torby na odpowiedniej do konsumpcji powierzchni i zakończył



nalaniem trzech identycznych porcji keczupu na osobne serwetki. Do pierwszej dodała pieprzu, do drugiej soli, a do trzeciej jakiejś nieokreślonej substancji z probówki, którą wyjęła z torebki.

- Wiem, co sobie myślisz - odezwał się Irving. - To wszystko wyglądało intrygująco, ale teraz robi się dziwne. Ja też tak czułem za pierwszym razem.

- Bo to raczej dziwne nosić przy sobie własnoręcznie sporządzone przyprawy - skwitował Mac, nie odrywając wzroku od podręcznika historii. W porze lunchu zawsze się uczył, ale zauważyłam, że jednocześnie nas słucha.

Layla zupełnie ich ignorowała. Podniosła frytkę i zanurzyła koniec w jednej z próbek keczupu. Ugryzła, z namysłem przeżuła, po czym kolejno powtórzyła całą procedurę z dwoma pozostałymi rodzajami keczupu.

Po degustacji wytarła palce w serwetkę, a potem spojrzała na mnie.

- No dobra, teraz ty spróbuj.

- Ja? - Sądziłam, że popis miał charakter indywidualny.

Zaprosiła mnie gestem. Usiadłam nad jedną z porcji keczupu, a ona pchnęła w moją stronę szeroko otwartą torbę.

- Weź ze środka. Tam są najlepsze. Zawsze tak zaczynam.

Zrobiłam, jak radziła, wybierając frytkę odpowiedniej grubości. A potem zdałam sobie sprawę, że choć jadałam frytki, zanim jeszcze zaczęłam mówić, po raz pierwszy w życiu nie byłam pewna, jak należy to robić. Sytuacji nie ułatwiał fakt, że miałam widownię.

- Raz, dwa i trzy. - Layla wskazała kolejne porcje keczupu. - Trzy zanurzenia. Potem zjadasz połówkę, przekręcasz drugą i robisz to samo z przeciwnym końcem. W ten sposób unikasz dwukrotnego zanurzenia tego samego kawałka.

- Co jest w tym ostatnim keczupie? - spytałam z wahaniem.

- To moja własna kompozycja. Nie bój się, nie jest zbyt ostra ani słona. Zapewniam.

Każda przyjaźń w pewnej chwili przechodzi egzamin. Nigdy jednak w moim doświadczeniu nie wiązało się to z konsumpcją. No cóż, zawsze jest pierwszy raz - pomyślałam - postępując zgodnie z jej wskazówkami.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Dobrze wysmażonych frytek? Smakowitego sosu? Owszem. Ale na pewno nie tego niezwykłego smaku, który stopniowo odkrywałam. Być może powinnam tego oczekiwać, widząc skomplikowany proces wstępny. Jednak chrupiąca skórka i maślana miękkość kartoflanego mięszu przyprawionego nieoczekiwaną słodczą mieszanki keczupów stanowiły całkowitą niespodziankę dla moich kubków smakowych. Uau.

- Widzisz? - Layla triumfalnie się uśmiechnęła. - Pycha, co?

- Niesamowite - przytaknęłam, odwracając frytkę i przygotowując kolejny kęs.

Klasnęła w dłonie, wyraźnie ucieszona,

- Lubię nowych wyznawców mojej metody.

- Witaj na oddziale zamkniętym - mruknął Mac.

- Och, nie słuchaj go. Zjadł tego więcej, niż waży, i przez cały czas zachowywał się po barbarzyńsku. Po prosto rzucał wszystko na talerz, polewał keczupem i pożerał. - Wzruszyła ramionami. - Tfu.

Zerknęłam na Maca, który gryzł teraz jabłko. Dostrzegł moje spojrzenie i wzniosł oczy do góry, a ja szybko odwróciłam wzrok. Zaraz tego pożałowałam, ale nie wiedzieć czemu ten chłopak mnie peszył. Nawet najmniejszy przejaw uwagi ze strony kogoś tak przystojnego zdawał się mnie stawiać w świetle reflektorów.

Dobrze znałam podobne reakcje. Obserwowałam je wielokrotnie u dziewczyn, które znalazły się w towarzystwie mojego brata. On i Mac mieli podobną, intensywną urodę brunetów i dar przyciągania uwagi samą swoją obecnością. Kiedy jednak Peyton był tego w pełni świadom, wyraźnie czułam, że Mac nic o tym nie wie. Zachowywał się jak ktoś, kto nie ma pojęcia, jak wygląda. A gdy chwilami łapał mnie na tym, że na niego patrzę, zdawał się zdziwiony.

Ale ja nie powinnam nawet o nim myśleć. I nie tylko dlatego, że taki chłopak jak Mac nigdy by się mną nie zainteresował. Wprawdzie znałam Laylę zaledwie od tygodnia, wiedziałam jednak, że pewne zasady, zarówno te wyrażone, jak i te niewypowiedziane, są bezapelacyjne. Obowiązywał bezwzględny zakaz barbarzyńskiego stosunku do frytek, spożywania YumYum o smaku waty cukrowej i gumy do żucia, ale nade wszystko umawiania się z jej bratem. „Możesz spytać o to Kimmie Crandall” - rzuciła kiedyś Layla .

Po raz pierwszy usłyszałam wzmiankę o niej podczas chaotycznej wymiany zdań w porze lunchu. Zaczęło się od dyskusji na temat mleka i tego, że albo się je lubi, albo nie. A potem rozmowa przeniosła się na inne rzeczy, które budzą wstręt, i toczyła się coraz szybciej, w miarę jak Layla, Eric i Irv wymyślali najstraszliwsze kombinacje odstręczających scen.

- Kiedy ktoś, kogo nie znosisz, je z otwartymi ustami - oznajmił Eric. - I to coś okropnego. Na przykład sałatkę jajeczną.

- Co masz przeciwko sałatce jajecznej? - zdziwił się Irv.

- Grasz z nami czy nie? - zdyscyplinowała go Layla.

Irv przez chwilę myślał, po czym dodał:

- Ktoś, kto je sałatkę jajeczną z otwartymi ustami, w swetrze, który cuchnie jak

mokry pies.

Nadeszła kolej na mnie.

- Mhm... - zaczęłam. - Ktoś, kto je sałatkę jajeczną z otwartymi ustami, w swetrze, który cuchnie mokrym psem, i opowiada nudną historię bez sensu.

- Ładne - oceniła Layla. - Naprawdę mnie mdli. - Teraz ty, Mac.

Mac, który kontynuował swój lunch, łykając teraz garść jeżyn, powiedział:

- Wszystko, co mówicie, plus golf.

Layla westchnęła.

- Powinieneś powtórzyć całe zdanie. Rany, nigdy nie grasz jak należy.

- To mnie wyklucz. Dam sobie radę, naprawdę. - Odwrócił stronę w podręczniku do chemii.

- Smutas - skrzywił się Irv.

Mac cisnął w niego jeżyną, tym razem celnie.

- Uważaj, tłusty.

- Niezły rzut - odparł Irv bynajmniej nie przejęty. Słowo „tłusty” też nie zrobiło na nim wrażenia. Najwyraźniej wiele jeszcze miałam się dowiedzieć.

Layla wyprostowała się i podniosła ręce do góry.

- No dobra. A co wy na to? Kimmie Crandall, która je sałatkę jajeczną w swetrze śmierdzącym mokrym psem i z pełnymi ustami opowiada bez sensu nudną historię o golfie.

- Sprzedane! - zawołał Eric. - Wygrałaś.

- Bez dwóch zdań - zgodził się Irv. - Jak zawsze.

Mac obrócił się, w milczeniu patrząc gdzieś w dal.

- Kimmie Crandall? Kto to jest? - spytałam.

Zapadła cisza, a potem Layla powiedziała:

- Była dziewczyna Maca. I moja była przyjaciółka.

- Och... - Zrozumiałam, czemu ucichli. - Przepraszam.

- Nie ma powodu. Oboje mamy się znacznie lepiej bez niej.

Mac wstał, zebrał pozostałości po lunchu i ruszył w stronę pojemnika na śmieci. Gdy już nie mógł usłyszeć, Irv zapytał:

- Może to jeszcze za wcześnie?

- Minęły trzy miesiące - odparła Layla. - Chyba są jakieś granice udawania, że ktoś nie istnieje.

- A w przypadku kiedy ta osoba była twoją przyjaciółką? - zamyślił się Eric.

- Złamała kodeks przyjaźni. Co oznacza, że mogę o niej mówić, co chcę i kiedy chcę - warknęła Layla. A potem odwróciła się do mnie. - Skumplowała się ze mną

tylko po to, by poderwać Maca. Byłam samotna, zrozpaczona i nie zdawałam sobie z tego sprawy. Tymczasem ona weszła mu na głowę, złamała serce i zaczęła nas obgadywać, gdzie się tylko da.

- To okropne. - Spojrzałam na Maca. Wracał do nas, przeciągając dłonią po włosach. - Czy ona chodzi do tej szkoły?

Layla pokręciła głową.

- Nie, do Fountain. To wredna hipiska. Pomyślałabyś, że coś takiego istnieje? Suka.

Nigdy jeszcze nie słyszałam, by wyraziła się w ten sposób. Aż zamilkłam z wrażenia. Ale jednocześnie zdałam sobie sprawę, że mimo drwin i rzucania owocami łączy ją z bratem głęboka lojalność. Od tej pory nieustannie dostrzegałam jej dowody. Nie miałam skali porównawczej, bo w okresie gdy Peyton zaczął się spotykać z dziewczynami, utraciliśmy wcześniejszą więź. Ale musiałam się z tym liczyć. I tak robiłam.

\* \* \*

Dwa dni później mama zobaczyła, że coś leży obok jej talerza. Tym razem nie była to ulotka, lecz broszura. Z miejsca, w którym siedziałam, zdołałam dostrzec obrazek plaży.

- Co to jest? - spytała, wchodząc z pieczoną kurą na półmisku. Postawiła go na stole, ale nie wzięła broszury do rąk. Jakby nie była przeznaczona dla niej, w związku z czym nie powinna jej dotyczyć.

- Hotel Saint Clair - oznajmił tata, sięgając do półmiska. Był zawsze głodny i nieustannie podjadał coś z lodówki, a gdy pojawiał się posiłek, natychmiast zaczynał jeść. - Na wyspach St. Ivy.

- Dlaczego to leży przy moim talerzu?

- Ponieważ - oświadczył, nakładając sobie obfitą porcję - w przyszłym tygodniu mam tam konferencję i chciałbym, żebyś wybrała się ze mną.

Twarz mamy natychmiast oznajmiła: „Nie”. A może nawet „Nie!”. A między jej oczami pojawiła się mała bruzda, którą ongiś Peyton niezbyt taktownie nazwał kanionem gniewu.

- Wyjazd? Teraz? Och, nie sędzę.

- Dlaczego? Wymień choć jeden powód.

Westchnęła, a potem odchyliła się na oparcie krzesła i odsunęła zwiniętą broszurę na bok, by wziąć serwetkę.

- W następny weekend są odwiedziny w Lincoln.
- Julie, jeździsz tam tak często, że możesz chyba opuścić jeden dzień.
- Peyton liczy na to, że będę.
- A więc poprośmy Amesę, żeby tam pojechał.

Pokręciła głową.

- W dodatku Sydney niedawno zmieniła szkołę. Nie, to nie jest dobry pomysł.

Tata popatrzył na mnie. Jego spojrzenie wyraźnie mówiło, że powinnam teraz powiedzieć: „Dam sobie radę”. I tak zrobiłam.

- Skarbie, nie możesz zostać tu zupełnie sama - powiedziała mama znużonym głosem.

- Omówiłem to już z rodzicami Jenn - oświadczył tata. - Z radością ją przyjmą.

Zamrugłam z zaskoczenia. Fakt, nie rozmawiałam z Jenn już kilka dni, ale mimo to wydało mi się dziwne, że nic o tym nie wspomniała. Pomyślałam, że i ona może nie wiedzieć. Kiedy tata naprawdę czegoś chciał, zawsze umiał to załatwić.

- Julie - zwrócił się znów do mamy - to ci jest potrzebne. Oboje tego potrzebujemy. To dwa dni na cudownej plaży, bez żadnych obowiązków. Powiedz tylko „tak”.

Jej spojrzenie nadal mówiło „nie”. Odparła jednak:

- Muszę się zastanowić.

Spojrzał na nią cierpliwie, zdając sobie sprawę, jak trudna to dla niej decyzja.

- No dobrze - powiedział spokojnie. - Rozważ to.

Na tym zawiesili temat. Jednak nie na długo, bo słyszałam, jak mówili o tym jeszcze dwukrotnie tego wieczoru. Raz, gdy bardzo cicho wkładałam naczynia do zmywarki, a oni oglądali wiadomości, a drugi, gdy byłam już na górze i przygotowywałam się do spania. Nazajutrz, mijając pokój mamy, dostrzegłam, że wyjęła teczkę z napisem „Podróże” i położyła ją na biurku. Przechowywała tam listy rzeczy do spakowania, skomplikowane schematy układania ich w walizkach i wszystkie możliwe przewodniki. Gdyby rzeczywiście wyjechali, byłby to dla niej pierwszy wyjazd od ponad roku, i bardzo jej tego życzyłam. Poza tym cały weekend z Jenn mógłby znów zbliżyć nas do siebie, bo w nasze coraz rzadsze rozmowy, zarówno telefoniczne, jak i bezpośrednie, z wolna wkradał się dystans. Zapewne wyjazd moich rodziców byłby korzystny dla nas wszystkich, ale rankiem w dniu, w którym miał nastąpić, zadzwonił telefon.

- Jenn jest chora - poinformowała mama, gdy wychodziłam do szkoły. Tata opierał się o lodówkę i pił kawę. - Grypa żołądkowa. Cała rodzina złapała jakiegoś wirusa.

- Ojej - jęknęłam zawiedziona.

- No właśnie. A więc nie możesz spędzić tam weekendu. - Spojrzała na tatę. - Co teraz?

- Meredith?

- Ma zawody - powiedziałam. - Wyjechała wczoraj.

Mama westchnęła.

- No cóż, Peytonie, jedź sam. Ja zostanę. Zapewne od początku tak było najlepiej.

- Chwileczkę, daj mi pomyśleć - zaprotestował tata.

- Przecież ja mam siedemnaście lat - przypomniałam. - I naprawdę mogę przez weekend zostać sama w domu.

- Wykluczone - kategorycznie oznajmiła mama. - Myślę, że wszyscy wiemy, do czego prowadzi brak nadzoru.

Poczułam się dotknięta. Nigdy nie zrobiłam nic złego, nawet nie byłam na wagarach. Nie zasłużyłam na podobne podejrzenia.

- Chwileczkę. - Tata wyjął telefon i wysłał esemesa w chwili, gdy wsypywałam do miseczki płatki śniadaniowe. Właśnie zamierzałam dolać do nich mleka, gdy powiedział: - W porządku. Sprawa załatwiona.

Spojrzałam na niego. A więc byłam sprawą? Miło słyszeć.

- Jak? - spytałam.

W odpowiedzi zwrócił się do mamy, nie do mnie.

- Ames i Marla. Przyjadą o czwartej po południu i zostaną na cały weekend. Mówi, że to żaden kłopot.

- Och, to naprawdę niepotrzebne - rzuciłam szybko. - Przecież dam sobie radę.

- Ames i Marla? - Mama zmarszczyła brwi. - Naprawdę nie możemy ich tak wykorzystywać. Przecież on jutro wybiera się do Lincoln.

- Twierdzi, że chętnie to robi. A Marla ma wolny weekend.

Świetnie, od kiedy ją poznałam przed kilkoma miesiącami, powiedziała najwyżej dziesięć słów. Równie dobrze mogłabym zostać z Amesem sama.

- Ale... - wyjąkałam - mam teraz nową koleżankę, Laylę. Jestem pewna, że mogłabym zostać u niej.

Spojrzeli na mnie oboje.

- Masz nową koleżankę? - zdziwiła się mama. - Nie wspominałaś o tym.

- No bo dopiero się poznałyśmy. Ale...

- Sydney, nie wyślę cię do rodziny, której zupełnie nie znam. - Pokręciła głową. - To bardziej niebezpieczne niż zostawienie cię tu samej.

- No to zostanę sama.

- Przyjeżdżają tutaj Ames z Marlą - oznajmił tata tonem niedopuszczającym

dalszego sprzeciwu. – A teraz jedz śniadanie, bo się spóźnisz.

W poczuciu bezradności usiadłam przy stole. Tata podszedł do mamy i pocałował ją w czoło, a potem szepnął coś tak cicho, że nie zrozumiałam. Mama uśmiechnęła się z trudem, a ja zdałam sobie sprawę, że od dawna widzę na jej twarzy wyłącznie smutek. Co mogłam jej powiedzieć? Że człowiek, któremu bez reszty ufa i którego wręcz uwielbia, budzi moje obawy? Że na jego widok ciarki mnie przechodzą, choć nie umiem wyjaśnić dlaczego? I że obecność jego dziewczyny nie ma tu żadnego znaczenia. Przecież wyszłabym na wariatkę. A może nią byłam?

– Sydney? – spytała nagle. Podniosłam wzrok. – Co z tobą?

Patrzyłam na nią, milcząc i pragnąc, by coś powiedziała. By w swoim bólu i zagubieniu zdołała w końcu mnie dostrzec, jeśli nawet nie mogła usłyszeć tego, czego nie byłam w stanie wymówić.

Minęła minuta, potem druga. Jej twarz jeszcze bardziej posmutniała, a między brwiami znów pojawiła się bruzda. Tata również mnie obserwował, stojąc w otwartych drzwiach.

– Nic... – powiedziałam. – W porządku.

## Rozdział siódmy

Będąc tym razem w Seaside, do reszty się upewniłam, że grająca tam muzyka to bluegrass.

- Chcesz jeszcze kawałek?

Kiwnęłam głową. Layla wzięła swój talerz i wysunęła się z boks, w którym siedziałyśmy. Chwilę później, stojąc za kontuarem, wsuwała do pieca kolejną porcję pizzy. Ja tymczasem podeszłam do szafy grającej. Był to staroświecki model z otworem na monety i spisanymi drukami tytułami utworów. Płacąc, każdorazowo otrzymywałam wiązaną z czterech kawałków. Teraz rozbrzmiewała piosenka o tytule „Rope Swing”.

- Nazywamy ją Dinozaurem - powiedziała Layla, stając za mną. A po chwili, opierając się o kontuar, ciągnęła: - Mój dziadek kupił ją na pchlim targu, kiedy przejmował ten interes od swego ojca.

- A więc to rodzinny biznes?

- Niezupełnie. Moja mama jest Włoszką, a rodzina taty pochodzi z gór - mówiła. - Ale kiedy się z nią ożenił, wiadomo było, że to on przejmie kiedyś pizzerię. Chciał jej jednak nadać własny styl i dlatego nabył Dinozaura. Wtedy również wprowadził zasady muzyczne.

- Zasady muzyczne?

- W godzinach pracy dozwolony jest wyłącznie bluegrass. - Potrząsnęła głową. - Robiliśmy wszystko, by przemówić mu do rozsądku. Przecież ten lokal nazywa się Seaside Pizza, a bluegrass to muzyka gór. Naprawdę bez sensu.

- Ale za to bardzo ładne - stwierdziłam, gdy w „Rope Swing” odezwał się kolejny chór.

- No tak, wspaniałe. Pierwsza rzecz, jakiej nauczyłam się grać. Tyle że nastolatki, które wpadają tu po szkole, niekoniecznie chcą tego słuchać. Jeśli mamy zdobywać klientów, to nie jest zbyt dobry sposób.

- Grasz na czymś?

Skinęła głową, przypatrując się tytułom utworów.

- To jedyne, co jest ważne dla taty. To znaczy oprócz aut i pracy. Nauczył mnie grać na bandžo, gdy miałam siedem lat.

- Grasz na bandžo?!



- Tak cię to dziwi, jakbym robiła operacje mózgu albo kastrowała słonie. -

Parsknęła śmiechem.

- Bo to robi wrażenie.

Wzruszyła ramionami.

- Wolę śpiewać. Ale to Rosie ma prawdziwy głos.

Z tymi słowy obróciła się na pięcie i wróciła za ladę. Mac też już tam był i teraz wyrabiał w dłoniach ciasto, wpatrzony w jeden ze swych podręczników, który rozłożył na kontuarze. Jego ojciec tymczasem siekał paprykę, odwrócony twarzą do okna. Byłam w Seaside Pizza dopiero trzeci raz, ale poznałam już tamtejszy rozkład zajęć na tyle, by czuć się swobodnie. Dlatego właśnie postanowiłam przyjść tu dzisiaj i zostać tak długo, jak tylko się da.

Wyszłam rano do szkoły o siódmej czterdzieści pięć. W porze lunchu sprawdziłam pocztę głosową i odsłuchałam wiadomość, którą mama zostawiła jakąś godzinę wcześniej, gdy jechali z tatą na lotnisko. Powiedziała, że samolot odlatuje zgodnie z rozkładem, że przez cały weekend będzie miała przy sobie telefon i że mam dzwonić, gdybym czegokolwiek potrzebowała. Nie wiedziałam wprawdzie, czego mogę potrzebować, ale byłam pewna, czego nie potrzebuję. Za nic w świecie nie chciałam przez cały weekend tkwić w domu z Amesem i tą niemą, wystraszoną Marlą.

Cały dzień ze ściśniętym ze zdenerwowania żołądkiem zastanawiałam się, co robić, żeby wrócić do domu jak najpóźniej. Na szczęście miałam szkołę, a potem pojechałam do Seaside spotkać się z Laylą, która chodziła tam co dzień po ostatnim dzwonku i zostawała do czasu, gdy zaczynały napływać zamówienia. Wtedy Mac, rozwożąc pizzę, podrzucał ją do domu. Mogłam więc u nich zostać co najmniej do szóstej, a parę godzin później położyć się spać, nie budząc podejrzeń. Natomiast w sobotę zamierzałam wymknąć się wcześniej rano i spędzić cały dzień poza domem, tłumacząc się czymś, czego jeszcze nie wymyśliłam. Tak na razie wyglądał mój plan.

Wsunęłam się do boksu i usiadłam naprzeciw Layli, która pochłaniała drugą porcję pizzy. W przeciwieństwie do frytek konsumowała ją w normalny sposób, tyle tylko, że złożoną na pół, jak taco. Jak na osobę tak drobną i szczupłą jadła naprawdę sporo. Natomiast nigdy nie widziałam, by Mac żywił się w Seaside, a to musiało wymagać sporo dyscypliny. Jeśli o mnie chodzi, to zrezygnowałam z drugiej porcji tylko dlatego, że mój żołądek był ściśnięty ze zdenerwowania.

Gdy zastanawiałam się nad tym wszystkim, brzęknął mój telefon. Wyjęłam go z torebki i zobaczyłam wiadomość od Amesa. Rano przed wyjściem do szkoły na

żądanie mamy wpisałam jego numer do kontaktów.

*Właśnie przyszedłem. Kiedy wracasz? Gotuję dla ciebie kolację.*

- Co się dzieje?

Podniosłam wzrok. Layla wycierała usta serwetką, a jej talerz był już niemal pusty.

- Nic. To tylko wiadomość od... Moi rodzice wyjechali.

- I cię sprawdzają?

- Mhm.

Wróciła do resztek pizzy, a ja zastanawiałam się, dlaczego zataiłam prawdę. Do tej pory nic jej nie dziwiło, więc zapewne i teraz nie byłaby zaskoczona. Ale bardzo ją polubiłam i naprawdę cieszyło mnie, że sprawa Peytona nie zmieniła jej stosunku do mnie. Obawiałam się jednak, że kolejny z moich problemów może przebrać miarę.

*Za jakąś godzinę* - odpisałam. - *Nie musisz nic gotować.*

Nacisnęłam „wyślij”.

Odpowiedź przyszła po sekundzie.

*Ale chcę.*

Wepchnęłam telefon do torebki i wyłączyłam dźwięk. Znów ogarnęła mnie złość na brata. Jego czyny miały wiele skutków ubocznych, ale ten dotknął wyłącznie mnie i musiałam radzić sobie z nim sama. Wielkie dzięki.

Przełknęłam ślinę i spojrzałam na kontuar. Mac ugniatał teraz ciasto oburącz, nadając mu właściwą grubość i kształt. Patrzyłam na niego, czerpiąc pewien spokój z monotonii jego powtarzających się ruchów. Nagle podniósł wzrok, a ja pierwszy raz, zamiast przed nim uciec, wytrzymałam to spojrzenie. Choć już sekundę później odwróciłam głowę.

O wpół do szóstej rozzwonił się telefon. W pizzerii zaczął się ruch. Muzyka bluegrass, która leciała non stop bez względu na to, czy wrzucono monetę, czy nie, stopniowo cichła, w miarę jak napływali coraz to nowi goście. Piętnaście minut później, gdy zbierałyśmy z Laylą rzeczy i zwalniałyśmy nasz boks, przy ladzie stała już kolejka. Pojawili się pracownicy z wieczornej zmiany, a Mac pakował pudełka z pizzą do podgrzewaczy, przygotowując się do rozwożenia zamówień.

- Pewnie z nim pojedziesz? - spytałam Laylę, gdy kierował się w stronę furgonetki zaparkowanej przed lokalem.

Zerknęła na ojca, który wydawał komuś resztę.

- Jest sporo pracy, więc chyba tu zostanę, aż będzie miał dostawę gdzieś w naszej okolicy.

- Mogę cię podwieźć - zaproponowałam z chęcią.

- Nie, tata pewnie chce, żebym przyjmowała zamówienia. Ale dzięki. Bardzo chętnie przejadę się twoim autem. To musi być frajda.

Tak rozpaczliwie chciałam uniknąć tego, co mnie czekało, że niemal zaproponowałam jej swój samochód. Byłam gotowa na wszystko, byle tylko przeciągnąć chwilę odjazdu. Ona jednak skierowała się w stronę lady.

- No to do zobaczenia w poniedziałek - rzekła na odchodnym.

- Mhm... - Wolno zarzuciłam plecak na ramię. - Do zobaczenia.

Pchnęłam drzwi i wyszłam na parking, Mac ładował towar do furgonetki.

- Jedź ostrożnie - powiedział, gdy go mijałam.

Odwróciłam się do niego. Tak mówimy do kogoś, kto odjeżdża. Nie ma w tym ukrytych treści ani symbolicznych znaczeń. A jednak, słysząc te słowa z jego ust, poczułam nagle, że oczy pieką mnie od łez.

- Dzięki - odparłam. - Ty też.

Skinął głową i wrócił do swoich czynności. Usiadłam za kierownicą, zapięłam pas i uruchomiłam silnik. Tak jak po mojej pierwszej wizycie w Seaside, jechałam za autem Maca, minęłam światła, potem dwie przecznice i jeszcze trzy. Przy kolejnym skrzyżowaniu włączył prawy kierunkowskaz, a gdy skręcał, pomachał do mnie, wysuwając rękę przez okno. Był to zaledwie ruch palców, potwierdzenie, że o mnie wie. Potem zostałam sama.

\* \* \*

Pierwszą rzeczą, którą dostrzegłam, wchodząc do domu, były świece. Te, które mama wyjmowała tylko na specjalne okazje, takie jak Boże Narodzenie lub Święto Dziękczynienia. Trzymała je w kredensie za butelkami z alkoholem i ten, kto o tym nie wiedział, musiałby ich specjalnie szukać. Stały na stole, jeszcze niezapalone.

- No nareszcie! - powitał mnie Ames w kuchennych drzwiach. Miał na sobie rozpinaną koszulę, dżinsy i tenisówki, a w ręku trzymał jedną z naszych drewnianych łyżek.

- Co tam w szkole?

To pytanie, które co dzień zadawała mi mama, w zestawieniu z widokiem świec zapowiadającym coś niemal romantycznego, wydawało się idiotyczne.

- Gdzie jest Marla? - spytałam. Jej obecność nigdy nie była zauważalna, tym razem jednak czułam, że jesteśmy tylko we dwoje.

- Zachorowała - odparł. - Grypa żołądkowa. Biedaczka ma niefart, co?

Odwrócił się, wracając do kuchni i najwyraźniej oczekując, że pójdę za nim. Ale ja nadal stałam w miejscu. Czułam, że płonie mi twarz. A więc Marli nie ma. I nie będzie.

- Nie musiałeś nic gotować - odezwałam się w końcu.

- Wiem, ale nigdy jeszcze nie jadłaś mojego spaghetti z mięsnym sosem. Nie mógłbym sobie wybaczyć, gdybyś go nie spróbowała.

- Właściwie to nie jestem głodna - powiedziałam.

Słyszając to, obrócił się i przez jego twarz przemknął grymas złości. Ale zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- W takim razie tylko spróbuj. Zapewniam, że nie pożałujesz.

Czułam się osaczona. Nigdy łatwo nie wpadałam w panikę, ale teraz serce waliło mi jak młotem.

- Chciałabym ... eee... pójść do siebie i zostawić tam rzeczy.

- Jasne. Tylko zaraz wracaj. Dawno cię nie widziałem.

Wbiegłam na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz, jakby mnie ktoś gonił. Wpadłam do pokoju, zamknęłam za sobą drzwi, a potem usiadłam na łóżku, próbując zebrać myśli. Chwilę później usłyszałam dobiegającą z dołu muzykę i miałam dziwną pewność, że właśnie zapalił świece. Wtedy podjęłam decyzję. Wyszukałam numer i zadzwoniłam.

- Seaside Pizza. Chwileczkę - odezwał się męski głos.

Spodziewałam się Layli i teraz nie wiedziałam, co robić.

Rozległo się kliknięcie, po którym nastąpiła cisza. Już zamierzałam się rozłączyć, ale nim to zrobiłam, mężczyzna wrócił.

- Dziękuję za cierpliwość. Czym mogę służyć?

Niech to...

- Ee... chciałabym złożyć zamówienie.

Słyszałam w tle jakieś rozmowy, ale żaden z głosów nie należał do dziewczyny.

- Słucham.

- Poproszę pół dużej pepperoni i pół deluxe.

- To wszystko?

- Tak.

- Adres?

Głęboko wciągnęłam powietrze.

- Cztery tysiące sto dwa Incline...

W głębi rozległ się jakiś hałas.

- Przepraszam, proszę chwilę zaczekać.

- Oczywiście.

Piosenka, która dobiegała z dołu, zmieniła się na inną, a ja poczułam przenikającą przez drzwi woń czosnku.

- Przepraszam za tę przerwę - odezwał się damski głos w słuchawce. O Boże! - A więc pół pepperoni i pół deluxe. Proszę o nazwisko.

- Layla?

Nastąpiła chwila ciszy.

- Taak?

- To ja, Sydney.

- O, cześć! - Zdawała się tak uradowana, że niemal wybuchnęłam płaczem. - Co się dzieje? Żałujesz, że zjadłaś tylko jedną porcję?

- Czy mogłabyś u mnie przenocować? - wyrzuciłam z siebie tak gwałtownie, że wątpiałam, by coś zrozumiała. Ale znowu mnie zadziwiła.

- Jasne. Pozwól tylko, że spytam tatę.

Rozległo się stuknięcie odkładanej słuchawki.

Wstrzymałam oddech i siedziałam, słuchając brzęknięć kasy i stłumionych odgłosów rozmowy. Gdy wróciła, bałam się odetchnąć.

- Przyjeżdżam - oznajmiła radośnie. - Mac podrzuci mnie razem z pizzą. Za jakieś dwadzieścia minut, dobra?

- Cudownie! - eksplodowałam entuzjazmem. - Dziękuję.

- Podaj mi tylko adres i numer telefonu.

Gdy rozłączyłyśmy się, wyszłam do łazienki i umyłam twarz. Przez dwadzieścia minut zdołam sobie jakoś poradzić - uspokajałam się w duchu. A potem zeszłam na dół.

Ames, odwrócony plecami, stał przy kuchni.

- Gotowa? - spytał, gdy weszłam. - Nakryłem już do stołu.

Zajrzałam do jadalni. No tak, paliły się świece, a obok dwu talerzy leżały srebrne sztucce i złożone na pół papierowe serwetki.

- Właściwie to... eee... czekam na koleżankę. Ma przywieźć pizzę.

Milczał. A potem odwrócił się twarzą do mnie.

- Przecież mówiłem, że gotuję.

- Wiem, ale...

- Twoja mama nie wspomniała o żadnej koleżance. - Patrzył na mnie podejrzliwie.

Myślała również, że przyjedziesz z Marlą - dodałam w duchu.

- To niezbyt grzeczne, Sydney, zmieniać nagle plany, kiedy ktoś rezygnuje ze swoich, by coś dla ciebie zrobić.

Nie prosiłam cię o to. A głośno powiedziałam:

- Przepraszam... to zapewne jakieś niedomówienie.

Patrzył na mnie długo, już nie ukrywał irytacji. Potem wolno odwrócił się plecami.

- Mogłabyś choć spróbować, skoro zadałem sobie tyle trudu.

- Dobrze - zgodziłam się. Dziwnie było patrzeć, jak dorosły mężczyzna się dąsa. -

Oczywiście.

Gdy usiadłam, nałożył spaghetti na talerze, a potem podniósł do góry szklankę z colą.

- Za naszą przyjaźń.

Uniosłam szklankę, dotykając szkłem szkła, a potem przełknęłam łyk coli. Spoglądał na mnie, powoli sącząc swoją. Zerknęłam na zegarek. Minęło dziesięć minut.

- Wypożyczyłem kilka filmów - powiedział, okręcając spaghetti na widelcu. - Pomyślałem, że moglibyśmy usiąść na kanapie z popcornem i obejrzeć. Mam nadzieję, że lubisz romanse. W końcu nie jesteś już dzieckiem.

Gdyby tylko o to chodziło...

- Jasne, oczywiście.

Uśmiechnął się do mnie, jakby mi wybaczał. Jakby dawał mi coś w rodzaju drugiej szansy. Wszystko to było jakieś chore.

Dwanaście minut.

- Naprawdę mi smakuje - powiedziałam, zmuszając się do przełknięcia spaghetti.

- Dzięki za twój trud.

- Drobiazg. - Uśmiechnął się z zadowoleniem. - Przynajmniej tyle mogę zrobić, skoro masz ze mną spędzić cały weekend. A jeżeli o tym mowa, to co planujesz jutro? Jeśli o mnie chodzi, to rano jadę odwiedzić Peytona, ale po południu jestem wolny. Pomyślałem, że moglibyśmy skoczyć do kina albo na kręgle, a potem wybrać się gdzieś na kolację.

- Mam zajęcia w szkole - powiedziałam szybko. - To jest... w pewnym sensie obowiązkowe.

Na chwilę zaniemówił.

- W czasie weekendu?

Skinęłam głową.

- Projekt społecznościowy. Nie będzie mnie przez większość dnia.

- Och... - Jego ton brzmiał wieloznacznie. - No cóż, zobaczymy.

Poczułam ucisk w żołądku i przez moment wydawało mi się, że zaraz zwrócę tych kilka kęsów, które w siebie wmusiłam. Wtedy jednak, na szczęście, rozległ się

dzwonek przy drzwiach.

- Ja otworzę! - krzyknęłam, zrywając się i rzucając serwetkę na krzesło.

Biegając, uderzyłam biodrem w róg stołu. Rozległ się głośny brzęk, ale nawet się nie obejrzałam. Dopadłam drzwi, szarpnęłam za rygiel i pchnęłam je z taką siłą, że Layla, która stała po drugiej stronie z pizzą w pudełku, aż podskoczyła. W furgonetce parkującej na podjeździe dostrzegłam Maca.

- Cześć! - wyrzuciłam bez tchu. - Tak się cieszę, że przyjechałaś.

- Cóż za entuzjastyczne powitanie! - Spojrzała na wysokie okna po obu stronach wejścia i jej oczy rozszerzyły się z wrażenia. - Ale masz superdom.

- Dzięki. Wejdz. Zaraz... ee... przyniosę pieniądze.

- Och, nie trzeba - powiedziała. - To na koszt...

Nagle urwała, przenosząc wzrok nad moje ramię. W jej przyjaznym, serdecznym spojrzeniu pojawiła się czujność. Nie musiałam oglądać się za siebie, by wiedzieć, że stoi tam Ames.

- A więc to jest twoja przyjaciółka? - spytał, gdy się odwróciłam.

- Tak, Layla - odparłam. - Proszę, wejdz - zwróciłam się do niej.

Ale nawet się nie poruszyła, tylko spojrzała w stronę Maca. Nie widziałam jej twarzy, lecz sekundę później dostrzegłam, że jej brat wysiada z furgonetki. Dopiero gdy stanął na schodach, weszła w końcu do środka.

- Ames Bentley. - Ames wyciągnął rękę. - Jestem przyjacielem rodziny.

- A to Mac - powiedziałam. Podali sobie dłonie. - Chodźmy. - Cofnęłam się, biorąc od Layli pudełko z pizzą, i ruszyłam korytarzem do kuchni. Ames szedł tuż za mną, a Chathamowie na końcu. Dostrzegłam kątem oka, że Layla lustruje nakrycie stołu w jadalni. Widząc zapalone świece, spojrzała na mnie.

- To ciekawe. - Uniosła brwi. - Co jest grane?

- Właśnie popisywałem się przed Sydney swoimi zdolnościami kulinarnymi - rzekł Ames. - Myślałem, że zachwyci ją mój sos, ale wolała zamówić pizzę. Ta dziewczyna potrafi złamać serce.

- Gdzie twoja mama? - spytała Layla, całkowicie go ignorując.

- Wyjechała z tatą na konferencję.

- Na cały weekend?

- Tylko żadnych imprez. - Ames uniósł w górę rękę. - Mam obowiązek temu zapobiec.

- Nie planuję imprez - powiedziałam spokojnie.

- Jasne. - Uśmiechnął się krzywo, a potem zwrócił się do Maca: - Spróbujecie spaghetti? A może zrobię wam drinka? Oczywiście bez alkoholu. Takie są tu zasady.

- Nie, dzięki. - Mac pokręcił głową i w tej samej chwili zadzwonił jego telefon.

Wyjął go i zerknął na ekran. - Kolejne zamówienie. Muszę jechać.

- Szczęściarz ze mnie - uśmiechnął się Ames - spędzę wieczór z dwiema pięknymi damami.

Mac tylko na niego spojrzał, obojętnie i bez uśmiechu. Chwilę później powiedział do Layli:

- Zostawiłaś swoje rzeczy w samochodzie.

- Och, faktycznie. Pójdę z tobą i je zabiorę.

Mac skierował się do drzwi. Layla spojrzała na mnie, dając do zrozumienia, bym do nich dołączyła. Ale zanim zdołałam zrobić krok, poczułam na ramieniu dłoń Amesa.

- Sprzątniemy teraz ze stołu, co, Sydney?

Nie pozostawało mi nic innego, niż udać się za nim do jadalni. Wynosząc swój talerz, odezwał się, zniżając głos:

- Wiesz, że muszę powiedzieć o tym twojej mamie, kiedy zadzwoni.

- Przecież nie robię nic złego.

- Nie przypuszczała, że będziesz mieć towarzystwo.

Patrzyłam, jak schylił głowę, podnosząc serwetkę, i ogarnął mnie gniew. Brzmiało to tak, jakby uznał, że mama znała jego zamiary na dzisiejszy wieczór i je akceptowała. Idąc w stronę kuchni, rzucił:

- Nie martw się. Jakoś jej to wyjaśnię. Będziesz moją dłużniczką.

Nie odezwałam się, tylko stałam, patrząc, jak Mac wycofuje auto z podjazdu. Gdy dotarł do drogi, światła reflektorów omiotły okno i padły na mnie. Samochód stał przez ułamek sekundy, a potem wolno włączył się do ruchu.

\* \* \*

- No dobra. - Layla usiadła naprzeciw mnie. - Co, do cholery, robi tu ten typ?

Spuściłam wzrok na dłonie. Po niezręcznej rozmowie w kuchni, podczas której Ames słuchał każdego naszego słowa, poprosiła, żebym pokazała jej swój pokój. Dzięki temu zdołałyśmy się uwolnić. Gdy weszłyśmy na górę, zamknęłam drzwi, a ona podeszła, żeby przekręcić klucz. Zaraz jednak przekonała się, że to niemożliwe. Kiedy Peyton po raz pierwszy wpadł w tarapaty, mama zlikwidowała wszystkie zamki w sypialniach, wprowadzając politykę: pukamy, nie zamykamy. Chodziło o podkreślenie szacunku i zaufania. Przynajmniej tak mówiła.

- Jest najlepszym przyjacielem mojego brata - wyjaśniłam. - Ale cierpnie mi



skóra, kiedy się do mnie zbliża.

- To oczywiste - powiedziała bez wahania, jakby stwierdzając fakt. - Jest odrażający. To on był z tobą, prawda? No wiesz, wtedy w sądzie.

Teraz zrozumiałam wyraz jej oczu, gdy ujrzała go w drzwiach. Nigdy nie zapominała twarzy.

- Mhm. On... ee... stara się być blisko mnie.

Wzdrygnęła się.

- Co na to twoja mama?

- Ona go uwielbia. Wypełnił pustkę, którą zostawił mój brat, a przynajmniej ją ograniczył.

- A ojciec?

- Nie dostrzega wielu rzeczy, które mnie dotyczą.

Nigdy wcześniej tak nie myślałam, ale teraz, gdy powiedziałam to na głos, zdałam sobie sprawę, że taka jest prawda. Roztargnienie mamy było zjawiskiem nowym, wynikało z ciągu przyczyn i skutków. Ale tata nigdy się mną nie zajmował. Zanim wybuchła sprawa Peytona, ów brak zainteresowania tłumaczył swoją pracą. A wcześniej? Nie wiadomo.

- To marnie - orzekła, rozglądając się po pokoju. - I on ma z tobą mieszkać przez całe dwie noce?

- Zamierzałam nocować u koleżanki, ale się rozchorowała. No i tata w ostatniej chwili poprosił go, żeby przyjechał tu ze swoją dziewczyną.

- Z dziewczyną?

- Zachorowała. Grypa żołądkowa - wyjaśniłam. - Przynajmniej on tak mówi.

- Pewnie się zbytnio nie przejął - stwierdziła. - Jeśli w ogóle ją zaprosił.

- Tak myślisz? - zastanowiłam się. Tylko na mnie spojrzała. - Chociaż te świece i kolacja nieco mnie zaskoczyły.

- Tfu! - Aż się wzdrygnęła. - Dobrze, że mnie wezwałaś.

- Dobrze, że przyjechałaś.

Uśmiechnęła się.

- O jutrzejszej nocy pomyślimy później. A teraz dla odmiany chciałabym obejrzeć twoją garderobę. To osobne pomieszczenie, prawda?

Rozpoczęliśmy obchód, który objął nie tylko moją garderobę - trudno byłoby odgadnąć przy zamkniętych drzwiach, jaka jest duża - ale cały dom. Podczas gdy Ames stał na dworze, paląc papierosa pod okapem garażu, Layla wydawała ochy i achy nad wanną w podłodze w łazience rodziców (to prawdziwy marmur?), zachwycała się centrum operacyjnym (jaka ta twoja mama jest zorganizowana!)

i nieustannie podziwiała wszystkie ekologiczne nowości wprowadzane uparcie przez moją superekologiczną mamę (a ja nie mogę namówić moich rodziców do segregacji śmieci!). Ale dopiero pomieszczenie na samym dole wprowadziło ją w osłupienie.

I nie chodziło tu o eliptycznie wyprofilowaną i wyważoną bieżnię ani panoramiczny wkłęsłoekranowy telewizor na ścianie, ale o to, co kryło się za drzwiami przesłoniętymi stertami mat do jogi, pasów i bloczków treningowych. Gdy je otworzyłam, cicho gwizdnęła.

- O rany! Czy to jest... studio nagraniowe?

- W niewielkim zakresie - odparłam, szukając kontaktu.

Chwilę później w świetle ukazała się mała kabina dźwiękoszczelna, a także konsola z licznymi przyciskami i przełącznikami. Przez długi czas nikt tu nie zaglądał. W powietrzu unosiła się woń stęchlizny, gdzieś w kącie walały się kubki z zaschłymi resztkami kawy, a na małej kanapce leżała gitara, jakby ją przed chwilą ktoś odłożył.

- To pokój mojego brata. Mieli właśnie zacząć malowanie, kiedy to wszystko się wydarzyło.

- Mogę zobaczyć?

- Jasne.

Weszła do środka, a ja ruszyłam za nią, zapalając kolejną lampę, która oświetliła kabinę i rząd żarówek na suficie. Layla podeszła do kanapy, podniosła gitarę i z podziwem zaczęła ją oglądać.

- Uau! - westchnęła z przejęciem. - To prawdziwy Les Paul Standard.

Czułam się trochę zakłopotana, oprowadzając ją po naszym domu. Ale dopiero teraz, gdy oglądała jedną z wielu kosztownych gitar Peytona, ogarnął mnie wstyd.

- Co wy tu, dziewczyny, robicie?

Aż podskoczyłam. Nie słyszałam, jak wszedł.

- Nic takiego. Po prostu oprowadzam Laylę po domu.

Ames spojrzał na kanapkę, gdzie siedziała, po czym wszedł do studia, ocierając się o mnie.

- Lubisz gitary? - rzucił w jej stronę.

- Mhm - odparła, nie podnosząc na niego wzroku.

Podszedł do kanapki i wcisnął się obok niej.

- O, tak powinnaś trzymać. - Sięgnął ręką ponad jej ramieniem, by ująć obie jej dłonie. - Pokażę ci kilka akordów.

- Nie trzeba - mruknęła, co brzmiało bardziej jak „spadaj”.

Ames również usłyszał jej ton głosu i się odsunął. Wstał, podszedł do przeciwległej ściany, gdzie stał stojak z inną gitarą, i ją zdjął. Layla nadal brzdąkała, nie zwracając na niego uwagi. On tymczasem głośno uderzył w struny i zmarszczył brwi.

- Trzeba ją nastroić - stwierdził po chwili. - Ale na szybką lekcję wystarczy. A teraz spójrz, pokażę ci kilka akordów. To jest F...

Obserwowałam, jak demonstrował podstawowe chwyt. Ale Layla nie podniosła nawet głowy. Widząc to, przeszedł do gry. Rozpoznałam prymitywną interpretację „Stairway To Heaven”, jednej z pierwszych melodii, które Peyton ćwiczył w ośrodku odwykowym. I nagle, gdy myślałam, że trudno już o większą żenadę, Ames zaczął śpiewać. Miał cienki, piskliwy głos i melancholijnie przymykał oczy, nieudolnie cedząc słowa pierwszej zwrotki. Niestety musiałyśmy na to patrzeć.

Było to okropne, choć do tej pory sądziłam, że nic nie może być gorsze niż wcześniejsza kolacja. Zagryzając wargę, z najwyższym trudem powstrzymywałam się, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem. I nagle Layla również zaczęła grać. Najpierw cicho, a potem coraz głośniej, coraz szybciej poruszając palcami. Nie bardzo wiedziałam, do czego zmierza, aż w pewnej chwili podjęła jego melodię. Tyle że nie było to amatorskie brzdąkanie, którym się popisywał. Grała dobrze i pewnie. Ames zdał sobie z tego sprawę równie szybko jak ja i gwałtownie ucichł. Wtedy rozległ się jej śpiew.

Nieco wcześniej tego samego dnia rzuciła od niechcienia, że to Rosie ma dobry głos. Jeśli to prawda, to musiała być artystką klasy operowej, bo Layla śpiewała cudownie. Pokój zaczął wibrować dźwiękiem jej głosu, czystym i melodyjnym, a jej palce tak szybko uderzały w struny, że prawie ich nie widziałam. Stałam oniemiała z wrażenia i wiedziałam, że Ames też osłupiał. Gdy skończyła, wydawało się, że wokół powstała próżnia. Zapadła cisza.

- Uau - wykrztusiłam w końcu. - To niesamowite.

- Jesteś naprawdę dobra - przyznał Ames.

- To tylko „Stairway To Heaven”. Każdy może to zagrać. - Odłożyła gitarę na miejsce, a potem spojrzała na mnie. - Masz ochotę na pizzę? Bo ja tak.

Zakończyliśmy wieczór tak, jak planował Ames, oglądając filmy. Przygotował swój „słynny” popcorn polany masłem, po czym rozsiadł się pośrodku kanapy na wprost telewizora, tak by zmusić nas do usadowienia się po jego obu stronach. Layla wybrała jednak podłogę, a potem, patrząc na mnie, poklepała dywan obok. Ames spojrzał na nas, mrużąc oczy, i nie próbował nawet ukryć swego niezadowolenia.

Oba filmy były romantycznymi komediami i oczywiście Layla już je widziała.

Stwierdziła, że powinniśmy obejrzeć bardziej zabawną z nich, odradzając drugą, z bajkowym obrazkiem całującej się pary na opakowaniu. Potem, rezygnując z popcornu, otworzyła torebkę, wyjęła garść lizaków YumYum i wyciągnęła rękę, by mnie poczęstować. W samym środku był jeden o smaku piwa korzennego. Wiedziałam, że nie przez przypadek. Gdy wyciągnęła torebkę w stronę Ames, pokręcił głową.

- Nie lubię twardych cukierków - powiedział. - A poza tym te lizaki są dla mnie zbyt kwaśne.

Nie zaszczyciła go nawet odpowiedzią, tylko zerwała celofan z różowego i wsunęła go do ust. Zaczynałam już współczuć Amesowi, więc sięgnęłam do miski z popcornem. Był jednak tak tłusty, że rozpląwał się w dłoni, i musiałam odłożyć go na serwetkę.

Mniej więcej w połowie filmu rozległa się melodyjka. Ames wyjął telefon i spojrzał na wyświetlacz.

- To twoja mama - szepnął, a potem odebrał, włączając tryb głośnomówiący.

- Cześć, Julie. Jak wakacje?

Layla wciąż ssła lizak, patrząc na ekran telewizora, gdy mama mówiła, że podróż była wygodna, lot komfortowy i że właśnie zjedli wspaniałą kolację. Jeśli zamierzał jej powiedzieć, że zaprosiłam kogoś na noc bez jej wiedzy, to wyraźnie z tym zwlekał.

- Czy jest tam gdzieś Sydney? - spytała w końcu.

- Oczywiście - odparł, podając mi aparat.

- Cześć, mamó. - Pragnęłam wyłączyć głośnik, ale byłoby niezręcznie robić to z cudzym telefonem. Oczywiście Ames chciał słyszeć wszystko, o czym mówimy.

- Cześć, skarbie! - Mama wydawała się tak radosna, że poczułam wyrzuty sumienia z powodu niechęci do jej wyjazdu. - Jak się miewasz? Dobrze się bawicie z Amesem i Marlą?

- Marla jest chora. Na to samo, co Jenn - powiedziałam. Ames nie odrywał ode mnie oczu, wrzucając do ust garść popcornu.

- Biedaczka! To jakaś epidemia. - Zamilkła. - A poza tym wszystko w porządku? Jadłaś kolację?

- Ames ugotował spaghetti. - Słyszając to, uśmiechnął się blado. - I teraz oglądamy film.

- A więc miło spędzacie czas. My też. Tu jest pięknie. Nie widziałam tak białej plaży, od kiedy... już nie pamiętam. Może nawet trochę się opalę.

- To wspaniale.

- Jak wiesz, jutro rano Ames jedzie w odwiedziny do twojego brata. Możesz zjeść śniadanie gdzieś w mieście albo zrobić sobie to, co zawsze. Zostawiłam mu pieniądze, gdybyście chcieli pójść na kolację albo zamówić coś do domu. Dobrze?

- Oczywiście.

- Wracamy w niedzielę wieczór - ciągnęła. - Po drodze kupimy jedzenie, więc poproś go, żeby został na kolacji. Chciałabym okazać mu wdzięczność za pomoc w nagłej sytuacji. A jeśli Marla poczuje się lepiej, przekaż, by i ją zaprosił.

Siedząca obok Layla wyjęła kolejnego lizaka i wymownie na mnie spojrzała. A potem głośno i wyraźnie zakaszła. Dwukrotnie.

Ames poruszył się niespokojnie na kanapie, odkładając miskę z popcornem. W telewizorze nadal leciał film, w którym dwie osoby prowadziły dialog. Nie byłam więc pewna, czy mama to usłyszała. Po chwili jednak spytała:

- Sydney, czy... tam jest ktoś jeszcze?

Spojrzałam na Laylę, która niemal niewidocznie skinęła głową, po czym odparłam:

- Tak, moja koleżanka, o której ci mówiłam. Layla. Przyjechała do mnie z pizzą.

- Dobry wieczór, pani Stanford! - zawołała Layla. - Miło mi panią poznać.

Nastąpiła chwilowa cisza, podczas której mama, zwykle nienagannie uprzejma, najwyraźniej próbowała zebrać myśli.

- Witaj, wiele o tobie słyszałam. Nie wiedziałam...

- Sydney w pewnym sensie ratuje mi życie - weszła jej w słowo Layla. - Mamy w domu remont, no i właśnie zaczęło się malowanie i układanie wykładzin. Woń chemikaliów jest tak silna, że trudno oddychać.

Ames spojrzał na nią.

- Nie martw się, Julie! - zawołał. - Dopilnuję, żeby wkrótce wróciła do domu. Sydney pójdzie spać o normalnej porze.

- Oczywiście - ciągnęła Layla, odpierając jego spojrzenie. - Już od godziny wietrzę mój pokój, więc zapewne da się tam nocować.

Powoli zaczynałam rozumieć.

- Zamierzasz tam dziś spać? - zaniepokoiła się mama.

- No cóż...

Po drugiej stronie nastąpiło milczenie, a potem rozległ się głos mamy:

- Layla, nie powinnam się wtrącać, ale wdychanie oparów lateksu jest bardzo niebezpieczne, zwłaszcza jeśli wykładziny są świeże. To może prowadzić do ciężkiego zatrucia. Oczywiście najlepiej byłoby korzystać z materiałów ekologicznych, ale wiem, że nie zawsze jest to możliwe.

Layla szeroko otworzyła oczy, jakby mama rzeczywiście ją widziała.

- Sądzi pani, że nie powinnam tam spać?

- Tak byłoby najlepiej. Czy w twoim domu jest jakiś pokój podłączony do odrębnego systemu wentylacji?

- Wszędzie trwa remont. Ale trudno, jakoś przeżyję. Malowanie ma się skończyć jutro, więc... - Wciąż patrzyła na Amesa. Ich spojrzenia były tak intensywne, że powietrze wręcz wibrowało.

Nastąpiła cisza, którą przerwała mama.

- Sydney, czy możesz wyłączyć głośnik?

Zmieniłam ustawienia i przyłożyłam telefon do ucha.

- Jestem tylko ja - powiedziałam po chwili.

Z drugiej strony dobiegały stłumione głosy. Zapewne przykryła dłonią aparat albo przyciskała go do siebie. Mimo to słyszałam głos taty, a potem jej odpowiedź. W końcu odezwała się ponownie:

- Kochanie, jak dobrze znasz tę dziewczynę?

Wstałam i wyszłam do kuchni.

- Już ci mówiłam. To moja jedyna koleżanka w Jackson. Jest dla mnie naprawdę miła.

- Zaczekaj. - Znowu nastąpiła stłumiona rozmowa, a potem: - Uważam, że w tych okolicznościach powinna zostać u nas na noc. A jeśli remont w jej domu nadal trwa, to również jutro. Skoro to twoja dobra koleżanka, będę spokojniejsza o jej bezpieczeństwo. Zbyt wiele wiem o toksynach.

- Naprawdę?! - wykrzyknęłam. - Mamo, jesteś wdechowa.

- Wdechowa? - Była zaskoczona. Ale i zadowolona. - Myślę, że to normalna uprzejmość. Sądzisz, że powinnam zadzwonić do jej rodziców i spytać ich o zgodę?

Wróciłam do salonu. Ames wciąż patrzył spod oka na Laylę, ale ona spokojnie oglądała film, delektując się lizakiem.

- Hej, czy chciałabyś zostać na cały weekend?

Zamrugnęła powiekami, jakbym wcześniej o to nie pytała.

- Jesteś pewna, że to wypada?

- Tak. Mama tylko pyta, czy nie powinna zadzwonić do twoich rodziców.

- Och, nie - odparła głośno i wyraźnie. - Te nowe leki, które przepisano mojej mamie, bardzo ją osłabiają, więc zapewne już się położyła. Wyślę wiadomość siostrze, żeby powiedziała jej o tym jutro rano.

- Mama Layli jest chora na SM - powiedziałam do słuchawki.

- Och, to straszne. - Mama taktownie zamilkła. Chwilę później zamknęła temat. - No to załatwione. Tylko dopilnuj, żeby mogła się wyspać. Materac dmuchany jest

w pokoju gościnnym, a pościel w komodzie. Znajdziesz tam również nowe szczoteczki do zębów.

- Dobrze. - Odwróciłam się plecami do ściany i zniżyłam głos. - Dzięki, mamó. Naprawdę.

- Ależ dziecko, to przecież normalne. - Jej głos brzmiał tak, jakby się uśmiechała. - A teraz chciałabym zamienić kilka słów z Amesem. Możesz go poprosić?

Podeszłam do kanapy i podałam mu telefon. Odstawił miszkę z popcornem i wytarł tłuste palce w dzinsy. Potem wstał i wyszedł z pokoju, żebyśmy go nie słyszały.

Layla głośno skomentowała:

- Wiesz, to naprawdę dobry film.

Spojrzałam na nią. Nie patrzyła na ekran, tylko na mnie, i szeroko się uśmiechała.

- Świetny. Myślę, że będzie moim ulubionym.

Tym razem nie odpowiedziała, tylko odwróciła się do ekranu. Usiadłam obok niej, wzięłam kolejny lizak i zaczęłam oglądać film.

Przez następną godzinę para na ekranie śmiertelnie się w sobie zakochała, przeszła ciężkie próby i została dramatycznie rozdzielona, by dosłownie w ostatniej chwili odzyskać swoją miłość i siebie nawzajem. W prawdziwym świecie Ames skończył rozmowę, wyszedł zapalić, a potem, aż do końcowych napisów, zrzędził, że robi się późno. Kiedy wreszcie weszliśmy z Laylą na górę, żeby położyć się spać, zaproponowałam jej swoje łóżko. Odmówiła, twierdząc, że woli dmuchany materac. Uznałam, że robi to przez grzeczność, jak przystało na taktownego gościa, ale skapitulowałam wobec jej uporu. Ułożyliśmy jej posłanie tuż obok mojego łóżka.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę przy zgaszonym świetle, aż w którymś momencie zapadłam w sen. Gdy się ocknęłam, była druga w nocy. Obróciłam się na bok, by sprawdzić, co z Laylą, i zdumiona stwierdziłam, że jej nie ma. Zdezorientowana uniosłam się na łokciu, przecierając oczy. Wtedy ją zobaczyłam. Przesunęła materac tak, by blokował drzwi, które nie zamykały się na klucz. Czuwała, strzegąc naszego bezpieczeństwa. Tej nocy spałam lepiej niż w ciągu wielu ostatnich miesięcy.

## Rozdział ósmy

Od czasu, gdy mama po raz pierwszy wspomniała o Dniu Rodzin w Lincoln, nie poruszałyśmy tego tematu. Uznałam to za dobry znak. Jednakże cztery dni przed terminem zrozumiałam, jak bardzo się myliłam.

- No więc - zaczęła, stojąc przy kuchni i mieszając w garnku zupę na kolację - powinniśmy chyba ustalić plany na weekend.

Nie byłam tym zdziwiona, gdyż zawsze lubiła planować i organizować, koniecznie z kilkudniowym wyprzedzeniem. Dlatego nie połapałam się, do czego zmierza.

- W piątek idę na urodziny do Jenn, a w sobotę Layla zaprosiła mnie na kolację, jeśli nie masz nic przeciw temu.

Skosztowała łyk zupy, wciąż odwrócona do mnie plecami. A potem powiedziała:

- Co do piątku nie mam zastrzeżeń, ale w sobotę jest Dzień Rodzin. Możemy późno wrócić, więc lepiej, żebyś z nikim się nie umawiała.

Na chwilę zamilkłam, zastanawiając się, jak zareagować. W końcu głęboko wciągnęłam powietrze.

- A więc Peyton się zgodził na moje odwiedziny?

Odpowiedziała mi cisza. Dopiero po chwili usłyszałam:

- Twój ojciec ma konferencję. Pojedziemy tylko we dwie. Wpisał cię w formularzu zgłoszeniowym, więc zakładam, że oznacza to zgodę.

W odróżnieniu od mamy, tata nie odwiedzał Peytona zbyt często. Początkowo kilkakrotnie jeździł tam razem z nią i za każdym razem wracał przygnębiony, by natychmiast zniknąć w swoim gabinecie. Dla człowieka, którego praca polegała na rozwiązywaniu problemów, widok własnego syna w sytuacji wykluczającej wszelkie rozwiązania musiał być trudny do zniesienia. Oczywiście rozmawiał z nim, upewniając się, czy ma wszystko, czego mu potrzeba, jak choćby pieniądze na zakupy w kantynie i inne dozwolone wydatki. Czułam jednak, że wolałby myśleć, że mój brat gdzieś wyjechał, i nie wiedzieć zbyt wiele o miejscu, w którym istotnie przebywa. Nie widując go, unikał konfrontacji z faktycznym stanem rzeczy.

Ja jednak najwyraźniej nie mogłam skorzystać z takiej możliwości, mimo że oboje z Peytonem chętnie byśmy to zrobili. Kiedy mama raz podjęła decyzję, rzadko się wycofywała. Czy tego chcę, czy nie, w sobotę jadę do Lincoln.

- Uau - pisnęła Jenn, gdy powiedziałam jej o tym w cukierni Frazier, gdzie



spotkałyśmy się następnego dnia po szkole. – Jeszcze nigdy nie byłam w więzieniu.

– Podobnie jak większość ludzi – odparłam ponuro, sącząc napój kawowy, na który znowu namówił mnie Dave. Był zmrożony i tak gęsty, że z trudem przechodził przez słomkę. Ale smakował bosko. – Tylko nam się tak poszczęściło.

Meredith, która wyjątkowo miała wolne popołudnie, spojrzała na mnie przez stół.

– To będzie okropne, co? Boisz się? Chodzi mi o tych innych, którzy tam siedzą.

Do tej pory nie przyszło mi to na myśl. Nie przejmowałam się innymi przestępcami. Przerazała mnie jedynie myśl o spotkaniu z własnym bratem.

– Naprawdę nie chcę tam jechać. Wiele bym dała, żeby tego uniknąć.

Obie spojrzały na mnie ze współczuciem, a potem Jenn wyciągnęła rękę i uścisnęła mi dłoń.

– Ale w piątek będziemy się dobrze bawić, prawda? Margaret też przyjdzie, więc nareszcie ją poznasz.

Przed kilku tygodniami Jenn wspomniała, że mają nową koleżankę – dziewczynę, która przeprowadziła się niedawno z Massachusetts. Od tej pory jej imię padało niemal w każdej z naszych rozmów. Margaret podobno miała klasę, była niesłychanie zabawna i inteligentniejsza od Jenn, co wydawało się wręcz nieprawdopodobne. Nawet Meredith,

na której nie robił wrażenia nikt, kto nie skakał dalej niż ona, mówiła o niej z podziwem. Twierdziła, że Margaret nie tylko zna chiński, ale kiedyś chodziła z chłopakiem, który był kuzynem aktora grającego w jednym z naszych ulubionych programów.

– Super. Już się cieszę.

– Zakochasz się w niej – zapewniała mnie Jenn. – Jest taka zabawna.

– Niesamowicie – wtórowała jej Meredith. – Raz na wuefie, kiedy ćwiczyłyśmy vinyasę, przechyliła się na bok z pozycji drzewa i walnęła w podłogę. To było prześmieszne.

Obie się roześmiały i pewnie też bym to zrobiła, gdybym tam wtedy była. Teraz jednak, po kilku tygodniach w Jackson, nie umiałam już sobie wyobrazić jogi na lekcji wuefu. Życie w Perkins wydawało mi się coraz bardziej odległe. Wynikało to zapewne i stąd, że nie widywałyśmy się zbyt często. Jenn zaczęła prowadzić lekcje wyrównawcze w Kiger Center, a życie Meredith bez reszty wypełniały treningi. Cieszyłyśmy się, jeśli w ogóle udało nam się spotkać. Nie zdawałam sobie sprawy, jak dalece nasza przyjaźń wiąże się ze wspólną szkołą, dopóki nie przestałam tam uczęszczać. Prawda była taka, że się zmieniałam.

Częściowo – no dobra, przede wszystkim – z powodu Layli. Od wspólnie

spędzonego weekendu byliśmy wciąż w kontakcie. Niemal z dnia na dzień z zupełnie obcej osoby stała się moją najbliższą przyjaciółką. Wydawało się to niemożliwe, że ktoś, kogo nie znałam pół roku wcześniej, okazał się jedyną istotą, która mnie rozumiała.

Ale tak właśnie było. Layla nie tylko pojmowała moją niechęć do Amesa, ale również uczucie, jakie żywiłam wobec Peytona. Wprawdzie Rosie nie skazano na więzienie, ale jej problemy w taki lub inny sposób dotknęły całą rodzinę Chathamów. Wiedziałam, że Jenn i Meredith mnie kochają i zawsze gotowe są wysłuchać. Ale nigdy nie mogłyby zrozumieć palącego mnie uczucia wstydu i gniewu. Teraz, gdy znalazłam kogoś, kto był do tego zdolny, zdałam sobie sprawę, jak bardzo tego potrzebowałam.

\* \* \*

- Tfu! Są poniżej krytyki. Widać, że jestem w złej formie. Normalnie nawet bym na nie nie spojrziała.

Mimo tej opinii Layla z typową dla siebie starannością przygotowywała frytki kupione w barze przy lodowisku. Część ławki między nami przykryła podwójną warstwą papierowych serwetek, na których ułożyła rząd frytek. W plastikowym kubku zmieszała dwa rodzaje keczupu, tym razem nie używając mikstury własnej produkcji, którą traktowała jak skarb.

- Rzecz w tym - ciągnęła, wybierając frytkę ze środka i maczając ją w keczupie - że nikt nie dołuje mnie tak jak Rosie. Gdyby dołowanie ludzi było sportem, zdobyłaby mistrzostwo olimpijskie. Bez dwóch zdań.

Uśmiechnęłam się, po czym wzięłam frytkę, do czego mnie zachęciła, a drugą ręką mocniej naciągnęłam na siebie sweter. Ostatnio byłam na lodowisku w Lakewood jeszcze jako dziecko. Przed laty mama przywoziła tu mnie i Peytona. W szkole średniej przez kilka sezonów grywał tu w hokeja, ja natomiast w ogóle nie wyszłam poza poziom dla początkujących. Nigdy bym nie przypuszczała, że znajdę się w tym miejscu, gdy po ostatniej lekcji wybrałam się do Seaside. Ale z wolna się uczyłam, że w towarzystwie Chathamów wszystko jest możliwe.

Zdjęliśmy plecaki i właśnie zamierzałyśmy zjeść pierwszą porcję pizzy, gdy zadzwonił telefon Layli. Chwilę patrzyła na ekran, nim odebrała.

- Cześć - odezwała się, po czym zamilkła. - A gdzie ma być? W warsztacie.

Mac, który uczył się za ladą z ołówkiem wsuniętym za ucho, podniósł wzrok. Teraz odważałam się niemal spojrzeć mu w oczy, jeśli na mnie popatrzył. Niemal.

- No cóż, powinnaś o tym pomyśleć, kiedy się umawiałaś. - Przez chwilę słuchała, po czym z westchnieniem wzniosła oczy do sufitu. - Nie, taty nie ma. Wziął camry i pojechał do warsztatu Togi pogadać o awarii furgonetki.

- Odwrotnie - odezwał się cicho Mac.

- Co?

- To camry stoi w warsztacie - sprostował. - Furgonetka jest na chodzie, czasem tylko nawala rozrusznik.

- Nieważne. - Layla machnęła ręką. Przywykłam i do tego, że z dwu pojazdów należących do Chathamów jeden był zawsze zepsuty. - W każdym razie w tej chwili nie mamy żadnego samochodu.

Zapewne Rosie miała w tej sprawie wiele do powiedzenia, bo Layla nie odzywała się przez dłuższą chwilę. W końcu, najwyraźniej zmuszona siostrze przerwać, oświadczyła:

- Rosie, możesz sobie mówić, co chcesz, ale i tak nie mogę ci pomóc. Dobra, z wzajemnością - prychnęła.

- Hej! - zawołał Mac. - O co chodzi?

- Chce, żeby ją podwieźć na lodowisko. To jakiś łyżwiarski alarm. - Layla skrzywiła się, a potem odsunęła telefon od ucha, gdy Rosie głośno zareagowała. A potem zwróciła się do mnie: - Kiedy Rosie czegoś chce, zawsze jest alarm.

- Możemy ją tam zawieźć, jak tata wróci - powiedział Mac. - Za jakieś pół godziny.

Layla przekazała te słowa, po czym poinformowała:

- To nie wchodzi w rachubę. I owszem, tylko ją cytuję, gdybyś się dziwił.

Mac wzruszył ramionami i wrócił do książki, a Rosie nie przestawała mówić.

- Ja mogę ją podwieźć - zaproponowałam. - To znaczy jeśli chcecie.

- Naprawdę nie musisz tego robić - odparła, po czym odezwała się do słuchawki: - Nic. Po prostu Sydney jest dla ciebie stanowczo zbyt uprzejma.

- To naprawdę drobiazg - przekonywałam. - Mam być w domu dopiero o szóstej.

Layla spojrzała na mnie sceptycznie.

- Nie musisz robić nic dla mojej siostry.

- Wiem, ale chętnie ją tam zawiozę.

Czułam, że przynajmniej tyle mogę zrobić. Bo choć chciałam zapłacić za śniadania Layli w dniach, gdy u mnie nocowała, a także za film, który oglądałyśmy, zdecydowanie odmówiła.

- To ja powinnam ci dziękować, że mogłam spędzić weekend w twoim domu, zamiast z moją zwariowaną rodziną - oświadczyła. Skoro więc nie mogłam się

odwdzięczyć, była to przynajmniej jakaś próba rewanzu.

Dziesięć minut później skręcałyśmy w zaciszną uliczkę zaledwie kilka przecznic od Seaside. Domy były tam małe, a na podwórkach obok huštawek i mebli ogrodowych tłoczyły się samochody. Na samym końcu stał parterowy budynek z cegły, a obok niego garaż. Trawnik w wielu miejscach wyłysiał, a z boku dostrzegłam cztery samochody w różnym stopniu rozpadu. Nad drzwiami wisiał ozdobny baner z napisem: „Wesołych Świąt”, choć był dopiero wrzesień. Za domem rozciągał się las.

Nigdy nie widziałam tak wysokich drzew jak te, które tu stały. W Arbors rosły dęby, niskie krzewy i wielkie cedry. Tu zaś wyłącznie skupione blisko siebie potężne sosny. Po raz pierwszy naprawdę zrozumiałam, co znaczy „gęsty las”. Miałam wrażenie, że wszystkie te domy rozrzucono wzdłuż drogi tylko po to, by prowadziły do tej ciemnej gęstwiny.

- Witaj w raju - odezwała się Layla kwaśnym tonem, gdy zaparkowałyśmy przy krawężniku. Wsiadłyśmy, a ja natychmiast spojrzałam na potężny baldachim zieleni nad naszymi głowami. - Niesamowity jest ten las, prawda? Kiedy byłam dzieckiem, śniły mi się z jego powodu koszmary. Do tej pory nie zasnę, nie opuszczając rolet.

Weszła po kilku schodkach prowadzących do drzwi frontowych, a ja ruszyłam za nią. Z bliska zobaczyłam, że baner z napisem: „Wesołych Świąt” jest tak stary, że wręcz przezroczysty. Prześwitywały przez niego promienie słońca. Layla przekreśliła gałkę w drzwiach i je pchnęła.

- To ja! - zawołała w głąb domu. - Jestem z Sydney. Lepiej się pospiesz, Rosie.

Weszła, przytrzymując dla mnie drzwi.

Znalazłszy się w środku, dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że nie jestem w holu ani w w sieni, lecz od razu w salonie.

Był bardzo czysty, ale zagracony. Na kominku tłoczyły się fotografie w ramkach, a na stoliku do kawy stały małe pudełka z różnych materiałów - drewna, delikatnej macicy perłowej oraz lśniącego chromu - i różnej wielkości. Półkę powyżej zdobiła kolekcja kufli do piwa, a ramkę na zdjęcie wypełniały asy z talii kart. Duża kanapa przykryta kocami w afgańskie wzory oraz niewielka kozetka zarzucona haftowanymi poduszkami stały frontem do płaskiego telewizora na przeciwległej ścianie. Był tam jeszcze mocno wytarty rozkładany fotel z podnóżkiem, a po jego bokach dwa niskie stoliki. Na jednym stały wysoki kubek termiczny ze słomką, wielka puszka z mieszanką orzechów i pudełko chusteczek higienicznych. Na drugim dostrzegłam stertę pism, dwa piloty, telefon i rząd butelek z lekami i witaminami. Chociaż fotel był w tej chwili pusty, nie ulegało wątpliwości, że pokój

należy do osoby, która w nim zasiada, nieważne, czy jest obecna, czy nie.

Layla przeszła po szarobłękitnym dywanie do kuchni, ale nikogo nie znalazła. Wróciła i rzuciła torbę na kanapę.

- Typowe - westchnęła. - Proszę, usiądź. Pójdę jej poszukać.

Gdy zniknęła w korytarzu na prawo, podeszłam do kanapy i sięgnęłam po jeden z koców, chcąc go odsunąć i usiąść. Tymczasem moja ręka zamiast dotknąć materiału, natrafiła na coś twardego i ciepłego. Poczułam na niej zęby.

Krzyknęłam, gwałtownie odskakując. Wciąż stałam, przyciskając dłoń do piersi, kiedy wróciła Layla.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona.

- Tam coś jest... Podniosłam koc, a wtedy... - wykrztusiłam, wskazując głową kanapę.

Podeszła do niej i niczym magik wykonujący sztuczkę z serwetką odrzuciła koc. Moim oczom ukazały się trzy bardzo małe i bardzo brzydkie pieski, które łypały na mnie nieprzychylnym wzrokiem.

- Przepraszam - powiedziała. - Coś ci zrobiły?

Spojrzałam na swoją dłoń. Nie krwawiła, ale czubek palca wskazującego pulsował z bólu.

- Nie, nic takiego - skłamałam.

- Moje biedne, paskudne maleństwa - rozczuliła się, biorąc największego pieska w ramiona. Miał krótką, szorstką sierść, łysy łeppek i krągłe jak paciorki oczka, z których jedno zerknęło na mnie, gdy zaczęła drapać go za uszami. Pozostałe dwa wsunęły się pod inny koc, zapewne oczekując na kolejną ofiarę. - Ale je kochamy. Trudno.

- Co to za rasa? - spytałam, gdy stwór, którego trzymała na rękach, czknął tak głośno, jakby był dwukrotnie większy.

- Żadna. To tylko rozpaczliwie przerasowane wybryki natury. - Pocałowała łysy łeppek. - To jest Ayre, a dwa pozostałe nazywają się Destiny i Russell.

Odpowiedź utknęła mi w gardle.

- Tak samo jak... w „Big New York”?

Przechyliła głowę na bok.

- Tylko mi nie mów, że ty też oglądasz ten program.

- A jednak - wyznałam, chociaż słowo „oglądać” było poważnym niedomówieniem. Nim ją poznałam, było to jedyne zajęcie, jakie wypełniało mi całe popołudnie. - Oglądałam każdą z kolejnych części.

- No to teraz już wiem, dlaczego lubię tę dziewczynę! - rozległo się za mną.

Odwróciłam się i ujrzałam panią Chatham. Ubrana w czerwony dres, podpierając się laską, zmierzała korytarzem w naszą stronę. Asekurowała ją Rosie ze swą normalną kwaśną miną. Na ramieniu miała sportową torbę Nike.

- Jesteś w drużynie Rosalie czy w drużynie Ayre?

Nie musiałam zastanawiać się nad odpowiedzią.

- Oczywiście, że w drużynie Ayre.

- No to możesz zostać - oznajmiła z uśmiechem pani Chatham.

Layla wzniosła oczy do góry, podczas gdy jej matka, dotarwszy do celu, wolno osunęła się na fotel. Tymczasem Rosie zdjęła z kanapy afgański koc (słyszałam, jak psy warknęły na nią, a potem na siebie), a Layla wzięła termiczny kubek i wyszła do kuchni. Chwilę później wróciła, dokręcając przykrywkę, i postawiła go z powrotem na stoliku.

- Dzięki, skarbie - powiedziała pani Chatham, gdy Rosie otulała ją kocem. - I przestańcie się już krzątać. Mam wszystko, czego mi trzeba. Nie powinnaś się spóźnić, mimo że Arthur odezwał się w ostatniej chwili.

- Wrócimy zaraz, jak tylko przyjedzie po nas Mac - zapewniła Layla. - I przez cały czas będę miała włączony telefon.

- Naprawdę potrafię spędzić kilka godzin samotnie. A teraz wynocha! Wszyscy.

Machnęła ręką i córki się odsunęły. Rosie podniosła torbę, a Layla podeszła do telewizora, włączyła go i nastawiła odcinek „Big Chicago”, którego jeszcze nie widziałam. Na ekranie Elena, żona majątnego męża, zalewała się łzami, lecz jej makijaż był nadal nieskazitelny. Pani Chatham z uśmiechem rozsiadła się w fotelu. Wychodząc, słyszałam jeszcze, jak wzmacnia głos.

- Niezła fura - stwierdziła Rosie, gdy wsiadałyśmy do mojego samochodu. Podobnie jak wcześniej jej siostra, z uznaniem przesunęła dłonią po skórzanym fotelu, a potem wysunęła głowę przez rozsuwany dach. - To wersja sportowa?

- Nie - ucięła Layla. - Chyba widzisz koła.

- Naszym autom daleko do tego. - Rosie opadła na oparcie. - Mogłabym się łatwo przyzwyczać.

- Nie radzę - prychnęła Layla. - Sydney robi ci wielką uprzejmość.

- Doceniam to.

- Może więc powinnaś dać temu wyraz.

- To naprawdę drobiazg - przerwałam im. - I tak nie znoszę wracać po szkole do pustego domu.

Zamilkły, wyraźnie zainteresowane. Mimo że nie odrywałam wzroku od drogi, czułam, że obie na mnie patrzą.

- Naprawdę? - zdziwiła się Rosie. - Dlaczego?

- Nie bądź wścibska - nauczyła ją Layla.

- O co ci chodzi? Nikt nie mówi takich rzeczy, jeśli nie chce, by go o nie spytano.

- Teraz dla odmiany bawisz się w psychologa?

Zaniepokoiłam się, że te uszczypliwości doprowadzą do prawdziwej kłótni.

Trudno byłoby nad tym zapanować w małej przestrzeni samochodu. Powiedziałam więc tylko:

- Bo czuję się jakoś... nieswojo, od kiedy nie ma tam mojego brata. Pewnie jestem po prostu samotna. W każdym razie cieszę się, jeśli mam jakieś zajęcie. Naprawdę.

Czułam, że siedząca za mną Rosie chce zadać więcej pytań, ale Layla opuściła osłonę przeciwsłoneczną, mierząc ją w lusterku surowym spojrzeniem. Resztę drogi, niezbyt zresztą długiej, spędziłyśmy w milczeniu.

Gdy dotarliśmy na lodowisko, Rosie poszła do szatni, natomiast Layla ustawiła się w kolejce po frytki. Patrząc, jak kobieta za ladą wrzuca je do papierowego kubka, westchnęła.

- Przepraszam za te kłótnie, ale moja siostra doprowadza mnie do szału.

- Nic się nie stało.

- Ona po prostu jest taka... - Znów westchnęła, grzebiąc w koszyku z opakowaniami keczupu, jakby któryś mógł być lepszy od innych, choć znając ją, wiedziałam, że w końcu taki znajdzie. - ...Roszczeniowa. Jakby wszyscy byli jej coś winni. Zawsze taka była.

- Przypomina w tym mojego brata - powiedziałam. - Myślałam, że to cecha jedyneków. Ale może tacy są wszyscy pierwородni.

- Myślę, że w tym przypadku to cecha Rosie. - Wybrała drugie opakowanie, a potem wzięła garść serwetek. - Kiedy była młodsza, mogła przynajmniej zwałać wszystko na łyżwiarstwo, na stres związany z zawodami...

- Była dobra, prawda?

- Niesamowita. - Layla pchnęła przez ladę pięciodolarowy banknot. - Oczywiście to nie tłumaczy jej zachowania. Ale wiedziałam, że przy całym swym charakterze jest też zdolna do czegoś pięknego. Dzięki temu łatwiej mogłam to znieść.

W jej słowach krył się pewien pokrętny sens. Bo choć mój brat nie miał tak efektownych umiejętności jak jazda figurowa na łyżwach, to przecież cechował go bezsporny urok. Zaczynałam rozumieć, że nikt nie jest samym złem. I że nawet najgorsza istota jest lub była kiedyś dla kogoś ważna.

Teraz, gdy wróciliśmy na trybuny, patrzyłam, jak Layla zanurza kolejną frytkę w keczupie z pieprzem i bez przekonania wsuwa ją do ust. Niżej, na lodowisku,

modnie ostrzyżony blondyn w średnim wieku, w obcisłych czarnych spodniach z lycry, trenował mniej więcej dwunastoletnią dziewczynkę. Ze swą drobną, gibką sylwetką i włosami związanymi w koński ogon przypominała łyżwiarki, które podziwiałam w sobotnich telewizyjnych programach sportowych. Każdorazowo, gdy po skoku lądowała na lodzie, wyraz twarzy trenera wystarczał za ocenę.

- To jest Arthur - poinformowała Layla, gdy dostrzegła, że mu się przyglądam. - To przez niego mam krzywe zęby i tak już zostanie.

- Nie masz krzywych zębów.

- Ale nie mam też prostych. Takich jak na przykład twoje. Nosilaś aparat, prawda?

Skinęłam głową.

- Nienawidziłam tego.

- No tak, za to spójrz na siebie teraz. - Skubnęła kolejną frytkę. - Dentysta twierdził, że też powinnam go nosić. Ale prywatne lekcje z trenerem klasy Arthura nie były tanie, więc...

Dziewczyna na lodzie właśnie wykonała skok i teraz okrążała lodowisko, przygotowując się do następnego.

- Rosie naprawdę myślała o olimpiadzie?

- Tak, ale nie wyszła poza rozgrywki okręgowe. Zdecydowała się więc podjąć pracę w objazdowym zespole Mariposa, co przynajmniej odciążyło rodziców finansowo. Byłam wściekła, gdy ją nakryli, a potem wyrzucili. - Pokręciła głową. - Żeby być tak głupią... to nie do wiary. Przez to wszystkie te lata i wszystkie pieniądze poszły na marne.

Gdy to mówiła, na lodzie pojawiła się inna dziewczyna. Uplęnęła co najmniej minuta, nim rozpoznałam w niej Rosie. Może była to sprawa odległości, a może łyżwiarskiego tempa, ale wyglądała zupełnie inaczej. Zaczęła krążyć po zewnętrznej krawędzi lodowiska, stopniowo nabierając szybkości, ale nawet w najprostszych ruchach była lepsza od dziewczynki, którą obserwowaliśmy wcześniej. Miała naturalną, zniewalającą grację, w której nie było śladu jej zwykłej postawy, znużonej i zgorzkniałej. Zamiast kurczyć się w zimnie jak większość ludzi, nagle w nim rozkwitała.

Layla też się w nią wpatrywała, gdy przepłynęła obok nas raz, a potem drugi. Za trzecim obróciła się, podnosząc głowę na znak, że nas widzi. Layla odpowiedziała skinieniem i posłała jej uśmiech.

- Jest naprawdę zdenerwowana - wyjaśniła, jakby mówiła o sobie. - Ćwiczyła wprawdzie sama, ale dziś po raz pierwszy od tamtego wydarzenia zgodził się na nią



spojrzeć. Dlatego była taka wredna. W każdym razie również dlatego.

Zamieniwszy kilka słów z Arthurem, dwunastolatka zeszła z lodowiska, a on przywołał Rosie. Przez chwilę rozmawiali, a potem polecił gestem, by okrążyła lodowisko, i pilnie ją obserwował.

- Jezu, nie mogę na to patrzeć. Nawet kiedy ona ćwiczy, wariuję ze zdenerwowania. W czasie zawodów tak świrowałam, że mama wysyłała mnie po frytki. - Wyciągnęła telefon, wpisała hasło, po czym otworzyła plik ze zdjęciami. - Spójrz na to.

Podziała mi telefon. Na ekranie pojawiło się nagranie wideo. Ukazywało inne lodowisko, o znacznie wyższym standardzie. Pośrodku wirowała Rosie. Najpierw wolno, z szeroko rozpostartymi rękami, po czym zaczęła przyspieszać, przyciągając je do siebie, aż w końcu przemieniła się w wirujący tuman mgły. Odległa metaliczna muzyka nagle ucichła, a wtedy i ona w ułamku sekundy zastygła z odrzuconą w tył głową. Kiedy tysiące widzów zaczęły klaskać i wiwatować, tylko się uśmiechnęła.

- To był jej ostatni sezon. - Przeszła do następnego zdjęcia, na którym pani Chatham, wyraźnie w lepszym zdrowiu, pozowała z Laylą, Rosie (trzymającą olbrzymi bukiet róż) i wielką statuetką. Obok, w połowie obcięty przez kadr, stał chłopak w bezkształtnej bluzie i džinsach. Początkowo myślałam, że to przypadkowy widz. Aż nagle pojęłam.

- Czy to... - Zamilkłam, a potem podniosłam telefon, wpatrując się w ekran.

- Mac - dokończyła za mnie. - Tak, to on.

Wyciągnęłam dłoń, żeby kciukiem i palcem wskazującym powiększyć ten fragment zdjęcia, aż w końcu ekran wypełniła jego postać. Ze swą zwalistą budową i wypryskami na twarzy zdawał się kimś zupełnie innym. Nie mogłam wprost uwierzyć, że to on. Ale miał te same oczy i lok, który niesfornie opadał mu na czoło.

- Uau... Co on takiego...

- Schudł piętnaście kilo. Na początek. A gdy zaczął zdrowiej się odżywiać, cera też mu się poprawiła. - Wzięła kolejną frytkę. - Niesamowite, co? Czasem, gdy widzę, jak wchodzi do domu, zastanawiam się, kto to jest.

- Nie mogę uwierzyć, że tak wyglądał.

- Uwierzyłabyś, gdybyś wiedziała, jak i co jadł. Ten chłopak wręcz żarł. Wyglądał jak Irv, ale bez jego wzrostu, mięśni i formy futbolisty. Pał się na śmieciowym jedzeniu.

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić. - Nie mogłam oderwać wzroku od tej nalanej, pokrytej wypryskami twarzy. - Ale dlaczego w końcu postanowił się zmienić?

- A ty byś nie chciała? - spytała, wskazując zdjęcie, po czym połknęła frytkę. - Myślę, że obrzydła mu rola grubasa. Był nim przecież, odkąd pamiętam. Rosie była utalentowana, ja urocza, a on gruby.

Nie dziwiło mnie wcale, że całe ludzkie życie można łatwo sprowadzić do jednego słowa. I to nie przez nas wybranego. Wiedziałam o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Ale za każdym razem, gdy mi to uświadamiano, pragnęłam, by tak nie było.

- Jak to się stało, że schudł?

- Zaczął od marszów po lesie, potem trenował jogging, a na koniec biegi. Wstawał wcześniej i przed wyjściem do szkoły znikał na całe godziny. Zresztą dalej tak robi, codziennie.

- Niesamowite.

- Wystarczy, że słyszę, jak wychodzi o wpół do szóstej rano, a już czuję się zmęczona - dodała. - Poza tym nie je nic dla przyjemności. Wyłącznie proteiny, warzywa i owoce. Nie wytrzymałabym na tym nawet dnia. A może i godziny.

Z lodowiska dobiegł okrzyk i obie spojrzałyśmy na Rosie, która właśnie wykonała skok, najwyraźniej słabo lądując. Arthur pokręcił głową, a potem krótko coś warknął. Rosie skinęła głową i z dłońmi wspartymi na biodrach zatoczyła krąg.

- Uff! - Layla wytarła palce w serwetkę. - Nie wytrzymuję tego nerwowo, to zbyt stresujące. Zaraz pójde po więcej tych okropnych frytek, żeby się uspokoić.

Uśmiechnęłam się i spojrzałam na zegarek. Piąta czterdzieści pięć. Za piętnaście minut miałam być w domu, co znaczyło, że jeśli nawet wyjadę natychmiast, to i tak muszę się sprężyć. Nie spieszyło mi się jednak do kolacji i rozmów na temat Dnia Rodzin w Lincoln. Stałam, patrząc, jak Rosie wykonuje piruet za piruetem, by w końcu zasłużyć na blady uśmiech Arthura. Layla, widząc to, głośno odetchnęła.

- Do zobaczenia jutro - rzuciłam, zbierając rzeczy. - Wybacz, że nie mogę odwiedzić was do domu.

- Nie szkodzi. Mac zawsze jest gdzieś w pobliżu. Zrobiłaś więcej niż dość.

Uśmiechnęłam się, pomachałam jej i zeszłam po schodach do wyjścia. Zanim jednak otworzyłam drzwi prowadzące do holu, odwróciłam się i w tej samej chwili Rosie wykonała swój najlepszy skok, wylądowała czysto i lekko popłynęła w dal. Pomyślałam, że to właściwe pożegnanie - wszystko choć przez sekundę wydawało się idealne. Odjechałam, nie czekając, aż się to zmieni.

## Rozdział dziewiąty

- No nareszcie jesteś! - Jenn wyciągnęła rękę, łapiąc mnie za nadgarstek i wciągając do środka z okrzykiem: - Tak bardzo, bardzo się cieszę! Wieki cię nie widziałam.

Kiedy jednak wycisnęła mi na policzku gorący pocałunek, ogarnął mnie niepokój. Moja przyjaciółka miała wiele ujmujących cech, ale z całą pewnością wylewność do nich nie należała.

- Hej - powiedziałam, gdy zaczęła ciągnąć mnie przez korytarz. - O co chodzi?

- Będzie super zabawa - odparła. - No chodź, musisz poznać Margaret.

Ciągnęła tak mocno, że nie miałam innego wyboru, niż dać się wprowadzić do kuchni. Wchodząc tam, ujrzałam Meredith stojącą z niewyraźną miną przy wyspie i odwróconą plecami czarnowłosą dziewczynę, która wrzucała lód do blendera.

- Jest Sydney! - wrzasnęła Jenn, która nigdy nie była hałaśliwa. - Trzeba jej nalać drinka.

- Oczywiście. - Margaret odwróciła się do mnie. Miała długie ciemne włosy opadające na ramiona, jasnobłękitne oczy i kilka piegów. Była śliczną dziewczyną o inteligentnym spojrzeniu, czego nie mogłam nie dostrzec. - Właśnie przyrządzam świeżą partię. Zaraz ci naleję.

Dopiero teraz, gdy odsunęła się, by sięgnąć do kredensu, dostrzegłam butelkę rumu. Spojrzałam na Meredith, która trzymała w dłoni nietkniętą pełną szklanekę. W pozostałych dwóch stojących na blacie zostały tylko na dnie jakieś fusy.

- Co wy pijecie? - spytałam.

- Piña colada - oznajmiła Jenn. - Według specjalnego przepisu Margaret. To jest boskie.

- Podstawą jest lód. - Margaret napełniła nową szklanekę, a potem dołała drinki do dwóch pustych. - Ludzie nie zdają sobie z tego sprawy.

Kiedy podała mi szklanekę, wzięłam ją, ale nie zamoczyłam nawet ust.

- Twoich rodziców nie ma w domu? - zwróciłam się do Jenn.

- Skądże, siedzą w salonie - odparła. Kiedy jednak posłałam jej wymowne spojrzenie, zawołała: - Żartuję! Jasne, że ich nie ma. I nie będzie przez całą noc. Powiedziałam im, że idziemy do Antonelli na pizzę, a potem będziemy oglądać filmy.

- A nie idziemy? - spytałam.

- Masz na to ochotę? - Margaret obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem.

- Nie - powiedziałam. Jej ton i sposób uniesienia brwi sprawiły, że zrobiłam to odruchowo. - Nie wiedziałam tylko... Od kiedy ty pijesz alkohol, Jenn?

Odstawiła szklankę, po czym otarła dłonią usta.

- O co ci chodzi? Przecież piłam już przedtem.

- Kiedy?

- Zawsze. Dobrze o tym wiesz, Sydney.

Margaret przyglądała się tej wymianie słów z lekkim rozbawieniem. Stojąca przy wyspie Meredith podniosła szklankę i pociągnęła łyk.

- Mhm - mruknęłam, nie chcąc przypominać, że znam Jenn od przedszkola i nigdy nie widziałam, by wypić więcej niż mały łyk wina na Boże Narodzenie, i to pod nadzorem rodziców. Powąchałam zawartość mojej szklanki. - Co w tym jest?

- Och, po prostu wypij. - Margaret machnęła ręką. - Odprężysz się.

Spojrzałam na nią.

- Nie muszę się odprężać.

Wypiła swoją porcję jednym haustem.

- Chciałabym zwrócić uwagę, że to są urodziny. Więc trochę się zabawmy, okej?

- Popieram wniosek. - Jenn podniosła szklankę. Margaret zrobiła to samo i skinęła na Meredith, która ujęła swoją. Potem wszystkie spojrzały na mnie.

Wzięłam szklankę.

- Za Jenn. Wszystkiego najlepszego.

- Wszystkiego najlepszego - powtórzyły chórem. Brzęknęło szkło i Jenn wypić drinka dużymi haustami. Tylko Margaret nie piła, patrząc na mnie badawczo, tak że w końcu uniosłam szklankę do ust i pociągnęłam łyk. Dopiero wtedy zrobiła to samo, nadal nie spuszczając ze mnie wzroku.

- To jest naprawdę cool - uśmiechnęła się. - Teraz mamy imprezkę.

\* \* \*

- Po prostu do niego napisz. Nie zastanawiaj się, tylko działaj.

Jenn potrząsnęła głową, czerwieniąc się ze wstydu.

- Nie mogę. To okropne.

- Och, proszę cię... - Margaret sięgnęła przez całą długość kanapy i wyrwała jej telefon. - A więc ja to zrobię.

- Nie! - wrzasnęła Jenn, rzucając się, by wyrwać jej telefon. - Rany, Margaret, jeśli to zrobisz, przysięgam, że...

- Będiesz mi na wieki wdzięczna za przyprowadzenie faceta, za którym świrujesz. Do usług. - Zaczęła jedną ręką pisać, a drugą odpychała Jenn. - No i fru... zrobione. Teraz czekamy na odpowiedź.

- Nienawidzę cię - powiedziała Jenn z rozpaloną twarzą, ale się uśmiechała. Wedle moich obliczeń wypita już dwie szklanki, od kiedy przyjechałam.

- Być może - odparła Margaret. - Ale gdy on się tu zjawi, na pewno mnie pokochasz.

Ten, o którego chodziło, nazywał się Chris McMichaels. I wprawdzie moja najlepsza przyjaciółka nigdy mi o tym nie napomknęła, ale najwyraźniej od wieków była w nim nieprzytomnie zakochana. Margaret natomiast wiedziała, że Chris siedział za Jenn na lekcjach historii powszechnej, często pytał, czy pożyczy mu pióro lub papier, a w dodatku niedawno rozstał się ze swą wieloletnią sympatią Hannah Riggsbee. Był więc wedle jej słów „dojrzały do zerwania”.

- Myśli pewnie, że zwariowałam - jęknęła Jenn i objęła głowę dłońmi - wysyłając mu esemesa w piątek wieczór.

- Gdyby tego nie chciał, nie dałby ci numeru telefonu. - Margaret uzupełniła nadpitą zawartość szklanek.

- Mieliliśmy projekt grupowy!

Zbyła ją machnięciem ręki.

- Nieważne.

W tej samej chwili rozległ się telefon. Jenn sięgnęła po aparat, ale Margaret złapała go pierwsza, lustrując ekran.

- No proszę. Jest niedaleko i mówi, że wpadnie tu z kolegami.

- Co takiego? - Jenn pisnęła przenikliwie, wydzierając jej aparat. Przeczytała wiadomość, a potem spojrzała szeroko otwartymi oczyma. - Powiedziałaś mu, że pijemy?

- Ty powiedziałaś - odparła Margaret. - To imprezka, co nie?

- Łojezu! - Jenn złapała mnie za ramię. - Chris McMichaels może tu przyjść? Do mnie do domu? Nie wiem, czy zdołam to przeżyć.

- Jasne, że zdołasz. Zrobię ci jeszcze jednego. - Margaret zabrała pusty dzbanek, obróciła się na pięcie i ruszyła do kuchni. Zostałyśmy we trzy.

- Jenn - powiedziałam, patrząc, jak pije kolejny łyk. - Jesteś tego pewna?

- Czego na przykład?

Spojrzałam na Meredith, która miała równie niewyraźną minę jak ja.

- Posłuchaj, przecież ty nigdy nie pijesz. A teraz jeszcze zapraszasz facetów do domu?

Odwróciła się do mnie zirytowana.

- Co się dzisiaj z tobą dzieje?

- Ze mną? - zdziwiłam się. - To ty się dziwnie zachowujesz.

- Ja się tylko bawię, Sydney. Są moje urodziny.

- Wiem o tym - odparłam. - Mówisz do swojej najlepszej przyjaciółki, pamiętasz?

- No to czemu tak zrzedzisz? - Z westchnieniem potrząsnęła głową. - Naprawdę

jestem w szoku. Sądziłam, że z twoją historią będziesz ostatnią osobą, która się wypowie.

Meredith siedząca na końcu kanapy szeroko otworzyła oczy. Zmusiłam się, by wziąć głęboki wdech, nim odpowiedziałam:

- Z moją historią?

- No, twojego brata - odparła obojętnie Jenn. Z kuchni dobiegł odgłos włączonego blendera. - To znaczy rozumiem. Może myślisz, że jeśli piję, to także skończę w więzieniu. Nieprawda. Więc się uspokój, okej? Napij się i odpręż.

Nie wiedziałam nawet, co na to odpowiedzieć. Była nagle zupełnie obcą osobą, lecz miała znajome rysy i obyczaje, które znałam tak dobrze jak własne.

- Nie mogę uwierzyć, że wciągasz w to Peytona - zniżyłam głos.

Wzniosła oczy do góry.

- Och, uspokój się. To żaden wielki sekret. Margaret już o tym wie.

W tej samej chwili Margaret weszła do pokoju, trzymając w ręku dzbanek.

- O czym wiem? - spytała.

- O niczym. - Rzuciłam Jenn ostre spojrzenie. - Nieważne.

Następne pół godziny upłynęło Margaret na czymś, co nazwała ekspresową zmianą wizerunku Jenn. Polegało to na włożeniu bluzki z dekoltem, dodaniu biżuterii i domalowaniu kilku dodatkowych warstw tuszu na rzęsach. Margaret również się przebrała. W sukienkę, którą przywiozła ze sobą w torbie. Najwyraźniej, w odróżnieniu od nas trzech, przewidywała zmianę garderoby. Jednocześnie obie nie przestawały pić, a ich ruchy były coraz bardziej chwiejne. Żadna nie zauważyła, że Meredith i ja sączymy tylko wodę. O dziewiątej trzydziści, kiedy mieli przyjść chłopcy, Meredith się pożegnała.

- Sztywniaczka! - krzyknęła Margaret z kuchni, gdzie „budowała objętość” włosów Jenn, co najwyraźniej wymagało chmury lakieru.

- Nudziara - zawtórowała jej Jenn.

- Mam jutro pokaz - odezwała się cicho Meredith. - A to wszystko... jest dziwne.

- Właśnie. - Podniosłam do góry szklanekę.

Dotknęła jej swoją i uśmiechnęła się do mnie.

- Zostaniesz tu na noc?

- Nie chciałabym zostawiać jej w takim stanie.

Meredith spojrzała na kuchnię. Nagle dostrzegłam, że twarz Jenn robi się zielona. Oho - pomyślałam.

- Jesteś prawdziwą przyjaciółką, Sydney.

- Ty też. - Wyciągnęłam ręce, by ją objąć. - Powodzenia jutro.

- Dzięki.

Pomachała w stronę kuchni, ale tylko Margaret jej odmachnęła. Gdy zamknęły się za nią drzwi, wróciłam do Jenn.

- Co z tobą? - spytałam. - Nie wyglądasz za dobrze.

- Nic jej nie jest. Po prostu musi coś zjeść - odpowiedziała za nią Margaret, choć widziałam, że słysząc to, Jenn się krzywi. - Zamówmy pizzę. Jaki jest numer tego twojego ulubionego lokalu, Jenn?

- Oni nie rozwożą - wymamrotała, po czym wstała ze stołka barowego, wyciągając rękę, by utrzymać równowagę. - Muszę... iść do łazienki.

Przeszła przez pokój, podpierając się o ścianę. Margaret odprowadziła ją spojrzeniem, po czym pociągnęła ze szklanki.

- Nic jej nie będzie - powiedziała. - Mały paw pomaga się zresetować.

Patrzyłam, jak wyjmuje puderniczkę i przygląda się swojej twarzy.

Wtedy powiedziałam:

- Ona nie pije. To tak do twojej wiadomości.

- Jej pusta szklanka na to nie wskazuje - odparła, nakładając błyszczczyk na usta.

Przesunęła palcem wzdłuż warg, po czym spojrzała na mnie. - Słuchaj, kiedy przyniosłam tu rum, wcale nie protestowała.

- Pewnie chciała zrobić na tobie wrażenie.

- Czytasz w jej myślach?

- Jestem jej najlepszą przyjaciółką. Znamy się od przedszkola.

- A więc powinnaś rozumieć, że to dziewczyna, która umie dokonywać wyborów.

- Zamknęła z trzaskiem puderniczkę. - Idź sprawdzić, co z nią jest, dobra? A ja zamówię jedzenie, żeby coś było, jak przyjdą chłopcy.

Podniosła komórkę, dając mi do zrozumienia, że skończyła rozmowę. Czułam, że ogarnia mnie złość, gdy ruszyłam korytarzem do łazienki, skąd dobiegały odgłosy torsji. Cicho zapukałam, a potem otworzyłam drzwi.

- Hej, to ja.

Jenn klęczała nad sedesem, opierając głowę na ramieniu. Była straszliwie blada, a całe pomieszczenie wypełniała woń kokosu. Rany!

- Umieram - jęknęła. - I to w dniu urodzin, co będzie datą symetryczną, lecz pechową.

Uśmiechnęłam się. To była moja Jenn.

- Wcale nie umierasz. Jesteś tylko pijana.

- Czuję się okropnie. - Odwróciła się, by na mnie spojrzeć. Wilgotne pasma włosów lepiły jej się do czoła. Tak skończyło się „budowanie objętości”. - Nienawidzisz mnie?

- Co ty mówisz! - Zdjęłam ręcznik z poręczy przy umywalce i zamoczyłam w zimnej wodzie. - Dlaczego?

- Bo wspomniałam o Peytonie i zmusiłam cię do picia.

- Do niczego mnie nie zmuszałaś. - Podałam jej ręcznik. - Połóż go na twarzy. To pomoże.

Zrobiła, jak radziłam, a ja usiadłam na podłodze, opierając się o drzwi i podciągając kolana pod brodę.

- Nie lubisz Margaret - stwierdziła w końcu. I nie było to pytanie.

- Nie znam jej - odparłam wymijająco.

- Ona jest naprawdę sympatyczna, Syd. Daję słowo! I taka rozrywkowa. I wiesz, widzi mnie inaczej niż wszyscy. Myśli, że mogę się umawiać z Chrisem McMichaelsem i pić piña coladę. A także... być inna, niż jestem, wiesz?

Skinęłam głową, rozumiejąc to na swój sposób. I nie chodziło mi o tego chłopaka ani o alkohol, lecz o to, że z każdą nową przyjaźnią otrzymujemy czystą kartę.

- Brak mi ciebie - powiedziałam, czując się winna, że tak myślę, będąc teraz z nią.

- Mnie ciebie też. - Spojrzała na mnie ponownie. - Zostaniesz na noc? Wiem, że nie zamierzałaś, ale...

- Jasne. Przecież nie zostawię cię w takim stanie.

Mama odpowiedziała po drugim sygnale. Zdawała się przygnębiona. Początkowo sądziłam, że podejrzewa mnie o to, że dzwonię o tak późnej porze, bo chcę wymusić na niej zgodę, bym nocowała u Jenn. Zaraz jednak się okazało, że jak zwykle nie ma to ze mną nic wspólnego.

- Możesz zostać - odparła. - Tym bardziej że nie jedziemy jutro do Lincoln.

Zamrugałam ze zdziwienia.

- Nie jedziemy?

Cisza. A potem:

- Okazuje się, że twojemu bratu uchylono prawo do widzeń. No i naturalnie nie mogę się dowiedzieć z jakiego powodu, choć wielokrotnie próbowałam



skontaktować się z naczelnikiem zakładu.

Mówiła tak, jakby więzienie było szkółką, a kontakt z dyrekcją mógł cokolwiek załatwić. Nie po raz pierwszy zastanawiałam się, czy naprawdę rozumie, gdzie znajduje się Peyton.

- Przykro mi, mam, wiem, że na to czekałaś.

- Owszem. - Wydawała się zupełnie pokonana, a ja nie umiałam wyobrazić sobie nic gorszego od jej smutku. Wciąż się czegoś uczyłam. Chwilę później otrząsnęła się i powiedziała: - Przekaż Jenn moje najlepsze życzenia urodzinowe. Do zobaczenia jutro rano. Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Wróciłam do łazienki. Jenn wyglądała nieco lepiej, jej policzki lekko się zaróżowiły, nadal jednak opierała się o toaletę. Ruszyłam więc do Margaret, by przedstawić jej sytuację. W pół drogi do kuchni usłyszałam liczne głosy. Najwyraźniej chłopcy już przyszli. Gdy weszłam, stali wokół wyspy i otaczali Margaret, która rozdawała drinki. Była boso, a od czasu gdy widziałam ją ostatnio, usminkowała usta na czerwono. Na mój widok uśmiechnęła się, jakbym była jej starą przyjaciółką.

- Sydney! - wykrzyknęła, a chłopcy odwrócili się w moją stronę. Oczywiście wszystkich ich znałam, bo chodziliśmy razem jeszcze do przedszkola. Oprócz Chrisa McMichaela, którego siostra uczęszczała do jednej klasy z Peytonem, był tam jeszcze Charlie Jernigan, który też mieszkał w Arbors, i Huck Webster, kapitan drużyny piłkarskiej w Perkins Day. - Jak tam nasza solenizantka?

- W porządku - odparłam, podchodząc do nich. Chris pił już ze swojej szklanki, natomiast Charlie i Huck wciąż wachali jej zawartość. - Za chwilę przyjdzie.

- Nalałam ci świeżą porcję. - Margaret podała mi drinka. - Masz nieco do nadrobienia.

Bez słowa wzięłam od niej szklanekę i wypilaam łyk. Prawdę mówiąc, woń napoju nieznośnie przypominała mi łazienkę, z której przed chwilą wyszłam, ale nie zamierzałam prowokować komentarzy.

- Dzięki.

- Jak tam w nowej szkole, Sydney? - spytał Charlie. - Podoba ci się?

Skinęłam głową.

- Jest niezła. Zupełnie inna.

- Słyszałam, że przeniosłaś się do Jackson - odezwała się Margaret. - Dlaczego?

- Potrzebowałam zmiany.

- To bardziej rewolucja niż zmiana. - Obciągnęła obcisłą sukienkę. - Podobno

codziennie są tam bójki, i to między dziewczynami. Moja koleżanka, która tam chodziła, bała się wejść do toalety.

- Bzdury - ucięłam.

- A poza tym Sydney to twarda sztuka. - Chris uśmiechnął się do mnie. - Nikt jej nie podskoczy.

- Fakt - potwierdziłam. - Budzę powszechną panikę.

Chłopcy parsknęli śmiechem. Margaret przekręciła pierścionek na palcu i westchnęła.

- Nudzi mi się. Zagrajmy w pijaka. Kto ma ćwierćdolarówkę?

Ruszyła do stołu, trzymając w ręku dzbanek, a chłopcy podążyli za nią. Ja natomiast poszłam sprawdzić, co z Jenn. Gdy otworzyłam drzwi łazienki, leżała na podłodze pogrążona w głębokim śnie. Tak skończyły się urodziny.

- Hej, Jenn. - Uklękałam obok, szarpiąc ją za ramię. - Obudź się.

- Jeszcze za wcześnie - wymamrotała. Obróciła się do ściany i przycisnęła policzek do kafelków.

Wtem rozległo się głośne pukanie. Instynktownie wyczułam, że to któryś z chłopców.

- Chwileczkę! - zawołałam.

- O... przepraszam. - Rozległ się odgłos oddalających się kroków.

Z kuchni dobiegał śmiech Margaret.

- Jenn - powtórzyłam, znów ją szarpiąc. Mocno zacisnęła powieki, jakby w ten sposób mogła się mnie pozbyć. - Musisz wstać. Chyba nie chcesz, żeby Chris zobaczył cię w tym stanie, prawda?

Jęknęła, wyraźnie niezadowolona, ale pozwoliła mi się podeprzeć, gdy usiłowałam zmusić ją, by usiadła. Nagle otworzyła oczy.

- Chris tu jest? Serio?

- Owszem, w kuchni. Z Margaret.

Głowa opadła jej na piersi.

- O Boże, to straszne. I tak nie miałam szans, ale jeśli zobaczy mnie w tym stanie...

- Nie ma obawy - zapewniłam. - Spróbuj tylko wstać. Wyprowadzę cię jakoś.

Znów jęknęła, ale się podparła i w końcu zdołała dźwignąć się na nogi. Ja tymczasem otworzyłam drzwi i wyjrzałam na korytarz. W kuchni wszystkich pochłaniała gra. Margaret siedziała u szczytu stołu, Chris naprzeciw niej, a Charlie i Huck po obu jej stronach. W chwili gdy na nich patrzyłam, Chris wrzucił do kubka monetę, a potem wskazał na Margaret. Uśmiechnęła się, podnosząc szklankę.

Odwrociłam się do Jenn, która kurczowo trzymała się umywalki.

- Chodź. Teraz albo nigdy.

Wsunęłam rękę pod jej ramię i dowlokłam ją do drzwi, po czym zgasiłam światło.

Wyszliśmy na ciemny korytarz. Dzielilo nas niewiele ponad metr od salonu, przez który zamierzałam dostać się na schody prowadzące na górę do sypialni. Ale po kilku krokach poczułam, że Jenn rozpaczliwie ściska mi rękę. Stałam.

- Nie mogę. Znow mnie mdli - wyszeptała.

Czekałam, wstrzymując oddech. Po chwili odetchnęła.

- Dobra, idziemy.

Minęliśmy sofę, stolik do kawy i pianino, zatrzymując się jeszcze dwukrotnie.

W chwili gdy mijałyśmy drzwi frontowe, rozległ się dzwonek.

- O Boże! - jęknęła Jenn, ponownie ściskając mi rękę. - Zaraz zwymiotuję...

Tym razem czułam, że to nieuchronne. Nie namyślając się, błyskawicznie otworzyłam drzwi i wypchnęłam ją na zewnątrz. Uchwyciła się kutej balustrady i zaczęła wymiotować w rosnące przy ganku krzewy. Na schodach przed nią w koszulce z napisem „Seaside Pizza” stał Mac Chatham.

Początkowo nie dotarło to do mnie. Miałam wrażenie, że wszystko to jest snem.

Gdyby nie wymiotująca obok Jenn.

Mac ostrożnie się odsunął, gdy znow wstrząsnął nią atak torsji, po czym spojrzał na mnie, unosząc brwi.

- Cześć - zdołałam wykrztusić wśród odgłosów, które wydawała. - Co się stało?

Spojrzał na mnie spokojnie.

- Zamawiałaś pizzę?

- Ja nie - powiedziałam. Teraz wydawał się zmieszany. - To znaczy oni zamawiali.

Albo ta dziewczyna tutaj. Nie zdawałam sobie sprawy...

- Sydney... - jęknęła Jenn, a potem osunęła się na schody u jego stóp. - Ratuj...

- Przepraszam. - Rzuciłam mu skruszone spojrzenie.

Zamknęłam drzwi za sobą i uklękłam obok niej. Przesunęłam dłonią po jej splątanych, zlepionych włosach, a potem próbowałam wytłumaczyć:

- No bo... ona ma dziś urodziny.

- Aha - odchrząknął. - No to... wszystkiego najlepszego.

W tym momencie Jenn oparła się na mnie. Zanim zdołałam zareagować, jej głowa leżała na moich kolanach, a podkulone nogi wciskały się w balustradę. Siedziałam, nie wiedząc, co robić. Chwilę później zaczęła chrapać.

Podniosłam wzrok na Maca.

- Poczekaj... mam pieniądze w kieszeni. Ile jestem winna za pizzę?

Sądziłam, że odpowie, przyjmie zapłatę i z ulgą odjedzie. W końcu trudno było wyobrazić sobie bardziej nieprzyjemną sytuację niż ta, na którą się natknął. Tymczasem zdumiał mnie reakcją, która – jak z czasem miałam się przekonać – była dla niego oczywista.

– Najpierw wnieśmy ją do środka. Chyba nie chciałaby, żeby sąsiedzi to widzieli.

Miał rację. Domy przy tej ulicy stały blisko siebie i we wszystkich paliły się światła.

– Nie musisz mi pomagać. Naprawdę.

Nie odpowiedział, tylko podał mi pudełka z pizzą. Wzięłam je, niepewna, o co mu chodzi, on zaś schylił się, biorąc Jenn na rękę. Jej głowa opadła mu na ramię.

– Prowadź – polecił.

Ruszyłam przodem. Tuż za drzwiami położyłam pudełka z pizzą na stoliku, potem weszłam na schody, a następnie korytarzem dotarliśmy do ciemnej sypialni Jenn. Gdy zapalałam światło, wchodząc do środka, pomyślałam, że w najśmielszych snach nie umiałabym sobie wyobrazić, że zakończę ten wieczór w jakiejś sypialni obok Maca Chathama.

On natomiast zachowywał się tak swobodnie, jakby regularnie kładł do łóżka pijane nieznanome. Choć miałam nadzieję, że tak nie jest. Czując pod sobą materac, Jenn stęknęła, zwinęła się w kłębek i wcisnęła twarz w poduszki. Nachyliłam się, by zdjąć jej buty.

– Trzeba jej zostawić szklankę wody – poradził. – I przysunąć kosz na śmieci, jeśli tu jakiś jest.

Znalazłam kosz, postawiłam go przy łóżku, a na stoliku obok zostawiłam wodę i wilgotny ręcznik. Potem cofnęłam się, stając obok Maca, który był już w drzwiach.

– Ona nigdy nie pije – powiedziałam. – Nie wiem, co sobie myślała.

– Pewnie nic – odparł. – To się zdarza. Zwłaszcza w urodziny.

– Nic jej nie będzie? Na pewno?

– Po prostu musi się przespać.

Wciąż niespokojna, przygryzłam wargę.

– Sydney, nic jej nie grozi.

Jego ton, sposób, w jaki wymówił moje imię, był tak kojący i budzący zaufanie, że poruszył mnie bardziej niż wszystko, co dotąd zrobił.

– Dziękuję. – Spojrzałam na niego z wdzięcznością. – Naprawdę nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś się nie pojawił.

– Wszyscy dostawcy pizzy przechodzą taki trening. To obowiązkowe.

Czułam, że się uśmiecham, patrząc mu w oczy, nim zdałam sobie sprawę, że od

czasu, gdyśmy się poznali, po raz pierwszy rozmawiam z nim sam na sam. Co więcej, nie czerwieniłam się i nie jękałam. Któż by przypuszczał, że ten wieczór skończy się tak zupełnie inaczej, niż się zaczął, mimo że wszystko rozgrywało się w tym samym miejscu.

- Powinam cię już puścić - powiedziałam. - Na pewno masz jeszcze jakieś zamówienia.

- Nie, to było dziś ostatnie. - Podniósł rękę i potarł czoło. - Ale muszę wracać. Mam jeszcze skoczyć do Webstera po frytki i hamburgery dla mamy i Layli. One bardzo poważnie traktują swoje posiłki.

- Coś już o tym wiem.

Wyszliśmy na korytarz, a ja zgasiłam światło w pokoju Jenn i cicho zamknęłam drzwi. W połowie schodów prowadzących na dół natknęliśmy się na Margaret i Chrisa.

- Sydney? - zdumiała się, a jej oczy zrobiły się okrągłe, gdy dostrzegła idącego za mną Maca. - Co ty tu robisz?

Zważywszy na to, że była sama z chłopakiem, w którym Jenn się kochała, w domu Jenn i w drodze na piętro, gdzie mieściły się wyłącznie sypialnie, powinienam spytać ją o to samo. Ale rzuciłam tylko:

- To jest Mac. Mój kolega ze szkoły.

- Kolega... - powtórzyła, przeciągając ostatnią samogłoskę. Spojrzała na Chrisa. - A co oboje robiliście na górze?

- Sprawdzaliśmy, jak się czuje Jenn. - Spojrzałam na nią, mrużąc oczy. - Tak samo jak teraz wy, prawda?

- Tak - odparła bez sekundy wahania. - Oczywiście.

Wyminęłam ją bez słowa i ruszyłam po schodach. Mac szedł za mną. Kiedy ją mijaliśmy, spostrzegłam logo na jego koszulce.

- Chwileczkę. - Odwróciła się, spoglądając na nas z góry. - Czy... to ty przywiozłeś nam pizzę? - spytała z półuśmiechem, drwiąco intonując zdanie.

Nie miałam już wątpliwości, że jej nie znoszę, ale teraz załała mnie wściekłość. Właśnie chciałam jej powiedzieć, gdzie może sobie wsadzić swoją pizzę, ale Mac odezwał się pierwszy:

- Płacisz siedemnaście czterdzieści dwa. Proszę o drobne.

Margaret zmierzyła go lodowatym spojrzeniem. On jednak, bynajmniej niespeszony, patrzył jej prosto w twarz. Wtedy zwróciła się do mnie:

- Pieniądze są w kopercie na blacie. I nie przesadzaj z napiwkami.

Mówiąc to, obróciła się i ponownie zaczęła wchodzić po schodach. Chris

natomiast zatrzymał się w miejscu z niepewną miną.

- Hej - odezwał się do mnie, zniżając głos - ja...

- No chodź - warknęła Margaret, stając na podeście. Przez sekundę się wahał, potem jednak zniknął w głębi korytarza na piętrze.

Z rozpaloną twarzą zesłam do kuchni, jednocześnie zażenowana i wściekła.

- Bardzo miła osoba - stwierdził Mac. - To twoja koleżanka?

- Nie - odparłam kategorycznie.

W kuchni ujrzeliśmy Hucka i Charliego, którzy nadal siedzieli przy stole, pijąc teraz czysty rum i wrzucając sobie nawzajem do ust orzeszki koktajlowe. Byli tak pijani, że prawie nas nie zauważyli, ale dostrzegłam, że Mac uważnie im się przygląda, gdy znalazłam kopertę, którą zostawiła mama Jenn. Napisała na niej ozdobnym pismem: *Na Twoją kolację urodzinową*. Gdyby tylko wiedziała... Wyjęłam dwadzieścia pięć dolarów i przesunęłam je po blacie do Maca. Odepchnął pięciodolarówkę.

- Weź to - zaprotestowałam, odpychając ją z powrotem.

Ale on odsunął ją ponownie.

- Daj spokój, Sydney.

- Mac, przynajmniej tyle mogę zrobić.

- Naprawdę nie chcę twojej jałmużny.

- To nie są moje pieniądze.

- Nieważne.

Sięgnęłam po banknot, żeby znów go odsunąć, ale zrobił to samo i nasze dłonie spotkały się dokładnie nad twarzą Abe`a Lincolna. Żadne z nas nie cofnęło ręki. Czułam ciepło jego palców, które ledwie muskały moje. Trwało to przez sekundę, może dwie. Wtem rozległo się jakieś brzęczenie.

Opuścił dłoń na pięciodolarówkę, którą przykryłam dłonią, i sięgnął do tylnej kieszeni. Wyciągnął telefon i spojrzał na ekran, a potem obrócił go do mnie.

U góry widniało imię: Layla. A niżej:

*Gdzie moje frytki????*

Uśmiechnęłam się.

- Dużo znaków zapytania.

- Mówiłem. Ona nie żartuje. - Zdjął dłoń z mojej dłoni i po raz ostatni pchnął banknot w moją stronę. Potem spojrzał na Hucka i Charliego, którzy chichotali jak dziewczyny z czegoś, co leżało na stole.

- Możesz tu z nimi zostać?

- Tak - zapewniłam. - Znam ich od zawsze. Są w porządku.

Skinął głową, wsunął telefon do kieszeni i ruszył do wyjścia. Poszłam za nim i otworzyłam drzwi. Zatrzymał się przy stoliku, gdzie zostawiłam pudełka z pizzą w podgrzewaczu, wyjął je i mi podał. Był już na zewnątrz, gdy powiedziałam:

- Jeszcze raz dzięki. Za wszystko.

- Nie ma za co. Jak mówiłem, to odruch zawodowy.

- Aha.

Stałam, trzymając pudełka, gdy schodził po stopniach, a potem szedł do furgonetki i otwierał drzwi. Na górze Margaret zabawiała się z Chrisem McMichaelsem, a ja musiałam okiełznać dwóch pijanych kolegów. Ale Jenn była bezpieczna. I przynajmniej została nam pizza. Pomachałam do Maca, gdy wyjeżdżał z podjazdu, on zaś na pożegnanie dwukrotnie zamrugął światłami.

W kuchni chłopcy bez opamiętania rzucili się na pizzę. Ja podeszłam do blatu. Pięciodolarówka wciąż tam leżała. Nie należę do osób, które przywłaszczają sobie cudzą własność. Wyszperałam więc piątkę z własnego portfela i położyłam ją na kopercie, nim zabrałam oryginalny banknot.

Ostrożnie go zwinęłam i podeszłam do drzwi frontowych, wyglądając na pustą ulicę. „Mac jest zawsze gdzieś w pobliżu” - powiedziała Layla, a ja nie rozumiałam wtedy, jak wiele w tym prawdy. Tej nocy, zwinęta w nogach łóżka Jenn, nasłuchując jej spokojnego oddechu, drzemałam z ręką w kieszeni. Ściskałam w palcach pięciodolarowy banknot i za każdym razem, gdy się budziłam, sprawdzałam, czy wciąż tam jest.

## Rozdział dziesiąty

„Miejscowy nastolatek stawia czoło tragedii, walczy i wygrywa” – głosił tytuł artykułu. Poniżej widniało zdjęcie Davida Ibarry, który się uśmiechał.

Nagle stało się jasne, dlaczego – gdy weszłam przed chwilą do kuchni – tata stał nad otwartą na stole gazetą. I choć był odwrócony do mnie plecami, widziałam, że zakrywa usta dłonią, a jego ramiona drżą.

- Tato?

Położył drugą dłoń na stole i głęboko wciągnął powietrze, nim się odwrócił.

- Cześć – powiedział. – Gotowa na śniadanie?

Przytaknęłam, a on złożył gazetę i podszedł do kuchenki, na której smażyła się jajecznica. Zawsze przykładał wagę do śniadania. Każdy dzień zaczynał od jajek na bekonie lub kiełbasek i tostów. Wstawał wcześnie i często już go nie było, kiedy schodziłam na dół przed wyjściem do szkoły. Zostawały po nim resztki posiłku i zapach smażonej wieprzowiny. To, że o siódmej rano jeszcze nie wyszedł do pracy, bardzo mnie zdziwiło, a gdy spostrzegłam, że płacze, wręcz wpadłam w panikę.

Kiedy nakładał mi na talerz sutą porcję, zerknęłam na gazetę, zastanawiając się, co czytał. Ale zdołałam odszukać to dopiero wtedy, gdy zadzwonił jego telefon.

„David Ibarra ma dziś dobry dzień. Nic go nie boli, właśnie zdobył maksimum punktów w swej ulubionej grze wideo i zamierza to uczcić, zamawiając najlepszą pizzę w mieście. Dla wielu innych takie sprawy to codzienność. Ale dla Davida, który przed siedmioma miesiącami został potrącony przez pijanego kierowcę i stracił władzę w nogach, każdy dzień jest darem”.

Poczułam, że tracę oddech. Słyszając, że tata nadal rozmawia w korytarzu przez telefon, czytałam coraz szybciej.

„Było to piętnastego lutego. David kolejny raz grał w WarWorld. Słowo >>rywalizacja<< nie oddaje zapachu, z jakim on i jego kuzyn Ricardo podchodzili do popularnych gier wideo. Potrafili grać całymi godzinami i często rozstawali się późno w nocy. >>Tamten wieczór – mówi David – był bardzo wyczerpujący, nawet dla nas. Gra trwała tak długo, że oczy same zaczęły mi się zamykać. W końcu jednak zasnęłam. Obudziłam się z konsolą na piersi<<.



Wiedział, że w domu czeka go bura, ale pomyślał, że jeśli obudzi się we własnym łóżku, może nieco ograniczyć skutki nocnego powrotu. W końcu mieszkał zaledwie dwie przecznice dalej. Była druga w nocy, gdy wsiadł na rower i ruszył w krótką podróż przez ciemne ulice. Był już niemal u celu, gdy zobaczył światła reflektorów.

>>Myślałem, że to sen - wspomina. - Nigdzie wokół nie było nikogo, aż wtem jakiś samochód pojawił się na wprost mnie. I wcale nie hamował<<.

Nie pamięta szczegółów wypadku, co jego matka uważa za błogosławieństwo. Ocknął się na krawężniku odrzucony siłą uderzenia i wtedy zobaczył, że jego nogi wykręcone są pod dziwnym kątem. A potem poczuł ból”.

W korytarzu rozległy się kroki. Tata wracał. Szybko złożyłam gazetę, odsuwając ją od siebie w chwili, gdy się ukazał.

- Jak śniadanie? - spytał.

Złapałam widelec, zmuszając się do przełknięcia kęsa jajecznicy.

- Dobrze. Dzięki. A gdzie mama?

Mama wstawiała jeszcze wcześniej niż on. Zawsze przynosiła do kuchni gazetę i czytała ją od pierwszej do ostatniej strony. Niemal widziałam, jak z filiżanką kawy przewraca w zgięciu łokcia strony i widzi ten nagłówek oraz zdjęcie. Tak jak wszyscy ludzie w naszym mieście.

W drodze do szkoły byłam wyczulona na widok gazet rzuconych na podjazdy domów oraz wystawionych w kioskach z prasą i na stacjach benzynowych. Gdy wchodziłam do budynku, wydawało mi się, że wszyscy na mnie patrzą, choć nie miałam pojęcia, czy ktokolwiek w Jackson zdaje sobie sprawę, że Peyton jest moim bratem.

W pokoju ogólnym, gdy przed lekcjami wszyscy śmiali się i rozmawiali, całkowicie obojętni na poranne wiadomości, włączyłam internet w telefonie i ściągnęłam artykuł.

Nagłówek drugiej części brzmiał:

„Spotkanie dwóch losów

O ile wiadomo, Peyton Stanford zdołał uporządkować swoje życie. Po szeregu zatrzymań, między innymi za włamanie, wtargnięcia i posiadanie narkotyków, odbył pełną terapię odwykową i przez rok stronił od używek. Ale tej zimowej nocy po wieczorze spędzonym na picciu i ćpaniu usiadł za kierownicą swojego sportowego bmw. I tak jak David Ibarra wracał do domu”.

Rozległ się dzwonek, jak zawsze głośno, a ja zamknęłam oczy, czując, że mnie

mdli. Wszyscy wokół zaczęli zbierać rzeczy i pchać się do drzwi, by ruszyć do swoich klas, a ja nadal siedziałam wpatrzona w słowa, które rozmywały mi się przed oczyma. Dopiero gdy moja nauczycielka, pani Sacher, zawołała mnie po imieniu, zdałam sobie sprawę, że prócz mnie w pokoju nie ma nikogo.

- Sydney? - Podniosłam na nią wzrok. Uczyła angielskiego, była młoda i miła, miała dobrą twarz i lubiła się śmiać. - Dobrze się czujesz?

- Tak - powiedziałam szybko, wrzucając telefon do plecaka. - Przepraszam.

Przez resztę tego poranka przy każdej okazji - w ciągu kilku wolnych minut pomiędzy końcem historii i dzwonkiem, w szatni przy mojej szafce, w przerwie między angielskim a matematyką - zmuszałam się do czytania dalszej części artykułu. W końcu do przerwy na lunch został mi tylko jeden akapit.

„Zdarza się, że Davida ogarnia gniew z powodu tego, co go spotkało. Że nie może powstrzymać się od myśli, jak inaczej mogłoby się potoczyć jego życie, gdyby został na noc u kuzyna. Albo wyjechał dziesięć minut wcześniej. Trudno się nie poddać takim rozważaniom i wnioskom, ku którym prowadzą. Ale dzisiaj David im nie ulega. Dzisiaj ma dobry dzień”.

- Proszę bardzo - powiedział sprzedawca za ladą wozu z bufetem. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że trzyma torebkę z kanapką, którą zamówiłam. - Życzysz sobie czegoś jeszcze?

Pokręciłam głową, czując, że jeśli się odezwę, mogę wybuchnąć płaczem. Wzięłam głęboki wdech i skierowałam się w stronę miejsca, gdzie siedziała Layla z resztą towarzystwa. Temat rozmowy, a mianowicie nazwa zespołu, powracał regularnie w ich dyskusjach. Nowa koncepcja Hey Dude - twierdził Eric - wymaga nowej nazwy. Ale oczywiście musi to być nazwa doskonała.

- A co byś powiedział na Logan Oxford Experience? - spytał Irv. - Jak Hendrix Experience, ale inaczej.

Eric ledwie na niego spojrział.

- To tak dalece nie ma nic wspólnego z tym, o czym mówię, że nie zniżę się do odpowiedzi.

Irv wzruszył ramionami, niezbyt dotknięty.

- Myślę, że jednak powinno się jakoś kojarzyć z zespołem męskim, no i mieć pewien podtekst - rzuciła Layla.

- Nie, nie. - Eric westchnął, jakby nasza tępota sprawiała mu fizyczny ból. - Potrzebuję nazwy, która wyrazi ogólną koncepcję, a nie zręcznego chwytu

reklamowego. Czegoś, co naprawdę podkreśli zamierzoną ironię. Ludzie zupełnie tego nie chwytają. Nie mogę dopuścić, żeby wszyscy brali nas tylko za odtwórców kawałków retro.

- W takim razie może nie powinieneś ich odtwarzać? - zauważyła Layla.

- Rzecz nie w odtwarzaniu - odparł. - Tu chodzi o uniwersalne doświadczenie masowego odbioru muzyki. O to, że piosenka może przypomnieć ci coś szczególnego z twojego życia, jakby była twoją osobistą własnością. Ale czy naprawdę może być czymś osobistym, skoro milion innych osób, słysząc ją, czuje i przeżywa to samo? Staje się fałszem, na domiar sfabrykowanym, chociaż wewnątrz ukrywa prawdziwe znaczenia.

Zapadła cisza, którą przerwał Irv:

- Chłopie, czy ty dziś zażyłeś swój ritalin?

Siedzący na osobnej ławce i przygotowujący się do testu z matematyki Mac prychnął i otworzył opakowanie pałeczek sera. Od tamtego wieczoru sprzed tygodnia, kiedy to pojawił się u Jenn, nie mogłam zapomnieć chwili, gdy nasze dłonie zetknęły się nad stołem. Jakże pragnęłam ożywić to wspomnienie. W odróżnieniu od tego, które prześladowało mnie dzisiaj, odbierając nie tylko apetyt.

- Co ci jest? - spytała Layla, patrząc na moją nierozpakowaną kanapkę. - Nic nie zjadłaś.

- Nie jestem głodna - odparłam.

- Jakie to uczucie? - zaciekawiał się Irv i wszyscy parsknęli śmiechem. Natomiast Layla tak długo nie spuszczała ze mnie wzroku, że w końcu otworzyłam torebkę i wyjęłam kanapkę. Potem bez słowa podałam jej frytki, które należały do zamówienia.

- Great Grillers? - spytała. Gdy potwierdziłam, zmarszczyła nos. - Dla mnie są za cienkie. Nie lubię takich pająkowatych frytek. Ale skoro proponujesz...

Rozpoczęła swoją rutynową procedurę przygotowawczą. Zmuszając się, ugryzłam kęs kanapki, a potem ją odłożyłam. Nagle poczułam, że muszę zadzwonić do mamy. Jej stanowisko uniemożliwiało wszelkie próby rozmów na temat Davida Ibarry, toteż nie rozmawiałyśmy o nim nigdy. Teraz jednak, gdy tu siedziałam, poczułam się straszliwie samotna i spragniona kontaktu z kimkolwiek, kto mógłby mnie zrozumieć.

- Hej - usłyszałam czyjś głos. Podniosłam głowę i ujrzałam Maca. Niosąc do pojemnika na śmieci puste opakowania, zatrzymał się obok mnie. - Nic ci nie jest?

- Sydney - przyłączyła się Layla - co się stało?

Potrząsnęłam głową i szybko wstałam. Ich troska w połączeniu z uczuciem, że

wszyscy na mnie patrzą, stała się nagle nie do zniesienia.

- Ja... muszę już iść - wykrztusiłam. - Do zobaczenia później.

Nikt się nie odezwał, gdy odchodziłam. I nikt nie próbował mnie zatrzymać. Poszłam do toalety i zamknęłam się w kabinie. Wreszcie byłam sama, tak jak chciałam. I czułam się strasznie. Jakbym tylko na to zasługiwała.

\* \* \*

Tego wieczoru w domu wszystko wróciło do normy. Gazeta leżała w pojemniku przeznaczonym na papiery do recyklingu, w telewizji nadawano wiadomości, a my żyliśmy dalej. Ale chociaż mama krzątała się w kuchni przy kolacji i jak zwykle prowadziła z nami rozmowę, wciąż czułam się nieswojo. Teraz jednak nie tylko z powodu porannego artykułu. Zdawałam sobie sprawę, że nie powinnam w ten sposób rozstać się z Laylą i resztą towarzystwa. Znała sytuację Peytona i mogłam jej powiedzieć o tym artykule. A jednak tego nie zrobiłam. I wciąż nie bardzo wiedziałam dlaczego.

Po kolacji, gdy wkładałam do zmywarki naczynia, zabręczał mój telefon. Layla.

*Moja mama zaprasza cię jutro na kolację. Tak/Nie/Może?*

Spojrzałam w stronę wyspy, gdzie z kolei moja mama, jak zawsze po kolacji, parzyła kawę na następny ranek. Poczekalam, aż zmiele ziarna (oczywiście Fair Trade i organiczne), po czym zaczęłam:

- Mamo?

- Tak? - spytała, podchodząc do zlewu.

- Layla jutro zaprasza mnie na kolację, mogę?

Pierwszym złym znakiem było to, że odstawiła niepełną karafkę z wodą, a drugim wyraz jej twarzy.

- Będiesz mi potrzebna tu, w domu. Pamiętasz chyba, że jutro przychodzą Sawyer i Michelle, ta adwokatka.

Nie pamiętałam, ale teraz sobie przypomniałam. Nie mogąc się dowiedzieć, z jakiego powodu Peyton utracił prawo do widzeń, mama znalazła organizację non profit, która pomagała rodzinom osadzonych poruszać się w gąszczu przepisów prawnych. W ostatnim tygodniu dwukrotnie widziała się z Michelle, prawniczką działającą na rzecz tej organizacji, i orzekła, że „jej wiedza jest wybawieniem” i właśnie „kogoś takiego nam potrzeba”.

- Przecież będziecie rozmawiać o Peytonie - powiedziałam. - Czy naprawdę

muszę przy tym być?

Jej twarz zastygła, a bruzda między brwiami się pogłębiła.

- Powinniśmy tworzyć silnie ze sobą związany, solidarny front rodzinny, gdy tylko to możliwe. Jesteś jego częścią.

Odwróciła się do zlewu. Zagryzłam usta, spoglądając na swoje buty, gdy wszedł tata i ruszył do lodówki. Otworzył ją i chwilę stał, po czym spytał:

- Nie mamy lodów Rocky Road? Czy to możliwe?

- Sydney nie chce uczestniczyć w jutrzejszej kolacji - odparła mama, jakby to miało cokolwiek wspólnego z jego pytaniem. - Widać woli towarzystwo nowej koleżanki.

- Jakiej kolacji? - Tata odsunął pudełko lodów waniliowych i sięgnął w głąb zamrażarki.

Natomiast mama podniosła pokrywę zbiornika z wodą w ekspresie tak gwałtownie, że uderzyła nią w kredens z tyłu.

- Sawyer? Adwokatka? Kolacja? Czy ktokolwiek tu słyszy, co mówię?

Tata, który znalazł w końcu swoje lody Rocky Road, obrócił się z pudełkiem w dłoni. Był tak zdumiony, że ogarnęło mnie współczucie.

- Julie, o co ci chodzi?

- Jestem tym po prostu zmęczona. Chyba nikt oprócz mnie nie przejmuje się losem Peytona. - Pchnęła karafkę na miejsce. - Nie proszę was, żebyście go odwiedzali. A także pamiętali o wszystkich datach i terminowych sprawach. Ale mogę chyba oczekiwać, że weźmiecie udział w kolacji we własnym domu, jeśli to nie jest zbyt kłopotliwe.

- Mamo... - powiedziałam. - Ja zostanę.

- Oczywiście, że zostanie. - Tata odstawił lody, podszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu. - Skarbie, nie denerwuj się. Zrobimy wszystko, co zechcesz.

- To nie o mnie tu chodzi - odparła załamującym się głosem. - W tym cała rzecz.

*Nie dam rady* - odpisałam Layli po powrocie do swojego pokoju. - *Sprawy rodzinne. Żałuję.*

Przez kilka minut panowała cisza, a potem rozległ się sygnał esemesa.

*Na pewno wszystko w porządku?*

Zawahałam się z palcem nad ekranem.

*Nie* - odpisałam. - *Niezupełnie.*

Nastąpiła kolejna pauza, tym razem krótsza.

*Przenocujesz u mnie w sobotę?*

Tym razemnie dodała: „Nie” ani „Może”. Czasem lepiej mieć mniejszy wybór -

pomyślałam. – *Spróbuję* – odpisałam. A chwilę później dodałam: *Dziękuję*.

Kolejna wiadomość brzmiała:

*Całusy*. – I jeszcze, jakbym już się z nią umówiła: – *No to do zobaczenia*.

\* \* \*

Sawyer Ambrose był wielkim, muskularnym facetem o kędzierzawych siwych włosach i wiecznie czerwonych policzkach. Wyglądał jak Święty Mikołaj, tyle że w garniturze, a nie w czerwonym, lamowanym futrem kubraku. Kiedy o szóstej trzydzieści otworzyłam drzwi, stał z butelką wina oraz sernikiem i szeroko się uśmiechał.

– Sydney – powitał mnie – jak się masz?

– Dziękuję, dobrze – odparłam. – Proszę wejść.

Gdy odsunęłam się, by go wpuścić, na podjazd wjechał czerwony lexus Amesa. Wskoczył z auta i zaczął do mnie machać, co oznaczało, że jeśli nie chcę zatrzaskać mu drzwi przed nosem, muszę stać i czekać, aż podejdzie.

– Hej, kawał czasu cię nie widziałem! – zawołał, stając w drzwiach, i szeroko otworzył ramiona.

Nienawidziłam, gdy mnie dotykał. Od weekendu, który spędził w naszym domu, nie umiałam zwalczyć tego odczucia. Nie widziałam jednak sposobu, by mu się wyrwać, nie urządzając scen. On zaś ścisnął mnie wyjątkowo mocno i długo. Pozwoliłam mu się przyciągnąć i próbowałam całkiem nie zeszywnieć, gdy jego ręce przesunęły się po moich plecach.

– Trudny tydzień, co? – rzucił. – Jakoś zleciał?

– Mhm. – W końcu zdołałam się cofnąć. – Mama czeka.

– Świetnie. – Uśmiechnął się do mnie, a potem ruszył przez korytarz.

Usłyszałam, że wita się z Sawyerem i rodzicami, jak zwykle głośno i zbyt poufale. Stałam przy drzwiach, gwałtownie pragnąc wziąć prysznic. Ale dzwonek zadzwonił ponownie. Otworzyłam i ujrzałam przed sobą chudą kobietę z warkoczem, w zwiewnej sukni i skórzanych klapkach. Wydawała się tak zaskoczona moim widokiem, jakby przez pomyłkę zadzwoniła do innych drzwi.

– Cześć – wyjąkała. – Przyszłam... ee... do...

– Michelle, czy tak? – spytałam. Skinęła głową, lekko się czerwieniąc. – Jestem Sydney, siostra Peytona. Proszę wejść.

Wniosła z sobą słodki zapach jakiegoś eterycznego olejku.

– Jaki ładny dom. – Rozejrzała się wokół, gdy prowadziłam ją przez hol. – Jeszcze

nigdy... nie byłam w tej dzielnicy.

- Lubimy ją - odparłam, bo co właściwie można na to odpowiedzieć. Na szczęście od kuchni dzieliły nas już tylko dwa kroki. - Mamo, przyszła Michelle.

- Witaj! - zawołała mama, znów w roli uroczej gospodyni, w jakiej już od dawna jej nie widziałam. Zanim jeszcze zaczęły się problemy z Peytonem, rodzice często przyjmowali gości, zarówno tych z pracy taty, jak i spośród prywatnych znajomości. Ale w ostatnim roku kolacje i przyjęcia stały się rzadkością, aż w końcu zupełnie ustały. Nikt z nas nie miał teraz ochoty na życie towarzyskie. - Bardzo ci dziękuję, że przyszłaś. To dla nas zaszczyt.

- Masz piękny dom - powtórzyła Michelle. Z tyłu jej sukni dostrzegłam sierść jakiegoś domowego zwierzęcia, psa, a może kota.

- To jest Sawyer Ambrose, prawnik naszej rodziny - ciągnęła mama. - A to mój mąż, Peyton, i nasz przyjaciel Ames Bentley. Poznałaś już Sydney?

Michelle kiwnęła głową.

- Tak. Ona jest... Tak, poznałam.

Nie znam się na tym, ale wydaje mi się, że ktoś, kto jest adwokatem, powinien przynajmniej umieć się porozumieć z ludźmi. Natomiast Michelle wydawała się zdenerwowana za każdym razem, gdy ktoś się do niej odezwał podczas aperitifów i serowych przystawek. Jednak mama, niczym niezrażona, nie przestawała do niej przemawiać, przy okazji informując tatę i Amesa o licznych rozmowach, które ostatnio odbyły. Omawiały wspólnie strategie dojścia do naczelnika więzienia i sposobu zdobycia nieudostępnianych informacji, a także możliwości udzielenia Peytonowi pomocy z zewnątrz.

Tymczasem podszedł do mnie Sawyer.

- Słyszałem, że jesteś teraz w Jackson. Podoba ci się?

- Owszem.

- Moja córka, Isley, też tam chodzi - zakomunikował, sięgając po krakersa i wielki plaster sera gouda. - Nauczyciele są dobrzy, ale chłopcy zupełnie niemożliwi. Choć przypuszczam, że wszędzie jest podobnie, prawda?

- Mhm - mruknęłam. Mama zdołała jakoś odzyskać swoje zdolności towarzyskie, trudno było jednak powiedzieć to o mnie. - Chyba tak.

- Chodziła przez całe lato z takim jednym muzykiem - ciągnął. - Rzadki palant. Nie rozstawał się z tunerem i bez końca głądził o jakiejś ironii i niuansach.

Brzmiało to dziwnie znajomo.

- Jak miał na imię?

- Eric. - Westchnął. - Odzyskała na szczęście rozum, zanim sprawy zaszły za

daleko. Gdybym miał na to wpływ, nie pozwoliłbym na żadne randki aż do studiów. Ale oczywiście nie mam.

- Sawyer - wtrąciła się mama, kładąc mu rękę na ramieniu. - Michelle właśnie mówi o pewnych możliwościach, które pozwalają rodzinom na większe zaangażowanie w sprawy Lincoln.

- Jestem za - oznajmił natychmiast Ames. - Powiedz mi coś więcej na ten temat.

- No nie wiem - rzekł wolno Sawyer, sącząc wino. - Zalecałbym ostrożność. Dla Peytona bardziej korzystne może się okazać respektowanie wyraźnej granicy między jego życiem tam i tutaj.

- Oczywiście dobro Peytona jest dla nas priorytetem - dodał tata, a Ames przytaknął.

Michell odchrząknęła.

- Z moich doświadczeń wynika, że Lincoln jest zakładem bardziej nowoczesnym niż inne. - Przerwała i długo milczała. Po czym, kiedy już widziałam, że mama zaraz się włączy, podjęła temat. - Naczelnik, który niedawno objął to stanowisko, przybył spoza stanu, bo z Nowego Jorku. Ma opinię człowieka, który rozumie rodziny osadzonych.

- Oby tak było - westchnęła mama. - Ale najpierw chciałabym go skłonić do odpowiedzi na moje telefony.

- Dzwoniłaś do naczelnika? - zdumiał się Sawyer.

- No cóż... - Spojrzała na tatę, a potem na Michelle. - Tak, dzwoniłam. Ale nie możemy uzyskać żadnych informacji dotyczących ostatniego wykroczenia Peytona.

- Julie, to jest więzienie, a nie stowarzyszenie rodzicielsko-nauczycielskie.

- Wiem o tym. - W głosie mamy brzmiał ton irytacji. Musiała zdać sobie z tego sprawę, bo zamilkła, próbując się opanować, nim dokończyła: - Chciałam się tylko dowiedzieć, o co im chodzi.

- Do czego masz prawo - poparł ją Ames. - Nie mogą odcinać cię od informacji.

- Prawdę mówiąc, mogą. - Sawyer wytarł usta. - I wierzcie mi, oddacie Peytonowi największą przysługę, pozwalając mu odbyć karę i jak najmniej interweniując. Powinien ze spuszczoną głową przestrzegać nakazów i regulaminu. To jedyny sposób, by uzyskać szansę na przedterminowe zwolnienie.

- Ja wcale nie interweniuję - broniła się mama.

- Oczywiście, że nie - wtórował jej Ames.

Rany, ale wazelina - pomyślałam.

- Jednak dla rodzin ważna jest możliwość zaangażowania - wtrąciła Michelle. A gdy wszyscy skierowali się na nią wzrok, zaczerwieniła się i dokończyła: - To



lepsze niż bezradność.

- Bez urazy, panienko, ale jestem prawnikiem od dwudziestu lat i widziałem wiele rodzin w podobnej sytuacji. Można ją utrudniać lub ułatwiać.

- Chyba powinniśmy już siadać do kolacji. - Mama gwałtownie wstała. - Dajcie mi tylko minutkę. Sydney, pomożesz?

Ruszyłam za nią do kuchni, gdzie otworzyła piekarnik nieco głośniejsze, niż było to konieczne.

- Jesteś zdenerwowana? - spytałam.

- Nie, skądże. - Zdjęła kuchenną rękawicę i wzięła łąpatkę. - Uważam tylko, że powinniśmy zbadać wszystkie możliwości, nawet te nietypowe. Nie ma w tym nic złego.

Ale Sawyer był innego zdania i trwał przy nim przez cały wieczór. Spierał się z mamą, ignorował Amesę i wprawiał w popłoch Michelle, podczas gdy tata ze spuszczoną głową konsumował największą porcję pizzy, jaką kiedykolwiek widziałam na jego talerzu.

- Zasadniczy fakt jest taki - stwierdził w pewnej chwili Sawyer, kiedy już skończyłam jeść - że bez względu na to, co Peyton robi, prawdy o tej sprawie nie da się zatrzeć. Myślę, że czytaliście wczorajszą gazetę?

- Proszę... - jęknął tata.

- Bardzo stronniczy artykuł - stwierdził Ames.

- Stronniczy? - nie wytrzymałam. Teraz wszyscy spojrzeli na mnie. - Jak możesz... Przecież dotyczył tylko tego chłopca.

- Taa... ale jaki miał wydźwięk. - Machnął ręką, jakby to zamykało sprawę. - Przecież tylko mówię...

Co właściwie mówił? Nieważne. I tak nie chciałam tego słuchać.

- Oczywiście, że bardzo nam przykro z powodu tego chłopca i jego rodziny - powiedziała mama - ale Peyton jest naszym synem i naszą odpowiedzialnością. Mamy obowiązek się o niego troszczyć.

To zabrzmiało znajomo.

- Nic więcej nie możesz teraz zrobić, Julie - rzekł Sawyer. - I musisz się z tym pogodzić.

- A ja uważam, że się mylisz - oświadczyła mama bez ogródek, a my z tatą wymieniliśmy spojrzenia. - Kto ma ochotę na deser? - spytała, pospiesznie wstając.

Wszystko to było nie do zniesienia. Po kolacji Ames wyszedł na zewnątrz, żeby zapalić, a tata zabrał Sawyera do swego gabinetu, żeby pokazać mu jakiś nowy komputer, który właśnie nabył. Mama i Michelle zasiadły z kawą przy kuchennym

stole.

- Każdy, kto jest w to włączony, ma inny punkt widzenia. - Michelle klepnęła mamę po ramieniu. Teraz, gdy rozmawiały sam na sam, odzyskała pewność i swobodę. - Dlatego potrzeba wielu głosów, by prowadzić i kontynuować tę dyskusję.

Mama westchnęła, przesuwając palcem po krawędzi kubka.

- Ja już... To jest za trudne. Nigdy nie byłam tak wytrącona z równowagi.

- To normalne. Jesteś przecież matką. Masz obowiązek go chronić. I nie możesz po prostu się wyłączyć, nawet jeśli ktoś radzi ci inaczej.

Michelle i Sawyer wyszli o dziewiątej wieczorem. Ames natomiast został i siedział przy stole, rozmawiając z rodzicami, chociaż mówiła głównie mama. Irytacja, którą wcześniej próbowała ukryć, wybuchła teraz w pełni, skupiając się na Sawyerze.

- Można by oczekiwać, że będzie bardziej pomocny, zważywszy na sumy, jakie od nas pobrał - powiedziała w pewnej chwili, biorąc prosto z blachy kawałek sernika, który został z kolacji. - Uważam, że obrona nie kończy się w momencie ogłoszenia wyroku.

- Sawyer zachował się przyzwoicie - rzekł tata. - Tylko widzi tę sprawę inaczej.

- No więc może czas poszukać kogoś, kto spojrzy na to świeżym okiem. Słyszałam wiele dobrego o Billu Thomasie.

Tata westchnął, najwyraźniej nieprzekonany.

- Naszym celem jest dobro Peytona. Nie możemy o tym zapominać - włączył się Ames.

- Właśnie. - Mama wycelowała w niego widelcem. - Dzięki Bogu ktoś się ze mną zgadza.

Nie po raz pierwszy zadałam sobie pytanie, czy to dlatego tak bardzo dręczy mnie sprawa Davida Ibarry i jego los. Ktoś z nas musi wziąć na siebie ciężar winy. Jeśli moi rodzice nie mogli - lub nie chcieli - tego zrobić, pozostawałam ja.

- Jest dość wcześnie - zwrócił się do mnie Ames, gdy mama wstała, by uporządkować kuchnię, a tata zniknął w swoim gabinecie. - Moglibyśmy gdzieś wyskoczyć na fro-yo. Funduję.

- To bardzo miłe z twojej strony, Ames. - Mama uśmiechnęła się do niego, wycierając ręce w ścierkę. - Sydney chyba wolała spędzić ten wieczór inaczej.

Fakt, że dobrze wiedziała, czego naprawdę chciałam. Odparłam jednak:

- Dzięki, ale jestem zmęczona.

- Nie żartuj - nalegał. - Chyba nie odpuścisz lodów z gorącym karmelem. Nie mówiąc o towarzystwie.

- Wiecie co - mama sięgnęła po portmonetkę - to ja funduję.

- Naprawdę nie mam ochoty. - Odwróciłam się do niej. - Ale dziękuję.

Spojrzała na mnie, unosząc brew.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, po prostu miałam... trudny tydzień.

Wymienili z Amesem znaczące spojrzenia.

- Owszem, nie był łatwy - potwierdziła, podchodząc, by pogłodzić mnie po włosach. - No i jeszcze męczący wieczór. Ames, przedłużysz to zaproszenie?

- Oczywiście. - Skinął głową.

Widząc możliwość odwrotu, zerwałam się na równe nogi.

- Chyba już pójdę się położyć.

Mama zerknęła na zegarek. Była dopiero dziewiąta trzydzieści. Gdy wychodziłam z kuchni, rzuciła:

- Jutro masz wolne. Możesz robić, co chcesz, dobrze?

Wiedziałam, że nie ma na myśli wizyty u Layli. Ja natomiast pragnęłam tylko wyrwać się z tego domu gdzieś, gdzie duch mojego brata, wcale nie martwego, nie wygląda z każdego kąta.

Po wejściu do sypialni umyłam zęby, przebrałam się w piżamę i wyjrzałam przez okno, by sprawdzić, czy Ames już odjechał, i zastanawiając się, co jeszcze ma mamie do powiedzenia. Ale gdy minęło pół godziny i jeszcze pół, a jego samochód nadal tam stał, podpełzłam do połowy schodów i zaczęłam podsłuchiwać.

- Naprawdę sobie radzi - mówił. - Ale to wielka zmiana. Czy wiesz, jak trudno dostosować się w liceum?

- Chciałam, żeby została w Perkins. Mam wrażenie, że tracimy ze sobą kontakt głównie dlatego, że tak niewiele teraz wiem o jej codziennym życiu.

- Chyba znasz już skądś to uczucie.

Przewróciłam oczami.

- Niestety. - Mama zamilkła. - Pragnęłam tylko, żeby oboje byli szczęśliwi.

- Szczęście to bardzo wiele.

- Teraz już nie proszę, by było tak zawsze - odparła. - Już nie. Doceniłabym choć odrobinę.

Miała zmęczony i smutny głos. W takich chwilach trudno było wyobrazić sobie ją dawną - kipiącą energią i pełną planów. Niczym piasta w kole, którym byliśmy jako rodzina, łączyła nasze osobne szprychy i wprawiała je w ruch. Teraz jednak najczęściej chybotaliśmy się niezbornie, zadowoleni, że w ogóle się toczymy.

Zanim zgasiałam światło, spojrzałam na telefon i ostatnią wiadomość od Layli.

Chciałam móc z nią porozmawiać, by wiedziała, co czuję w tej właśnie chwili, i może mnie zrozumiała. Znalazłam zakładkę z artykułem i skopiowałam link, a potem wkleiłam go do nowej wiadomości. Nie namyślając się, wcisnęłam „wyślij”. Bez wyjaśnienia i komentarza. Wyłącznie tekst. Próbowałam nie zasnąć, czekając na odpowiedź. Kiedy obudziłam się rano, nie wiedziałam, czy się cieszyć, czy smucić, że jej nie otrzymałam.

## Rozdział jedenasty

Miałam rację. Pomimo obietnic poprzedniego wieczoru mama nie była zachwycona, gdy powiedziałam, że chcę spędzić sobotnią noc u Layli.

- Och, skarbie - westchnęła, kiedy rano poruszyłam tę sprawę. Była dopiero dziewiąta, a w jej głosie już brzmiało zmęczenie. - Raczej nie. Mieliśmy ciężki tydzień, a ja nawet nie znam tej dziewczyny.

- Przecież u nas nocowała - przypomniałam w nadziei, że przemówię do jej wyczucia form towarzyskich. - I to dwie noce z kolei.

- To zupełnie co innego - odparła, nalewając sobie kawę. - Byłaś we własnym domu i pod opieką Amesa.

Co było bardzo niebezpieczne... Ale mama oczywiście tak nie uważała. Zastanawiałam się, czy fizycznie też wydawał jej się inny niż mnie. Czy inaczej widziała jego rysy, skoro odbierałyśmy go tak odmiennie.

- Chciałaś, żebym wczoraj została. I zostałam. Ale powiedziałaś także, że dziś mogę robić, co chcę.

- Miałam na myśli wyjście do kina czy na lunch, a nie spędzenie nocy u kogoś, kogo nie znam.

- Mamo, ona żyje w tym samym mieście, nie w jakiejś Nibylandii.

Spojrzała na mnie wymownie, a potem odwróciła się do taty, który czytał rubrykę sportową nachylony nad talerzem jajek na bekonie.

- Peytonie, mógłbyś się włączyć?

- Oczywiście. - Wyprostował się, wycierając ręce w serwetkę. - W co?

- Sydney chce dziś nocować u koleżanki, tej Layli.

Patrzył na mnie, a potem na mamę, wyraźnie nie pojmując, o co chodzi. Zawsze zdumiewała mnie łatwość, z jaką mimo fizycznej obecności przy rozmowie umiał się z niej wyłączyć. Wolno powiedział:

- A problem jest...

- Nie znamy jej ani jej rodziny.

- A moglibyśmy się poznać?

Mama spojrzała na mnie tak, jakby liczyła na to, że się zniechęcę.

- Oczywiście - odparłam. - Mają pizzerię blisko mojej szkoły. Na pewno będzie otwarta w porze lunchu. Jej tata zwykle tam jest.

Gotowość zabrania mamy do Seaside świadczyła o mojej desperacji. Ale nie chodziło mi tylko o własne interesy. Wciąż nie mogłam zapomnieć tego, co poprzedniego wieczoru powiedziała do Amesa. Nic już nie mogła zrobić, by lepiej poznać świat Peytona. A więc może choć ja mogłabym przybliżyć jej swój?

Trzy godziny później siedziałam w fotelu jej hybrydowego SUV-a, gdy wjeżdżałyśmy na parking przed pizzerią. Tata grał w squasha, więc byliśmy tylko we dwie. Czulałam się tak zdenerwowana, jakby czekał mnie jakiś egzamin. Mama wyłączyła silnik, a potem opuściła przesłone i poprawiła w lusterku szminkę na ustach.

- Jesteś głodna? - spytała.

- Strasznie - odparłam. - Mają tu pyszną pizzę.

Gdy weszłyśmy do środka, najpierw ujrzałam Maca. Stał za ladą w T-shircie z napisem „Seaside” i polewał sosem surowe ciasto. Po raz pierwszy srebrny łańcuszek, który nosił na szyi, był widoczny w całości, więc dostrzegłam przywieszkę. Wydawała się okrągła jak moneta, choć z daleka trudno to było stwierdzić.

- Hej - przywitał mnie. - Layla mówiła, że może wpadniesz.

- Jest tutaj?

- Już jedzie. Będzie za parę minut.

Zerknęłam na mamę, która w milczeniu oglądała ciemny wystrój lokalu, plastikowe stoły oraz biało-czarne fotografie na ścianach.

- Mamo, to jest Mac - przedstawiłam go. - Brat Layli.

- Miło mi panią poznać. - Wytarł dłonie w ręcznik i wyciągnął rękę. Mama sięgnęła przez ladę i uścisnęli sobie dłonie. - Czy mógłbym coś podać? - spytał.

Rzuciła okiem na kartę.

- Jakie są tu sałatki?

- Nie takie smaczne jak nasza pizza - odparł.

- To oczywiste. - Uśmiechnęła się.

- No cóż...

Spojrzałam na niego z wdzięcznością, zastanawiając się, co powiedziała mu Layla.

Wcześniej napisałam do niej:

*Czy twój tata jest w Seaside? Mama chce was poznać.*

*Będzie w południe, spoko - odpisała. - Posprzątamy.*

W esemesach trudno o niuanse, zaniepokoiłam się więc, czy nie jest urażona. Ale gdy dziesięć minut później stanęła w drzwiach, wiedziałam, że mogę być spokojna.

- Hej - rzuciła mi na powitanie. Była w szerokiej wzorzystej spódniczce i białym T-shircie, na stopach miała klapki, a włosy związała w koński ogon. W jej dłoni błyszczał lizak YumYum. Za nią stał jej ojciec, trzymając torby z zakupami. Podeszła do mamy i wyciągnęła rękę.

- A więc w końcu się poznajemy. Jestem Layla.

Mama uścisnęła jej dłoń.

- Wiele o tobie słyszałam.

- Mam nadzieję, że nic złego. - Layla spojrzała na mnie. - Założę się zresztą, że dotyczyło to głównie pożywienia.

- Layla uwielbia frytki - wyjaśniłam. - I lizaki.

- Wyłącznie składniki zdrowej diety - rzuciła wesoło. Gdy obróciła się, patrząc na ojca, widziałam, że mama jej się przygląda, i zastanawiałam się, co myśli. Jej ubrania nie miały żadnych ekskluzywnych etykietek, a znoszona torebka służyła co najmniej od dwu sezonów. No i ten lizak.

- Tato, czy mógłbyś na chwilę do nas podejść?

Pan Chatham wynurzył się zza lady, zawiązując fartuch wokół pasa.

- Zapewne mam przyjemność z mamą Sydney - przywitał się. - Jestem Mac Chatham.

- Julie Stanford. Pan i pański syn nosicie to samo imię? - spytała mama, potrząsając jego ręką.

- Tak - potwierdził. - To rodzinna tradycja. Mój ojciec też miał na imię Macaulay.

- Podobnie jest w naszej rodzinie. Imię Peyton nosi zarówno mój mąż, jak jego ojciec, a także brat Sydney. Mamy więc trzech Peytonów. Gdy są razem, powstaje lekkie zamieszanie.

- Zazwyczaj poznaję, którego z nas wzywa moja żona, po jej tonie. Jako małżonek mam pewne przywileje, lecz nie jest ich wiele.

- Macie państwo jeszcze inne dzieci?

- Jeszcze córkę, Rosie. Dwa lata starszą od niego. - Wskazał na Maca.

- Startuje w zawodach łyżwiarskich - dodałam. - Występowała w pokazach, jeździła z Mariposą.

- Naprawdę? - Mama była pod wrażeniem. - To niezwykle osiągnięcie. Musicie być

bardzo dumni.

- Póki nie wpadła z prochami - oznajmiła Layla. - Od tamtej pory nie za bardzo.

Pan Chatham tylko na nią spojrzał, natomiast mama, zupełnie zaskoczona, próbowała opanować reakcję malującą się na jej twarzy. Zamknęłam oczy.

- Ale czego sobie życzycie? - ciągnęła niespieszona Layla. - Może jakiś napój?

Albo bułeczki czosnkowe?

- Dzięki - odparłam. - Nie mogę się doczekać, aż mama w końcu skosztuje waszej pizzy.

- Obiecuję, że ta, którą podam, będzie naprawdę ekstra. - Z tymi słowy pan Chatham skierował się do lady. - Miło było panią poznać, Julie.

- Wzajemnie - odparła mama. Znów usiadła, gdy Layla ruszyła za nim, po czym spojrzała na mnie. Gdy znaleźli się poza zasięgiem głosu, nachyliła się i wyszeptała:

- Chodzi o narkotyki?

- Rosie miała kontuzję, która uzależniła ją od leków i doprowadziła do kłopotów prawnych - wyjaśniłam, bacznie przyglądając się jej twarzy. Przed problemami z Peytonem zareagowałyby automatycznie. Teraz jednak nie mogła się tak zachować, nie chcąc być posądzona o hipokryzję. Pomyślałam, że Layla postąpiła mądrze, ujawniając wspólnotę naszych problemów i uświadamiając mamie, że mimo wszystkich dzielących nas różnic jest coś, co jednak nas łączy. - Ale teraz wraca do łyżwiarstwa. Niedawno widziałam, jak trenuje.

- Naprawdę?

Przytaknęłam.

- Jest znakomita.

Tymczasem pojawił się Mac, niosąc dwa talerze.

- Pepperoni i Roma. - Postawił przed nami duże porcje. - Czy może coś jeszcze?

- Nie, na razie nie - odparłam. - Dzięki.

Skinął głową i wrócił na stanowisko przy kasie. Layla opierała się teraz o kontuar, obserwując nas z lizakiem w dłoni. Kiedy ojciec coś do niej powiedział, krótko odpowiedziała, zakładając za ucho kosmyk włosów.

- Ojej! - Mama wytarła usta serwetką. - To jest pyszne.

- Mówiłam ci.

Spojrzała na zdjęcie nad nami. Przedstawiało nadmorską promenadę, stojące wzdłuż niej salony gier oraz widoczne w oddali morze.

- Skąd wzięła się nazwa tego lokalu? Nie ma tu raczej morza.

- Myślę, że pochodzi od pizzerii należącej do dziadka Layli. Wtedy mieszkali na północy.

Kiwnęła głową, a potem nagle przestała jeść i przechyliła głowę na bok.

- Czyżbym słyszała bandžo?

- To bluegrass - powiedziałam. - W tej szafie grającej nie ma nic innego.

Przez chwilę jadłyśmy w milczeniu. Za ladą zadzwonił telefon i Mac przyjął



zamówienie. Pan Chatham zniknął na zapleczu. Promień słońca przenikał przez frontowe okno, ukazując tańczące nad stołem obok drobinki kurzu.

- Jak poznałaś Laylę? - spytała w końcu mama.

Przełknęłam kęs, który miałam w ustach.

- Tutaj. Wpadłam tu po szkole na pizzę i po prostu zaczęliśmy rozmawiać.

Spojrzała na Maca, który wyjmował ciasto z pieca.

- Mówiłaś, że jej matka jest chora.

- Tak, ma SM. Myślę, że się wymieniają, by nie zostawiać jej bez opieki.

- To straszne. A gdzie oni mieszkają?

- Dwie przecznice dalej.

Czułam, że jestem bliska osiągnięcia celu, co jednak oznaczało, że równie łatwo mogłam go utracić. Nie odzywałam się zatem i czekałam, aż mama sama przemówi. Ale zamiast niej odezwał się jej telefon.

Wyjęła go z torebki i na widok imienia na ekranie jej oczy się rozszerzyły. Błyskawicznie nacisnęła „odbierz”.

- Halo?

Dotarł do mnie odległy głos z nagrania.

- Tak - odparła tak głośno, aż Mac i Layla spojrzeli w naszą stronę. - Zgadzam się na pokrycie kosztu rozmowy.

Peyton. Widziałam to na jej twarzy i w oczach, które przesłoniły łzy, gdy chwilę później się odezwał. Nie słyszałam, co mówił, ale nie było to konieczne. Jeśli chodzi o mojego brata, wystarczyła mi intuicja. Poza tym jego głos był bardziej rzeczywisty niż większość osób widzianych twarzą w twarz.

- Och, kochanie! - Uniosła do czoła wolną rękę. - Halo, halo! Jak się masz? Tak bardzo się martwiłam!

Gdy odpowiadał, wstała i ruszyła do drzwi, przyciskając telefon do ucha. Wyszła na zewnątrz i zaczęła chodzić tam i z powrotem po chodniku, słuchając ze skupioną twarzą.

- To wygląda na ważną rozmowę.

Podniosłam wzrok i ujrzałam nad sobą Laylę.

- Mój brat - odparłam. - Po raz pierwszy od dłuższego czasu ma dostęp do telefonu.

Nie spuszczała wzroku z mamy, która nerwowo spacerowała za oknem.

- Wygląda na uszczęśliwioną.

- Mhm. Bo tak jest.

Przez chwilę żadna z nas się nie odzywała. A potem Layla bez słowa położyła

obok mojego talerza YumYum o smaku piwa korzennego. Gest pocieszenia? Współczucia? Może jedno i drugie, a może ani jedno, ani drugie. Nie miało to znaczenia. I tak byłam jej wdzięczna.

\* \* \*

Kiedy późnym popołudniem podjechałam pod dom Chathamów, zdziwił mnie widok samochodów parkujących na podjeździe i wzdłuż krawężnika. Najwyraźniej nie tylko mnie zaproszono na kolację.

Cieszyłam się, że tu jestem, nawet jeśli uzyskane od mamy zezwolenie zawdzięczałam bratu. Po rozmowie z nim była tak wniebowzięta, że zapewne pozwoliłaby mi na wszystko, o co tylko bym poprosiła. Ale ja nie miałam innych pragnień.

Zaparkowałam za minivanem należącym do basisty zespołu Erica i Maca, którego nowa nazwa wciąż była kwestią sporną. Zanim przyjęło się Hey Dude, występowali jako Hog Dog Water, ale zdaniem Erica żadna z tych nazw „nie oddawała ich sztuce sprawiedliwości”. Stanowiło to przedmiot kolejnej długiej dyskusji podczas piątkowego lunchu. Layla przekonywała, że powinni się trzymać raz przyjętych ustaleń, choćby tylko dlatego, że utrwalona nazwa decyduje o rozpoznawalności grupy. Eric zaś utrzymywał, że tożsamość zespołu nie jest łatwa do zdefiniowania i nazwa winna uwzględniać kierunek jego rozwoju. Czego nie można powiedzieć na przykład o Hog Dog Water.

W tym punkcie dość spokojna dyskusja przekształciła się w jego głośny monolog, którego nikomu nie udało się przerwać. Często po takim lunchu czułam się wyczerpana, ale tym razem niemal zasnęłam w czasie lekcji ochrony środowiska, która odbywała się po przerwie.

Zespół wprawdzie wciąż nie znajdował dla siebie nazwy, ale bynajmniej nie zaniechał prób, na co wskazywał hałas dobiegający od strony domu. Muzyka docierała jakby gdzieś z boku, ruszyłam więc w jej stronę i doszłam do jakiejś szopy znajdującej się między ciężarówką ustawioną na bloczkach i dużym sedanem z zapadniętym dachem. Mniejsza niż garaż, lecz większa od wiaty, miała dwoje drewnianych drzwi, które stały otworem. Wewnątrz ujrzałam Maca za perkusją, Erica przy mikrofonie i Forda, który majstrował przy wzmacniaczu. Przed nimi na ogrodowym krześle siedziała Layla w ciemnych okularach, które zasłaniały jej pół twarzy.

- Werdykt? - mówiła, gdy podchodziłam. - Za głośne. Niedobre.

Eric tylko na nią spojrział.

- Nie sil się na pochlebstwa, Chatham.

- Nie martw się. To ci nie grozi.

- Ale my musimy grać głośno - rzekł Ford, wyjmując wtyczkę z kontaktu i znów coś podłączając. - To część naszego etosu, zgadza się? Ta muzyka w oryginale była kontrolowana, dyrygowana, a nawet komputeryzowana. Przekształcamy ją, narzucając surową, nieokiełznaną formę.

Mac, trzymając w dłoni pałeczkę, uniósł brwi.

- Stary, chyba jednak za dużo zadajesz się z Erikiem.

- Przeciwnie - wtrącił się Eric. - Myślę, że wreszcie ktoś tu powiedział coś sensownego. Jeśli teraz nasze przesłanie dotrze do perkusisty, będziemy gotowi.

- Zapomnij o przesłaniach - rzuciła Layla. - Po prostu dobrze graj.

- Nikt cię nie pyta o zdanie - odciął się. - Szkoda twojego czasu. Lepiej popracuj nad nową wersją keczupu.

Rozparła się na krzesło, zakładając nogę na nogę.

- Mam właśnie masę czasu.

- Ale fart - mruknął Eric, obracając się do pozostałych. - No dobra, spróbujemy jeszcze raz „Prom Queen”. Od początku.

Mac policzył do czterech. Znów zaczęli grać, najpierw nieco niespójnie, lecz przy końcu pierwszej zwrotki jakoś się pozbierali. I choć Layla nie szczędziła im złośliwych komentarzy, gdy podeszłam do niej, zauważyłam, że wybija stopą rytm.

- Miejsce w pierwszym rzędzie, co?

- Hej! - Mój widok szczerze ją ucieszył. - No cóż, może to nie jest całkiem prawdziwy Logan Oxford, ale przynajmniej nie musimy daleko jechać. Zaraz przyniosę ci krzesło.

- Och, nie rób sobie kłopotu...

Ale ona była już w szopie, przeciskając się obok Forda i jego kontrabasu. Chwilę później wyciągnęła podniszczone różowe krzesło we wzorek z palm. Gdy postawiła je przede mną, na ziemię spadło kilka martwych pajaków. Nie zwracając na to uwagi, przetarła krzesło dłonią, po czym wskazała je gestem.

- Najlepsze, jakie mamy w tym domu.

Usiadłam. Chłopcy wciąż grali, lecz Eric przestał śpiewać i stał odwrócony do nas tyłem.

- A więc to tutaj ćwiczą? - spytałam.

- Czasami - odparła Layla, wracając na swoje stanowisko. - Niekiedy mają próby w piwnicy u Forda, ale tam zawsze jest pranie i Eric twierdzi, że od zapachu

proszku boli go głowa.

- Problemy gwiazd rocka.

- Problemy Erica - westchnęła - są jeszcze bardziej wydumane.

Spojrzałam na niego. Eric przestał grać i ze zbolaną miną stroił gitarę. Gdy Mac i Ford przeszli do refrenu, pomyślałam, że to wykonanie jest lepsze bez niego. I może dlatego powiedziałam:

- Jesteś dla niego surowa.

- Dla Erica? - Potwierdziłam. - Tak, zapewne. Ale wierz mi, że tylko dla jego dobra. Zanim poznali się z Makiem i zaczął tu przychodzić, był absolutnym dziwolągiem. Totalnie nadętym palantem. Rzecz w tym... że to nie całkiem jego wina.

- Nie?

Potrząsnęła głową.

- Jego rodzice bardzo długo starali się o dziecko. No wiesz, wszystkie te problemy z zapłodnieniem i poronienia... Powiedziano im w końcu, że nie mają szans. Tak więc gdy jego matka zaszła w ciążę, choć dali już za wygraną, uznali... że to cud. I gdy Eric przyszedł na świat, traktowali go właśnie w taki sposób.

- Jakby był cudem...

- Bożym darem. Głęboko w to wierzyli. - Poprawiła się na krześle. - Problem zaczął się wtedy, gdy sam zaczął tak uważać, a nikt nie próbował wyprowadzić go z błędu. I wtedy poznał Maca.

- To on go sprowadził na ziemię?

- Na swój sposób - odparła. - Tak to już bywa z moim bratem. Bo widzisz, jest delikatny. I dobry. I każdemu zależy, żeby Mac go lubił.

Odchrząknęłam w obawie, że się czerwienię.

- Powiedział Ericowi, że nie musi aż tak się napinać, wygrywać każdej dyskusji, mówić głośniej niż inni i tak dalej. A Eric, co trzeba mu przyznać, posłuchał. Teraz nie jest już tak źle, choć ma jeszcze wpadki. Ale gdy do nich dochodzi, interweniuje ja. Zresztą my wszyscy.

- Dla dobra ogółu. - Pokiwałam głową.

- W jego przypadku rozmiarów co najmniej miasta - odparła. - A nawet metropolii. Gęsto zaludnionej.

Roześmiałam się i w tej samej chwili ryknął akompaniament, po czym Eric zaczął coś wykrzykiwać. Layla się skrzywiła.

- Na razie mam tego dość, chodźmy coś zjeść.

Wstała, a ja ruszyłam za nią przez błotniste podwórko w stronę domu, a potem

omszałym chodnikiem do tylnych drzwi. Skrzypnęły, gdy je pchnęła, alarmując psy, które rzuciły się na nasze kostki, wściekle ujadając.

- Jestem z Sydney! - zawołała Layla, gdy weszliśmy do środka i drzwi zamknęły się za nami. Dopiero po chwili mój wzrok przystosował się do ciemności. Wtedy jednak wszystko okazało się znajome - kanapa, olbrzymi telewizor oraz dwa zagracone stoliki obok rozkładanego fotela, w którym siedziała pani Chatham w bluzie z napisem „Miami” i dresowych spodniach. Gdy na to patrzyłam, psy, które straciły nami zainteresowanie, wskoczyły jej na kolana i zagrzebały się pod leżącym na nich kocem.

- Witaj - powiedziała. - Słyszałam, że zostajesz u nas na noc.

- Tak - odparłam. - Dziękuję za zaproszenie.

- Jeszcze nie dziękuj - wtrąciła się Layla. - Możesz zmienić zdanie, jak zaczną grać.

- Zaczną? - powtórzyłam zdziwiona, spoglądając przez okno. - Przecież grają już jakiś czas.

- Nie oni. Znajomi mojego taty. Okazuje się, że on też zaprosił ich na wieczór. Nie żebym coś wiedziała.

- Jestem pewna, że Sydney będzie zachwycona - odezwała się jej matka.

- To będzie bluegrass - powiedziała Layla. - Nic, tylko bluegrass. Przez całą noc. Jeśli nie lubisz mandoliny, to ci współczuję.

- W twoim pokoju są drzwi. Możesz je wykorzystać. - Wprawdzie ton pani Chatham brzmiał wesoło, ale wyraźnie oznaczał koniec dyskusji. - A teraz idź, przygotuj trochę popcornu, dobrze, skarbie? Chciałabym pogadać z Sydney.

Layla spojrzała na mnie, a potem wyszła do kuchni. Przez chwilę obawiałam się, że zrobiłam coś złego, choć nie wiedziałam co. Ale gdy podniosłam wzrok na panią Chatham, ona uśmiechała się do mnie. Usiadłam na krześle obok niej, gdy Layla włączała mikrofalówkę.

- No więc - zaczęła, gdy jeden z psów na jej kolanach zmienił pozycję - przeczytałam ten artykuł.

W ciągu ostatnich miesięcy zdałam sobie sprawę, że naprawdę nikt nie potrafił normalnie mówić ze mną o Peytonie. Jeśli rozmówcy unikali tego tematu, choć wyraźnie ich zaprzętał, sytuacja robiła się niezręczna. Ale kiedy poruszano go wprost, było to jeszcze gorsze - miałam wtedy wrażenie, że wjeżdża we mnie czołowo jakiś pociąg, a ja nie potrafię go zatrzymać. Naprawdę nic nie było tu właściwe, ale to delikatne wyznanie naprawdę mnie ujęło. Brzmiało w nim zrozumienie i współczucie, a przy tym respekt dla faktów. Tak mnie to zaskoczyło,

że początkowo nie mogłam się odezwać, więc z ulgą słuchałam jej dalej.

- To musiało być tak trudne dla ciebie i twojej rodziny - ciągnęła - że wprost nie umiem sobie wyobrazić.

- I takie jest - zdołałam w końcu wykrztusić. - To znaczy trudne. Najbardziej dla mamy. Nie mogę znieść myśli o tym, co ją spotkało.

- Musi bardzo cierpieć. - Było to stwierdzenie, nie pytanie.

- Tak. - Spuściłam wzrok na dłonie. - Ale... cierpi i ten chłopiec. David Ibarra. I to on cierpi naprawdę.

- Oczywiście. - Ale i tym razem nie był to osąd, lecz zachęta, bym mówiła dalej.

- Myślę... - zaczęłam, ale nagle poczułam, że jest to zbyt wielkie, by dało się wypowiedzieć lub by mogło zaistnieć poza moją świadomością. Czym innym bowiem jest pozwolić myślom błądzić w ciemnych rejonach własnej świadomości, a czym innym ukazać je w świetle, nadać im realną postać. Ona jednak patrzyła na mnie tak intensywnie, a to miejsce było tak nowe i tak odmienne od świata, który znałam, że odważyłam się mówić dalej. - Myślę, że moi rodzice w pewnym sensie uważają Peytona za ofiarę. Nie mogę tego znieść. Wręcz mnie mdli. To po prostu takie... takie niesprawiedliwe.

- Czujesz się winna.

- Tak. - Zdumiała mnie gwałtowność, z jaką to powiedziałam. Jakby dzięki jej zrozumieniu mój duch uwolnił się z więzów. - Tak, bardzo. Każdego dnia.

- Och, dziecko... - Wyciągnęła rękę i położyła ją na mojej dłoni. W kuchni obok syczał prażony popcorn, wypełniając korytarz maślaną wonią kojarzącą mi się z wszystkimi samotnymi popołudniami, które spędzałam po szkole. - Dlaczego chcesz brać na siebie odpowiedzialność za brata?

- Bo ktoś powinien to zrobić - odparłam. Spojrzałam w jej oczy. Były zielone w brązowe cętki, jak oczy Layli. - Właśnie dlatego.

Zamiast odpowiedzi ścisnęła mi dłoń. Wiedziałam, że mogę się odsunąć i będzie to naturalne. Ale gdy chwilę później Layla weszła z popcornem, zobaczyła nas w tej samej pozycji. Dopiero wtedy wysunęłam rękę. Myślę teraz, że to zrozumiałe. Po prostu w tamtej chwili pragnęłam się kogoś trzymać.

## Rozdział dwunasty

- Jak daleko jeszcze?

- Zawsze tak pytasz.

- Bo zawsze chcę wiedzieć. - Cisza. A potem znowu: - No to jak daleko?

Idący z przodu Mac odwrócił się, oświetlając Laylę latarką.

- Jeżeli liczysz na transport, to po prostu powiedz.

Uśmiechnęła się.

- Nie chcę się narzucać.

W odpowiedzi Irv, który szedł obok Maca, zwolnił tak, byśmy mogły się z nim zrównać.

- Wskakuj. - Przykucnął, a Layla wspięła się na jego potężne ramiona. Niosąc ją na barana, ruszył dalej w mrok.

Byłam tak przejęta rozmową z panią Chatham, że z ulgą przyjął zamieszanie, które wybuchło wkrótce potem. Gdy już pochłonęliśmy cały popcorn i zaliczyliśmy kolejny etap „Big Los Angeles” (jedna bijatyka, dwa rozstania i zbyt wiele wspaniałych strojów, by móc je zliczyć), Mac, Eric i Ford wpadli do domu i spustoszyli lodówkę. Potem pojawiła się Rosie z kilkorgiem przyjaciół z Mariposa, którzy właśnie przyjechali do miasta na tygodniowe występy w Lakeview Center. Dom pękał już w szwach, zanim jeszcze pan Chatham i jego przyjaciele nadciągnęli ze swymi instrumentami. Przyzwyczajona do martwej ciszy, która zapadła w naszym domu, od kiedy zniknął Peyton, spodziewałam się, że taki harmider będzie nieznośny. Tymczasem okazało się, że podoba mi się cały ten zgiełk, tłum ludzi i energia, która wręcz rozsadzała niewielką przestrzeń. Mogłam stać z boku i tylko się przyglądać, a jednak czułam, że jestem wśród nich. To było naprawdę ożywcze.

Na kolację podano wiele rodzajów pizzy z Seaside, sałatki i bułeczki czosnkowe. My, młodzi, jedliśmy w szopie, natomiast rodzice Layli i ich przyjaciele wypełnili po brzegi kuchnię i salon. Robiło się już ciemno, gdy usłyszałam pierwsze dźwięki muzyki płynące przez otwarte drzwi domu. Brzmiały tak jak te, które dobywały się z szafy grającej w Seaside, ale były prawdziwe, żyły.

Myślałam, że wrócimy do środka, by posłuchać muzyki country, ale okazało się, że nie mamy tego w planie. Po sprawdzeniu, czy pani Chatham niczego nie potrzebuje,

Mac wyszedł z domu z torbą turystyczną i wniósł ją do garażu. Chwilę później wyłonił się z tą samą torbą, tyle że teraz załadowaną, i przerzucił ją przez ramię. Layla wyciągnęła latarkę z najbliższej szafki, a Irv, który przybył po popcornie i przed kolacją, chwycił swój plecak. Gdy na koniec Eric spakował gitarę, w milczącym porozumieniu dali znak do wymarszu. Przyłączyłam się do nich, jako jedyna nie wiedząc, dokąd zmierzają.

Okazało się, że do lasu. Wszyscy skierowali się w jego stronę, jakby nocna wędrówka wśród potężnej, ciemnej gęstwiny miała jakiś cel. Najwyraźniej jednak tak było.

- Hej! - zawołała Layla, oglądając się na mnie. - Nie obawiaj się, chodź.

Gdy wchodziliśmy z Peytonem między drzewa rosnące za naszym domem, dopiero po dłuższej chwili nasze podwórko i sąsiednie posesje zniknęły nam z oczu. Tutaj rzecz wyglądała inaczej. Ledwie dotarliśmy do ściany lasu, a gęszcz z miejsca nas wchłonął. Światła domu Chathamów to pojawiały się, to gasły, aż wrótce całkiem znikły. Dziękowałam Bogu, że Mac ma białą koszulkę, która zdawała się niemal fosforyzować, gdy prowadził nas wśród ciemności. Po jakichś dwudziestu minutach Layla zaczęła narzekać, ale wtedy Irv wziął ją na barana i przyspieszyliśmy tempo marszu.

- Zawsze zapominam, jak cholernie długo to trwa - jęknął Eric, gdy futerał z gitarą kolejny raz uderzył go w nogę.

- Czy i ciebie Irv ma wziąć na barana? - spytała Layla.

Zaczynało mi już brakować tchu, zarówno z powodu tempa, jakie narzucił Mac, jak też długości marszu. Dla Irva najwyraźniej nie miało to znaczenia, choć niosąc Laylę, dołożył sobie co najmniej pięćdziesiąt kilogramów. Maszerowaliśmy bez wytchnienia i gdy byłam już niemal pewna, że ktoś, może nawet ja, zacznie protestować, naszym oczom ukazała się polana. Drzewa rosły coraz rzadziej, aż w końcu zupełnie znikły. I wtedy stanęliśmy nagle przed potężną metalową konstrukcją. Wyrastała nieoczekiwanie pośrodku lasu, niczym zabawka porzucona tam przez samego Boga.

- Nareszcie - westchnęła ciężko Layla, jakby pokonała całą drogę pieszo, po czym zsunęła się na ziemię po plecach Irva. - Niech mi ktoś da piwa.

Mac postawił już torbę na ziemi i teraz rozsuwał zamek. Patrzyłam, jak rzuca jej puszkę, którą złapała w locie, a drugą podaje Ericowi. Na koniec, trzymając kolejną, wyciągnął rękę w moją stronę. Spojrzałam na Irva, gdyż stał bliżej Maca niż ja, i jak zauważyłam, cieszył się największym autorytetem. Ale on tylko pokręcił głową.



- Nie piję - wyjaśnił. - Nie ma po co.
- Nie może się upić - wyjaśniła Layla. - Jest za wielki.
- Stąd ma ksywę WC - powiedział Mac. - Waga ciężka. W przeciwieństwie do...
- Nawet nie próbuj - ostrzegł Eric, zrywając wieczko puszkę.
- WL - dokończyła Layla. - To jedna z ksywek Erica.
- Waga lekka? Bzdury. - Jakby chcąc tego dowieść, jednym haustem wypił całą

zawartość puszkę i głośno beknął. Potem spojrzał na mnie pytająco. - Masz ochotę?

Nie lubiłam pić, zwłaszcza po katastrofie z Jenn i piña coladą. Ale tego wieczoru nie prowadziłam, a na niebie lśnił księżyc. Skinęłam twierdząco. Mac wyjął z torby puszkę, by mi ją rzucić, ale Eric złapał ją pierwszy, otworzył i dopiero wtedy mi podał.

- Dzięki. - Była zimna w dotyku.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Lekko uniósł swoją puszkę do góry. - Na zdrowie.

Layla przewróciła oczami, ale powstrzymała się od komentarza, tym razem nie spełniając swego obywatelskiego obowiązku. Podeszła do konstrukcji i usiadła na krawędzi. Pomyślałam, że to jakiś pojazd, może stara ciężarówka. Stała obok szlaku wycinki, który - jak dopiero teraz zobaczyłam - skręcał w las. Ale gdy przyjrzałam się jej z bliska, okazała się czymś zupełnie innym. Była to stara karuzela, tak skorodowana, że niemal wtapiała się w mrok. Przez chwilę stałam, nie wierząc własnym oczom. Gdybym wypijała więcej niż łyk piwa, pomyślałabym, że mam urojenia.

- Cool, co? - rzuciła Layla, wspinając się na siodło jednego z koni. - Mac odkrył to w czasie jakiegoś odchudzającego spaceru.

- To się nazywa trening - sprostował.

- Tak czy owak, ktoś to tu kiedyś zostawił. Ale dlaczego? I po co? Czyżby przywieziono ją ciężarówką, żeby po nią wrócić? A może chcieli ją na dobre zainstalować?

Podeszłam do karuzeli, przyglądając się koniom i połamanemu rydwanowi, w którym rosła trawa.

- To niesamowite. - Patrzyłam zdumiona. - Naprawdę nie wiecie, do kogo należy?

- W okolicy nie ma żadnych zabudowań.

- A ta ścieżka? - Wskazałam tor wycinki.

- Kończy się niedaleko, dużo przed granicą lasu. - Layla przełknęła łyk piwa, machając nogami. - Ciarki mnie przechodzą.

Mnie to jednak nie przerażało. O odkryciu czegoś równie tajemniczego

marzyliśmy z Peytonem w czasie naszych wypraw. To właśnie nadzieja, że znajdziemy coś niezwykłego, ciągnęła nas do lasu.

Myśląc o tym, spojrzałam na Maca. Zdziwiłam się, widząc, że spogląda na mnie znad brzegu puszki, z której sączył piwo. Nie odwróciłam wzroku, wciąż pamiętając o pięciodolarówce, która bezpiecznie spoczywała w moim portfelu. Niewydana.

- Powinnaś to obejrzeć z drugiej strony. - Obok mnie nagle stanął Eric. Rozległ się syk kolejnego otwieranego piwa. - Zobaczysz tam pierścień. Chodź, to ci pokażę.

Ruszyłam za nim, mijając rydwan i dużego konia, który stał dęba z odrzuconym w tył łbem i otwartym pyskiem. Ten, kto to wykonał, musiał dobrze się napracować.

- Trzeba się ustawić w odpowiednim miejscu, żeby to zobaczyć. - Eric wspiął się, by stanąć obok konia, i wyciągnął do mnie rękę. - Chodź.

Odwróciłam się do Layli, której postać ginęła w ciemności. Mac natomiast zupełnie zniknął mi z oczu. Tylko potężna sylweta Irva rysowała się wyraźnie, ale jemu niełatwo byłoby się rozplątać. Podałam Ericowi rękę, czując, jak jego palce zaciskają się na moich, gdy pomagał mi się wspiąć. Stając obok niego, usłyszałam cichy zgrzyt karuzeli pod naszymi stopami.

- Okej. - Położył mi ręce na ramionach i wskazał w górę, na dach karuzeli nad nami. - Widzisz to miejsce, gdzie wspornik łączy się z metalową obręczą?

- Aha. - Pokiwałam głową.

- A teraz przesun wzrokiem od prawej do lewej. - Zrobił odpowiedni gest. - Jest niewielki, ale widoczny.

Zobaczyłam go dopiero po chwili. Był tuż nad nami. Prosty pierścień znajdował się tak blisko, że można go było dotknąć, gdy koń wznosił się do góry.

- Dziwię się, że nikt go jeszcze nie zabrał - powiedziałam.

- Och, wierz mi, próbowaliśmy. - Pociągnął kolejny łyk. - Ale mocno się trzyma. Ten, kto to montował, dobrze go zabezpieczył.

Pierścień faktycznie kusił. Kto nie próbowałby zdobyć nagrody, która jest tak blisko?

- Ale jak tam weszliście?

- Kiedy się kręciła.

Obróciłam się i nagle zdałam sobie sprawę, że stoimy właściwie twarzą w twarz. Eric nie wydawał się specjalnie zaskoczony, ja natomiast doznałam granicznego z pewnością wrażenia, że wszystko to odgrywał już nie raz.

- Ta karuzela działa? - Nie mogłam wprost uwierzyć.

- Jeśli ktoś ją pchnie - rozległ się głos Maca.

Nie słyszeliśmy, gdy podszedł i stanął na wprost konia. W świetle księżycy znów dostrzegłam na jego szyi łańcuszek z przywieszką. Odruchowo odsunęłam się od Erica, który nie zdejmował rąk z moich ramion.

- Jak to możliwe? Przecież musi być strasznie ciężka.

- Tylko wtedy, gdy jest zbyt mocno obciążona - powiedział Mac. - Potrafimy uzyskać całkiem dobre tempo. Zwłaszcza gdy włączy się Irv.

- Nie mogę się nawet upić, bo zawsze muszę pchać tę karuzelę - dobiegł nas z ciemności baryton. - Nie rozumiem, po co to robię.

- Bo nas kochasz! - zawołała Layla, która również do nas podeszła. Spojrzała na Erica. - A tak dla informacji, to twój telefon wciąż brzęczy.

- Och, pewnie chodzi o ten występ za tydzień. Muszę odebrać. - Poklepał mnie po ramieniu. - Zaraz wracam.

Layla patrzyła, jak on znika po drugiej stronie konstrukcji. Potem bez słowa ruszyła za nim, zostawiając mnie i Maca samych. W ciszy, która zapadła, słyszałam, jak Layla mówi coś do Irva, po czym rozległ się trzask otwieranej puszki. W końcu się odezwałam:

- Zawsze chciałam znaleźć coś podobnego, kiedy błądziliśmy po lesie.

- Naprawdę? - Podniósł na mnie wzrok.

Skinęłam głową.

- Najcenniejszą rzeczą, jaka mi się trafiła, był grot strzały. Aha, i jeszcze czaszka nietoperza.

- Widzę, że sporo chodziłaś.

- Tak, wędrowałam razem z moim bratem, gdy byliśmy dziećmi. - Znów spojrzałam na pierścień. Światło księżycy padało na wyżartą przez rdzę dziurę obok i wyraźnie widziałam obręcz. Pociągnęłam łyk piwa. - To on był prawdziwym poszukiwaczem skarbów, ja tylko asystowałam. Chciałam go we wszystkim naśladować.

Znowu cisza, w której słyszałam śmiech Layli. I wtedy się odezwał:

- Słyszałem, co spotkało twojego brata. Bardzo mi przykro.

- Jego nic nie spotkało - odparłam. - On to spowodował. Na tym polega różnica.

Gdy to powiedziałam, zdałam sobie sprawę, jak wiele było w tym złości.

- Nie chciałem... - speszył się.

- Nie, nie chodzi o ciebie - dodałam szybko. - To po prostu mój czuły punkt.

Natychmiast się zawstydziałam. Jak mogłam użyć słowa „czuły” w obecności tego chłopaka, którego ledwie znałam, a który tak mnie pociągał? Naprawdę nie rozumiałam. Łyknęłam duży haust piwa, a potem drugi.

- Cóż - odezwał się po chwili. - Każdy go ma.

Mówił to wpatrzony w drzewa, a księżyc oświetlał mu twarz. Może z powodu piwa, a może dlatego, że już dwukrotnie niewłaściwie się wyraziłam, doszłam do wniosku, że nie mam wiele do stracenia. Zebrałam się na odwagę.

- Nawet ty? To niemożliwe.

Spojrzał na mnie.

- Nie tak dawno byłem grubym, pryszczatym niedojdą. Tego się nie zapomina.

Pokręciłam głową.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

- Jest dokumentacja. - Pociągnął łyk. - Choć bardzo starałem się zniszczyć wszelkie dowody.

Z oddali dobiegał śmiech Layli.

- Chyba dobrze je mieć. Patrząc na nie, możesz poczuć się dumny z tego, co osiągnęłaś.

- Byłbym bardziej dumny, gdybym nigdy do tego nie doprowadził.

- Nie zmienimy przeszłości.

Podniósł rękę i wsunął palec pod łańcuszek na szyi.

- Co nie znaczy, że musimy wciąż ją rozpamiętywać.

Eric nie był jedynym zawodnikiem wagi lekkiej. Czułam, że piwo zaczyna na mnie działać. Dopijałam je i odstawiłam puszkę na bok.

- Co oznacza ta moneta?

- Moneta? - Wskazałam gestem przywieszkę, a on na nią spojrzał. - Och, to medalik, wizerunek pewnej świętej. Mama dała nam wszystkim takie medaliki, gdy byliśmy mali.

- Świętej?

- Mhm. - Podniósł wisiołek i ujął tak, by pokazać go w świetle księżyca. - To Batylda, patronka dzieci. Mama pewnie uznała, że będzie nam potrzebna wszelka możliwa pomoc.

Podeszłam i teraz z bliska dostrzegłam niewyraźny zarys postaci, a także słowa wypisane drobnym pismem.

- Jest piękny.

- Taa... Ale coś mi też przypomina.

- Co takiego?

- Kiedy sięgnąłem dna, łańcuszek zaczął mnie dusić. Mówię serio, miałem pręgi na szyi. Ale nie chciałem go zdjąć. Nie mogłem. Potrzebowałem wszelkiej możliwej pomocy.

- Opieki - powiedziałam.

- Coś w tym rodzaju. - Puścił medalik. - Teraz wciąż go noszę, żebym nie zapomniał, co straciłem.

Słuchając go, miałam dziwne odczucia. Okazało się bowiem, że strata może być czymś dobrym. Ja natomiast miałam inne doświadczenia - brak, nieobecność oznaczały dla mnie cierpienie. Nagle zapragnęłam zadać mu milion pytań i czułam, że w tych ciemnościach, przy piwie, mogę sobie na to pozwolić. Ale wtedy zza rogu wyłonił się Eric z gitarą.

- Przepraszam, że przerywam. - Mówił nieco niewyraźnie. - Ale to nieuprzejmie tak się izolować.

- Ile wypiełeś? - spytał Mac, podczas gdy zsunęłam się z karuzeli, trzymając w ręku puszkę.

- Niewiarygodnie mikroskopijną ilość - odparł Eric, ale gdy ruszyliśmy za nim, dostrzegłam, że nie porusza się pewnie.

- Eric zaczyna się wyrażać - poinformował Mac Laylę oraz Irva, którzy siedzieli w powoziku naprzeciw siebie. Obok niej było mnóstwo miejsca, on natomiast ledwie się mieścił i zdawało się, że metalowa poręcz długo nie wytrzyma.

- No to szlaban - zawyrokowała Layla. - Nie ma więcej piwa, Bates.

- Robi się nader elokwentny, gdy jest nawalony - wyjaśnił Irv. - To jedna z oznak.

- Jestem absolutnie *campos mentis* - protestował Eric, ciężko opadając na ziemię. - Zaraz tego dowiodę, wykonując dla was muzyczne interludium. Sydney, proszę, zechciej mi towarzyszyć na *terra firma* i powiedz, co chciałabyś usłyszeć.

- Och, na miłość boską! - Layla podniosła rękę. - Proszę, przestań, zanim się skompromitujesz.

- Za późno - stwierdził Irv.

Eric, niezrażony, poklepał stojącą obok gitarę.

- Chodźcie, posłuchajcie moich stylizacji akustycznych.

Tak mu współczułam, że podeszłam. Ale gdy tylko usiadłam, oparł się na mnie i zaczął stroić gitarę.

- „Znałem kiedyś dziewczynę, na imię Sydney miała... I była taka śliczna, że prawie zwariowałem...”.

- Czy mogę prosić o jeszcze jedno piwo? - spytałam.

Irv się skrzywił, ale Mac rzucił mi kolejną puszkę.

- „Ujrzałem ją w szkole, pod ścianą stała - zawodził Eric. - Staiałem obok i znieruchomiałem...”.

- O... kej. - Layla wstała. - Myślę, że czas wracać. Mama zaraz będzie się

niepokoić.

- Właśnie zacząłem komponować nowy utwór - zaprotestował Eric.

- Później mi podziękujesz - powiedziała, gdy Mac podniósł torbę, by wrzucić do niej puste puszki po piwie. Irv zszedł z karuzeli, która wydała odgłos brzmiący jak westchnienie ulgi. Obok mnie Eric na szczęście przestał śpiewać, choć nadal niezdarne brzdąkał w struny. - Ale zrobimy jedną rundę przed odjazdem?

- Jedna runda - mamrotał Eric. - Bądź moją panią. Ruszajmy na nią...

Irv spojrzał na Maca, który wzruszył ramionami.

- No dobra, włącz.

Layla klasnęła w dłonie i z powrotem wspięła się na karuzelę, sadowiąc się na grzbiecie jednego z koni.

- Chodź tutaj! - zawołała do mnie. - Musisz spróbować.

Po wypiciu dwu i pół puszek piwa teraz na dobre kręciło mi się w głowie, gdy podeszłam do niej i wspięłam się na górę. Mój koń był mały i poczułam się niepewnie, gdy na nim usiadłam, jednocześnie usiłując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłam na karuzeli.

- Gotowa? - spytał Irv.

- Gotowa! - Layla obróciła się do mnie z uśmiechem.

Uśmiechnęłam się do niej w odpowiedzi, choć na razie nic jeszcze się nie działo.

Mac i Irv stanęli po przeciwnych stronach urządzenia i zaczęli je pchać. Początkowo obracało się powoli, mocno skrzypiąc, ale po minucie nabrało tempa. Gdy mój koń wznosił się w górę, poczułam wiatr we włosach. Przede mną Layla szybowała coraz wyżej, a jej śmiech niósł się echem wśród drzew. Mknęłyśmy szybciej i szybciej pośród nocy i bezkresu lasów. Była to jedna z tych chwil, które na zawsze pozostają w pamięci. Wiedziałam to od razu, zanim jeszcze w zasięgu mojego wzroku i rąk ukazał się pierścień. Nie próbowałam go jednak dosięgnąć. Nie musiałam. I tak czułam się zwycięzcą.

\* \* \*

Dobiegła nas muzyka, zanim jeszcze ukazał się dom. W jednej chwili ciszę wokół nas zakłócał jedynie szelest liści pod stopami, a już w drugiej wypełnił ją dźwięk instrumentów i solowy, przejmująco piękny głos.

Layla stanęła na granicy lasu, nasłuchując.

- To Rosie. Ho-ho, ciekawe, jak ją zmusili.

Dom, który wyłonił się przed nami, tonął w światłach. Przez otwarte z tyłu drzwi

widziałam zatłoczony po brzegi salon. Powietrze wręcz wibrowało od wysokich, czystych dźwięków. Nie rozumiałam słów, ale moc tego głosu przenikała do szpiku kości.

- No dobra - odezwał się Mac. - To co robimy?

Layla spojrzała na Irva, który dźwigał na plecach Erica pogrążonego w głębokim śnie. W połowie drogi powrotnej zaczął się potykać, a potem oznajmił, że musi odpocząć, i ułożył się na posłaniu z sosnowych igieł. Najwyraźniej nikogo nie zaskoczył, gdyż Irv bez słowa zarzucił go sobie na plecy, po czym ruszyliśmy dalej. Z głową opadającą na ramię Irva Eric wyglądał tak słodko i niewinnie, jak owo cudowne dziecko, którym kiedyś był.

- Musi się przespać - powiedziała Layla. - Znajdzie nas, jak wstanie.

Ruszyłam za nią, gdy skierowała się do szopy, w której chłopcy wcześniej ćwiczyli. Zdjęła z wygniecionej kanapy jakieś papiery i pałeczki do perkusji, a gdy Irv położył tam Erica, przykryła go śpiworem. Kiedy go otulała, mruknął coś przez sen. Chłopcy zaraz ruszyli w stronę domu, więc tylko ja widziałam, czekając na nią, jak gładziła dłonią jego czoło.

Dom był nie tyle pełny, co wprost pękał w szwach. Przeciskaliśmy się przez korytarz, wciąż przepraszając i uważając, by nie nadepnąć komuś na stopę lub nie szturchnąć łokciem. Po dotarciu do kuchni, gdzie było nieco luźniej, obróciłam się i spojrzałam na salon. Pani Chatham siedziała na swym rozkładanym fotelu, a jej mąż na kanapie z pochyloną głową i bandżo na kolanach. Dwaj otaczający go mężczyźni też grali, a na krześle obok siedziała rudowłosa kobieta ze skrzypcami opartymi na ramieniu. Jednak to Rosie przyciągała powszechną uwagę.

Stała przy kanapie w dżinsach i podkoszulku, z włosami związanymi w charakterystyczny koński ogon. Miała zamknięte oczy. Nie znałam pieśni, którą śpiewała, tak jak nie znałam repertuaru szafy grającej w Seaside, ale melodia uwodziła, podobnie jak słowa o dziewczynie, górze i pamięci. Jednak dopiero wtedy, gdy wybrzmiały ostatnie dźwięki, zdałam sobie sprawę, że wciąż wstrzymuję oddech.

- Uau... - Odwróciłam się do Layli, gdy wszyscy zaczęli klaskać. Rosie zaróżowiły się policzki i lekko się uśmiechnęła, po czym oparła się o ścianę, krzyżując ręce na piersi. - Nie przesadzałaś. Jest niesamowita.

- Wiem - przytaknęła. - Niechętnie śpiewa, ale gdy już zacznie, to zwala z nóg.

Tymczasem chłopcy myszkowali w szafkach w poszukiwaniu jedzenia.

- Mam ochotę na coś dobrego - oświadczył Irv. - I to na bardzo dużo.

- Może surowa marchewka dla wegetariańskich świrów? - zaproponował Mac.

Irv, który wpatrywał się w kolekcję przypraw, wolno obrócił głowę.

- Chyba żartujesz. Czy ja wyglądam na wegetarianina?

- A jak wygląda wegetarianin?

- Nie tak jak ja. - Zatrzasnął szafkę i otworzył następną, gdzie odkrył pudełko tostów Pop-Tarts. - Nareszcie. Teraz możemy pogadać.

- Ja też chcę! - zawołała Layla. - Zaraz zobaczę, czy mamy jakąś polewę.

Irv pstryknął palcami w jej stronę.

- Popieram twoje intencje.

Stojący przy zlewie Mac westchnął. Dostrzegłam, że otwiera małą szafkę, zawieszoną wysoko na ścianie. Widniał na niej sporządzony ręcznie napis: „Żywność Maca. Nie ruszać!”.

- Jakby ktoś mógł mieć na to ochotę - prychnęła Layla, wyjadając łyżką z pojemnika jakąś truskawkową masę. Stała obok mnie, patrząc, jak Irv układa rzędy tostów na blasze, a następnie wsuwa ją do piekarnika. - W tym domu są myszy, ale nawet one nie tkną tego, co on tam chowa.

Nie zwracając na nią uwagi, Mac wyjął pudełko krakersów, a potem podszedł do lodówki, gdzie grzebał ponad minutę, nim znalazł jakąś pastę. Wziął nóż i usiadł przy kuchennym stole w chwili, gdy ponownie rozległa się muzyka. Layla podeszła do Irwa, by omówić ustawienie temperatury piekarnika, ja natomiast wsunęłam się na krzesło naprzeciw Maca. Pchnął w moją stronę otwarte już pudełko.

- Nie przełkniesz tego! - zawołała Layla. - Uwierz mi. Poczekaj lepiej na tosty z lukrem.

Pomyślałam jednak, że niegrzecznie byłoby odmówić, i sięgnęłam po krakersa. Miał ośmiokątny kształt i jakieś ziarna na wierzchu. Mac patrzył na mnie, gdy odgryzałam kęs. Był tak twardy, że moje zęby z trudem dały mu radę. A do tego suchy, bardzo suchy.

- Dzięk... - zdołałam wykrztusić, zanim złapał mnie atak kaszlu. W odpowiedzi Layla postawiła przy mnie szklankę wody. Ta dziewczyna naprawdę myślała o wszystkim.

- Są lepsze z humusem - rzekł Mac, gdy łapałam oddech. Miałam wrażenie, że okrucuch jak drzazga wbił mi się w krtań. Tymczasem Mac podsunął mi pudełko, na którym kołysał się nóż. - Spróbuj z pastą.

Uśmiechnęłam się, przełykając łyk wody. Po drugiej stronie kuchni rozległ się sygnał piekarnika.

- Jestem ocalony! - zawołał Irv, otwierając drzwiczki. Sięgnął do środka, natychmiast parząc sobie palce. - Cholera, gorące!



- Nigdy się nie nauczysz, co? - Layla chwyciła drewnianą łyżkę i zaczęła wyjmować nią tosty, a następnie układać je na talerzu. - Dawaj polewę, szybko.

Usiedli przy mnie z obu stron. Dziewczyna oddała dwa papierowe ręczniki, jeden podając Irvowi, po czym na każdym położyła gorący tost i dużą łyżkę polewy. Po chwili oboje pałaszowali lukrowane tosty, a ja patrzyłam na resztkę krakersa. Powodowana głównie lojalnością nałożyłam na to humus.

Smak był teraz nieco lepszy. Nie powiem, że dobry, ale lepszy. Prawie przestałam kaszleć.

- Co to za krakersy? - spytałam Maca.

Obrócił pudełko tak, żebym mogła przeczytać etykietę „Kwackers”.

- Mają mało cukru, niską zawartość węglowodanów i domieszkę Kwist Seeds. Są podobne do soi, ale zdrowsze.

- Pychota! - Layla położyła tosta na ręczniku papierowym i przysunęła go do mnie. - Nie bądź męczennicą, Sydney. Nie warto, nawet dla Maca.

- Czy to moje Pop-Tarts?

Podniosłam wzrok i ujrzałam Rosie torującą sobie drogę do kuchni. Za nią przeciskały się dwie dziewczyny podobnego wzrostu i budowy - ciemnowłosa i blondynka. Brunetka miała na sobie legginsy i firmową koszulkę Mariposy z różowym motylem, którego zapamiętałam z porannych sobotnich kreskówek mojego dzieciństwa. Blondynka była w szortach i koszulce odsłaniającej talię, a wraz z nią najpiękniej ukształtowane mięśnie brzucha, jakie w życiu widziałam.

- Nie były podpisane twoim imieniem - odparła Layla. - Ale proszę, częstuj się.

Rosie podeszła do stołu, wzięła jednego tosta i wyciągnęła rękę do swoich koleżanek. Kiedy obie pokręciły głowami, oderwała kawałek, zanurzyła go w humusie, a potem odgryzła kęs.

- Tfu - prychnął Irv.

- Właściwie to nie jest takie złe - odpowiedziała mu Layla.

- Próbowalaś?

- W ostateczności robi się różne rzeczy.

Brunetka wysunęła się zza Rosie i wyciągnęła rękę do Maca.

- Jestem Lucy. A ty?

- To mój brat. - Rosie chłodno na nią spojrzała, gdy podawali sobie ręce. - Ma siedemnaście lat.

- Uwielbiam siedemnastolatków. - Lucy szeroko się uśmiechnęła.

- A ja jestem Layla - powiedziała Layla, wyciągając dłoń. - I mam szesnaście lat.

- Cześć. - Lucy potrząsnęła jej ręką ze znacznie mniejszym entuzjazmem.

Dziewczyna z nagim brzuchem z niewiadomych przyczyn nie została przedstawiona, podobnie jak reszta z nas. Sięgnęłam do pudełka krakersów, by wziąć jeszcze jednego, a Mac podsunął je bliżej mnie. Tym razem zdawałam sobie sprawę, że zarówno Layla, jak wszyscy pozostali uważnie na nas patrzą.

- Żebyś wiedziała, że nocujemy dziś w twoim pokoju - poinformowała Laylę Rosie, zanurzając drugi kawałek tosta w lukrowej polewie.

- Co takiego? - Layla aż podskoczyła.

- Mama powiedziała, że mogę - odparła Rosie, gdy w sąsiednim pokoju skończyła się piosenka. Nastąpił wybuch śmiechu, a potem sporadyczne oklaski.

- To nie jest jej pokój. A ze mną nocuje dziś Sydney.

- Wiesz, że w gruncie rzeczy śpię w garderobie. Nie zmieścimy się tam we trzy.

- A gdzie my mamy spać?

- Na kanapie? Nie wiem.

- Przecież oni tu będą przez całą noc.

- Rosie! - zawołał z salonu pan Chatham. - Chodź tu, dziewczyno, i zaśpiewaj nam jeszcze raz. Zrób to dla starego ojca.

Mac westchnął.

- Ile już wypił piw? - spytał Irv.

- Mniej, niż wypije do rana. - Mac wstał i po raz ostatni wyciągnął do mnie pudełko. Pokręciłam głową, podczas gdy Rosie obróciła się i wyszła, a za nią blondynka. Lucy natomiast nadal opierała się o drzwi, patrząc na Maca, który sięgał do szafki, by włożyć tam krakersy. Gdy wyciągał rękę do góry, jego koszulka nieco się podniosła, odsłaniając fragment brzucha.

- Jeśli chcecie, mogę wam oddać mój pokój. Prześpię się na kanapie.

- I w dodatku jest dżentelmenem - orzekła Lucy.

- Wyhamuj, dziewczyno - mruknęła Layla. Ale ta albo nie słyszała, albo udawała, że nie słyszy, w końcu jednak wyszła. Według mnie oddalała się jednak zdecydowanie zbyt wolno.

- Uff - odetchnęła Layla, gdy Rosie znów zaczęła śpiewać. - Te dziewczęta z Mariposy są strasznie ordynarne. Gdyby to wiedziały wszystkie te dzieciaki, które kupują bilety, żeby je podziwiać.

- Nie wszystkie są takie - rzekł Mac, zamykając szafkę.

Layla przewróciła oczami, ale się nie odezwała, gdyż głos Rosie, początkowo cichy, zaczął się wznosić, wypełniając salon, a potem cały dom. Tym razem piosenka była tak zwawa, jakby służyła do tańca. Pani Chatham siedziała w fotelu zarumieniona, z uśmiechem wybijając rytm stopą, podczas gdy skrzypaczka

zamknęła oczy i śmigła smyczkiem po strunach. To zdumiewające, że w ciągu jednej nocy tak wiele mogło mnie spotkać – tajemnicza karuzela, krakersy z lukrem i wreszcie najpiękniejszy śpiew, jaki kiedykolwiek słyszałam. Pomyślałam o własnym domu stojącym na wzniesieniu na drugim końcu miasta. Oprócz tych niezbędnych nie paliły się tam żadne światła, a ja i moi rodzice objaliśmy się o siebie w jego wielkiej, pustej przestrzeni.

Głos Rosie brzmiał coraz głośniejszy, w miarę jak muzyka skrzypiec nabierała tempa. Ktoś przytupywał, a ja czułam, że płoną mi policzki. Nie mogłam wprost uwierzyć, że czuję się tak swobodnie w miejscu niemal obcym. Ta noc dopiero się zaczynała, a ja już pragnęłam, by nigdy się nie skończyła.

\* \* \*

– Chcę, żebyś wiedziała – powiedziała Layla, rozściełając na łóżku prześcieradło – że nie tak miało być, kiedy cię zapraszałam.

Dwie godziny później znalazłyśmy się w pokoju Maca. Wcześniej słuchałyśmy muzyki, a potem poszłyśmy do szopy, by obudzić Erica. Layla zmusiła go, żeby pospacerował trochę po podwórku i wytrzeźwiał, zanim Irv odwiezie go do domu.

– Naprawdę jest wspaniale – zapewniłam.

– No nie wiem. – Wsunęła poduszkę w świeżą poszewkę i rzuciła ją na łóżko. – To typowe dla Rosie, że bez żadnych skrępowań zabiera mi pokój. Zawsze robi, co chce.

– Naprawdę mogłam się przespać na kanapie.

– Wykluczone. Jesteś moim gościem, a dla Maca to niewielka różnica. – Obróciła się, by podnieść jeden ze śpiworów, które przyniosłyśmy z garażu, po czym wytrząsnęła go z pokrowca.

Usiadłam na łóżku, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że sypia na nim Mac. Nagle poczułam się zupełnie inaczej. Gdy Layla przykrywała śpiwór kocem, rozejrzałam się po małym pokoju. Było tu podwójne łóżko i komódka z takiego samego wysłużonego żółtego drewna. Na ścianie wisiały dwa samochodowe plakaty – jeden z audi, drugi z bmw, a obok mapa czegoś, co wyglądało jak Lakeview i było gęsto poznaczone ołówkiem. Na metalowym powgniatanym blacie biurka stał komputer, głośniki i rząd książek, głównie dotyczących ćwiczeń i biegów. W głębi, niemal na końcu, dostrzegłam kilka radiobudzików w różnym stopniu demontażu. Jedne nie miały pokręteł, inne szkieł, a z jeszcze któregoś sterczały sprężyny, jakby uległ nagłej eksplozji.

- Mac jest trochę zwariowanym wynalazcą - poinformowała Layla. Spojrzałam na nią pytająco, a wtedy wskazała na biurko. - Może zresztą nie tyle zwariowanym, ile ciekawym. Lubi sprawdzać, jak coś działa.

- Skąd on wziął te wszystkie zegary?

- Wyprzedaże podwórkowe. - Poklepała poduszkę. - Lumpeksy. Jeśli dość długo chodzisz, to znajdujesz w końcu to, czego szukasz. Właśnie tak konstruuje te swoje frankensteiny.

- Franken... co?

- Tak o nich mówię - odparła. - On nazywa to „wzbogaceniem formuły”. Uważa, że można usprawnić dowolnie wybrany przedmiot. Trzeba sobie tylko wyobrazić, jak go udoskonalić i czym wzbogacić. Widzisz ten zegar?

Wskazała nocny stolik tuż obok mnie. Stał tam radiobudzik, na pierwszy rzut oka całkiem zwyczajny. Teraz jednak, gdy przyjrzałam mu się z bliska, dostrzegłam, że jest wyposażony w duże okrągłe soczewki skierowane prosto w górę, a także w małą klawiaturę numeryczną zamontowaną z tyłu.

- Widzę - odparłam wolno.

- Był w porządku, tyle że się wciąż resetował, a Mac chciał jeszcze, żeby wyświetlał czas na suficie. Miał wprawdzie inny zegar z taką funkcją, ale ten nie wyświetlał cyfr wyraźnie. Postanowił więc zmontować jeden z drugim i skonstruował w ten sposób zindywidualizowany aparat czasowy.

- Co takiego ?

- To jego własne słowa - wyjaśniła. - W każdym razie osiągnął swój cel. Czas jest zawsze dokładny i wyświetla się nad głową naprawdę wyraźnie. Mówiłam ci już, że on jest dziwny.

Spojrzałam ponownie na zegar, przyglądając się starannie zamontowanej klawiaturze i soczewkom projekcyjnym, które wyglądały jak oryginalna część urządzenia.

- Ma do tego smykałkę, prawda?

- Bez wątplenia. Powinien zostać inżynierem albo konstruktorem lotniczym - odparła. - Szkoda, że jego przyszłość skończy się na pizzerii.

Zamrugłam zdumiona.

- O czym ty mówisz?

- O Seaside. - Poprawiła prześcieradło, pociągając je nieco w prawo. - Tata uważa, że Mac powinien przejąć interes, tak jak on przejął go po dziadku. Nie potrzeba studiów, żeby wyrabiać ciasto.

- Nie będzie studiował?

- Wątpię. - Znów spojrzała na biurko i zdemontowane części. - Zmarnuje się. I dlatego wciąż mu powtarzam, że to ja powinnam przejąć ten biznes. Tak byłoby najlepiej, rozumiesz? Rosie, mam nadzieję, wróci na lodowisko, a ja będę szczęśliwa, gdy wreszcie skończę z tą szkołą. Ale Mac jest inny. Zawsze był z nas najzdolniejszy.

Zobaczyłam go z nieodłącznym podręcznikiem, tak w porze lunchu w szkole, jak i - owszem - w Seaside, kiedy lepił ciasto. To niemożliwe, żeby ktoś z taką pasją i zaangażowaniem, ktoś, kto potrafi przekształcić zwykły budzik w wielofunkcyjne urządzenie, nie studiował na uczelni. To niewyobrażalne, by nie ukończył studiów, które rozwiną jego talenty i pozwolą je wykorzystać na większą, poważną skalę. Od początku wiedziałam, że Chathamowie różnią się od mojej rodziny. Ale dopiero teraz miałam jasny dowód, że tak naprawdę jest.

W domu wszystko ucichło. Większość gości już wyszła. Mama Layli wróciła do swojego pokoju nieco wcześniej, mniej więcej w tym samym czasie, gdy zniknęła Rosie i dziewczęta z Mariposy. Teraz już tylko jedna osoba grała na bandzo, a tęskne dźwięki melodii płynęły gdzieś w dal.

- A mówiąc o braciach... Przeczytałam artykuł, który mi wysłałaś - powiedziała nagle. - O tym chłopcu. Pokazałam go także Macowi.

Spojrzałam na swoje dłonie, a potem na nią.

- Obawiałam się, gdy go wysłałam.

- Dlaczego?

Pokiwałam głową.

- Bałam się twojego osądu.

- Co?!

- Nie wiem. - Wzruszyłam ramionami. - Wszyscy się od nas odsunęli.

- Sydney! - powiedziała takim tonem, że musiałam na nią spojrzeć. - My nie jesteśmy tacy jak wszyscy. Czy jeszcze tego nie zauważyłaś?

Uśmiechnęłam się.

- Powoli to do mnie dociera.

- Gdybym była na twoim miejscu - powiedziała, wsuwając się pod śpiwór - to chciałabym porozmawiać z tym chłopcem. Przeprosić go.

- Ja też bym chciała. - Byłam zdumiona, że tak szybko trafiła w sedno. - Ale to tylko egoizm. Bo co mogłoby to dać? Moje „przepraszam” nie zwróci mu nóg.

- Gdyby to był film - zadumała się, patrząc w sufit - moglibyście się zaprzyjaźnić, związać jakimś wspólnym hobby, jak na przykład współzawodnictwo w jedzeniu, a na koniec z twoją pomocą nauczyłyby się znów chodzić i nastąpiłby happy end.

Patrzyłam na nią bez słowa.

- Współzawodnictwo w jedzeniu?

- Zaczęłam tylko myśleć o takim filmie - powiedziała, a ja się roześmiałam. - Daj mi trochę luzu.

Zamilkłyśmy na chwilę, słuchając odległych dźwięków bandžo.

- Ale to nie jest film - odezwałam się w końcu. - I nie ma tu szczęśliwego zakończenia. Jedynie... zakończenie.

Założyła za ucho kosmyk włosów.

- Nie znoszę takich zakończeń - wyszeptała. - A ty?

Zanim jednak zdążyłam odpowiedzieć, rozległo się ciche pukanie, a potem Mac wsunął głowę w drzwi.

- Mama cię prosi - zwrócił się do Layli.

Natychmiast się zerwała.

- Co się stało?

Nie odpowiedział, tylko szeroko otworzył drzwi, a ona wybiegła i szybko skręciła w korytarz. Widziałam teraz salon, gdzie pan Chatham podniósł się z kanapy, trzymając bandžo. Miał zaczerwienioną twarz, a gdy mnie zobaczył, zdawał się nie bardzo wiedzieć, kim jestem.

- Napijesz się wody? - spytał go Mac, a on dopiero wtedy odwrócił ode mnie wzrok.

- Sam sobie wezmę. - Powoli odłożył bandžo i odsunął się o krok od kanapy. Mac zerknął na mnie, a potem zamknął drzwi.

Wydawało mi się, że długo byłam sama. Ale wskazówki zegara obok przesunęły się zaledwie o dwie minuty, zanim wróciła Layla.

- To tylko zamroczenie. Nic poważnego.

- Zamroczenie?

Przytaknęła, siadając po turecku.

- Mama bierze mnóstwo leków. Wszyscy musimy pilnować, by o żadnym nie zapomnieli i przestrzegali określonych pór. Zdarza się, gdy jest przemęczona albo zbyt podniecona, że działają odurzająco, i wtedy budzi się półprzytomna. Czasami woła Rosie, ale dziś chciała widzieć mnie.

Wchodząc, zostawiła otwarte drzwi. Salon opustoszał, na stoliku do kawy piętrzyły się puszki po piwie i opakowania na żywność.

- Kiedy zachorowała?

- Byłam wtedy w szóstej klasie. - Splotła palce, wpatrując się w paznokcie. - Początkowo nie wyglądało to źle. Poruszała się tak jak zawsze, rządziła całym

domem, co sobotę objeżdżała wszystkie wyprzedaże garażowe. Ale to postępująca choroba. Ostatni rok był naprawdę trudny, a będzie coraz gorzej.

- Nie ma na to ratunku?

- Żadnego. - Opuściła ręce. - Lekarstwa dużo dają, ale w końcu choroba tak ją wyniszczy, że nie będzie mogła funkcjonować. Chcemy tylko wierzyć, że to nieprędko nastąpi.

Choć znałam ich od niedawna, nie wyobrażałam sobie tej rodziny bez pani Chatham. Podobnie jak moja mama, stanowiła źródło siły, z którego czerpali wszyscy najbliżsi. Ona również potrzebowała swojego świętego.

- Tak mi przykro.

- No cóż... - W głosie Layli brzmiał smutek, który wiąże się z akceptacją bolesnych faktów. I choć padło zaledwie słowo, zawierały się w nim miliony myśli, które nie zostały wypowiedziane. - Mnie też.

Dom teraz ucichł. Layla zeszła na dół do swojego pokoju, by przebrać się w piżamę i umyć zęby. Przedtem wskazała mi małą łazienkę, gdzie mogłam zrobić to samo. Kiedy z niej wyszłam, wokół nie było nikogo, tylko Mac z plastikowym workiem stał przy stoliku i zbierał puste opakowania.

- Pomóc ci? - spytałam.

- Nie musisz - odparł, nie podnosząc wzroku.

Mimo to zebrałam kilka pogniecionych serwetek oraz plastikowych kubków i wrzuciłam je do worka.

- Fajna impreza.

- Rano będzie tu cuchnąć, jeśli to wszystko zostawię - powiedział, wrzucając do worka garść kapsli. - Poza tym czułbym się tak, jakbym spał w pojemniku na śmieci.

- Lepki.

- I śmierdzący. - Podniósł stertę koców, odkrywając jednego z psów, który na niego warknął. Niespieszony, wziął go na ręce i postawił na podłodze. Zwierzak schował się pod kanapę i gniewnie spod niej łytał.

- Przykro mi, że zabrałyśmy ci pokój.

- To nie ty jesteś winna. - Skrzywił się, zbierając stos mokrych serwetek. - Rosie zawsze czuje się pokrzywdzona, ale jakoś nigdy nie wylądowała na kanapie.

- Mówiłam Layli, że mogę tu nocować. Naprawdę nie widzę w tym nic strasznego.

- Nie przeżyłabyś nocy z naszymi pieskami.

Uśmiechnął się, widząc moją minę. Patrzył tak ciepło i pobłażliwie, że poczułam się jak rozpieszczone dziecko.

- No, może niedosłownie, ale ich gazy mają potężną siłę rażenia.

- Kto ma tu gaz? - zaniepokoiła się Layla, wracając z łazienki.

- Wasze psy - wyjaśniłam.

- O, to nie są żarty. - Aż się wzdrygnęła. - Nawet nie próbuj wpuścić ich pod kołdrę. Będzie ci się śniło, że ktoś cię dusi. Wiem to najlepiej. Potrzebny wam worek?

Gdy Mac kiwnął głową, poszła po worek do kuchni. Sprzątaliśmy we dwoje w przyjaznym milczeniu, aż w końcu wyjął z kanapy kolejny śpiwór i poduszkę, i po pierwszej zgasiliśmy światło.

Choć zapewniałam, że mogę spać na podłodze, Layla uparła się, by oddać mi łóżko. Wiedziałam, że chce okazać gościnność, ale świadomość, że sypia w nim Mac, była zarazem dziwna i podniecająca. Boże, ale ze mnie nerd - myślałam, nie mogąc zasnąć.

Gdy w pokoju zapadł mrok, Layla zaczęła mościć się na pościeli, próbując wygodnie się ułożyć.

- Jestem wiercipiętą - uprzedziła mnie jeszcze tego wieczoru, gdy nocowała u mnie w domu. - Ale jak już zasnę, to leżę jak głaz. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, musisz mnie kopnąć. I to mocno. Okej?

- Poradzę sobie - zapewniłam. W odróżnieniu od niej leżałam bardzo spokojnie, z rękami złożonymi na piersi. Próbowałam wyobrazić sobie, jak Mac spędza tu nocę, wpatrując się w sufit, na którym jego hybrydowy zegar wyświetla godziny. Była 1.22.

- Boże, nienawidzę tego - mamrotała Layla, najwyraźniej zapadając w sen. - Nie chcę myśleć za każdym razem, kiedy się budzę, ile jeszcze mogę pospać.

- Jutro jest niedziela - zauważyłam.

- Tak, ale rano zawsze pomagam mamie. - Przeciągle ziewnęła. - Dlatego wstaję o szóstej rano, tak jak ona.

- Ach, no tak...

Zapadła cisza, a potem Layla odezwała się sennym tonem:

- Jest pierwsza dwadzieścia trzy. Śpij już, marudo. Będziesz jutro w okropnym stanie.

Roześmiałam się, a ona jeszcze chwilę się pokręciła, rzuciła mi „dobranoc” i dokładnie trzy minuty później, o 1.26, usłyszałam jej głęboki, spokojny oddech.

Ja natomiast zupełnie nie mogłam zasnąć. Tak więc gdy o 1.45 w salonie rozległy się głosy, natychmiast je usłyszałam. Pierwsza odezwała się dziewczyna, co rozpoznałam po tonacji, choć nie potrafiłam zrozumieć, co mówi. Potem, po chwili



ciszy, rozległ się drugi głos, znacznie niższy. Przewróciłam się, by spojrzeć na Laylę, ale głęboko spała zwinięta w kłębek.

O 1.50 wszystko ucichło, a ja uświadomiłam sobie nagle, że muszę iść do toalety. Nie miałam specjalnej ochoty błąkać się po cudzym domu o tak późnej porze, ale o 1.50 rzecz stała się nagląca. Zsunęłam się z łóżka, ostrożnie przeszłam nad Laylą i podeszłam do drzwi, przekręcając gałkę najciszej, jak mogłam.

Najpierw dostrzegłam Lucy, koleżankę Rosie z Mariposy. Siedziała na kanapie w koszulce eksponującej brzuch i szortach od pizamy, z włosami luźno opadającymi na ramiona. Obok niej Mac w skupieniu oglądał telewizję, gdzie właśnie nadawano starą reklamę urządzenia krojącego owoce. Widząc wyraz jego twarzy, można by pomyśleć, że to jakaś niezwykła wiadomość.

Gdy wyszłam na korytarz, oboje odwrócili głowy.

- Potrzebujesz czegoś? - spytał Mac.

- Nie, tylko... - Wskazałam łazienkę, po czym ruszyłam w jej stronę, czując się okropnie niezręcznie. Ledwie zamknęłam drzwi, usłyszałam Lucy, która powiedziała coś, wybuchając śmiechem. Nie wiedziałam, czy dotyczy to mnie, ale gwałtownie się zaczerwieniłam.

Gdy skończyłam, umyłam ręce i przeczesalam dłonią włosy, które - choć nawet nie zasnęłam - sterczały na wszystkie strony. Potem najgłośniej jak mogłam otworzyłam drzwi, próbując ich uprzedzić, że wychodzę.

W telewizji nadal była ta sama reklama, a Mac wciąż w skupieniu ją oglądał. Lucy natomiast przysunęła się bliżej i położyła mu rękę na ramieniu, tym razem nie zwracając już na mnie uwagi.

- Dobranoc - powiedziałam, otwierając sypialnię. Miałam już wejść do środka, gdy nagle spytał:

- To ci nie przeszkadza?

Obróciłam się, nie rozumiejąc.

- Co takiego?

- Ten zegar. - Wskazał w stronę pokoju. - Pewnie zbyt jasno świeci. Jeśli chcesz, mogę go wyłączyć.

Lucy przesunęła się tak, że wręcz do niego przyłgnęła, podczas gdy kobieta na ekranie wpadała w ekstazę, krojąc melon w gwiazdki. Mac patrzył na mnie błagalnie i tym razem wiedziałam, co zrobić.

- Prawdę mówiąc - odparłam - to nie umiałam...

Nim zdołałam skończyć, zerwał się ku zdumieniu Lucy, która teraz odwróciła się do mnie wyraźnie rozzłoszczona. Cofnęłam się, gdy wpadł do pokoju, a potem,

wciąż pod jej baczny spojrzeniem, wolno zamknęłam drzwi.

Pokój tonął w gęstym mroku i przez chwilę stałam nieruchomo, czekając, aż przywyknie do tego mój wzrok. Natomiast Mac pewnie ruszył w stronę łóżka, usiadł na nim i przysunął do siebie zegar.

- Dzięki za ocalenie - powiedział, dotykając przycisku, który wyłączał projekcję czasu.

- Ona jest bardzo... - zamilkłam, nie wiedząc, jak to ująć - ee... impulsywna.

- Można to tak określić. - Odstawił zegarek, po czym wstał. - Niczego nie potrzebujesz?

- Nie - odparłam. - Dziękuję.

Przeszedł nad Laylą, która teraz cicho pochrapywała. Kładł już rękę na gałce w drzwiach, gdy usłyszałam, jak mówię:

- Jeśli chcesz, możesz zostać, dopóki ona stamtąd nie wyjdzie. W końcu to twój pokój, ja naprawdę mogę się położyć na podłodze.

Zbyt późno zdałam sobie sprawę, jak mogło to zabrzmieć. To ja mu teraz składałam dwuznaczną propozycję. Ale gdy się odezwał, w jego głosie była wyraźna ulga.

- Nie, to ja położę się na podłodze.

Wyjął z komody koc i rozpostarł go na dywanie, ja natomiast wróciłam do łóżka i naciągnęłam na siebie kołdrę. Ponieważ Layla rozłożyła się dokładnie pośrodku pokoju, pozostawał tylko wolny skrawek miejsca obok mnie. Mimo to Mac starał się odsunąć najdalej, jak mógł, co w praktyce oznaczało, że opiera głowę o biurko.

- Chcesz poduszkę? - spytałam, gdy się kręcił, usiłując się jakoś zmieścić.

- Nie, dzięki.

- Nie jest mi potrzebna, a ty leżysz na podłodze.

- Naprawdę mi wygodnie. - Znów zmienił pozycję i jednocześnie w coś uderzył. -

Au!

Parsknęłam, po czym się roześmiałam.

- Bardzo ładnie - skwitował. - Szydzisz z mojego cierpienia.

- Chcę ci tylko oddać poduszkę.

- Nie potrzebuję. - Nastąpiło kolejne bęc. - Rany, co za...

Usiadłam, złapałam poduszkę i rzuciłam. Trafiła go prosto w twarz.

- Ojej, przepraszam - wyszeptałam. - Ja...

Ale nim skończyłam, poszybowała do mnie dwukrotnie szybciej.

Uchyliłam się, a wtedy odbiła się od ściany i uderzyła w zegar, który natychmiast wyświetlił na suficie cyfry jasne jak w dzień.

- Widzisz, co zrobiłaś?

- Jest druga piętnaście - odparłam, celując w jego głowę. - Czas, byś wreszcie zabrał tę poduszkę.

Wtem rozległo się delikatne pukanie. Oboje ucichliśmy, lecz zaraz drzwi się otworzyły i promień światła przeciął pokój.

- Mac? - rozległ się głos Lucy. - Jesteś tu?

Zamknęłam oczy. Przez chwilę słyszałam tylko oddech Layli. Potem drzwi cicho się przymknęły.

Mimo to milczeliśmy jeszcze przez pełne dwie minuty, na co wskazywał zegar. Zaczynałam już myśleć, że Mac zasnął, gdy wtem poduszka wylądowała na mojej twarzy.

- Już jej nie oddam - oświadczyłam głośnym szeptem. - Ulega oficjalnej konfiskacie.

- Nigdy jej nie chciałem.

- Lepiej zaśnij, nim ona tu wróci - poradziłam.

- To przecież ty gadasz, nie ja.

Czułam, że w ciemności szeroko się uśmiecham. Była 2.22.

- Dobranoc, Mac.

- Dobranoc, Sydney. Śpij spokojnie.

Ale to wydawało się niemożliwe, gdy był tuż obok mnie, na wyciągnięcie ręki. Zdumiałam się zatem, że kiedy się ocknęłam, zegar wskazywał 4.32. Zamrugałam, obróciłam się i spojrzałam na zwiniętą w kłębek Laylę, a potem na Maca, który odsunął się od biurka i teraz leżał na boku z jedną ręką wyciągniętą w moją stronę. Wiedziałam, że nie jest tego świadom. W końcu nie mamy wpływu na to, co robimy przez sen. A jednak widok ten sprawił, że poczułam się szczęśliwa.

## Rozdział trzynasty

Myślałam, że zdołałam uniknąć Dnia Rodzin w Lincoln. Ale kilka tygodni później wynikła kolejna sprawa.

- Mam wspaniałą wiadomość - oznajmiła mama pewnego wieczoru przy kolacji. Nagle zrozumiałam, dlaczego podśpiewywała, nakrywając do stołu, i tak radosnym tonem wypytywała mnie o szkołę. - Będziemy mogli odwiedzić Peytona. Wszyscy.

- Naprawdę? - zdziwił się tata.

Przytaknęła. Była tak szczęśliwa, że musiała o tym opowiedzieć.

- Dostałam dziś telefon. Ukończył pierwszy kurs i z okazji rozdania dyplomów zaproszone są wszystkie rodziny.

Mówiła to z taką dumą, jakby miał otrzymać dyplom elitarnego uniwersytetu, a nie świadectwo zaliczenia więziennego kursu z obowiązkowego programu. Ale taka już była. Jeśli chodziło o Peytona, każde, nawet najbardziej żalosne osiągnięcie potrafiła rozdmuchać do niebotycznych rozmiarów.

- Kurs wychowania obywatelskiego? - Tata zgarnął kolejną porcję pieczywa.

- Wychowania obywatelskiego i prawa. - Mama wypiła łyk wina. - To ważna sprawa. Nauczył się naprawdę dużo i teraz, gdy wszystko zaliczył, może wybrać inny kierunek. Michelle mówi, że w Lincoln jest wiele możliwości. Dyrekcja wierzy w znaczenie edukacji w ramach zakładu.

- Kiedy to ma się odbyć? - spytał tata.

- Z końcem listopada - odparła. - Myślę, że wyruszymy dzień wcześniej i zatrzymamy się w hotelu. W ten sposób nie będziemy musieli wyjeżdżać o świcie.

- Ale ja mam szkołę - zareagowałam automatycznie.

Po raz pierwszy entuzjazm mamy osłabł.

- Możesz opuścić jeden dzień. To ważna sprawa, Sydney.

Koniec dyskusji. Tata spojrzał na mnie, jakby chciał coś powiedzieć, w końcu jednak wrócił do jedzenia. Tak zaczęło się odliczanie.

Wszystko toczyło się według planu. Zarezerwowano dwa pokoje hotelowe. Jeden dla mamy i dla mnie, drugi dla taty i Amesa, który oczywiście jechał z nami. Dzięki swej społecznej aktywności mama nawiązała kontakty z niektórymi rodzinami absolwentów (jak uparła się ich nazywać) i zdołała zorganizować składkową kawę i deser po uroczystości. Znowu była w swoim żywiole i pośród licznych zajęć nie

zauważyła, że niemal wszystkie popołudnia spędzam w Seaside. Co zresztą bardzo mi odpowiadało.

- To on miał tam lekcje? - zdziwiła się Layla, gdy któregoś dnia usiadłyśmy razem nad pracą domową. - Nie wiedziałam, że w więzieniu jest szkoła. Myślałam, że wystarczającą karą jest samo zamknięcie.

W przeciwieństwie do Jenn i Meredith, z którymi łączyła mnie ambicja uzyskania jak najlepszych wyników, Layla spędzała szkolne godziny, tęsknie wyczekując na ostatni dzwonek. Odrabianie lekcji jak mało co wprawiało ją w zły humor i zwykle potrzebowała kilku lizaków YumYum, żeby się z tym uporać.

- To obowiązujący więźniów kurs z zakresu prawa. - Przerzuciłam kartkę w podręczniku do matematyki. - Pewnie ma przypominać, żeby go nie łamali.

- Myślałam, że w tym celu siedzą za kratkami. - Wsunęła lizaka do ust, po czym go wyjęła. - Może zresztą nie jest to takie głupie. Gdyby chodzenie do szkoły było jedyną czynnością, na jaką mi pozwalają, pewnie polubiłabym nawet to.

Uniosłam brew. Siedziałyśmy już razem ponad godzinę, a ona zdołała tylko nagryzmolić na kartce swoje imię i kilka serc.

- Choć może i nie. - Westchnęła. - Chyba już czas na przerwę. Może byśmy wpadły do SuperThrifta?

- Layla...

- Na piętnaście minut.

- Nie.

- No to na dziesięć. Przysięgam, że wyjdę, kiedy tylko każesz. - Spojrzałam na nią z powątpiewaniem. - Naprawdę. Chodź!

Wbrew zdrowemu rozsądkowi spakowałam książki i wsunęłam plecak pod ladę, za którą Mac kroił warzywa. Na wprost niego leżał otwarty podręcznik do chemii.

- Gdzie się wybieracie?

- Nigdzie - szybko rzuciła Layla.

- Do SuperThrifta - powiedziałam jednocześnie z nią.

Pokręcił głową, po czym spojrzał na mnie.

- Ona nie wyjdzie wtedy, kiedy zechcesz. Nawet jeśli teraz ci to obiecuje.

- Wracamy za dziesięć minut - oznajmiła śpiwnie Layla.

Westchnęłam i ruszyłam za nią do drzwi.

SuperThrift mieścił się w małym, niepozornym budynku tuż za rogiem. Przejeżdżałam obok setki razy, ale nigdy nie spojrzałam w tamtą stronę. Moja rodzina rzadko odwiedzała sklepy z używanymi rzeczami. Owszem, często oddawaliśmy odzież - mama wciąż przeglądała moją szafę, stojąc z wielką torbą

i wypytyując, czy w ostatnim roku nosiłam to lub tamto – ale wszystko przekazywała do Goodwilla albo innych placówek charytatywnych. Natomiast SuperThrift prowadził zwykły handel.

Gdy weszłyśmy, z miejsca uderzyła mnie ostra, przenikliwa woń odświeżacza powietrza. Tak jakby tuż przy wejściu wyrastał mur zapachu. Ten, kto zdołał się przez niego przebić, wkrótce pojmował, czemu to służy. Kolejnym unoszącym się w tym pomieszczeniu zapachem była bowiem woń pleśni i naftaliny.

– Uwielbiam zapach popołudniowych okazji – upajała się Layla. Podczas gdy mnie zaczął swędzieć nos, w nią wstąpiła niezwykła energia. Musiałam przyspieszyć kroku, by ją dogonić. – Och! Spójrz tylko na to!

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam relingi z odzieżą ciągnące się przez całą długość hali, na sam widok ogarnęło mnie zmęczenie. Nie było tu żadnego podziału na kategorie i rozmiary. W tej chaotycznej mieszance każdy wybór wymagał ciężkiej pracy. Gruby zimowy płaszcz przygniatał tandetną nylonową bluzkę z wypchanymi ramionami, a z drugiej strony napierał na dwie ohydne suknie balowe. A przecież to był zaledwie ułamek potężnej masy ubrań.

Ale Layla miała prawdziwy talent. Potrafiła wyłowić prawdziwą okazję z taką łatwością, jakby zdejmowała tę rzecz z ekskluzywnej wystawy. Podczas gdy ja wciąż grzęzłam w pierwszym sektorze, borykając się z parą długich tweedowych spodni z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, ona już trzymała kurtkę z miętko wyprawionej skórki i białą, zapinaną na guziki koszulę, która po wyprasowaniu nie różniłaby się niczym od tego, co nosiły moje koleżanki z Perkins.

– To tylko kwestia praktyki – pocieszyła mnie za pierwszym razem, gdy żaliłam się, że nic nie znajduję. – Prawdziwym łowcą okazji jest moja mama. Dawniej co weekend przetrząsałyśmy nie tylko ten sklep, lecz też inne z tej sieci, a także wyprzedaże podwórkowe. Zawsze mówiła, że trzeba dobrze patrzeć i szybko się ruszać. Jeśli będziesz robić tak często, wejdzie ci to w krew. Dlatego Mac wciąż się bawi tymi zegarami.

Kiedy ją poznałam, nie zdawałam sobie sprawy, że większość jej ubrań pochodzi ze sklepów z używaną odzieżą. Dopiero gdy Rosie z koleżankami zwolniły pokój nazajutrz po moim przyjeździe, po raz pierwszy obejrzałam jej garderobę. Była niewielka i wyładowana po brzegi, ale nader pedantycznie zorganizowana. Widząc wrażenie, jakie na mnie wywarła, Layla poczuła się dumna.

– Te – poinformowała, wyciągając dzinsy starannie złożone na wieszaku – znalazłam w Thrift World. Prawie nowe. Courtney Amandas! Musiałam je tylko skrócić. To był udany dzień.

Niebawem zdałam sobie sprawę, że wszystkie ubrania Layli mają jakąś historię. Ja nawet nie pamiętałam, gdzie kupiłam bluzkę, którą nosiłam, a ona znała pochodzenie każdej z posiadanych rzeczy. Czułam się zawstydzona, bardziej nawet niż tym, że nigdy nie kupiłam nic, co nie było zupełnie nowe. Layla natomiast wydawała się zupełnie nie przejmować dzielącymi nas różnicami. Uznała, że jest, jak jest. I w tym również chciałam się do niej upodobnić.

Za każdym razem, gdy odwiedzałyśmy SuperThrift, dbała nie tylko o swoje interesy, lecz i o moje. Kiedy w pocie czoła przebijałam się przez tony szlafroków w różnych wzorach, rozpaczliwie tłumiąc ziewanie, wyłaniała się nagle spośród zwałów szmat i rzucała mi sukienkę retro, niemal nową parę botków w moim numerze albo kaszmirowy sweter (twój kolor), po czym znowu znikwała. Po kilku takich wyprawach w ogóle przestałam czegokolwiek szukać i zabijałam czas, spacerując po sali w przekonaniu, że jeśli jest tu dla mnie coś odpowiedniego, ona na pewno to znajdzie.

Tym razem już na wstępie rzuciła mi czarne spodnie Capri i jutową torbę na ramię.

- Sześć minut - przypomniałam, ale udała, że nie słyszy.

Wkrótce poczułam, że zaczyna mi cieknąć z nosa. Wygrzebałam z torby chusteczkę i ruszyłam w głąb sali. W odróżnieniu od ubrań zgromadzone tu buty ustawiano wedle rodzaju i numeracji, choć nie mogłam odgadnąć, kto się tym zajmuje. Nigdy nie widziałam nikogo z obsługi oprócz kobiet, które po naciśnięciu zamontowanego przy kasie przycisku „Pomoc” wyłaniały się z przeszklonego pomieszczenia na zapleczu, gdzie przez cały czas oglądały telewizję. Zachowywały się przy tym tak, jakby ich prawdziwym zadaniem było przekonać klientów, że są całkowicie zbędni.

Obuwie damskie i dziecięce stało po lewej stronie, a męskie po prawej (było go mniej, z czego większość z niejasnych przyczyn stanowiły buty do kręgli). Na samym końcu znajdował się dział z napisem „Różne” i tego dnia bez reszty wypełniały go kalosze.

Na tym właśnie polegały zakupy w SuperThrift. Zazwyczaj, jak wyjaśniła mi Layla, towar pochodził tu z darów, resztek wyprzedaży garażowych i rzeczy zalegających w innych lumpeksach. Ale zdarzały się czasem całe kolekcje przekazywane przez likwidowane sklepy albo pochodzące z majątku osób zmarłych. To tłumaczyło, dlaczego podczas jednej z moich pierwszych tu wizyt natknęłam się na cały reling ze starymi, wielkimi, trzyczęściowymi garniturami w różnych fasonach i barwach. Z tej też zapewne przyczyny znalazło się tam kiedyś

całe pudło nowych kombinezonów przeznaczonych dla pracowników stacji benzynowych.

Ale pochodzenia kaloszy nie umiałam dociec. Były dziecięce i kolorowe – zielone, żółte, czerwone i nakrapiane, a przy tym nosiły wyraźne ślady zużycia (dostrzegłam rysy i otarcia). Tylko kto mógł mieć tyle dzieci? Doliczyłam się dziesięciu par i wciąż nie widziałam końca.

– Rety – nieoczekiwanie usłyszałam za sobą jakiś głos – ale tu tych butów, co?

Stałam w sklepie z używaną odzieżą przed kolekcją kaloszy. Gdyby ktoś mnie zapytał, kogo ujrzę, jeśli się odwrócę, nigdy by mi nie przyszło do głowy, że to będzie David Ibarra. A jednak to był on. W dżinsach i czerwonej dresowej bluzie siedział na wózku inwalidzkim. I się do mnie uśmiechał.

Oniemiałam. Stałam z otwartymi ustami i wpatrywałam się w niego. Przez całe miesiące studiowałam tę twarz, chłonąc każdy szczegół, jaki mogłam zdobyć na jego temat, i oto miałam go tuż, na wyciągnięcie ręki, prawdziwego, z krwi i kości. Wydawało mi się, że wie, kim jestem, i że mój związek z bratem niczym trujący odór ostrzega go przede mną.

– Rany, co to za buty?

To była Layla, która pojawiła się z naręczem ubrań. Zerknęła na kalosze, a potem przeniosła wzrok na Davida Ibarrę. Jej oczy gwałtownie się rozszerzyły. Widziała artykuł, a przecież nigdy nie zapomniała twarzy.

– No właśnie, też się dziwię – powiedział, manewrując wózkiem tak, by zbliżyć się do półek. – Pewnie gdzieś jest chmara dzieciaków, które będą miały mokre nogi, jak zacznie padać.

– Kiedy widzę takie rzeczy – odparła wolno Layla, nie spuszczając ze mnie wzroku – chcę to zaraz kupić, żeby poznać ich historię.

– A ja nie. – David odsunął się od półek. – Jeśli ktoś się pozbył wszystkich tych płaszczy kąpielowych, które wiszą za nami, to wcale nie znaczy, że chciałbym wiedzieć dlaczego.

– Bracie – tym razem głos dobiegał z za relingu z sukniami – gdzie jesteś?

– Już idę. – Obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, podczas gdy ja nadal stałam, nie odzywając się ani słowem. Nie byłam w stanie. Może zresztą przywykłam już do tego, że ludzie wpatrywali się w niego oniemiała, bo tylko przyjaźnie machnął nam ręką i odjechał.

– Hej, Sydney... – Layla rzuciła ubrania na podłogę i podeszła. – Okropnie zbladłaś.

– Ten... To był...



Położyła mi rękę na ramieniu.

- Wiem. Ale proszę, głęboko oddychaj. Boję się o ciebie.

Zrobiłam, jak radziła, wciągając w płuca duszący odór hali. Terkot wózka słabł, w miarę jak David Ibarra i osoba, która mu towarzyszyła, zbliżali się do wyjścia. Layla odsunęła się ode mnie i wyjrzała na sklepową alejkę, by im się przyjrzeć. Zmusiłam ją, by dwukrotnie przysięgła na zdrowie swojej mamy, że nie tylko wyszli ze sklepu, ale również opuścili parking. Dopiero wtedy się poruszyłam.

Znalazłszy się na powietrzu, oparłam się o szybę i zamknęłam oczy. Layla poszła do kasy, zapłaciła i pieszo wróciliśmy do Seaside, gdzie usiadłszy znów w naszym boksie, by dokończyć lekcje. Ale teraz tylko ona coś robiła. Ja natomiast siedziałam nad otwartym podręcznikiem, a gdy starałam się skupić, nie widziałam przed sobą słów ani nawet twarzy Davida Ibarry. Przed moimi oczyma tańczyły rozrzucone kalosze, tworząc dziwną tęczę.

Dopiero gdy wychodziłam i Layla podała mi torbę, zdałam sobie sprawę, że wprawdzie zostawiłam w sklepie wszystko, co dla mnie znalazła, ale ona zebrała te rzeczy i zapłaciła za nie razem ze swymi zakupami. Nie chciałam być niegrzeczna, więc je wzięłam, a po powrocie do domu upchnęłam głęboko w szafie. Wiedziałam, że mama w przypiływie dobroczynności w końcu je znajdzie i spyta, czy mi na nich zależy. Wtedy będę musiała powiedzieć, że tak. Jak wiele innych rzeczy, nawet tych, od których chciałam się uwolnić, miały teraz na dobre ze mną zostać.

\* \* \*

Z oczywistych powodów w kolejnym tygodniu nie miałam ochoty na zakupy. Layla natomiast wypatrzyła coś w swoim ulubionym sklepie komisowym. A to znaczyło, że ma również pewien plan.

- Dziewczęta dostarczają pizzę parami - oznajmiła ojcu pewnego popołudnia, a potem poprosiła, by usiadł, bo chce zaprezentować coś, co nazwała „poważną ofertą biznesową”. - Zrozum, że istnieje rynkowa nisza, a my stworzymy specyficzną zwizualizowaną formułę obsługi klienta.

Uniosłam brwi. Ostatnio znalazła na wyprzedaży w księgarni poradnik marketingu dla małych firm. Przy całej swej niechęci do szkoły dosłownie połykała wszystkie książki instruktażowe, oczywiście oprócz romansów.

- To nie jest dobry pomysł - stwierdził Mac, który nie został wprawdzie zaproszony do stołu, ale jak zawsze słuchał.

- Nikt cię nie pytał - prychnęła.

- Nieważne. To nie jest bezpieczne - powiedział. - Będziesz musiała wchodzić do różnych domów, do obcych mieszkań...

- Ale razem z Sydney. - Zamrugałam zdziwiona, że biorę w tym udział. - Podejrzane okolice możesz sam obsługiwać.

- A jeśli wszystkie adresy będą podejrzane?

- Wtedy zrewidujemy naszą strategię marketingową, prawda? - Spojrzała na ojca. - Sam mówiłeś, że liczba zamówień rośnie, zwłaszcza w weekendy i dni rozgrywek ligowych. Możemy ci pomóc, no i wszystko zostanie w rodzinie. A ja powinnam nabyć doświadczenia, jeśli mam po maturze pracować w firmie.

Mac podniósł na nią wzrok.

- O ile mi wiadomo, nie było o tym mowy.

- A więc najwyższy czas, by była - odparowała. - Nie sądzisz, że to czysty seksizm blokować dziewczynie dostęp do kierownictwa?

- Kierownictwa? - powtórzył pan Chatham. - Myślałem, że mówimy o dostawie pizzy.

- Chodzi o rozwój firmy - westchnęła. - Rzecz w tym, że wy potrzebujecie dodatkowych rąk, a ja praktyki. Korzyść będzie więc obopólna.

Pan Chatham potarł dłonią brodę. Wprawdzie nie powiedział „nie”, ale był daleki od wyrażenia zgody.

- Jeśli miałbym rozważyć kwestię dostaw...

- Nie powinieneś - wszedł mu w słowo Mac.

- Z pewnością musiałbym wprowadzić pewne reguły.

Wyczuwając zwycięstwo, Layla obdarzyła go uśmiechem.

- Jak już mówiłam, pracujemy we dwie. I zawsze razem będziemy podchodzić do drzwi.

Jej ojciec zaczął się zastanawiać, ale Mac nadal kręcił głową, mieszając sos.

- Mógłbym się zgodzić na dostawy do biur - zdecydował w końcu pan Chatham. - I może w weekendy do pewnych dzielnic willowych, oczywiście za dnia. Ale wykluczam wieczory, a także mieszkania w blokach.

- Och, tatusiu, cudownie! Dziękuję!

- Ale - dodał stanowczo - Mac najpierw musi was przeszkolić. W sobotę w porze rozgrywek zrobimy próbną rundę, a na razie niczego nie obiecuję. Rozumiemy się?

- Tak - odparła ochoczo, a potem kopnęła mnie pod stołem, żebym też przytaknęła.

Tak więc sprawa została przesądzona. Nasze szkolenie zaczęło się dwa dni później w czwartek. Powiedziałam mamie, że idę do Jenn, sądząc, że nie byłaby

zachwycona, dowiedziawszy się, że podejmuję pracę, w dodatku tego rodzaju. W gruncie rzeczy zgodziłam się na to tylko przez wzgląd na Laylę. Dlatego byłam naprawdę zaskoczona, gdy zdałam sobie sprawę, że sprawia mi to przyjemność.

Nie umiałam wyjaśnić, dlaczego ta robota tak mnie wciągała, ale wszystko mi się w niej podobało. No i przez cały czas był z nami Mac. Od tamtej nocy, którą spędziłam w ich domu, staliśmy się sobie znacznie bliżsi, choć czułam, że stara się tego nie ujawniać w obecności Layli. Pamiętałam, z jakim gniewem mówiła o Kimmie Crandall, eksprzyjaciółce, która go poderwała, a potem rzuciła. Nie chciałam łamać zasad. Trudność polegała na tym, że nie bardzo wiedziałam, na czym polegają.

Ale nie chodziło tylko o Maca. Kiedy szczegółowo omawiał rozmaite reguły i procedury, Layla - mimo swych kierowniczych aspiracji - natychmiast traciła zainteresowanie, mnie natomiast coraz bardziej ciekawiła praktyka pracy dostawcy. Myśl, że mogę zajrzeć do cudzych domów, zobaczyć nowe miejsca i życie, które się tam toczy, coraz bardziej mnie intrygowała. Może zresztą dlatego, że mnie i moją rodzinę wciąż obserwowali ludzie z zewnątrz, miło było choć raz znaleźć się po drugiej stronie.

Przy naszym pierwszym postoju drzwi otworzył facet w płaszczu kąpielowym. W salonie za nim było zupełnie ciemno, bladą poświatę rzucały tylko ekrany dwu telewizorów nastawionych na ten sam kanał oraz rząd laptopów na stoliku. Patrzył na nas, mrużąc oczy jak kret oślepiiony światłem, po czym zapłacił, bez słowa wziął pizzę i zatrzęsął nam drzwi przed nosem.

Za drugim razem przerwałyśmy lekcję Biblii dla nastolatków. W drzwiach powitała nas z promiennym uśmiechem dziewczynka z aparatem na zębach, zapraszając na kawałek ciasta i powtórkę z prawd wiary. Mimo odmowy nagrodziła nas hojnym napiwkami, co Pan Jezus niechybnie by pochwalał.

Potem musiałyśmy czekać z trzema wielkimi pudłami przed hotelem Walker, aż jeden z gości, który złożył zamówienie, przyjdzie je odebrać. (Mac wyjaśnił, że dyrekcja niechętnie patrzy na dostawy z zewnątrz, gdyż hotel posiada własny serwis). Gdy czekałyśmy, żartował z boyami hotelowymi, którzy kręcili się przy recepcji w czerwonych koszulkach i wesoło przekomarzali.

Wystarczyła godzina, bym zobaczyła liczne ułamki życia tworzące coś na kształt kolażu całego Lakeview. Layla natomiast była wyraźnie znudzona. Większość czasu rozmawiała przez telefon, chwilami tylko zerkając na hotel, gdyż chłopcy byli naprawdę atrakcyjni. Kiedy o ósmej wieczorem musiała wracać do domu, gdzie czekała na nią matka, odczułam pewien żal, że nie mogę zostać tam dłużej.

Mac musiał nam wystawić dobrą opinię, gdyż otrzymałyśmy zgodę na próbną rundę w najbliższy weekend. W sobotę nieco po 11.30 stałyśmy z Laylą na parkingu, czekając, aż przyniesie z biura logo magnetyczne i umocuje je na moim samochodzie. Minęło dziesięć minut, a jego wciąż nie było.

- No nie! - złościła się Layla. - Naprawdę robi wszystko, żebym tylko nie sprzątnęła mu napiwków. - Po raz setny przyglądała koszulkę z napisem „Seaside”, którą włożyła do dzinsów. Jej strój uzupełniały buty motocyklisty. Zgodnie ze wskazówkami poradnika dla małego biznesu nieustannie podkreślała znaczenie naszego „firmowego wizerunku”. Ponieważ nie miałam własnych butów motocyklowych, włożyłam parę należącą do Rosie i co najmniej o numer za małą. Tak więc mój wizerunek mocno utykał. - Na dłuższą metę wyjdzie mu to na dobre, jeśli chce iść na studia - ciągnęła. - Chyba powinien się cieszyć, że może się podzielić obowiązkami.

- Myślę, że po prostu jest opiekuńczy - odparłam. - Niepokoi się o ciebie.

- Nie ma powodu. To dostawa pizzy, a nie wojenna wyprawa.

Roześmiałam się, ale gdy Mac w końcu się pojawił, zaczęłam się zastanawiać, czy nie miała racji. Najpierw powtórzył wszystko, co mówił wcześniej. Przypomniał, żeby nie chodzić z pieniędzmi i zamykać samochód, nawet gdybyśmy opuszczały go na sekundę. I po raz setny podkreślił, że podając zamówienie, należy odsunąć się od drzwi, tak by ktoś, kto je otwiera, nie mógł nas dosięgnąć. Właśnie zamierzał przytoczyć kilka pouczających historii z własnego doświadczenia, gdy Layla spojrzała na swój nadgarstek, pytając:

- Możemy jechać?

Popatrzył na nią wymownie.

- Przecież nie masz zegarka.

- Fakt. Ale gdybym miała, powiedziałaabym, że za długo gadasz. - Obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę Seaside. - Idę po nasze pierwsze zamówienie, włącz silnik - zwróciła się do mnie.

Oboje patrzyliśmy, jak szybko się oddala. Tego dnia była znacznie bardziej podniecona niż podczas szkolenia.

- Nie pozwól jej samej zbliżyć się do drzwi, nawet gdyby zapewniała, że to bezpieczne - powiedział Mac, gdy zniknęła. - A jeśli wda się w rozmowę z klientem, po prostu jej przerwij. Weź pieniądze, podaj pizzę i odejdz. To nie może trwać dłużej niż pięć minut.

- Tak jest. - Znów miałam wrażenie, że uczestniczę w odprawie wojskowej.

- I nie trzymaj przy sobie więcej pieniędzy niż to konieczne, gdy podchodzisz do

drzwi. A kiedy wyciągasz z portfela resztę, odwróć się plecami.

- Rozumiem.

- Gdybyś miała jakiegokolwiek wątpliwości lub czuła się niepewnie, po prostu wszystko zostaw i odjeżdżaj. Nie warto się narażać.

Skinęłam głową w chwili, gdy Layla wychodziła z Seaside, niosąc pizzę w podgrzewaczu. Podeszła do mnie z promiennym uśmiechem.

- To nasza dziewicza wyprawa. I na dodatek do twojej dzielnicy, Sydney.

- Naprawdę?

Wyjęła kartkę z zamówieniem. Tak, to był adres z Arbors, choć nie znałam wpisanej tam osoby.

- Musimy być jednak ostrożne. - Rzuciła Macowi poważne spojrzenie. - Sama wiesz, jak niebezpieczni są ci bogaci ludzie.

- Ha, ha. - Wzruszył ramionami, gdy otwierała tylne drzwi, kładąc pizzę na podłodze, jak nam polecił. (Zmniejszyło to ryzyko osypania się sera, co najwyraźniej stanowiło główny grzech dostawców). Potem odwrócił się do mnie. - Jedź ostrożnie.

- Obiecuję.

Droga upłynęła nam bez wydarzeń, wyjąwszy monolog Layli, która nieprzerwanie snuła wielkie plany. Dotyczyły tego, co zrobimy z pieniędzmi z napiwków, kiedy wkrótce zaczną napływać wartkim strumieniem. Do chwili gdy stanęliśmy przed wielkim domem kolonialnym w moim sąsiedztwie, wydała więcej, niż kiedykolwiek mogłybyśmy zarobić, nawet gdybyśmy do czterdziestki rozwoziły pizzę. Nie mogłam jednak przewidzieć, że gdy otworzą się drzwi tego domu, nasze małe przedsięwzięcie skończy się szybciej, niż się zaczęło.

- Przywieźli pizzę! - dobiegło ze środka wołanie, a potem odgłos kroków i trzask otwieranego zamka. Obie cofnęłyśmy się - Mac byłby z nas dumny - gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich chłopiec mniej więcej w naszym wieku. Miał jasne włosy, niebieskie oczy i szerokie ramiona widoczne pod uniwersytecką koszulką futbolową. Na nasz widok szeroko się uśmiechnął.

- Potrzebujesz pieniędzy? - rozległ się dorosły damski głos z głębi korytarza.

- Nie, wystarczy to, co mam. - Wyszedł na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi.

Cofnęłam się o krok, natomiast Layla nawet nie drgnęła.

- Duża pizza z serem, szynką i ananasem - wyrecytowałam. - Piętnaście dolarów, dziewięć centów brutto. (Potwierdź najpierw zamówienie i cenę, nawet jeśli zapłacili już przez telefon. To rodzaj słownej umowy, której nie można złamać. Poza tym pozwoli im się to zorientować, ile mają dać ekstra).

Choć to ja mówiłam, on patrzył na Laylę, gdy wyjmował z kieszeni kilka

banknotów.

- Ile za dostawę?

- Dla ciebie nic - odparła.

- A więc to mój szczęśliwy dzień. - Odliczył dwudziestkę i jej podał. - Reszta jest twoja.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się, chowając pieniądze, podczas gdy ja wyjmowałam pizzę z podgrzewacza. - Mam nadzieję, że będzie ci smakować.

- Smakowałyby jeszcze bardziej, gdybyś została - odparł.

- Obowiązki wzywają. - Głośno się roześmiała, ale widziałam, że się rumieni. - Trzeba się narobić, żeby zarobić.

Odwróciłam się, dając sygnał do odwrotu. Ale oczywiście się ociągała. Zeszła stopień niżej, po czym znów stanęła.

- Gdybym zamówił jeszcze jedną - zaczął z ręką na klamce - czy też byś ją przywiozła?

- Być może. - Założyła kosmyk włosów za ucho. - Albo mój duży brat.

- Szansa jest pół na pół? - Zmrużył oczy. - No to zaryzykuję.

Tym razem się nie odezwała, tylko ruszyła za mną do auta. Gdy siedzieliśmy bezpiecznie wewnątrz i uruchomiłam silnik, spojrzałam na nią.

- Zdajesz sobie sprawę, że złamałaś wszystkie zasady, o których mówił Mac?

- Znasz go? - zignorowała moje słowa. - Może z sąsiedztwa?

- Nie - odparłam obojętnie. On zaś wciąż stał na schodach, jakby liczył na to, że Layla wysiądzie. Szybko wycofałam się z podjazdu. - Nigdy go nie widziałam.

Gdy wróciliśmy do Seaside, czekało tam już kolejne zamówienie na ten sam adres. Ruszyłam więc po raz drugi przez miasto, podczas gdy Layla przez całą drogę poprawiała w lusterku makijaż. Na miejscu nastąpiły dalsze flirty uwieńczone pięciodolarowym napiwkami, podczas gdy ja stałam z boku, mówiąc oględnie, mocno zakłopotana. Kiedy po powrocie zaparkowałam przed pizzerią, czekał tam na nas Mac, trzymając podgrzewacz.

- Znowu ten sam adres? - spytał zdziwiony. - I aż trzy duże pizze?

- Są bardzo głodni. - Layla wyciągnęła po nie rękę.

Cofnął się, tak by nie mogła go dosięgnąć.

- Prowadzimy restaurację, a nie serwis randkowy.

- To zamówienie. Należy je dostarczyć.

Tylko na nią spojrzał.

- A więc ja to zrobię. Ty już się dość najeździłaś.

- Mac... - zaprotestowała, ale widziałam, że on nie ustąpi. - Dobra, zobaczymy,

co powie tata. – Mówiąc to, znikła w środku.

– Powiedz przynajmniej, że ten facet jest w jej wieku. – Spojrzał na mnie z niepokojem.

– Owszem – potwierdziłam. Zerknęłam na zegarek. – Wiesz, że mogę to dostarczyć po drodze do domu. Oszczędzisz sobie jazdy.

– Nie – odparł krótko.

– To moja dzielnica – nie rezygnowałam. – A on miał już dwa razy szansę, żeby nas zamordować, gdyby mu o to chodziło.

– Tak na to patrzysz? Naprawdę?

– Po prostu daj mi to zamówienie.

Przez chwilę się wahał, a potem wyciągnął z tylnej kieszeni pióro i szybko napisał coś na odwrocie wizytówki.

– To mój numer – powiedział. – Wyślij mi wiadomość, jak stamtąd wyjedziesz, okej?

– Okej.

Podał mi podgrzewacz i patrzył, jak stawiam go na podłodze z tyłu samochodu. Potem weszłam do Seaside, by pożegnać się z Laylą, która nadąsana siedziała przy stole, trzymając w dłoni truskawkowy YumYum. Rozchmurzyła się dopiero wtedy, gdy wręczyłam jej należną połowę napiwków.

– Następnym razem naprawdę zaatakujemy – próbowałam ją rozweselić. – Rozbijemy bank.

– Mhm... – Machnęła lizakiem. – Jak tam chcesz...

Dotarłszy do Arbors, nacisnęłam dzwonek i czekałam. Drzwi otworzył ten sam chłopak, ale teraz przebrany w elegancką koszulę z guzikami. Na mój widok nie próbował nawet ukryć rozczarowania.

– Piętnaście dolarów, dziewięć centów z podatkiem – powiedziałam z zawodowym uśmiechem. – Dziękujemy za zamówienie.

Spojrzał na mnie, po czym wyjął z kieszeni kolejną dwudziestkę.

– Twoja koleżanka... jak ona ma na imię?

Pokręciłam głową.

– Nie mogę.

Przez chwilę się zastanawiał.

– No dobra. Ale gdyby chciała wiedzieć, czy o nią pytałem... – nabazgrał numer na przykryciu pudełka, a niżej swoje imię i oddał ten kawałek – daj jej to.

Nie powiedziałam „tak” ani „nie”. Wzięłam kawałek tekturki i wróciłam do auta, gdzie wysłałam do Maca wiadomość:

*Właśnie wyjeżdżam. Cała i zdrowa.*

Parkowałam przy swoim domu, gdy odpisał:

*Ona pyta, czy prosił o jej numer.*

Zastanawiałam się przez chwilę, wobec kogo obowiązuje mnie lojalność. A potem odpisałam „nie”, co przecież nie było kłamstwem, i czekałam. Wkrótce nadszedł kolejny esemes. Tym razem od Layli.

*Czy dał ci swój numer dla mnie?*

Uśmiechnęłam się. Myślałam, że jestem sprytna, ale ona znowu mnie przechytrzyła. Skoro jednak miałam być tą gorszą, to nie znałam nikogo oprócz niej, komu chciałabym ustąpić pierwszeństwa.

*Tak.*

Kolejny esemes. Tym razem na ekranie pojawił się rząd uśmiechniętych buziek, a potem jeszcze jeden. Ja natomiast po wyłączeniu silnika wpatrywałam się w wiadomość od Maca. „Dodać do kontaktów?” – pytał mój telefon, jak zawsze wtedy, gdy wyświetlał się nieznany numer. Czułam, że to akt wiary, a nawet zuchwałstwo, ale kiedy wpisałam jego imię i nacisnęłam „zapisz”, patrząc na uśmiechnięte buźki, też się uśmiechnęłam.



## Rozdział czternasty

Nazywał się Mason Albert Spencer, ale wszyscy mówili do niego Spence. Niedawno przeprowadził się do Lakeview i uczęszczał do W. Hunt Academy, wojskowej szkoły za miastem. Kiedy został oficjalnie uznanym chłopakiem Layli, wszystko zaczęło się zmieniać.

No, może nie wszystko. Wciąż spędzałyśmy wspólnie przerwy na lunch, a ja po szkole chodziłam do Seaside. Harmonogram zajęć Spence`a był tak wypełniony, że mógł widywać się z nią tylko w weekendy, ale nawet wtedy obowiązywała go ścisła pora powrotu. Początkowo sądziłam, że podobnie jak w przypadku wielu młodych ludzi z Arbors liczba zajęć dodatkowych, na które uczęszczał, jest po prostu świadectwem możliwości finansowych jego rodziców. Tym bardziej że ojczym Spence`a był chirurgiem plastycznym i mógł sobie pozwolić niemal na wszystko. Wkrótce jednak zaczęłam dostrzegać pewne prawidłowości, które mnie zastanowiły. Nie chciałam jednak mówić o tym Layli. Była taka szczęśliwa.

- Jest po prostu cudowny - powiedziała pewnego dnia, gdy siedziałyśmy razem w naszym boksie, a po skonsumowanej przez nas pizzy zostały tylko okruchy. Jej telefon, który dawniej leżał gdzieś w zasięgu ręki, teraz stał się naszym nieodłącznym towarzyszem. Nieustannie sprawdzała wiadomości w nadziei na jakikolwiek znak. - To znaczy... jest taki... rycerski. Nie znam nikogo podobnego. Czy już ci mówiłam, jak on jada frytki?

Owszem, mówiła. Z musztardą, używając widelca i noża. Biorąc to pod uwagę, byli po prostu dla siebie stworzeni. Niestety, pojawiły się również inne fakty.

Jak choćby ten, że W. Hunt Academy była już jego trzecią szkołą w ciągu ostatnich trzech lat. Wcześniej zrezygnował z dwu prywatnych szkół z internatem. Tłumaczył Layli, że pewne rzeczy „po prostu mu nie odpowiadały”, ale ja widziałam w tym zbyt wiele zbieżności z historią Peytona. Poza tym kilka godzin tygodniowo zajmował mu wolontariat - w domu opieki, schronisku dla zwierząt i miejscowym programie pomocy szkolnej. To było więcej, niż podobnej działalności poświęcała Jenn, najbardziej altruistyczna osoba, jaką znałam. Możliwe, że miał wielkie serce i chciał służyć innym, lecz byłam niemal pewna, że to obowiązkowe zajęcia, gdy tylko o nich usłyszałam.

No i jeszcze ten jego urok. Uderzył mnie już pierwszego dnia, gdy stał na

stopniach domu, ale gdy po raz drugi nasze drogi się przecięły i pewnego popołudnia spotkaliśmy się w cukierni Fraziera, miałam okazję docenić go w pełni. Każdy, kto ujrzałby Spence`a, jak wchodzi z wielkim bukietem i olśniewającym uśmiechem, byłby pewnie tak zachwycony jak Layla. Ja jednak aż nazbyt dobrze znałam tę mieszankę pewności siebie i poczucia bezkarności.

- Zwariowałaś - westchnęła z zachwytem, gdy wsunął się na miejsce obok niej, teatralnym gestem wręczając jej kwiaty.

- Zwariowałam dla ciebie - powiedział, a potem nachylił się i pocałował ją w usta. Trwało to tak długo, że poczułam się zakłopotana, on zaś zauważył moją obecność dopiero wtedy, gdy się odsunął. - O, Sydney - rzucił zdawkowo. - Cześć.

- Cześć - odparłam.

Dopełniwszy form, znów obrócił się do Layli, która wręcz promieniała ze szczęścia. To z jej inicjatywy spotkaliśmy się u Fraziera, a nie w Seaside, utrzymywała bowiem, że zarówno jej ojciec, jak i Mac nie tolerują nikogo, z kim się umawia. Ja jednak pamiętałam, jak Mac mówił, że nie dotyczyło to jej ostatniego chłopaka, nawet jeśli pan Chatham nie chciał tego przyznać. Był to zaledwie szczegół, ale jeszcze bardziej wzmógł moją podejrzliwość wobec Spence`a.

Wkrótce stało się jasne, że on z podobną rezerwą odnosi się do mnie. Początkowo mogło się wydawać, że nie przeszkadza mu moja obecność podczas ich licznych spotkań. Ale po dwu tygodniach zrozumiałam, że tę niewielką ilość czasu, jaką znajdowali między jego zajęciami a pracowitym dniem Layli, chcieli spędzać tylko we dwoje. Być może powinnam uwzględnić te sygnały i zostawić ich samym sobie, tymczasem doprowadziłam do tego, że w końcu Layla sama mnie o to poprosiła.

- Bo widzisz - zaczęła zakłopotana podczas przerwy na lunch, gdy Eric, Mac i Irv toczyli kolejną głośną dyskusję na temat nazwy zespołu - Spence naprawdę cię lubi. To znaczy uważa, że jesteś taka zabawna i inteligentna. Ponieważ, no wiesz, taka jesteś...

Uniosłam brew. Takie pochlebstwa zawsze poprzedzały dotkliwy cios.

- Ale - ciągnęła, patrząc na swoje dłonie - oboje chcielibyśmy, no wiesz, mieć szansę, żeby poznać się lepiej. Sami.

Zerknęłam na Maca, ale on gryzł ziarna słonecznika, słuchając, jak Eric broni nazwy Homo Sapiens, oddającej podobno ewolucyjny kierunek rozwoju zespołu.

- A jak zamierzasz to zrobić?

- No więc - odchrząknęła - gdybym cię odwiedziła raz na jakiś czas...

- Chcesz z nim randkować w moim domu?

- Nie! - Teraz ona zerknęła na chłopców, a potem jeszcze bardziej zniżyła głos. -

On by mnie stamtąd zabrał, a potem bym wróciła. Trochę później.

- Mam kłamać Macowi w żywe oczy?

- Sydney, to nie byłoby kłamstwo. - Spojrzałam na nią wymownie. - Wcale nie!

Przecież będę u ciebie. Tylko... nie cały czas.

Wiem, że należało powiedzieć „nie”. Takie rzeczy nigdy nie kończą się dobrze.

Ale przecież prosiła o to Layla, a ja tak wiele jej zawdzięczałam. No i się zgodziłam.

Za pierwszym razem wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Pojechałyśmy po lekcjach do mojego domu, gdzie mama natychmiast zażądała relacji z wydarzeń w szkole. W końcu jednak udała się do swego gabinetu, by kontynuować przygotowania do zbliżającej się uroczystości w Lincoln. Chwilę później zawołałam do niej, że musimy wyskoczyć do pobliskiego sklepu spożywczego po napoje Slurpee, i wyszłyśmy. Dwie przecznice dalej czekał Spence.

- Spotykamy się za godzinę - zaznaczyłam, gdy Layla uszczęśliwiona wspięła się na miejsce pasażera w jego potężnym chevy suburbanie. - W tym samym miejscu. Tak?

- Tak! - potwierdziła, a on już trzymał rękę na jej kolanie. - Dziękuję!

Wrócili o czasie, żegnając się tak długim pocałunkiem, że odwróciłam wzrok, udając, że studiuje formowane krzewy w pobliskim ogrodzie. Gdy wracałyśmy, mijając pierwszą i drugą przecznice, była tak szczęśliwsza jak nigdy do tej pory. Patrząc na nią, pomyślałam wtedy, że to, co robimy, nie może być naprawdę złe.

Tydzień później powtórzyłyśmy wszystko według tego samego planu. Ale teraz wydarzyły się dwie rzeczy: Layla się spóźniła i nieoczekiwanie pojawił się Mac.

Siedziałam na krawężniku, gdy zauważyłam, że nadjeżdża. Najpierw odczułam tę samą radość zmieszaną z podnieceniem, jaka zawsze ogarniała mnie na jego widok. Ale radość wkrótce osłabła, by zniknąć do reszty w chwili, gdy zdałam sobie sprawę, że nie tylko nigdzie w pobliżu nie widzę jego siostry, ale nawet nie wiem, gdzie ona jest.

Było już za późno, by się gdzieś schować, siedziałam więc bez ruchu, gdy zatrzymał się przede mną. Miał na sobie błękitny T-shirt, a kiedy wychylił się przez okno, by mi się przyjrzeć, zawieszony na jego szyi łańcuszek ze świętą Batyldą zakołysał się w powietrzu. Za każdym razem gdy widziałam ten łańcuszek, próbowałam sobie wyobrazić, jak to możliwe, by kiedykolwiek mógł być za ciasny. Ale nigdy mi się to nie udało.

- Cześć! - zawołał. - Co ty tu robisz?

Było to uzasadnione pytanie. Niestety nie znajdowałam na nie odpowiedzi.

- Eee... no... siedzę - wyjąkałam. - Czekam.

- Na kogo?

W jego głosie nie było oskarżenia, nie brzmiał ironicznie ani podejrzliwie. Ale ja z miejsca skapitulowałam.

- Na Layłę.

Nie wydawał się zdziwiony. Wyłączył silnik i odchylił się na oparcie fotela.

- Jest z tym facetem, tak? Tym od potrójnej pizzy?

Na chwilę zaniemówiłam.

- Wiesz o tym?

Tylko na mnie spojrzał.

- Daj spokój, Sydney. Nie jesteście aż takie sprytne.

- Ale... - chciałam zaprotestować.

- Co, wolisz dobrze kłamać?

Miał rację.

- Ona chyba naprawdę go lubi - wyjąkałam.

- Pewnie tak, jeśli zostawiła cię tu samą. - Spojrzałam na swoje dłonie, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. - Mam jeszcze dostawy - powiedział po chwili. - Pojedziesz ze mną?

- Mówisz poważnie?

W odpowiedzi uruchomił silnik, a potem wyciągnął rękę, by zdjąć coś z siedzenia obok. Obeszłam furgonetkę, otworzyłam drzwi i wsiadłam.

*Pojawił się Mac* - napisałam do Layli, gdy zawracał, opuszczając moją dzielnicę.

*Cholera* - nadeszło po chwili.

*Jedziemy teraz z dostawą* - wystukałam. - *Bądź na miejscu za 20 min.*

*OK.* - A potem, kiedy już chowałam telefon, nadszedł jeszcze jeden esemes: *Przykro mi.*

Mnie natomiast wcale nie było przykro. W gruncie rzeczy od dawna nie byłam tak szczęśliwa jak w chwili, gdy Mac i ja wyjeżdżaliśmy z Arbors. I, o dziwo, wcale się nie denerwowałam. Przeciwnie, siedząc obok niego w tej zakurzonej furgonetce, przy cichej muzyce z radia, czułam się tak, jakbym po długiej nieobecności wróciła w miejsce, które dobrze znałam.

Najwyraźniej w jego towarzystwie traciłam poczucie rzeczywistości, bo dopiero po chwili, gdy skręciliśmy w boczną ulicę, poczułam, że coś uderza mnie w nogę. Spojrzałam w dół i ze zdumieniem spostrzegłam szczypcę zwisającą z pęku przewodów.

- Ojej! - Miałam nadzieję, że mój głos nie zdradza paniki. - Coś mi się wydaje, że twój samochód się rozpada.

Spojrzał na mnie, a potem na szczypcę.

- Nie - rzekł krótko. - Tylko rozrusznik.

Wprawdzie nie byłam ekspertem od motoryzacji, ale nie ukrywałam zdziwienia.

- Myślałam, że to jest w stacyjce.

- W idealnym świecie, owszem. - Włączył kierunkowskaz i zwolnił. - Ale to stara fura i trzeba ją nieco unowocześnić, żeby chciała ruszyć.

Przed oczyma stanęły mi radiobudziki na jego biurku, a także druty sterczące z jednego z nich.

- Layla mówi, że lubisz majsterkować.

- Ja nie majsterkuję. - Był wyraźnie urażony. - Majsterkowanie jest dobre dla dziadków w sklepowych fartuchach.

- O! Przepraszam. - Mocno się speszyłam.

Spojrzał nieco łagodniej.

- Nie szkodzi. To mój czuły punkt.

- Każdy go ma. - Z uśmiechem pokiwałam głową.

- Podobno tak. - Odchylił się na oparcie. - Layla ma skłonność do ujmowania wszystkiego, co robię, w dziecinny sposób. Te „spacerki po lesie” czy „majsterkowanie”... Jakbym był jej osobistym krasnałem lub czymś podobnym.

To porównanie było tak odległe od tego, co widziałam, że niemal parsknęłam śmiechem. Na szczęście zdołałam się opanować. Powiedziałam tylko:

- A jednak byłam naprawdę pod wrażeniem twojego zegara. I gdyby to mnie zepsuł się rozrusznik, musiałabym wracać do domu pieszo. Kropka.

- No cóż, dzięki. - Zwolnił przed kolejnym zakrętem. - Uważam, że człowiek, który próbuje coś naprawić, nie ma się czego wstydzić. Chyba to lepsze niż rozkładanie rąk.

Chciałam powiedzieć, że zazdroszczę mu jego umiejętności, bo jak większość ludzi po prostu rezygnuję, gdy coś przestaje działać. I że chciałabym choć raz wiedzieć, co czuje ktoś, kto wówczas, gdy wszystko się rozpada, widzi szansę naprawy, a nie ostateczną klęskę.

Zamówienie złożyła szkoła lekkoatletyki. Było naprawdę spore - siedem sztuk pizzy, cztery porcje sałatki i tyle czosnkowych bułeczek, że ich woń przenikała przez plastikowe opakowania. Wyjęłam z samochodu zimne potrawy i jedno opakowanie pizzy, podczas gdy Mac zajął się całą resztą. Po chwili ruszyliśmy w stronę budynku. Wewnątrz, za przeszkloną ścianą, znajdowała się sala gimnastyczna z rozłożonymi tam matami, równoważnią i tyczkami. Wszędzie kręciły się dziewczęta w różnym wieku. W kolorowych strojach gimnastycznych

i z włosami związanymi w koński ogon do złudzenia przypominały mi Meredith.

- Połóż to tutaj. - Mac ruszył do najbliższego stolika i postawił na nim podgrzewacz, a ja zostawiłam pizzę oraz pojemniki z sałatką. Kończył już układać zamówione produkty, gdy wtem rozległ się krzyk.

Brzmiał tak głośno i przenikliwie, że aż podskoczyłam. Dobiegał od strony przeszklenia, więc się odwróciłam. Za szybą stały cztery dziewczynki - dwie bardzo małe i dwie większe, wszystkie chudziutkie jak patyczki. Patrzyły na nas z uwagą, a jedna - pewnie ta, która głośno krzyknęła - zarumieniła się.

- Cześć, Mac! - zawołały, a potem wszystkie zaczęły chichotać. On zaś, nadal ustawiając pudła, skinął im głową.

- Pani trenerko! - zawołała jedna z mniejszych dziewczynek. - Mac przyjechał!

Rozległy się kolejne śmiechy. Kilka innych gimnastyczek podbiegło do nich, natomiast ta, która się zarumieniła, tak spłoszyła, że zaczęłam się niepokoić, czy mają tu na zapleczu defibrylator.

- No dobra, dziewczyny, zróbcie mi przejście - rozległ się czyjś głos, a potem pozerający nas wzrokiem tłumek rozdzielił się, by przepuścić krótko ostrzyżoną blondynkę w dresowych spodniach i koszulce bez rękawów. Na jej szyi wisiał gwizdek, ale nawet bez niego było jasne, że to władza zwierzchnia. Kobieta pchnęła drzwi i ruszyła w naszą stronę, a za nią wysypało się kilka dziewcząt.

- Widzę, że nasz ulubiony dostawca znów wywołał burzę hormonów - odezwała się, podchodząc.

Wyraźnie zażenowany Mac postawił na stoliku ostatnie opakowanie.

- Złożyłyście dziś duże zamówienie.

- Mamy spotkanie drużyn - odparła, stając na wprost nas z dłońmi opartymi na biodrach. Miała tak perfekcyjną postawę, że odruchowo się wyprostowałam. - A to kto? - Wskazała mnie ruchem głowy.

- Masz dziewczynę?! - zawołała jedna z dziewcząt, a pozostałe znów zaczęły chichotać.

- Praktykuję przed rozpoczęciem pracy - wyjaśniłam trenerce.

- Dawno już powinien mieć jakąś pomoc - rzuciła. - Poczekaście, pójde po pieniądze.

Gdy zniknęła na zapleczu, dziewczęta nie przestały tłoczyć się przy szybie, najwyraźniej dyskutując na nasz temat. Obróciłam się do nich plecami.

- To zawsze tak wygląda? - spytałam Maca.

- Nie - uciał tak szybko, że od razu wiedziałam, jak jest.

Po powrocie trenerka podziękowała i wręczyła nam napiwek, po czym ruszyliśmy

do wyjścia. Gdy otworzył przede mną drzwi, z tyłu rozległ się chór dziesiątków głosów.

- Doo wiidzeeniaa, Mac! - Śmiechy wręcz rozsadzały ściany budynku.

Idąc w stronę samochodu, zagryzłam usta, usiłując zachować powagę. Aż nazbyt dobrze pamiętałam siebie i swoje rówieśnice sprzed lat, kiedy to wystarczył widok przystojnego, starszego nieco chłopaka, by wprowadzić nas w ekstazę. Jeśli traciliśmy głowy dla gwiazd telewizji, jak choćby Logana Oxforda, to co dopiero mówić o kontakcie z jego odpowiednikiem w rzeczywistości.

Mac uruchomił silnik i w milczeniu zjechał na drogę. Dopiero po chwili się odezwał:

- To jedyny przypadek, gdy marzę o zmienniku. Kiedy przychodzi zamówienie z tego miejsca.

- Jesteś tu bardzo popularny - stwierdziłam dyplomatycznie. Wyraz jego twarzy nie wskazywał jednak na to, że wybrałby takie określenie. - Dlaczego? Wielu by to bardzo pochlebiało.

- Tobie też?

Przez moment się zastanawiałam.

- Chyba jednak nie.

Skinął głową, jakby przewidział taką odpowiedź.

- Ale na mnie nikt nie zwraca uwagi - ciągnęłam. - Przywykłam do tego, że jestem niewidzialna. Dlatego denerwuję się, gdy ktoś mnie dostrzega.

Wiele na ten temat myślałam, ale nigdy o tym nie mówiłam. Po raz pierwszy, lecz nie ostatni, zrozumiałam, że Mac działa na mnie w szczególny sposób. Zanim jednak zdołałam się nad tym zastanowić, spojrzał na mnie zdziwiony.

- Ty? Niewidzialna? - Włączył migacz. - Mówisz serio?

- O czym?

- No wiesz... nigdy bym w ten sposób o tobie nie pomyślał.

Gdy to mówił, zerknęłam na swe odbicie w bocznym lusterku, zastanawiając się, jak on mnie właściwie widzi.

- Cóż ... - opuściłam wzrok - nie znasz mojego brata.

Zbliżaliśmy się do świateł i teraz zwalniał.

- Duża osobowość, co?

Spojrzałam przez okno, tym razem unikając odbicia swojej twarzy.

- Widzisz, on... gdziekolwiek jest, przyciąga wszystkie spojrzenia. Po prostu nie da się patrzeć gdzie indziej. Ja nie umiem tego zrobić.

- Czasem jednak lepiej nie być widzianym - rzekł po chwili namysłu. - Zanim

schudłem, ludzie albo się na mnie gapili, albo odwracali wzrok. Wolałem to drugie. Tak jest zresztą do dziś.

Pomyślałam o tych wszystkich dziewczynkach, które tłoczyły się przy oknie, żeby go zobaczyć. Jak skomplikowane odczucia muszą się wiązać z tak radykalną zmianą wyglądu, skoro powszechny podziw wywołuje tylko zażenowanie. Może zatem lepiej pozostać niewidzialnym?

- Myślę - zastanawiałam się na głos - że najlepszy jest złoty środek. Kiedy cię dostrzegają, ale nie stanowią centrum uwagi.

- Taa - przytaknął, gdy zmieniło się światło. - Byłoby to jakieś wyjście.

Samochód przed nami gwałtownie zahamował. Mac nacisnął klakson, ale prowadząca go kobieta tylko pokazała nam palec. Miło.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że to byłeś ty - przypomniałam sobie fotografię. - Naprawdę tyle schudłeś dzięki diecie i ćwiczeniom?

- Bardzo ścisłej diecie - odparł. - Jadłeś te Kwackersy. To był mój deser. A do tego intensywny trening.

- Na przykład spacer po lesie.

Spojrzał na mnie wymownie, a potem się uśmiechnął, rozsuwając palce na kierownicy.

- Trening był darmowy, w dodatku tuż za domem. I żadnej litości. W każdej wolnej chwili ruszałem w las. Brałem GPS i oznaczałem trasę, żeby sprawdzić, ile przeszedłem.

Pomyślałam o mapie, którą widziałam w jego sypialni, i o zakreślonych ołówkiem punktach. To były jego szlaki i drogi powrotne.

- I wtedy znalazłeś tę karuzelę.

- Miałem szczęście. W pewnej chwili skręciłem w bok i nagle ją zobaczyłem. Długo nie mówiłem o tym nikomu, nawet Layli. Ale w końcu nie wytrzymałem. To był zbyt dobry sekret, by go zachować dla siebie.

Dobry sekret - powtórzyłam w myślach. - Oryginalny pomysł.

- Brak mi wypraw do lasu - wyznałam. - Dawniej często chodziliśmy tam z bratem.

- Nikt już ci tego nie odbierze - zauważył.

- To prawda. - Pomyślałam o idącym przede mną Peytonie i liściach szeleszczących pod naszymi stopami. - Ale teraz wydaje mi się to inne, budzi lęk.

- Naprawdę?

Skinęłam głową, patrząc na jego medalik.

- Może i mnie by się przydał święty patron. Opiekun wędrowników. Albo lasu.



- Myślę, że on istnieje - zapewnił. - W końcu każdy go ma. Księgowi, kotlarze i rozwodnicy. Musisz tylko wybrać.

- Jesteś ekspertem, co?

- Najlepsza jest w tym moja mama. - Usiadł wygodniej, gdy stanęliśmy na światłach. - Zawsze odpowiadała jej idea nadprzyrodzonej opieki, ale od kiedy zachorowała, głęboko w nią wierzy. Ja sam nie byłbym taki tego pewny, ale myślę, że nikomu to nie zaszkodzi, wiesz?

Czasem trzeba mieć choć tyle nadziei. Nie na nagrodę lub karę, ale na to, co jest między nimi.

- Tak - powiedziałam - wiem.

Gdy dotarliśmy na miejsce, Layli nadal nie było. Mac postanowił czekać. Zaparkował przy krawężniku, a potem wyłączył silnik, zdejmując szczypcę z przewodów.

- A poza tym dziękuję - odezwałam się po chwili. - Za to, że mnie zabrałeś.

- Lubisz rozwozić zamówienia?

Odwróciłam ku niemu twarz.

- Właściwie to tak.

- Serio?

- Serio. - Opuściłam wzrok. - Kiedy widzę tych wszystkich ludzi w ich domach, mam wrażenie, że patrzę jednocześnie na migawki z całego świata. Dziwne, że tak o tym myślę?

On również obrócił się do mnie.

- Owszem. Bardzo.

- Miło słyszeć. - Zmarszczyłam brwi.

- Żartuję, tylko żartuję. - Wyciągnął rękę i musnął mój nadgarstek tak lekko, że nie czułam dotyku jego palców. - Dobrze wiem, o czym mówisz.

- Ale uważasz, że doszukiwanie się głębokiej symboliki w dostawie pizzy to przesada.

- Trochę tak - przyznał. Ale gdy posmutniałam, dodał: - Ja też w pewnym sensie lubię tak myśleć, bo wtedy moja robota staje się mniej przyziemna, ważniejsza i w ogóle...

- Jestem zupełną kretynką - powiedziałam, znów wyrażając na głos tak często towarzyszącą mi myśl, że wręcz wryła się w mój mózg.

- Nie. - Zacisnął palce na moim przegubie. - Nie jesteś.

Przez chwilę tylko patrzyliśmy na siebie. Było późne jesienne popołudnie i niebo zaróżowiło się, tak jak zawsze wtedy, gdy dzień chyli się ku zachodowi.

Znajdowałam się w obcym miejscu z kimś, kogo dobrze nie znałam, a przecież wydawało mi się najzwyklejszą rzeczą na świecie, że nie zdejmując dłoni z mojej ręki, nachyliła się tak, że dotyka niemal mej twarzy. Ale wtedy nadjechali Layla i Spence.

Odsunęliśmy się gwałtownie od siebie w chwili, gdy otwierała okno od strony pasażera. Nie wiedziałam, co zdołała zobaczyć, i natychmiast poczułam się winna. Ale ona zawołała:

- Cześć, bardzo przepraszam!

Spence się uśmiechnął.

- To pewnie ty jesteś Mac.

- Mhm.

Zapadła cisza. Serce waliło mi w piersi i w uszach, chociaż nikt nie mógł go usłyszeć. Przynajmniej miałam taką nadzieję.

- Nie uważasz, że ten samochód jest obłądny? Dokładnie taki, jaki ci się podobał!

- zawołała Layla do Maca nieco zbyt żarliwie. A gdy nie odpowiedział, westchnęła.

- Słuchaj, to nie jego wina, że ci nie powiedziałam. Bałam się, jak zareaguje tata.

- Na tajemnice i kłamstwa? - spytał Mac. - Obawiam się, że nie najlepiej.

- Okej. - Wyrzuciła ręce w górę. - Przyprowadzę go jutro do Seaside.

Zadowolony?

- To nie o mnie chodzi - odparł. A potem rzucił szorstko: - Musimy jechać. Mama czeka.

Spojrzała na Spence'a, a potem na nas.

- Pozwól mi się tylko pożegnać, dobra?

Nim zdołał odpowiedzieć, Spence ruszył i zaparkował przy krawężniku przed nami. W miarę upływającego czasu mogłam sobie tylko wyobrażać, co się dzieje za przyciemnionymi szybami. Mac, równie zażenowany, skubał nitki wystające ze szwów na kierownicy. Czy to możliwe, że przed chwilą omal go nie pocałowałam? To było teraz jak sen. A może największy sekret.

- Cóż... - odezwałam się w końcu. - Ja też już powinnam wracać.

- Podwieźć cię?

- Nie, mieszkam przecnicę dalej. - Otworzyłam drzwi. - Dziękuję za przejażdżkę. To była prawdziwa przyjemność.

- Dla mnie też.

Uśmiechnęłam się i wyskoczyłam na chodnik. Gdy zamknęłam drzwi i zaczęłam się oddalać, usłyszałam za sobą:

- Hej, Sydney!

- Tak?

- Miałaś na sobie bluzkę w małe grzybki, włosy związane z tyłu i srebrne kolczyki. Zamówiłaś porcję pepperoni i nie chciałaś lizaka.

Patrzyłam na niego osłupiała, nie mogąc wykrztusić słowa, podczas gdy Layla szła już w naszą stronę.

- Kiedy pierwszy raz przyszłaś do Seaside, nie byłaś niewidzialna. Nie dla mnie. Chciałbym, żebyś to wiedziała.

Nie potrafiłam odpowiedzieć. Stałam nieruchomo, gdy Spence odjechał z rykiem klaksonu, a Layla wspięła się na miejsce, które przed chwilą zajmowałam.

- Jedźmy - rzuciła do Maca, a potem odwróciła się do mnie. - Do zobaczenia jutro.

Uruchomił silnik i nasze spojrzenia znów się spotkały. Layla grzebała w torebce, pochłonięta już czym innym. Nie zauważyła nawet, że powiedziałam do niego, i tylko do niego:

- Tak. A więc do zobaczenia.

## Rozdział piętnasty

Staralam się go unikać. Naprawdę się starałam. Było to jednak trudne, gdyż Layla nieświadomie nas ku sobie popychała.

- Po prostu źle się z tym czuję - oznajmiła pewnego popołudnia w Seaside, tydzień po tym, jak przedstawiła ojcu Spence`a, tym samym oficjalnie potwierdzając ich związek. Teraz popołudniami miał więcej czasu, a wolontariat angażował go mniej niż poprzednio. Layla twierdziła, że jest przemęczony i postanowił zwolnić tempo, ja jednak przypuszczałam, że zdołał już odsłużyć swoje. Tak więc widywałyśmy się jedynie wtedy, gdy on miał jakieś inne obowiązki. - Nigdy sobie nie wyobrażałam, że można porzucić najlepszą przyjaciółkę z powodu chłopaka.

- Przecież mnie nie porzuciłaś - zaprotestowałam. - Jesteśmy tu razem, prawda? Podniosła spieczony kawałek ciasta, chwilę myślała, a potem odłożyła go z powrotem na talerz.

- A kiedy mnie nie ma, możesz jeździć razem z Makiem. Powiedział, że to lubisz.

- Layla... - Odłożyłam ołówek. - Nie musisz organizować mi opieki. Daję sobie radę.

- Wiem, wiem. - Podniosła ręce w geście kapitulacji. - Ja tylko...

Brzęknął jej telefon, rozbłysł ekran. Zerknęła z uśmiechem na wiadomość i wystukała odpowiedź. To zabawne, jak kilka wysłanych przez kogoś słów może nas uszczęśliwić. Naprawdę miałam to zrozumieć dopiero później.

Od kiedy Mac opisał, jak wyglądałam, gdy zobaczył mnie pierwszy raz, coś się zmieniło. Wcześniej myśl o bliższym z nim związku była odległą fantazją, niedorzeczną mrzonką. Teraz jednak, gdy Layla bez reszty żyła Spence'em, a my widywałyśmy się coraz częściej, po tym, co niemal wydarzyło się w samochodzie, dalszy ciąg zdawał się nieuchronny. I nie była to kwestia „czy”, tylko „kiedy”.

\* \* \*

- Obciążenie pani karty wynosi dwadzieścia dolarów, czterdzieści dwa centy - powiedziałam do stojącej w drzwiach zmęczonej kobiety w dresowych spodniach i wymiętym swetrze. W pokoju za nią przed telewizorem, gdzie leciała jakaś kreskówka, na kanapie skakało kilkoro dzieci.

Bez słowa wyciągnęła rękę po dwa opakowania pizzy. Gdy je podałam, a ona

wręczała mi napiwek, jedno z dzieci stoczyło się z kanapy i z głuchym uderzeniem spadło na dywan. Na moment wszystko ucichło, a gdy po chwili rozległo się zawodzenie, kobieta zamknęła drzwi.

- Pięć dolców - oznajmiłam, wspinając się do furgonetki. - I miałam rację. Pizzę z serem zamawiają dla dzieci, zwłaszcza gdy jest ich dużo. Żałuj, że nie widziałeś salta z kanapy na dywan.

- Mam pecha. - Wrzucił wsteczny. Kiedy wsuwałam banknot do plastikowego kubka, który stał na desce rozdzielczej, powiedział: - Zatrzymaj to dla siebie. To twoje pieniądze.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

- Przecież tylko poszłam do drzwi.

- To też się liczy - odparł. Ale ja i tak włożyłam banknot do kubka.

Po kilku dniach wspólnych jazd opracowaliśmy pewien system. Mac prowadził samochód, koordynując trasy i adresy, a ja nosiłam produkty do domu klienta. Twierdził, że taki podział skraca czas dostaw, bo pozwala ustalić optymalny harmonogram. Ale ja podejrzewałam, że robi to dla mnie, wiedząc, jak ciekawi mnie życie za zamkniętymi drzwiami.

- Stowarzyszenie studentek - oznajmiłam, gdy stanęliśmy przed wielkim żółtym budynkiem naprzeciwko uniwersytetu. - Powinnam się domyślić, widząc tyle sałatek.

- No proszę, zaczynasz wróżyć z zamówień.

- Opracowałam już pewną metodę - przytaknęłam, wsuwając napiwek do kubka. Gdy odchyliłam się na oparcie fotela, poczułam, że na mnie patrzy. - Co?

- Nic. - Uśmiechnął się i pokręcił głową.

Spędzaliśmy razem tylko kilka popołudniowych godzin co drugi dzień, ale i tak stały się one wkrótce najlepszą częścią mojego tygodnia. Layla czuła się winna, że tak szybko straciła głowę z powodu chłopaka, nie zdawała sobie jednak sprawy, że ze mną jest podobnie.

W tej samej chwili rozległ się sygnał esemesa. Wiadomość od Jenn. Ostatnia z kilku, które wymieniliśmy w tym dniu, próbując ustalić termin spotkania. W związku z zajęciami wyrównawczymi, które dobrowolnie prowadziła, oraz innymi obowiązkami, a także moją nową pracą z Makiem, niemal przestałyśmy się widywać.

*Frazier o 17.00 - pisała. - Wychodzę 16.30. Mer może się spóźnić.*

Spojrzałam na zegarek. Była 16.00, co oznaczało, że przed powrotem do domu Mac i ja moglibyśmy spędzić razem całe dwie godziny. Pomyślałam o Layli i jej

przeprosinach, sama czując się winna, że odsuwam przyjaciółki na drugi plan i wybieram towarzystwo chłopaka, który nawet nie był moją oficjalną sympatią. A jednak to zrobiłam.

*Nie dam rady. Jutro?*

*Do poniedziałku odpada* - nadeszła odpowiedź. - *Ale przyszły tydzień na pewno.*

To oznaczało kolejne dwa popołudnia bez innych zobowiązań. Jenn była dobrą kumpelą, nawet jeśli o tym nie wiedziała.

*Absolutnie* - odpisałam. - xxx.

Ostatnie zamówienie nadeszło z Arbors. Dom stał tuż przy głównym wjeździe. Uznałam, że dwie podwójne pepperoni i kiełbaski w cieście zapiekane z serem muszą być przeznaczone dla mężczyzn. Tymczasem drzwi otworzyła nieduża, opalona kobieta w stroju tenisowym, która, mówiąc „skarbie”, wsunęła mi dziesięć dolarów napiwku. Już myślałam, że straciłam intuicję, ale w drodze do samochodu minęłam na podjeździe ciężarówkę z napisem: „Basset. Usługi stolarskie. Układanie podłóg i tarasów”. Zerknęłam na podwórze za domem, a tam ekipa fachowców posilała się pizzą i piwem.

- Jesteś taką samą czarownicą jak Layla z jej pamięcią do twarzy - stwierdził Mac, gdy powiedziałam mu o tym. - Tylko nie przejdź na ciemną stronę mocy - zażartował.

- Obiecuję - odparłam z powagą, gdy ruszaliśmy w drogę powrotną. Nie odjechaliśmy jednak daleko, gdy wtem coś zauważyłam. - Ej, zatrzymaj się na chwilę.

Zahamował, a ja opuściłam okno, by lepiej się przyjrzeć. Po drugiej stronie ulicy, za chodnikiem, w żywopłocie był niewielki otwór.

- Co to jest? - zaciekawiał się.

- Widzisz ten prześwit między cienkim drzewem i pniem?

Nachylił się w stronę okna z mojej strony.

- Tak.

- Kiedyś prowadziło tamtędy najlepsze w okolicy przejście do lasu. Można było wyruszyć tu, zza tych domów, i dotrzeć aż do miejsca, gdzie mieszkam. Ten szlak ciągnie się kilometrami. Zawsze zastanawialiśmy się, kto go zrobił.

- Pewnie jakieś dzieciaki, takie jak wy.

- W pewnym miejscu - ciągnęłam, gdy jakiś samochód zwolnił, a potem nas wyminął - powstał w nim potężny lej, głęboka czeluść. Nie wiadomo jak, w poprzek zważyło się tam drzewo i wkrótce zaczęliśmy robić zakłady, kto po nim przejdzie.

- Zrobiłaś to?

- W życiu. - Aż się wzdrygnęłam. - Ale Peyton przeszedł. I nigdy nie widziałam, żeby ktoś jeszcze się odważył.

Gdy to mówiłam, znów wszystko stanęło mi przed oczyma. Nagie drzewa późną jesienią i bezkres błękitnego nieba. Ja i starsze dzieciaki przyszliśmy wtedy do lasu, żeby patrzeć, jak mój brat, wolno i pewnie, stawia stopę, a przed nią drugą, posuwając się przez całą długość zwalonego drzewa.

- Jeśli chcesz, możemy tam pójść - zaproponował Mac. Niepewnie na niego spojrzałam. - Mamy trochę czasu. Mogłabyś mi to pokazać.

Popatrzyłam znowu w stronę niemal niewidocznej ścieżki. Nie wiedziałam, jak wygląda teraz i co się z nią dzieje. Z jednej strony chciałam ją zobaczyć, tym bardziej że nie byłam sama. Z drugiej jednak coś mi mówiło, że nie jestem na to gotowa. Jeszcze nie.

- Chyba innym razem - powiedziałam.

O szóstej po południu dotarliśmy do Seaside, tak bym zdążyła na czas wrócić do domu. Mac natomiast miał nadal rozwozić zamówienia, aż do zamknięcia pizzerii. Zazwyczaj przez resztę wieczoru zastanawiałam się, gdzie jest i co robi. Nie przyszło mi wcale do głowy, że on też o mnie myśli. Tym razem jednak, gdy siedziałam na łóżku, przygotowując się do angielskiego, brzęknął telefon, zapowiadając wiadomość.

*5 deluxe, 2 pepperoni z grzybami, 6 porcji czosnkowego pieczywa. Zgaduj.*

Uśmiechnęłam się.

*Pewnie drużyna sportowa. Męska* - odpisałam.

Bez skutku próbowałam wrócić do lektury. W końcu rozległ się kolejny sygnał. Ekran wypełniło zdjęcie szyldu: *7-10 Kręgielnia* - a niżej: - *Robisz wrażenie.*

*Staram się* - odpowiedziałam.

*W końcu cię za to skażą.*

Choć byłam sama w pokoju, głośno się roześmiałam.

Tak zaczęła się wymiana esemesów. Wkrótce nie tylko Layla nie rozstawiała się z telefonem. Wieczorem, gdy jadłam kolację i odrabiałam lekcje, a Mac kursował z dostawami, nieprzerwanie utrzymywaliśmy kontakt. To była jedna z lepszych rzeczy, jakich mogłam pragnąć, gdy go nie widziałam. A właściwie najlepsza.

\* \* \*

- Połączenie na koszt abonenta. Czy akceptuje pani rozmowę z Zakładem Karnym w Lincoln?

Słyszałam, jak otwierają się drzwi garażu i wjeżdża mama. Za pięć minut wejdzie do domu. Ale Peyton dzwonił teraz.

- Tak - potwierdziłam.

Rozległo się kliknięcie, a potem głos mojego brata:

- Halo?

- Cześć, to ja, Sydney.

- O, cześć. - Odchrząknął. - Co u ciebie?

- W porządku - odparłam szybko. - Mama właśnie przyjechała. Za sekundę tu będzie.

- Okej.

W ciszy, która zapadła, słysząc było tylko monotony szum na linii.

- Jak tam w szkole? Słyszałem, że przeniosłaś się do Jackson.

- Nieźle - odparłam. - Inaczej. Ale poznałam kilka fajnych osób.

- Mógłbym powiedzieć to samo o tej budzie - roześmiał się ciepło. - Chociaż pod tym względem w liceum było jeszcze ciekawiej, ale i tak go nienawidziłem.

- Naprawdę? - Byłam szczerze zdziwiona. Uważałam, że bez względu na sytuację Peyton zawsze i wszędzie czuł się dobrze. Przynajmniej zanim wpakował się w kłopoty.

- Jeszcze jak - potwierdził. - Pewnie dlatego zachowywałem się jak idiota. Człowiek z rozpaczy wyczynia różne głupstwa.

Czułam się dziwnie, gdy to mówił. Jakbym nie rozmawiała z nim, lecz z kimś innym. Kimś, kogo nie znałam.

- Ale dlaczego? Było aż tak źle?

Przez chwilę milczał.

- Nie wiem. Pewnie zawsze z tych samych powodów. Złe stopnie, presja ze strony mamy i taty, no wiesz...

Nie, nie wiedziałam. Zawsze sądziłam, że pierworodny ma wszelkie przywileje. Nie przyszło mi nigdy na myśl, że istnieje jeszcze inny aspekt sprawy - odpowiedzialność za wszystko, co robi jako pierwszy.

Zastanawiając się nad tym, powiedziałam:

- Niedawno widziałam tę ścieżkę, którą zwykle chodziliśmy do lasu. Pamiętasz?

Przez chwilę nie odpowiadał.

- Tak, z tą wyrwą w ziemi.

Przytaknęłam.

- Tylko ty odważyłeś się nad nią przejść. - Mówiąc to, zdałam sobie nagle sprawę, jak bardzo mi zależy, żeby to pamiętał.



Krótko milczał, a potem cierpko rzucił:

- To nie było najmądrzejsze posunięcie.

Znów ogarnęło mnie zdumienie. Ile jeszcze spraw widzieliśmy odmiennie?

- Ale ci się udało.

- Mhm... - Westchnął. - Jak powiedziałem, robiłem mnóstwo głupstw.

Oboje zamilkliśmy na chwilę, która wydawała się bardzo długa. Było to tak kłopotliwe, że w końcu wyjąkałam:

- No to... cieszę się na nasze spotkanie. Wszyscy na nie czekamy.

- Nasze spotkanie?

- No wiesz... to z okazji ukończenia przez ciebie kursu - wyjaśniłam. - Mama od dawna o tym mówi.

- Ty też przyjedziesz? - Zdawał się zdziwiony.

- Mhm.

- Ale... - Urwał. - Naprawdę nie musisz.

- Nie ma sprawy. Wiem od mamy, że wpisałeś mnie w formularzu.

- Owszem, wpisałem. Ale tylko dlatego, że... - Jego głos zanikał. - To naprawdę nic ważnego. Wątpię, by z tej okazji ktoś tu przejechał.

- Mama ma wielkie plany w związku z tą uroczystością.

- Co takiego?

- No tak. - Słyszałam, jak klucz wsuwa się w zamek. - Jestem... ee... miło będzie cię zobaczyć. W końcu.

Znów nastąpiła cisza, lecz inna niż poprzednio. Taka, jaka zapada wtedy, gdy coś bardzo szczególnego nie zostaje powiedziane. Mama weszła do domu z dwiema torbami zakupów i torebką przewieszoną przez ramię.

- Sydney! - zawołała. - Już wróciłaś?

- Czy słyszę głos mamy? - spytał.

- Tak.

- Możesz ją poprosić?

- Jasne. - Podeszłam do niej, gdy zaczynała rozpakowywać torby. - Mamo, to Peyton.

- Och! - Odwróciła się z uśmiechem i chwyciła słuchawkę. - Witaj, skarbie. Co za miła niespodzianka. Jak się miewasz?

Podeszłam do kuchennego stołu, by zabrać pusty talerzyk po pizzy, którą przywiozłam z Seaside. Wpadłam tam tylko na chwilę, gdyż Layla była ze Spence'em, a Mac miał próbę zespołu. Ale codzienna porcja pizzy po szkole weszła mi w nawyk i nie potrafiłam jej sobie odmówić nawet pod ich nieobecność.

- Już ci mówiłam, że wiem to od Michelle. - Mama wyciągnęła rękę, by postawić puszkę zupy w szafce. - Mam kontakt z organizacją, która ułatwia mi komunikację z administracją Lincoln.

Kiedy wkładałam talerzyk do zmywarki, usłyszałam nagle w jej głosie ton usprawiedliwienia. Zamknęłam drzwiczki najciszej, jak mogłam.

- Tak, owszem, Peytonie. Zrobiłam to kilkakrotnie. - Wyjęła następną puszkę, ale stała nieruchomo, trzymając ją w ręce. - Nie, pamiętam tę rozmowę. Ale powiedziałaś, że w końcu się na to przygotujesz, dlatego wypełniłeś ten formularz. A ja uznałam, że to wspaniała okazja...

Słyszałam z oddali, że mój brat coś mówi. I to dużo.

- Jestem tego świadoma - rzuciła mama tak gwałtownie, że najwyraźniej musiała wejść mu w słowo. - Ale to nie znaczy, że mamy cię zostawić, lekceważąc twoje osiągnięcia. I...

Podniosłam plecak, już pewna, że należy wyjść.

- Nie, Michelle wcale tak nie uważa. Ani ja. - Postawiła głośno puszkę na blacie. - Cóż, mam nadzieję, że to przemyślisz. Jeśli spokojnie się zastanowisz...

Peyton znowu jej przerwał, tym razem głośniej.

- Chyba powinniśmy to na razie odłożyć. Jesteś wyraźnie przygnębiony i... - Patrzyłam, jak podnosi rękę do twarzy. - No dobrze. Tak. Do usłyszenia.

Połączenie zostało przerwane, a ja usłyszałam, jak mama głośno westchnęła. Nie bardzo wiedząc, co robić, odwróciłam się do okna, przerzuciłam plecak przez ramię i wyrzłam na ulicę. Minęła jedna chwila, potem druga. Usłyszałam, jak mama wychodzi z kuchni, i wkrótce na schodach rozległy się jej kroki. Wprawdzie rzadko przysłuchiwałam się ich rozmowom, ale wiedziałam, że czasem kończą się burzliwie. Jednak od dawna nie słyszałam, by mama była aż tak przygnębiona. Zastanawiałam się, czy nie powinnam do niej pójść, ale w końcu postanowiłam wypakować resztę zakupów. Pomyślałam, że przynajmniej tyle jej ułatwię, kiedy znów zejdzie na dół.

\* \* \*

- Posłuchajcie, mam wspaniałą wiadomość - oznajmił Eric.

Tylko ja podniosłam wzrok. Eric był mistrzem oświadczeń i deklaracji. Z jego ust nigdy nie padła zwykła informacja. Wszystko miało wyjątkowe znaczenie. Dlatego nikt, kto dobrze go znał, nie dał się zwieść tym retorycznym sztuczkom.

- Chodzi o señorite? - zaciekawiał się Irv.

Eric spojrzał na niego, nie rozumiejąc.

- O kogo?

Mac, który siedział z boku nad podręcznikiem historii, odgryzł kęs Kwackersa.

- O tę dziewczynę z twojej grupy hiszpańskiego. Mówiłeś, że za tobą szaleje.

- Ee tam... - Eric machnął ręką na señoritę. - Rzecz jest o wiele ważniejsza.

Chodzi o zespół.

Teraz już Mac, a za nim wszyscy pozostali przyjrzeni mu się z uwagą.

Zadowolony usiadł na brzegu mojej ławki.

- Dotyczy to zarówno nas, jak i Layli.

- Hę? - zdziwiła się. Siedziała obok mnie i jak zawsze trzymała w dłoni telefon, nie tracąc okazji na wymianę przedpołudniowych czułości ze Spence'em. Używanie komórek na terenie szkoły było wprawdzie zakazane, ale ci dwoje jakoś zawsze umieli się porozumieć. - Dlaczego mnie?

Eric, gdy raz doszedł do głosu, postanowił w pełni to wykorzystać. Patrzyliśmy więc cierpliwie, jak wyciąga z kieszeni ulotkę i wolno ją rozwija.

- Zamierzamy wziąć w tym udział, a ty nam pomożesz - oświadczył, podnosząc ulotkę do góry.

„Pokaz miejscowych talentów - głosiły wielkie drukowane litery. - Pięć zespołów. Jedna nagroda. Przyjmujemy zgłoszenia od zaraz. Szczegóły na Bendovenuue.com/locals”.

- To jest ta ważna wiadomość? Przecież mieliśmy wiele występów. - Mac wzruszył ramionami.

- To nie jest zwykły występ - wyjaśnił Eric - tylko konkurs. Nagrodę stanowi kontrakt na nagranie płyty demo.

- Ale co to ma ze mną wspólnego? - niecierpliwiła się Layla.

- Zaraz powiem. - Nastąpiła teatralna przerwa. Mac spojrzał na mnie, a potem westchnął. Czekaliśmy w napięciu, aż w końcu Eric oświadczył: - Jesteś naszą sekretną bronią.

- Od kiedy?

- Od kiedy zrobiłem przegląd i stwierdziłem, jak nieliczne są w zespołach wokalistki i w ogóle dziewczęta. Wszędzie, tak jak u nas, przeważają mężczyźni. Z tobą na scenie będziemy się wyróżniać. Zwiększysz nasze szanse.

- Zaraz... - Layla odłożyła telefon, co znaczyło, że sprawa jest poważna. - Chcesz powiedzieć, że pozwolisz mi wystąpić w roli głównej wokalistki? No nie wierzę. Chyba że walnąłeś się w głowę, a ja nic o tym nie wiem.

- Uwłaczają mi podobne sugestie - obruszył się. - Zawsze byłem graczem

zespołowym.

Irv, słysząc to, parsknął głośnym śmiechem, a Mac zapytał:

- Co ty kombinujesz?

- Czemu mam kombinować? - bronił się Eric. - Po prostu chcę, żebyśmy wygrali.

A poza tym Layla nie będzie główną wokalistką. Zaśpiewa tylko jedną z nowych piosenek pomiędzy naszymi standardami.

- Mam występować gościnnie?

- Jesteś członkiem zespołu. Jak my wszyscy.

- Rzecz w tym, że nie jestem - fuknęła.

- Ale oni - Eric potrząsnął ulotką przed jej nosem - tego nie wiedzą. I nie muszą wiedzieć. Jeśli wygramy, dostaniemy kontrakt i będziemy nagrywać, co nam się spodoba.

- No nie wiem. - Znów podniosła telefon. - Ostatnio niewiele śpiewam.

Spojrzał na nią przeciągle.

- Musisz nam pomóc.

- Wcale nie muszę. - Przewinęła kontakty, uderzając palcem w ekran. - Poproś Rosie. Ona ma dużo lepszy głos.

- Nie chcę Rosie. Chcę ciebie!

Teraz wszyscy odwrócili głowy w jego stronę. Chodziło mu ponoć o zespół. Ale to nie było najważniejsze. Fakt, że wciąż nie pogodził się z ich zerwaniem, choć minęły miesiące, był tak oczywisty, jak jego rozdęte ego i gwiazdorskie zapędy. Ale zauważyłam, że po raz pierwszy powiedział na głos coś, co go zdradziło. On również zdał sobie z tego sprawę, bo zaczerwienił się po nasadę włosów.

- Przecież nie jesteśmy przygotowani. - Niezręczną ciszę, która nastąpiła, przerwał w końcu Mac. - Dopiero wróciliśmy do regularnych prób. I nawet nie mamy nazwy.

- Chodzi o trzy piosenki - bronił się Eric. - I tylko jedną nową.

- Kiedy jest przesłuchanie?

- Nie ma. Wymagają nagrania.

- Co takiego? - Mac potrząsnął głową. - Człowieku, o czym ty mówisz?

- Jak to o czym?

- Przecież nie mamy żadnego nagrania. Ani forsę, żeby je wyprodukować.

- To nie może aż tyle kosztować.

- Nie myśl, że jest tanie.

- No wiesz, zebrałem trochę na urodziny, ty pracujesz, a założę się, że rodzice Forda się dorzucą...

Umiał, najwyraźniej niezbyt pewny tej części planu. Layla, która znów wpatrywała się w telefon, obrzuciła go współczującym spojrzeniem.

W tym momencie rozległ się dzwonek i wszyscy zaczęliśmy się zbierać. Tylko Eric z ponurą miną został na ławce, podczas gdy reszta rozchodziła się w różnych kierunkach.

- Na pewno będzie jeszcze niejeden konkurs. - Irv klepnął go po ramieniu. - Z normalnym przesłuchaniem.

- Tak, tak... - Eric wzruszył ramionami.

Chwyciłam torbę, a potem wolno ruszyłam w stronę schodów. Prowadziły do pracowni plastycznej, gdzie miałam kolejną lekcję. Mac szedł w tym samym kierunku, więc przyłączył się do mnie i razem wchodziliśmy na górę. Eric nie miał zajęć i został sam na ławce z futerałem na gitarę leżącym u jego stóp.

- Biedak - westchnęłam. - Wygląda jak dziecko, któremu wypadł rożek z lodami.

- Przeżyje - rzekł Mac. - I może rozejrzy się w końcu za jakąś robotą. Wtedy moglibyśmy pomyśleć o demo.

- To naprawdę takie kosztowne?

Przerzucił torbę przez ramię.

- Sama płyta nie, kosztowne jest studio.

W czasie lekcji z ochrony środowiska oraz testu z matmy, który nastąpił potem, zapomniałam o całej sprawie. Dopiero na ostatniej godzinie, kiedy nauczycielka angielskiego, pani Feldman, rozprawiała na temat metafory, uzmysłowiłam sobie, że mogłabym im pomóc. Chociaż raz. Po szkole wyruszyłam do Seaside i przedstawiłam swój plan.

- Chwileczkę... - Mac nie mógł uwierzyć. - Mówisz, że masz w domu studio nagraniowe?

- Niewielkie - przytaknęłam. - Rodzice urządzili je dla mojego brata.

- Rany! Faktycznie! - wykrzyknęła Layla, odwracając się od okna, gdzie trwała na swym codziennym stanowisku, czekając na Spence'a. - Przecież tam byłam. Jak mogłam zapomnieć!

- No wiesz - przypomniałam jej - to była dziwna noc.

Na chwilę się zamyśliła, a potem przytaknęła.

- Fakt. Ale udało nam się zablokować drzwi, to pewne.

- W tym domu straszy czy co? - Mac patrzył na nas zdziwiony.

- Niezupełnie - odparła. - Ale był tam taki jeden, kumpel jej brata. Może pamiętasz?

- Aa... tak. - Spojrzał na mnie. - Śliski typ.

Sądziłam, że nie mogę go bardziej lubić. Niesłusznie.

- Myślę, że da się to zrobić - zapewniłam. - Nikt z tego studia nie korzysta.

- Ale nadal będzie nam potrzebny ktoś do aranżacji.

- Czy nie uczyli tego na letnim obozie, na którym był Eric? - spytała Layla. - Bo na pewno twierdził po powrocie, że jest specem.

- Zawsze tak twierdzi.

- No to go spytaj.

Mac wyjął komórkę, a potem spojrzał na mnie.

- Jesteś pewna, że to realne? Bo jak mu powiem, to już nie odpuści. Jak pies, gdy złapie kość.

W tym momencie wielki czarny SUV zatrzymał się przy krawężniku.

- Spence przyjechał! - zawołała Layla, informując o tym zarówno nas, jak i ojca, który był w kuchni. - Wychodzę!

- Tylko wróć o wpół do szóstej - zastrzegł pan Chatham.

- Najpóźniej o szóstej - rzuciła i wybiegła, nim zdołał zaprotestować.

Mac patrzył podejrzliwie, jak wspinała się na fotel pasażera. Twierdziła, że w ten sposób traktował wszystkich jej chłopców, że jest nadopiekuńczy i z góry do każdego uprzedzony. Może i tak było, ale ona również przekraczała dopuszczalne granice. Wracała coraz później i unikała odpowiedzi na pytania, gdzie byli i co robili, zbywając nawet mnie. Byłam pewna, że jeśli ja to zauważam, to Mac tym bardziej może się niepokoić.

- Spytam rodziców, ale jestem pewna, że się zgodzą - powiedziałam, patrząc, jak odjeżdżają. - Chciałabym wam jakoś pomóc.

- Naprawdę nie musisz tego robić - zapewnił.

- Wiem. - Spojrzałam na jego telefon. - A teraz wyślij esemesa. I rzuć wreszcie psu tę kość.

Oczywiście Eric twierdził, że mając dostęp do studia, ze wszystkim sobie poradzi, i nalegał, by zacząć nagrywanie już nazajutrz. W końcu jednak, wobec sprzeciwu zespołu, stanęło na najbliższym weekendzie. Pozostało mi tylko uzyskanie zgody moich rodziców. Czy napotkam na opór?

Dwie godziny później weszłam do kuchni. Zazwyczaj o szóstej mama kończyła przygotowywać kolację i nalewała sobie kieliszek wina, zadając przy tym rutynowe pytania o to, jak było w szkole. Dziś jednak nigdzie jej nie widziałam. Postawiłam torbę na podłodze i ruszyłam na górę do jej gabinetu. Ale już na podeście przez półotwarte drzwi usłyszałam:

- Po prostu czułam, że coś się z nim dzieje - mówiła. - Ostatnio wciąż był

rozdrażniony i nie chciał o tym dyskutować. No i jeszcze sprawa tego dyplomu...

Zamilkła, słuchając kogoś na drugim końcu linii. Tymczasem na dole rozległ się zgrzyt zamka. Tata otwierał drzwi.

- Czytałam, że okres trzech miesięcy wyznacza pewną granicę. Nowa sytuacja staje się coraz bardziej uciążliwa, a pozostaje jeszcze większa część wyroku. - Znów przerwała. - Tak, to możliwe. Peyton nigdy nie lubił ujawniać swych uczuć. W gruncie rzeczy tu właśnie upatruję większości jego problemów. Gdyby potrafił szczerze wyznać, jak cierpiał...

- Julie? - rozległ się głos taty. - Jesteś tam?

Wciąż stałam na podeście.

- Mama rozmawia przez telefon.

- Aha... - Spojrzał w stronę kuchni, najwyraźniej w nadziei na kolację. - Rozumiem.

- O Boże! - wykrzyknęła, wychodząc z pokoju. - Jest już tak późno? - Widząc mnie, uśmiechnęła się ze znużeniem. - Nie wiem, kiedy minęło to popołudnie. Chyba musimy zrobić coś do jedzenia.

Przytaknęłam i ruszyłam za nią do kuchni, gdzie tata otwierał już piwo.

- Ciężki dzień? - Spojrzał na nią uważnie.

- Nieznośnie. - Mama otworzyła lodówkę. - Co my tu mamy? Chciałam dzisiaj upiec łopatkę, ale zupełnie straciłam głowę. Chyba jest jeszcze kawałek kurczaka.

- Możemy coś zamówić - szybko wtrącił się tata, który uwielbiał dania na wynos.

- Faktycznie - zgodziła się. Zamknęła lodówkę i spojrzała na mnie. - A co powiedzielibyście na pizzę? Tam, gdzie zaprowadziła mnie Sydney, mieli naprawdę rewelacyjną. Przyjmują zamówienia, prawda?

- Tak - wykrztusiłam zaskoczona. - Oczywiście.

- To świetnie. Co o tym myślisz, Peytonie? Zamówmy pół dużej deluxe i pół rzymskiej.

- A może całą dużą deluxe i dużą rzymską? - zasugerował tata. - To, co zostanie, zjem jutro na lunch.

Nie byłam zdziwiona. Tata mógł jeść pizzę o każdej porze dnia i nocy, i to w dowolnych ilościach. Żadne resztki nigdy nie miały szansy przetrwania w naszej lodówce, nawet specjalnie odstawione i podpisane. Wiedziałam to z własnego doświadczenia.

- Dobrze - zgodziła się mama. - Dzwoń.

Gdy połączyłam się z Seaside, odezwał się pan Chatham.

- Sydney! Dawno cię nie widziałem. Jeśli szukasz Layli, to jej tu nie ma. Spóźnia

się już pół godziny. Kolejny raz.

No nieźle - pomyślałam.

- Tym razem dzwonię, żeby złożyć zamówienie - powiedziałam, wstrzymując się od komentarza.

- Tak? - Najwyraźniej sprawiło mu to przyjemność. - Świetnie. Czego sobie życzysz?

Wymieniłam wszystko po kolei i podałam numer karty mamy. Powiedział, że dorzuci jeszcze bułeczki czosnkowe i że Mac dostarczy wszystko w ciągu dwudziestu minut.

Rozłączyłam się i poszłam na górę, gdzie wyszczotkowałam włosy, zmieniłam bluzkę i nałożyłam na usta błyszczak. Gdy zeszłam do kuchni, tata spojrzał na mnie z uwagą.

- Z jakiej to okazji?

- Żadnej. - Speszyłam się, gdy mama też zaczęła mi się przyglądać. - Po prostu chciałam się przebrać po szkole.

- Jak na pizzę bardzo efektownie - stwierdził, biorąc poranną gazetę i przerzucając strony.

- Uważam, że wygląda bardzo ładnie. - Mama uśmiechnęła się do mnie.

Przewróciłam oczami. Trwało to zaledwie chwilę, ale wszystko w niej było tak cudownie normalne, że gdybym tylko mogła, schowałabym ją do kieszeni. Po prostu ja, rodzice i pizza w powszedni wieczór - ot, typowa rodzina. Przynajmniej przez kilka minut.

Może właśnie dlatego uznałam, że mogę poruszyć temat studia.

- Mamo, chciałabym was o coś poprosić.

- Jasne - powiedziała. - Co takiego?

- No więc brat Layli, Mac... poznałaś go w ich pizzerii.

- Tak, pamiętam.

- Jest członkiem zespołu muzycznego. Muszą przygotować nagranie demo, by wziąć udział w konkursie. Dlatego chciałam spytać, czy mogliby skorzystać z naszego studia.

Spojrzała na tatę, który teraz przeglądał dział sportowy.

- Nie widzę przeszkód - odparła.

- Naprawdę?

- Zważywszy na to, ile w nie włożyliśmy, myślę, że w końcu ktoś mógłby z tego skorzystać. Prawda, Peytonie?

- Absolutnie - przytaknął tata, a ja od razu wiedziałam, że w ogóle nie słuchał.



- Och, to wspaniale - ucieszyłam się. - Bardzo, bardzo dziękuję.

Mama spojrzała na mnie zdziwiona, a potem się uśmiechnęła.

- Ależ to oczywiste.

I wtedy zadzwonił telefon. Pewna, że dzwonią z Seaside z jakimś pytaniem dotyczącym zamówienia, podniosłam słuchawkę.

- Hallo?

- Rozmowa na koszt abonenta z osadzonym w zakładzie karnym w Lincoln. Czy wyraża pani zgodę?

- Tak - odparłam, czekając, aż rozlegnie się kliknięcie. - Peyton?

Słyszając to, mama spojrzała w moją stronę, natychmiast czujna i gotowa.

- Cześć - powitał mnie brat. - Co słychać?

- Niewiele - odrzekłam. - Kolacja.

- Jest tam mama?

- Mhm, zaczekaj.

Ale ona stała już przy mnie z wyciągniętą ręką. Gdy podawałam jej słuchawkę, przeciągnęła dłonią po moich włosach, nim przyłożyła ją do ucha.

- Witaj, synku. Jak się masz? Nie możesz się pewnie doczekać wręczenia dyplomu.

Gdy przeszła na drugi koniec pokoju, tata otworzył lodówkę, lustrując jej zawartość i popijając piwo. Zerknęłam na zegarek. Minęło dziesięć minut. Wkrótce przyjedzie Mac, a ja nie tylko będę mogła powiedzieć mu o studiu, ale także przedstawię go tacie. Po tak długim okresie chaosu wszystko znów zdawało się układać. Kiedyś uważałam to za oczywistość. Teraz jednak wiedziałam, że nie tylko należy to dostrzegać, ale również doceniać. Co zapewne było błędem.

- Naprawdę nie mam pojęcia, skąd to wyszło - mówiła mama. Minęła zaledwie chwila, kiedy ostatnio słyszałam jej głos, ale od tamtej pory zdążył zmienić się z beztroskiego na wysoki i spięty. Tata, który też to usłyszał, podniósł wzrok. - Myślałam, że już o tym rozmawialiśmy.

Zamilkła, gdy Peyton coś mówił.

- Bo to jest osiągnięcie i należy je uhonorować. Wszystkie organizacje społeczne i fachowa literatura twierdzą, że... - Przerwała, bo najwyraźniej wszedł jej w słowo. - No cóż, nie zgadzam się z tobą. I myślę, że inne rodziny podzielą moje zdanie.

- Julie... - zaniepokoił się tata. - O co chodzi?

Podniosła do góry rękę, odwracając dłoń na zewnątrz.

- Naprawdę nie rozumiem, czemu nam to robisz. Co takiego? Nie, nie zgadzam

się. Zależy nam na tobie, Peytonie, i chciałabym tylko...

Kątem oka dostrzegłam na zewnątrz zarys samochodu. Gdy odwróciłam się do okna, Mac wjeżdżał na podjazd.

- Naprawdę nie możemy rozmawiać, gdy jesteś w takim stanie - powiedziała mama, potrząsając głową. - Nie pozwalasz mi nawet...

Tata wstał, podszedł do niej i wyciągnął rękę.

- Daj mi telefon.

Wykonała odmowny gest. Na podejździe Mac wysiadał z furgonetki.

- Julie... - Położył jej dłoń na ramieniu, a potem delikatnie odebrał słuchawkę i przyłożył ją do ucha. - Peytonie, to ja. O co chodzi?

Mama ze łzami w oczach oparła się o blat, patrząc, jak ojciec słucha odpowiedzi. Kiedy moment później rozległ się dzwonek do drzwi, byłam pewna, że tylko ja go słyszę.

Jeszcze przed chwilą niczego nie pragnęłam bardziej, niż wprowadzić Maca do środka i przedstawić go rodzicom. Ale teraz, widząc, jak stoi na schodach, trzymając podgrzewacz w jednej, a papierową torbę w drugiej ręce, chciałam natychmiast wyjść i odjechać razem z nim.

- Hej! - Podał mi torbę. - Liczę na twój apetyt. Tata wysłał ci górę czosnkowych bułeczek.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, jego wzrok powędrował gdzieś za mnie. Odwróciłam się w porę, by zobaczyć, jak mama wbiega na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz.

- To wspaniale - wykrztusiłam, cofając się w głąb holu. - Proszę, wejdz.

Ruszył za mną do kuchni, gdzie tata odkładał właśnie słuchawkę. Odwrócony do mnie plecami powiedział:

- Mama czuje się... ee... przygnębiona. Ona...

- Jest już pizza - przerwałam mu szybko.

Wtedy nas zobaczył.

- O, rzeczywiście.

- Tato, to jest Mac - przedstawiłam go. - Mój kolega ze szkoły.

- Miło mi pana poznać. - Mac postawił podgrzewacz na stole i wyciągnął rękę.

- Mnie również - odparł tata i uściśnął mu dłoń. - Słyszałem, że ta pizza jest wyjątkowa.

- Zaraz się przekonasz - zapewniłam. - Nigdy nie będziesz miał dość.

Z góry dobiegł odgłos zamykanych drzwi. Nie było to może trzaśnięcie, ale dało się wyraźnie słyszeć.

- A zatem... - Tata wyciągnął portfel. - Ile jestem winien?

- Zapłaciłam już kartą - uprzedziłam go. - Dwadzieścia trzy dolary, czterdzieści dwa pensy.

Wyjął piątkę i kilka jednodolarówek, by dać je Macowi.

- To dla ciebie.

- Dziękuję.

- No więc moi rodzice się zgadzają - zaczęłam, patrząc na tatę - żebyście skorzystali ze studia.

- Naprawdę? - ucieszył się Mac. - Uau, Eric oszaleje ze szczęścia.

- Eric jest wokalistą - wyjaśniłam tacie. - A Mac gra na perkusji.

- Znakomicie - odparł z roztargnieniem. - Muszę... hm... sprawdzić, co z mamą.

Nakryj do stołu, dobrze? Miło było cię poznać, Mac.

- Mnie pana również.

Gdy ruszył na górę, podeszłam do kredensu i wyjęłam kilka talerzy, choć wiedziałam, że nie będzie już żadnej normalnej, rodzinnej kolacji.

- Przed chwilą dzwonił mój brat - poinformowałam Maca. - Z jakiegoś powodu się wścieka. Dlatego mama jest załamana.

Spojrzał na mnie z troską.

- To przykre.

- Pewnie nic ważnego. Ale szkoda, bo zapowiadał się miły wieczór. Choć raz.

Milczał, gdy stawiałam talerze na blacie. Z góry dobiegło trzaśnięcie innych drzwi.

- Kiedy spytałam o studio, od razu się zgodzili, a potem ty miałeś przyjechać i... - Przełknęłam ślinę, otwierając szufladę z serwetkami. - Jestem tym już taka zmęczona. Tylko on się dla niej liczy.

Mac patrzył na mnie bez słowa, gdy zaczęłam wyjmować sztucce. Odliczyłam trzy widelce, próbując powstrzymać płacz. Na próżno.

I nie stało się to jak zwykle, gdy łzy stopniowo napływają do oczu, a gardło, choć ściśnięte, nadal pozwala oddychać. Nie zdołałam nawet zaczerpnąć tchu, gdy wstrząsnął mną szloch - moja klatka piersiowa spazmatycznie unosiła się i opadała, ciekło mi z nosa i wydawałam jakieś pierwotne dźwięki. Z opuszczoną głową złapałam krawędź blatu i próbowałam oddychać. Jednak w momencie, gdy zdałam sobie sprawę, jakie to żenujące, poczułam na ramionach ręce Maca.

- Hej - wyszeptał. Jego dłonie były ciepłe i delikatne. - Już dobrze, Sydney. Już dobrze.

Ale nie było dobrze. Od dawna. A każda chwila, która budziła nadzieję, jak

choćby ta przed jego przyjściem, tylko potwierdzała, że nie mam do tego prawa.

Czego więc mogłam oczekiwać? Ułamków sekund, gdy wszystko się układa, tak ulotnych, by tylko o nich marzyć? Czy tak miało być? Zaczynałam już myśleć, że po prostu nie mogę otrzymać tego, czego pragnę. A może nie mam pojęcia, co to właściwie jest. Ale gdy Mac obrócił mnie twarzą do siebie, a ja spojrzałam mu w oczy, wiedziałam, że się mylę. Zrobiłam krok, stopa za stopą. Wtedy otoczył mnie ramionami i przyciągnął do siebie, pokonując resztę odległości.

## Rozdział szesnasty

Peyton nie chciał, żebym uczestniczyła w uroczystym rozdaniu dyplomów. W gruncie rzeczy nie chciał widzieć nikogo z nas. Ale mama nie była skłonna do dalszych ustępstw.

- Nie chodzi o to, że on nie chce cię widzieć i nie tęskni za tobą - tłumaczyła nazajutrz. - Po prostu wolałby, żebyś nie umieszczała go w tym kontekście. Myślałam, że takie nastawienie uległo już zmianie... najwyraźniej jednak nie. To zresztą często spotykana reakcja osadzonych w stosunku do członków rodziny, najczęściej dzieci.

Mówiła wolno, starannie dobierając słowa. Wystarczyło dwanaście godzin, by zupełnie się zmieniła. Kiedy widziałam ją ostatnio, wbiegała z płaczem na górę. Ale rano przy kawie była spokojna, wypoczęta i kompetentna. Najwyraźniej niepokoiła się, jak przyjmę tę wiadomość, zapominając, o dziwo, że nigdy nie chciałam tam jechać.

- Rozumiem - powiedziałam. - Nie szkodzi.

Nadal jednak mnie obserwowała, gdy usiadłam do śniadania. Nagle moja reakcja stała się dla niej ważna, co byłoby miłe, gdybym nie znała przyczyny tego zainteresowania. Skupiając się na moim niedoszłym spotkaniu z Peytonem, mogła zignorować co innego, mianowicie jego odczucia związane z jej obecnością. Ale mama zawsze potrafiła zręcznie zawężyć problemy.

- Jak już cię uprzedzałam - ciągnęła - podczas pobytu w Lincoln psychika Peytona będzie ulegać licznym zmianom. Emocjonalna więź, która go z nami łączy, może nawet nieoczekiwanie przybrać formę niechęci do kontaktów z rodziną. W takiej sytuacji pozwólmy mu reagować spontanicznie, jednocześnie umacniając go w przekonaniu, że przy nim trwamy i że nic tego nie zmieni.

Tata, który wyjątkowo późno wychodził do pracy, wszedł do kuchni, poprawiając krawat. Zjadł już wprawdzie śniadanie, ale zatrzymał się przy kuchence nad patelnią z jajkami i skubnął kęs.

- Ale wy tam jedzicie? - spytałam.

- Tata i ja, owszem. Poprosimy Amesę i Marłę, żeby tu przenocowali. Tak będzie najlepiej.

- Naprawdę nikt nie jest mi potrzebny - zaprotestowałam. - Przecież to tylko

jedna noc.

- To już ustalone. - Mama spojrzała na tatę. - Prawda?

- Wspomniałem mu o tym wczoraj. - Wytarł palce w papierowy ręcznik. -

Najwyraźniej jego relacja z Marlą uległa... ochłodzeniu. Ale chętnie się zgodził.

- Naprawdę? - zdziwiła się mama. - Nie miałam pojęcia. Nie wspomniał o tym nawet słowem.

Zważywszy na ich bezustanne pogawędki, było to co najmniej dziwne. Ale nauczyłam się nie dziwić niczemu, co dotyczyło Ames.

- Nie wydawał się specjalnie zmartwiony - zauważył tata, dalej skubiąc jajko. - Co prawda tego wieczoru pracuje, ale postara się jak najwcześniej wyjść.

- Nie musi tego robić - rzuciłam tak głośno, że oboje spojrzeli na mnie zdumieni. - Nic mi się nie stanie.

- Sydney, rozmawialiśmy już na ten temat. Nie życzę sobie, żebyś zostawała sama - ucięła mama. - Ostatnim razem Ames też tu był i wszystko się udało, prawda?

- Przenocuję u Layli - oświadczyłam, unikając odpowiedzi.

- Wykluczone. Przecież nazajutrz masz szkołę. - Usiadła wyprostowana. - Szczerze mówiąc, spędzasz u niej, a także w tej pizzerii, tyle czasu, że mam obawy, czy nie nadużywasz ich uprzejmości.

- No to pozwól mi zaprosić ją tutaj. - Przez chwilę myślałam. - Właściwie to moglibyśmy wykorzystać ten wieczór na nagranie w studiu. A wy w ten sposób uniknęlibyście później hałasu.

Zamrugnęła zdziwiona.

- Studio? Mówisz o studiu Peytona?

- No tak - potwierdziłam, gdy spojrzała na tatę, który tylko wzruszył ramionami. - Powiedziałaś, że zespół Maca może tam nagrywać.

- Mac... - powtórzyła, jakby chciała przywołać jakieś odległe wspomnienie. - Ja nie...

- Brat Layli. Mój kolega. - Odwróciłam się do taty. - Poznałeś go wczoraj. Pytałam, czy jego zespół może skorzystać ze studia, by nagrać płytę demo, a wyście się zgodzili.

- Och, Sydney, naprawdę nie wiem - odparła mama. - Nawet jeśli Peyton nie miałby zastrzeżeń, a naprawdę należałoby go o to spytać, to pod naszą nieobecność nie ma o tym mowy.

- Ale powiedziałaś...

- Musiałam to zrobić bezwiednie - oświadczyła, ponownie patrząc na tatę. -

Zresztą my oboje. Przed tą uroczystością w Lincoln po prostu nie umiem się skupić na niczym innym.

- To nie jest „coś innego” - zachnęłam się. - To dla mnie ważne. I moich przyjaciół.

Muszę przyznać, że ich zaskoczyłam. Zawsze godziłam się z tym, że jestem na drugim planie. Akceptowałam swoje miejsce w szeregu. Ale gdy rzecz dotyczyła Maca, gotowa byłam walczyć. Wreszcie czułam, że mam prawdziwy powód. Byłoby wprawdzie lepiej, gdyby chodziło o mnie, ale i to wystarczyło.

- Trzy miesiące temu nawet ich nie znałaś - stwierdziła cierpko mama. - Nie mogę wprost uwierzyć, że nagle stali się dla ciebie ważniejsi niż rodzina.

- Mamo...

- Nie mówmy o tym więcej. - Wstała i przysunęła krzesło do stołu. - Teraz jedziemy wesprzeć twojego brata, bo nas potrzebuje. Nieważne, czy tego chce, czy nie. Potem możemy rozmawiać o wszystkim innym.

Podeszła do ekspresu i odwracając się do mnie plecami, napełniła swój kubek. Tata patrzył, jak wychodzi z kuchni, po czym obdarzył mnie współczującym spojrzeniem. Ale i tym razem nie zareagował. Jakby ustalili swoje kompetencje, a on nie mógł ich przekroczyć, bez względu na to, jak bardzo pragnęłam, by choć raz to zrobił.

I choć tak było zawsze, teraz poczułam, że ogarnia mnie gniew, nieoczekiwany i dotąd mi obcy. Coś się zmieniło. Przedtem byłam „czymś innym”, a teraz „wszystkim innym”. Zawsze jednak „innym”, a nie - jak Peyton - jedynym. Nauczyłam się z tym żyć. Ale w końcu poznałam ludzi, którzy patrzyli na mnie inaczej. Teraz, gdy stałam się dla kogoś prawdziwa i pierwsza, już nie chciałam dłużej być niewidzialna.

\* \* \*

- No więc myślę, że zaczniemy mocnym uderzeniem od Logana Oxforda i skończymy na Six of One, które wykonam solo. Layla wystąpi pomiędzy dwoma innymi kawałkami, żeby ożywić nasz image.

- No dobra, ale z czym ma wystąpić? - spytał Mac, obierając mandarynkę. Przed nim leżał rozmontowany na części telefon. Uległ zmiżdżeniu, gdy Irv na nim usiadł, i teraz wymagał wymiany ekranu. Na sam widok wszystkich tych maleńkich śrubek rozboleła mnie głowa. - Nie mieliśmy z nią żadnej próby.

- To przecież proste, zwykły pop - odparł lekceważąco Eric. - Zna te wszystkie

piosenki. Pozostaje tylko kwestia wyboru właściwej treści.

- Skoro mówisz, że to takie proste - wtrącił się Irv, który według moich obliczeń pożerał trzecie udko - to jak może mieć treść?

- W tym właśnie przejawia się ironia - westchnął Eric. Ale znowu nikt za nim nie nadażał. - Otóż wybiorę piosenkę, która wyraża męski punkt widzenia, a potem stworzę jej antytezę - tak pod względem aranżacji, być może akustycznej, jak i wykonawstwa, które powierzę dziewczynie.

- My. - Mac spokojnie ujął w palce kolejną śrubkę. - My wybierzemy piosenkę.

- No dobra, dobra. - Eric machnął ręką. - Reguły zespołu. Ale bądźmy szczerzy, przecież tylko ja jeden staram się wyartykułować głębię naszego przekazu.

- Głębię waszego przekazu? - Irv parsknął głośnym śmiechem. - Chłopie, teraz to przeszedłeś nawet samego siebie.

Siedzący za mną Mac też się roześmiał, więc i ja zmusiłam się do uśmiechu, dołączając do nich. Wciąż nie wiedziałam, jak im powiedzieć, że moi rodzice nie zgadzają się jednak na udostępnienie naszego studia. Nadal więc milczałam, coraz bardziej zdenerwowana, gdy słyszałam, jak snują coraz śmielsze plany.

Zresztą nie tylko ja nie byłam w najlepszym nastroju. Layla, której ta rozmowa w znacznym stopniu dotyczyła, też się nie włączała, przez cały czas wpatrując się w swój telefon. Wystarczyło na nią spojrzeć, by zgadnąć, że nie jest szczęśliwa, co ostatecznie potwierdzał nietknięty przez nią lunch.

- Wszystko w porządku? - spytałam po raz drugi w tym dniu.

Wcześniej wpadłam na nią w holu przed lekcjami, gdy wyraźnie zirytowana kończyła rozmawiać przez telefon. Obie byłyśmy spóźnione i biegłyśmy w przeciwnych kierunkach. Tak więc gdy odparła, że tak, w porządku, wzięłam to za dobrą monetę.

- Mhm... - Nie patrzyła na mnie. - Tylko że... chodzi o Spence`a. Głupia sprawa.

Zawahałam się, niepewna, na ile ją drażnić. Ponieważ spędzała z nim niemal cały czas, nie wiedziałam zbyt wiele o ich związku. Spostrzegłam jednak, że zachwyty i okrzyki w rodzaju: „Jest taki cudowny!” wyraźnie osłabły. Najwyraźniej nie myliłam się, twierdząc, że jej idealny wielbiciel ma skomplikowany życiorys. Gdy zaczęłam naciskać, przyznała w końcu, że nie tylko odbywał karne prace społeczne, ale zanim wylądował w szkole W. Hunta, był relegowany z dwóch innych. W czasie gdy się poznali, nie miał wprawdzie problemów i wychodził na prostą, ale wiedziałam, że z ludźmi tego rodzaju nie można wiązać planów.

- No więc - ciągnął Eric - jeśli chodzi o piosenkę dla Layli, skłaniałbym się do Paulie Prescottta.



- Paulie Prescott? Ten rozczochrany? - zainteresował się Irv.

- Mógłbyś być bardziej precyzyjny? - mruknął Mac.

- No, ten. - Irv podniósł rękę i zmierzwił sobie włosy. - Pamiętasz? Gościu wyglądał, jakby wpadł do tunelu powietrznego.

- Nie, to ktoś inny - odparł Eric. - Taki facet z bardzo wysokim głosem.

- Abe Rabe - powiedziałyśmy równocześnie z Laylą, która nawet nie podniosła wzroku.

Mac uniósł brwi, trzymając w dłoni nowy ekran.

- Umówiłyście się?

Uśmiechnęłam się do niego, nie mogąc zapomnieć, co się między nami wydarzyło. Mimo że jego obecność sprawiała, że zawsze byłam zdenerwowana, poprzedniego wieczoru, gdy przyciągnął mnie do siebie, poczułam taki spokój, jakby robił to wcześniej tysiące razy. Po prostu przylgnęłam do niego bez wstydu i skrępowania, wdychając jego zapach i czując na policzku twardy odcisk medalika. Niewiele wiem na pewno, ale bez wątpienia bym go pocałowała, gdyby chwilę później nie zszedł na dół tata. Było to tak oczywiste, że teraz, gdy siedzieliśmy blisko, choć nie za blisko, a on się do mnie uśmiechał, miałam nieodparte wrażenie, że tak się stało.

- Paulie Prescott zgrywał się na gangstera - powiedział Eric. - Szczeniak z bogatego przedmieścia śpiewał, że wyrósł na ulicy. Sprzedawał historyjkę o tym, jak to zły chłopak chce wyjść na prostą. No i dziewczyny to kupowały.

- Och, tak - przypomniał sobie Irv, marszcząc nos. - Gościu mnie wnerwiał.

- Jak każdego. - Eric zawsze rościł sobie prawo do generalnych opinii. - I dlatego Layla zaintryguje wykonaniem jednej z jego piosenek. Pomińmy scenografię i efekty specjalne. Po prostu przedstawmy *braggadocio* w kobiecej wersji. To będzie naprawdę coś. Epicka głębia.

- Czy to ty użyłeś przed chwilą słowa *braggadocio*? Ty? Wcielenie samochwalstwa? - nie wytrzymał Mac.

Layla nagle się zerwała, złapała torbę i szybko ruszyła w stronę głównego budynku. Patrzyliśmy za nią w milczeniu, aż w końcu odezwał się Irv:

- Rany, co ty zrobiłeś, Eric?

- Ja?

Mac spojrzał na mnie pytająco, gdy wstawałam.

- Wiesz, o co chodzi?

- Nie. - Pokręciłam głową, podnosząc plecak. - Ale mam przeczucie.

Najpierw sprawdziłam damską toaletę, bo często i ja się w niej kryłam, ale były tam tylko dziewczyny z grupy tanecznej, które poprawiały makijaż. Wyszłam do

holu i przez chwilę się namyślałam, po czym ruszyłam do szatni, drugiej prawdopodobnej kryjówki. Idąc tam, już z daleka ją zobaczyłam. Siedziała na schodach i na mój widok zagryzła usta.

- No dobra. - Usiadłam obok. - Co jest?

Westchnęła, prostując nogi.

- Spence... ostatnio jest w ciągu. To fatalne, zważywszy na jego przeszłość.

Najogólniej mówiąc.

- Prochy?

Niemal niezauważalne skinienie.

- Ale tylko trawa. Jakieś tabletki. Zmienia się po nich, a kiedy chcę go powstrzymać, zaczyna się wściekać. Potem nie odpowiada na telefony i esemesy, więc już w ogóle nie wiem, co robi. I to jest jeszcze gorsze.

- Nie zdołasz go wyciągnąć.

- Wiem, wiem... - Podciągnęła kolana pod brodę. - To wkurzające, bo jak protestuję, to on znika, a jeśli nie, to muszę patrzeć, jak sobie szkodzi. Nie mam żadnego wyjścia.

Kilku chłopców z instrumentami w futerałach minęło nas, wchodząc po schodach na górę.

- To okropne uczucie - powiedziałam.

Nie było to szczególnie mądre i niewiele wносиło. Przynajmniej tak myślałam. Ale słysząc mnie, Layla głęboko westchnęła, a potem położyła mi głowę na ramieniu i zamknęła oczy. Wiele razy próbowałam powiedzieć coś sensownego, zawsze jednak na próżno. Ucieszyłam się zatem, że choć raz mi się udało. Nawet jeśli tylko przez przypadek.

\* \* \*

- Okej - rzucił Mac, gdy wdrapałam się z powrotem do furgonetki. - Zaczynaj swoje wróżby.

Zerknęłam na zamówienie, które trzymał w ręce. Cztery fettuccine alfredo i cztery sałatki.

- Ktoś udaje, że sam przygotował kolację. Założę się, że półmiski, na które to wszystko wyłoży, stoją już na stole.

- No cóż, sprawdźmy. - Uruchomił silnik.

Zazwyczaj byłam tak pewna swych przewidywań, że przez całą drogę pletliśmy trzy po trzy. Dziś jednak nie było mi do śmiechu. Nie dość, że miałam mu

powiedzieć (a on Ericowi, którego to załamie), że nie mogą skorzystać ze studia, to jeszcze musiałam zachować w sekrecie wyznanie Layli (na co przysięgłam). Fakt, że tak wiele ukrywałam właśnie przed nim, do reszty odbierał mi humor.

Drzwi otworzyła młoda kobieta. Miała elegancką suknię, perły i mocny makijaż. Na jej palcu lśnił pierścionek z brylantem, a na przegubie dłoni złota bransoletka, która sprawiała wrażenie zupełnie nowej. Miałam ochotę sama klepnąć się po ramieniu. Trafiłam w dziesiątkę.

- Och, dzięki - westchnęła, rozwiązując fartuszek z napisem „Całus dla kucharki” (zapewne miała go na sobie pierwszy raz, na co wskazywały świeże załamania w miejscach złożenia). - Za dwadzieścia minut przychodzą moi teściowie.

- Życzę smacznego - powiedziałam, wręczając jej potrawy. Zanim zamknęła drzwi, obdarzyła mnie pełnym wdzięczności uśmiechem i sutym napiwkami.

Mac, który obserwował wszystko z samochodu, tylko na mnie spojrzał.

- Wiesz co? Do tej pory byłem zaintrygowany, ale teraz ciarki mnie przechodzą. Zmusiłam się do uśmiechu, gdy znów usiadłam w kabinie.

- Nie obawiaj się, mam skromne możliwości.

- Nie mogę wprost uwierzyć. - Wrzucił wsteczny. - Tym bardziej że skłoniłaś Laylę do rozmowy.

Wiedziałam, że chce się dowiedzieć, co ją tak zdenerwowało podczas lunchu. Ale obiecałam, że dotrzymam tajemnicy, więc powiedziałam oględnie:

- Problemy emocjonalne. Dziewczęta są na to podatne. Mamy to w genach.

- Czyżby?

- Mhm.

Widział, że unikam odpowiedzi, ale na szczęście nie drażył tematu, tylko podał mi kolejne opakowanie.

- Powodzenia. Teraz nie pójdzie tak łatwo.

Wzięłam pudełko, zerkając na zamówienie.

- Dwa razy duża pizza z serem, cztery czosnkowe bułeczki. Co w tym niezwykłego?

- Przeczytaj, co jest pod spodem.

- Gratis? - Nie rozumiałam. Słowo było podkreślone. I to dwukrotnie. - O co chodzi?

Wrzucił kierunkowskaz, zmieniając pas, gdy zbliżaliśmy się do świateł.

- To znaczy, że dostawa jest darmowa.

- Darmowa? - Znów spojrzałam na kwit. - Jak to możliwe?

- Nie powinno tak być, ale cóż... - Wzruszył ramionami. - W czwartki mamy

specjalne oferty. Zakup jednej pizzy z serem oraz czosnkowych bułeczek uprawnia do darmowej porcji bułeczek oraz drugiej pizzy. Ale mniej więcej przed rokiem błędnie wydrukowano kupony promocyjne.

- Czyli jak?

- Czyli - ciągnął, skręcając w przecznicę - pominięto pierwszą część i wydrukowano tylko drugą.

Musiałam chwilę pomyśleć.

- Napisali, że każdemu, kto ma taki kupon, przysługuje duża pizza i porcja bułeczek? Za darmo?

- Właśnie.

To było sporo towaru. I sporo forsy.

- Ile rozdaliście tych kuponów?

- Zostały wysłane pocztą - odparł. - Na każdy zanotowany adres w obrębie miasta.

- O Boże! - jęknęłam. - Twój tata musiał być załamany.

- Owszem, był. - Wsunął się głębiej w fotel, przeciągając dłonią po kierownicy. - Większość sprzedawców nigdy nie uznałaby podobnego zobowiązania, tłumacząc się błędem drukarskim. Ale nie tata. Do tej pory honoruje te kupony, choć go to naprawdę dołuje.

Teraz zrozumiałam, dlaczego wyraz „gratis” był podkreślony na czarno.

- I to się ciągnie od roku?

- Nie zostało już tego wiele. Ale jest kilka osób, które chcąc wykorzystać sytuację, dołożyły wszelkich starań, by zebrać jak najwięcej kuponów.

W końcu do mnie dotarło.

- No tak, to szczególny typ ludzi.

Przytaknął. A potem zamilkł i czekał.

Przez chwilę zbierałam myśli.

- Bystrzy. Przedsiębiorczy. Bezwzględni. W dodatku mają czas na zbieranie kuponów i organizację zamówień. Ale to sporo zachodu, by otrzymać za darmo pizzę, więc albo są bez grosza, albo bardzo młodzi. Prawdopodobnie jedno i drugie.

Zbliżaliśmy się do ulicy, przy której stały bloki.

- Coś jeszcze? - spytał.

- To na pewno chłopcy.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Czysta intuicja.

Kierowałam się nią po raz drugi w tym dniu. Teraz jednak nie byłam tak pewna

jak wtedy, gdy odgadłam przyczynę nastroju Layli. Po chwili Mac się zatrzymał, po czym wysiadł i ruszył do budynku razem ze mną. Czułam, że zależy mu nie tylko na tym, by mnie asekurować. Najwyraźniej chciał naocznie sprawdzić, czy się nie mylę, a jeśli tak, to jak dalece.

Weszliśmy na drugie piętro, kierując się do drzwi, za którymi dudniła muzyka. Zapukaliśmy i po chwili otworzył nam chudy chłopak w kraciastej koszuli, dżinsach i słuchawkach na uszach.

- Dostawa pizzy z Seaside - poinformował Mac obojętnie. - Składał pan zamówienie?

- Owszem - odparł młodzian, zerkając za siebie na pokój, gdzie na kanapie siedzieli dwaj mu podobni w zestawach słuchawkowych na głowach i z konsolami do gier w dłoniach. - Ile wynosi opłata?

- Ma pan kupony?

Chłopak szeroko się uśmiechnął.

- Trzeba je okazać?

- Owszem - potwierdził sucho Mac.

Obrócił się i podszedł do stołu, na którym piętrzyły się książki, pojemniki po potrawach na wynos oraz podłączone do sieci ładowarki, które nie ładowały żadnych urządzeń. Przez chwilę grzebał w tym bałaganie, aż w końcu znalazł to, czego szukał.

- Proszę! - Uśmiechnął się zwycięsko. - Z tego, co widzę, wasza sympatyczna firma zobowiązała się dostarczyć nieodpłatnie dwie pizze oraz dwie porcje czosnkowych bułeczek.

- Pizza - poinformował mechanicznym głosem jeden z młodzieńców wpatrzonych w ekran telewizora.

- Darmowa pizza - skorygował kumpel siedzący na wprost nas, a potem spojrzał na mnie. - Taka lepiej smakuje, co nie?

Nie odpowiedziałam, tylko stałam bez ruchu, gdy Mac sprawdzał kupony, by następnie wsunąć je do kieszeni. W końcu skinął głową, a ja podałam opakowanie.

- Całość wynosi dwadzieścia cztery dolary, siedemdziesiąt dwa centy - powiedziałam, licząc choć na napiwek.

- Wiem! - wykrzyknął chłopak z zadowoleniem. - Dzięki!

A potem zamknął drzwi. Byłam tak zdumiona, że wpatrywałam się tępo w widniejący na nich numer 2B. Tymczasem Mac już odchodził. Zrównując się z nim chwilę później, rzuciłam tylko:

- Prostuję wcześniejszą opinię. To zwykłe dupki.

- Owszem. - Był tak rozdrażniony, że wolałam się nie odzywać. Gdy szliśmy w stronę furgonetki, wyciągnął z kieszeni telefon i spojrzał na ekran. - Na razie nie ma zamówień, a nam przyda się przerwa. Wiesz, przyszło mi coś na myśl.

- Co takiego? - spytałam, otwierając drzwi.

- Jesteśmy w twojej okolicy. Może mi pokażesz tę ścieżkę?

Pomyślałam o ostatniej rozmowie z bratem. Zaskoczyła mnie jego reakcja, gdy napomknęłam o tym uskoku na leśnej ścieżce. Fakt, że wspominał swój wyczyn zupełnie inaczej niż ja - jako głupotę, a nie heroizm - sprawił, że naraz wszystko to wydało mi się nierzeczywiste.

- Jasne - odparłam. - Chodźmy.

Ścieżka była węższa, niż zapamiętałam, i w kilku miejscach tak zarośnięta, że musiałam przystawać i odsuwać gałęzie rękami. Dziwnie się czułam, prowadząc Maca tam, gdzie zawsze prowadził mnie Peyton. Ale po kilkuset metrach szlak się poszerzył i Mac się ze mną zrównał. Niebawem wspięliśmy się na wzniesienie. Gdy nad naszymi głowami wzbił się jastrząb, wziął mnie za rękę.

Miał ciepłą dłoń, a ja, trzymając w niej swoją, czułam się mała i bezpieczna. W ciszy słychać było tylko nasze kroki wśród liści i szum drzew rozkołysanych na wietrze. Myślałam o popołudniach, podczas których chodziłam tą ścieżką, i o tym, jak wszystko teraz wydawało się inne. Z wielu powodów.

- To powinno być gdzieś tutaj. - Rozejrzałam się, gdy pokonaliśmy kolejne wzniesienie. - Pamiętam tę polanę.

- Wygląda na to, że chcą tu coś budować - rzekł Mac.

- Może to tylko wyrąb.

Idąc, omijaliśmy pnie pokryte mchem i liszajami oraz na wpół wypełnione brudną deszczówką butelki po piwie, które wały się pod drzewami. I wtedy, w chwili gdy zaczynałam się już zastanawiać, czy to wszystko nie jest po prostu mrzonką, tuż przed moimi stopami urwała się ziemia i niczym paszcza potwora otworzyła się potężna jama. Stanęliśmy na krawędzi urwiska.

Nie było tak przepastne, jak zapamiętałam. Zniknęło również drzewo, które tam kiedyś leżało. A jednak odkryłam coś znajomego w odsłoniętych korzeniach i warstwie czerwonej gleby na dnie rozpadliny. I tak samo jak dawniej jej widok mnie zaskoczył.

- Nie robi już takiego wrażenia jak kiedyś - stwierdziłam. - Na pewno mniejsze niż karuzela.

- Mimo wszystko wolałbym nie spacerować nad tą dziurą.

Uśmiechnęłam się.

- Kiedy Peyton uparł się, że to zrobi, serce podeszło mi do gardła. Byłam pewna, że spadnie i zginie, a ja będę musiała wrócić do domu i powiedzieć o tym mamie.

Mac lekko się nachylił i zerknął w dół.

- Ale nie spadł.

- No nie. - Spojrzałam w błękitne niebo nad naszymi głowami. - Myślę, że ochronił go jego patron. Czy istnieje jakiś opiekun idiotów, którzy włóczą się po lasach i głupio ryzykują?

- Nie sądzę. Ale jest kilku innych, których można obarczyć tym zadaniem. Patroni wędrowców, podróżnych i zagubionych. - Sięgnął po swój łańcuszek, wyjął go i spojrzał na medalik. - Ulubieńcem mojej mamy jest święty Antoni, znalazca rzeczy zgubionych. Kiedy coś jej zginie, chodzi i powtarza: Święty Antoni, święty Antoni, niechaj kwitnie sława twoja, niech się znajdzie zguba moja.

- To działa?

- Czasem tak. - Wsunął medalik pod T-shirt, a ja dostrzegłam, jak swobodnie łańcuszek zwisa mu z szyi. - A już na pewno nie szkodzi.

Staliśmy tak przez chwilę w ciszy, którą zakłócał tylko szum wiatru nad naszymi głowami. Patrzyłam na wyrwę w ziemi i znów stanęły mi przed oczyma sztywne ramiona Peytona, gdy się nad nią przesuwał. Nie zależało mu na tym, by - jak wówczas, gdy bawiliśmy się w chowanego - stać się niewidzialnym. Przeciwnie, za wszelką cenę pragnął przyciągnąć uwagę. Wtedy się wszystko zaczęło.

„Pamiętasz?” - spytałam przez telefon, wspominając ten wyczyn.

„To nie było najmądrzejsze” - odparł.

Przez cały czas myślałam, że widzi siebie tak, jak ja go widziałam, jak widzieliśmy go wszyscy. Że również we własnym mniemaniu jest niezwykły, przekracza ludzką miarę. On tymczasem wiedział, że jest zwykłym człowiekiem, zanim jeszcze dotarło to do mnie. A może wiedział to zawsze.

Mac odwrócił się, uważnie na mnie patrząc.

- Co ci jest? - spytał, zapewne dlatego, że musiałam bezwiednie wydać jakiś dźwięk lub zrobić dziwną minę, a może znieruchomiałam w niepokojący sposób. Ale dla mnie nie było to tylko pytanie o obecną chwilę, lecz o znacznie więcej. Obejmowało wszystko, co się zmieniło, począwszy od dnia, gdy po raz pierwszy weszłam do Seaside. A także wszystko, co zmieniło się we mnie.

„Co ci jest?”. Może sprawili to ci, z którymi się zetknęłam w ciągu ostatniej godziny - podstępne nerdy upajające się swym sprytem nad darmową pizzą i młoda mężatka podająca kupne fettuccine na ślubnej porcelanie. A może działało to miejsce, które tak silnie wryło mi się w pamięci, choć od dziś miały się z nim

wiązać inne wspomnienia. W każdym razie potrafiłam myśleć tylko o jednym – że właśnie tu, nareszcie, przestałam biernie się wszystkiemu przyglądać i stałam się częścią tego rozpędzonego, zmieniającego się świata.

Wysunęłam dłoń z dłoni Maca, a potem musnęłam jego policzek. W tej samej chwili jego ręka zsunęła się, obejmując mnie i mocno przyciągając. Tak prosto i naturalnie jak wszystko, co robił, od chwili gdy go ujrzałam. A wtedy wspięłam się na palce, by nareszcie, nareszcie go pocałować – późną jesienią, w czwartkowe popołudnie w starym lesie. I było to cudowne. Oczywiście nie mogłam o tym wiedzieć, gdy się decydowałam. Ale miałam przeczucie, że tak właśnie będzie.



## Rozdział siedemnasty

- Zaraz, a więc nie możemy skorzystać ze studia?

- Oczywiście, że możecie - odparłam. - Ale okazało się to trochę bardziej skomplikowane, niż myślałam.

Siedzieliśmy w furgonetce. Oparta o niego, nie mogłam zobaczyć jego twarzy, gdyż mnie obejmował. Kiedy się odwróciłam, spojrzał w sposób, który już znałam - czujny i wyczekujący. Cały Mac.

- Skomplikowane... - powtórzył. - To brzmi obiecująco.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniłam, wracając do poprzedniej pozycji. - Tylko mi zaufaj, dobrze?

Nie odpowiedział, gdy znów oparłam głowę na jego piersi i podciągnęłam kolana. Kabina furgonetki, zagracona i przesiąknięta wonią czosnkowego pieczywa, z pewnością nie była idealnym miejscem spotkań, ale dawno już oduczyłam się szukać ideału, a ta chwila w gruncie rzeczy była mi bliska.

Od popołudnia w lesie nie upłynął jeszcze tydzień, a w tym czasie wydarzyły się same niewiarygodne rzeczy. I to jedna po drugiej. A więc choć pół godziny później powiedzieliśmy sobie „do widzenia”, nadal zwlekaliśmy z rozstaniem jak wszystkie pary, które znałam, zanim w końcu zmusiłam się do odjazdu. Przez cały wieczór wysyłaliśmy do siebie esemesy, a potem jeszcze rozmawialiśmy na pożegnanie, bo chciałam, by jego głos był ostatnim, który usłyszę przed snem.

Nazajutrz w szkole nastąpił pierwszy dzień, w którym wszystko było już inne, choć wiedzieliśmy o tym tylko my dwoje. Znów stałam się dziewczyną, która ukrywa tajemnicę. Ale tym razem była to dobra tajemnica.

Nigdy niczego nie taiłam przed Laylą. Dlatego tym gorzej się czułam, gdy chodziło o sprawę tak ważną jak to, że być może po raz pierwszy w życiu się zakochałam. Ale rzecz była skomplikowana, a historia z Kimmie Crandall stanowiła dla mnie poważne ostrzeżenie. Layla szczerze mnie lubiła, ale Mac był jej bratem. Uznałam, że na razie lepiej utrzymać to w sekrecie.

Tak więc staraliśmy się zachowywać tak jak dawniej. W szkole i w porze lunchu siadaliśmy na osobnych ławkach, natomiast w Seaside Mac przeglądał za kontuarem swoje podręczniki, a ja i Layla odrabialiśmy lekcje przy tym samym stole co zawsze. Nic się nie zmieniło oprócz godzin, które spędzaliśmy tylko we

dwoje.

Takich jak ta teraz, gdy zatrzymaliśmy się w sąsiadującym z moją dzielnicą Commons Park. Nie nagliły nas żadne zamówienia, nie musieliśmy nigdzie się spieszyć. Silnik nie pracował, ale w kabinie było ciepło, gdy Mac mnie przytulał. Na zewnątrz czerwone i żółte liście wirowały w powiewach wiatru, uderzając o przednią szybę. Nieoczekiwany zwrot wydarzeń sprawił, że godziny między szkołą i kolacją, te same, których dawniej tak się obawiałam, były teraz najbardziej wyczekiwane.

Cały czas dowiadywałam się o nim czegoś nowego. I nie tylko, że tak dobrze umiał całować (a raczej bardzo dobrze) i że jego mięśnie tworzyły najdoskonalszy splot, jaki kiedykolwiek widziałam (czyżby dzięki Kwackersom?). Kiedy długie włosy opadały mu na czoło, odrzucał je, w sobie tylko właściwy sposób potrzęsając głową. A gdy mówił o czymś, co go martwiło, na przykład że ojciec chce, by prowadził rodzinną firmę, odruchowo zniżał głos, tym samym zmuszając rozmówcę do uwagi.

- Co do taty, to jego zdanie jest niezienne - powiedział kilka dni wcześniej, gdy temat znów wypłynął. - Firma to rodzina i vice versa. Nic tego nie zmieni.

- Przecież twoje studia przyniosą same korzyści - perswadowałam. - Edukacja buduje potencjał finansowy. A poza tym to Layla chce przejąć firmę.

- Layla mówi, że chce przejąć firmę - skorygował.

- No i jest jeszcze Rosie - dodałam. - Czy dlatego w rachubę wchodzi tylko ty, bo jesteś facetem?

- On tak uważa. - Znów odrzucił włosy z czoła. - Zamierzam jednak złożyć podania na uniwersytet i kilka innych uczelni. Muszę choć spróbować. W przeciwnym razie byłaby to rezygnacja.

Przypomniałam sobie, jak przed kilkoma tygodniami rozmawialiśmy o zepsutych przedmiotach. Nie chciał uznać, że są rzeczy, których w żaden sposób nie da się naprawić. I nie chodziło tu tylko o zegary i rozruszniki. Jak zawsze wtedy, gdy był o czymś przekonany, rzecz miała wymiar głębszy i bardziej ogólny, a ja nie posiadałam się z radości, że dopuszcza mnie do swych rozważań.

Od kiedy pamiętałam, inni ludzie albo mnie przyćmiewali, albo ignorowali, pozostawiając samą siebie. Natomiast Mac - jak powiedziała kiedyś Layla - był zawsze gdzieś w pobliżu. Uznawał moją prywatność, gotów jednak pojawić się obok, gdy tylko tego chciałam. To było idealne podejście, jak miałam się przekonać. Jakby był moim prywatnym świętym - tym, na którego czekałam.

Nigdy jeszcze nie stało się to równie oczywiste jak wtedy, gdy opowiedziałam mu o Amesie. Pewnego dnia, gdy rozwoziliśmy zamówienia, obok nas zatrzymał się

czerwony lexus. Zmartwiałam, a on natychmiast to zauważył. Spojrzał pytająco i wtedy, zanim zdołałam się zastanowić, wszystko mu wyznałam.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że twoi rodzice nic o tym nie wiedzą - rzekł, gdy skończyłam opowieść. - To naprawdę podejrzany typ.

- Nie dla nich.

- Powinni zauważyć, że czujesz się przy nim nieswojo.

Wzruszyłam ramionami.

- Już ci mówiłam. Nie poświęcają mi zbyt wiele uwagi.

- A więc skłoń ich do tego - odparł. - Jeśli powiesz im to, co mnie, na pewno zareagują.

Wiedziałam, że ma rację. Ale na samą myśl o poruszeniu tego tematu z mamą ogarniał mnie strach. Przecież nie miałam żadnych poważnych argumentów.

- Zastanów się nad tym - poradził, wyczuwając moje wahanie. - Dobrze?

- Tak - odparłam po chwili. - Okej.

Słyszając to, odwrócił się do mnie. A gdy nachylił się, by pocałować mnie w usta, a potem w czoło, poczułam się tak bezpieczna, że zamknęłam oczy.

Natomiast w domu atmosfera była coraz bardziej napięta. Rodzice wyjeżdżali do Lincoln w czwartek, by przenocować w hotelu i rano wziąć udział w uroczystości rozdania dyplomów. Mama działała na najwyższych obrotach, wykonując dziesiątki telefonów i wysyłając e-maile jako organizatorka poczęstunku, na który złożyło się również kilka innych rodzin.

- Pomyślałam, że moglibyśmy przedtem zaprosić na kolację państwa Biscoe - oznajmiła któregoś wieczoru. - No wiesz, rodziców Rogersona. Mówiłam ci o nim. Jest na oddziale z Peytonem. To może być bardzo owocne, jeśli poznamy się nawzajem i podzielimy doświadczeniami. Znalazłam dobry lokal, w którym przyjmują rezerwacje...

- Julie... - Głos taty brzmiał łagodnie, choć nie pozostawiał wątpliwości, że ucina sprawę. - Myślę, że powinniśmy się z tym wstrzymać.

Mama odłożyła widelec.

- Dlaczego?

Był tak zakłopotany, że ze współczucia zaczęłam wiercić się na krześle, jakbym to ja wkroczyła na grząski teren.

- To są odwiedziny w więzieniu - rzekł w końcu - a nie w przedszkolu.

Jej uśmiech natychmiast zgasł.

- Naprawdę sądzisz, że należy mi o tym przypominać?

- Nigdy tego nie robiłem. Ale sposób, w jaki o tym mówisz...

- Ja - odparła drżącym, podniesionym głosem - usiłuję znaleźć coś pozytywnego w złej sytuacji. Kiedy otacza cię ciemność, nawet promień światła uszczęśliwia. To jest mój promień. I pozwól mi się nim cieszyć.

Musiało być jej naprawdę bardzo ciężko, skoro nawet taka uroczystość jak ta niosła jej światło. Od początku zdawałam sobie sprawę, jak wiele w naszym życiu się zmieniło. Ale w takich chwilach uderzało mnie to od nowa.

Oczywiście nie mogłam rozmawiać o tym z nią ani z tatą. Ale był ktoś, kto rozumiał, a przynajmniej chciał mnie wysłuchać. Dzięki Bogu.

- A więc, Sydney - zaczęła pani Chatham - co u ciebie w domu?

Byłyśmy w jej salonie. Jak zwykle siedziała w fotelu, a ja na kanapie w bezpiecznej odległości od piesków. Mac chwilowo nie rozwoził towaru, gdyż majstrował przy rozruszniku, który uparcie się zacinał. Ja natomiast poszłam odwiedzić jego matkę, czekając, aż skończy naprawę albo otrzyma kolejne zamówienie.

- Bez zmian - odparłam, słysząc, jak motor krztusi się i zaczyna pracować, a potem znów gaśnie. - Rodzice jadą na rozdanie dyplomów do więzienia, a mama wpadła w obsesję na tym punkcie. Można by pomyśleć, że to dyplom Harvardu.

Pani Chatham się uśmiechnęła.

- Czułam się podobnie, kiedy Rosie zakończyła odwyk. W pewnych sytuacjach człowiek cieszy się z wszystkiego, co tylko możliwe.

Na chwilę zamilkłyśmy. Byłam niemal pewna, że słyszę, jak Mac na zewnątrz klnie.

- Layla wspomniała, że wpadłyście na tego chłopca - odezwała się po chwili. - W tym sklepie dyskontowym.

Gdy to mówiła, przed oczyma stanęły mi rzędy kaloszy.

- Tak. Pierwszy raz zobaczyłam go z bliska, twarzą w twarz.

- I co?

- Spanikowałam. - Na drugim końcu kanapy rozległo się głośne psie westchnienie. - Nie mogłam wykrztusić słowa.

- Och, dziecko... - Przez chwilę milczała. - To nie będzie łatwe, jeśli w ogóle do tego dojdzie. Wiesz o tym, prawda?

- Po prostu nie wiem, co można by powiedzieć, żeby to cokolwiek zmieniło. Żadne przeprosiny tego nie załatwią.

- Może nie powinnaś tego oczekiwać. Zwłaszcza gdy chodzi o niego. - Objęła mnie łagodnym spojrzeniem. - Ale to nie znaczy, że w żaden sposób nie pomogą tobie. Bo widzisz, mogłoby ci to przynieść pewną ulgę.

Również i tym razem trafiła w sedno. Przygniatające mnie poczucie winy miało ciężar stosu fartuchów ochronnych. Takich, jakie nakładają lekarze przed zrobieniem zdjęcia rentgenowskiego.

- Nie wiem - powiedziałam.

- Nie musisz teraz wiedzieć - odparła. - I tak dobrze sobie radzisz.

Nie byłam tego pewna. Ale jej słowa przyniosły mi pewną ulgę. Podobnie jak odgłos uruchomionego silnika, co zapowiadało jego rychłą naprawę.

Gdy wróciłam po południu do domu, nikogo tam nie zastałam, tylko uparcie dzwonił telefon. Była piąta czterdzieści pięć. O tej porze często dzwonił Peyton. Tym razem jednak nie odczułam znajomego lęku, gdy automat poinformował o połączeniu z Lincoln.

- Cześć - powiedziałam, słysząc na linii głos brata. - Jak się masz?

- Okej. - Nastąpiła przerwa, w czasie której dobiegły mnie jakieś odległe głosy w tle. - A co u ciebie?

Zamilkłam, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Głupio byłoby mówić o Macu lub pani Chatham - o świecie, do którego nie należał on, tylko ja. Ale wtedy przypomniałam sobie popołudnie w lesie.

- Wybrałam się z przyjacielem zobaczyć naszą ścieżkę - zaczęłam. - Ale się zmieniła.

- Tak?

Przytaknęłam, choć nie mogłam tego widzieć.

- To znaczy jest taka sama, ale chyba nasza perspektywa ulega zmianie. Pamiętam, że ta rozpadlina wydawała się ogromna, wręcz przepastna.

- Zwłaszcza gdy się stało nad nią - odparł.

- Nie umiem sobie tego nawet wyobrazić.

Zamilkliśmy oboje, a potem znów się odezwał:

- Wiesz, jednak zabawny jest ten show, który tak lubisz. Z tymi zwariowanymi kobietami. Ostatnio go oglądam.

Zamrugłam ze zdumienia.

- Oglądasz „Big New York”?

Roześmiał się.

- A także „Los Angeles”, choć nie mogę uwierzyć, że się do tego przyznaję.

- Myślałam, że nie potrafisz ich ścierpieć.

- Bo tak było. - Westchnął. - Ale mój tutejszy znajomy po prostu je uwielbia. Jest lekarzem psychiatrą i twierdzi, że ich narcyzm jest dowodem zaburzeń osobowości. Ale podejrzewam, że po prostu podoba mu się cała ta historia.

- To twój lekarz?

Znów się roześmiał.

- Nie, to też więzień. Jest uzależniony. Wpadł na sprzedaży recept. Mówimy o nim Pan Doktor. Sympatyczny gość, chociaż ma zły gust, jeśli chodzi o telewizję.

- No, no - podjęłam jego ton. - Pamiętaj, do kogo to mówisz.

- Jak bym mógł zapomnieć. - Słyszałam, że się uśmiecha.

W tej samej chwili włączył się automat, uprzedzając, że czas się kończy. A ja po raz pierwszy pragnęłam, by tak nie było.

Nie przyznałam się do tego mamie, choć powiedziałam jej o telefonie. Tak długo zmuszała nas do rozmów, że teraz, gdy w końcu znaleźliśmy wspólny język, chciałam to zachować dla siebie. Peyton też jej o tym nie powiedział. I był to kolejny sekret. Tylko nasz.

Prawdę mówiąc, mama była tak zaabsorbowana swym planem, że niewiele do niej docierało. Miało to tę dobrą stronę, że nie wspominała o nocy, którą Ames miał spędzić w naszym domu pod nieobecność rodziców. Wiedziałam, że głupotą jest uważać, że zdołam tego uniknąć. Ale skoro wszystko tak dobrze się układało... Nie należało się jednak łudzić.

- No więc - przywitała mnie, gdy rano zeszłam na śniadanie - jutro ja i twój ojciec wyjeżdżamy około trzeciej po południu. Ames będzie tu najpóźniej o dziesiątej wieczorem. To nie jest idealne rozwiązanie, ale teraz, gdy Marla zniknęła ze sceny, a on pracuje na zmiany, nic więcej nie da się zrobić.

Stała odwrócona do mnie plecami, zajęta kolejnym punktem na jednej ze swych list. Na kuchennym blacie piętrzyły się stosy słodczy nabytych w hurtowni Big Store z myślą o uroczystości - drożdżówki, babeczki i herbatniki. Cały pokój przenikała woń cukru.

- Naprawdę uważam, że mogę zostać sama - broniłam się jeszcze. - Do czasu kiedy on tu przyjdzie, będę już leżeć w łóżku.

Wzięła pudełko babeczek i przeniosła je na inną stertę.

- To już ustalone. A teraz kończ owsiankę, bo się spóźnisz.

Koniec rozmowy. Po raz kolejny byłam tylko punktem do skreślenia na jej liście. Kiedy wychodziłam dwadzieścia minut później, nie mogłam się powstrzymać, by nie trzasnąć drzwiami.

Teraz znów siedzieliśmy w furgonetce, gdy zadzwonił telefon. Mac odsunął się nieco, by sięgnąć do kieszeni.

- Jest zamówienie. Wracamy do roboty.

Zerknęłam na zegarek. Była piąta piętnaście, a ja obiecałam mamie, że wrócę

przed szóstą. Niczego jednak bardziej nie pragnęłam, niż pozostać w tym cichym, spokojnym miejscu, bezpieczna w ramionach Maca. On jednak już się prostował, gotów włączyć silnik.

- Jeszcze pięć minut... - poprosiłam.

- Dwie. - Pocałował mnie w czubek głowy i odchylił się na oparcie. Minęła chwila, nim się odezwał: - Wiesz, naprawdę nie musimy nagrywać w twoim studiu, jeśli to problem. Eric znajdzie jakieś rozwiązanie. Zawsze znajduje.

- Nie ma problemu. Będzie dobrze.

Nieczęsto tak mówiłam. Ale ostatnio pozwalałam sobie myśleć, że wszystko jeszcze się ułoży. W końcu byłam tu teraz z nim, a przecież nigdy przedtem nie umiałabym sobie wyobrazić czegoś podobnego.

Odwiózł mnie do Seaside i zatrzymał się przy moim samochodzie, nim wszedł do środka po towar. Powiedzieliśmy sobie „do widzenia”, żegnając się jak zawsze powściągliwie. Wsiadłam i zamknęłam za sobą drzwi. Ale gdy zaczęłam się oddalać, spojrzałam na zachodzące słońce i niebieskie niebo w lekkim odcieniu różu. I ponownie odważyłam się pomyśleć, że jest cudownie. Nawet jeśli miało to trwać zaledwie chwilę. Podeszłam do otwartego okna od strony Maca.

- Zapomniałaś o czymś? - spytał.

- Owszem - odparłam. - O tym.

Wspięłam się na palce i go pocałowałam. Czułam, że jest zaskoczony i że się waha, zanim się poddał. Ryzykowałam, robiąc to publicznie. Ale zmęczyło mnie już nieustanne ukrywanie się przed światem. Zresztą Layla, której najbardziej się obawiałam, była teraz ze Spence'em. Nikt inny nie przychodził mi na myśl. Przynajmniej wtedy.

\* \* \*

- Uau! - zawołał Eric, gdy otworzyłam drzwi. - Sympatyczne lokum.

- Powiedziałaś „lokum”? - spytał stojący za nim Irv, który wypełniał sobą całą framugę. - Naprawdę?

- A co? To całkiem normalne określenie.

- A to jest całkiem normalny ciężar. Więc wejdź do tego lokum z łaski swojej, co?

Eric przewrócił oczami, a ja odsunęłam się, by go wpuścić. Niósł tylko gitarę i plecak przerzucony przez ramię. Za nim, dźwigając wszystkie instrumenty i urządzenia, weszli Irv, Ford i na koniec Mac.

Musiałam zrobić zdziwioną minę na widok tak niesprawiedliwego podziału

ciężarów, gdyż Mac rzucił krótko:

- Eric ma chory kręgosłup.

- Eric - dodał Irv, lekko sapiąc, gdy prznosił przez próg czarne pudło sięgające mi do pasa - twierdzi, że ma chory kręgosłup. Nigdy tego nie zauważyłem, chyba że trzeba przenieść coś ciężkiego.

- Mam wypadający dysk - rzekł Eric znużonym tonem. - Między kręgami L cztery i L pięć.

- Mnie też coś zaraz wypadnie. To cholerstwo jest naprawdę ciężkie. - Irv opuścił pudło tak głośno, że zadźwięczało szkło na stoliku pod portretem mojego brata. - Gdzie to niesiemy?

- Na dół - powiedziałam. - Chodź za mną.

Poprowadziłam ich obok kuchni i po krętych schodach (gdzie odgłosom sapania towarzyszyły dalsze komentarze na temat dysku Erica). Kiedy w końcu dotarliśmy na miejsce i zapaliłam światło, Eric stanął za mną, rozglądając się z uznaniem po pomieszczeniu, podczas gdy pozostali wnosili instrumenty.

- No, no... To wszystko jest przeznaczone dla twojego brata?

- Miało być - odparłam. - Nim zdołał z tego skorzystać, znalazł się w... ee... innym miejscu.

- W innym miejscu? - spytał Irv. - To tak się teraz nazywa więzienie?

Mac mocno go szturchnął.

- Ej, licz się ze słowami.

- Co? - Irv spojrział na niego, a potem na mnie. - Och, przepraszam cię, Sydney. Głupio gadam.

- Nie szkodzi. - Uśmiechnęłam się do niego.

Ale gdy Ford i Eric zaczęli wyciągać instrumenty, Mac podszedł do mnie.

- Przepraszam za Irva. Jest zbyt bezpośredni, zwłaszcza w niektórych sprawach.

- I słusznie - odparłam. - Mój brat jest w więzieniu. Właściwie to nawet zdrowo mieć obok siebie kogoś, kto nie owija w bawełnę.

- Tak myślisz?

Skinęłam głową, ale wtedy zawołał go Ford, który chciał o coś spytać. Ruszył więc w jego stronę, a potem schylił się, by otworzyć jakiś futerał. Dostrzegłam wtedy, jak medalik ze świętą Batyldą wysunął mu się spod koszuli i przez moment kołysał, nim Mac zamknął go w dłoni i znów tam wsunął. Pomyślałam, że zaledwie wczoraj obracałam go między palcami w popołudniowym świetle Commons Park. Na samo wspomnienie poczułam, że się czerwienię.

- A więc, Sydney... - głos Erica gwałtownie wyrwał mnie z zamyślenia - słyszę, że



mamy ograniczony czas. Dokładnie ile?

Spojrzałam na zegarek. Było wpół do siódmej.

- Jakież trzy godziny.

- Niezbyt dużo na te wszystkie piosenki. - Położył gitarę i plecak na stojącej obok kanapie, najwyraźniej nie narażając swego dysku, a potem zatarł dłonie. - Mówisz, że kiedy przyjdzie Layla?

- Najpóźniej o siódmej - odpowiedział za mnie Mac.

- Okej, w takim razie przyjrę się teraz tym urządzeniom. - Podeszedł do konsoly z licznymi przyciskami i zasiadł w fotelu na kółkach. - Ludzie, to jest lepsze niż aparatura, jaką miałem w ZIIM. - Wsunął się głębiej, kręcąc gałką.

- ZIIM? Co to jest? - spytałam.

- „Zabytkowe instrumenty w interpretacjach muzycznych”. Spędziłem na tym kursie całe ostatnie lato. W ciągu dnia lekcje muzyki i aranżacji, wieczorem poważne sesje jazzowe.

- Uau, brzmi imponująco.

- To przełomowa sprawa - sprostował. - Przynajmniej dla mnie. Osiem tygodni z ludźmi, którzy żyją muzyką. Tak jak ja. Prawdziwa oaza na tej twórczej pustyni, jaką jest moje życie tutaj.

Rozległo się stuknięcie w szybę oddzielającą nas od reszty pomieszczenia. Gdy podniosłam wzrok, ujrzałam, że stoi tam Mac.

- Uważaj, słyszymy cię! - zawołał do Erica.

Ale ten, bynajmniej niespieszony, machnął tylko ręką. Dostrzegłam jednak, że wyłączył jedyny przycisk, którego funkcję znałam - interkom. A potem powiedział:

- Posłuchaj, nie zrozum mnie źle. Te chłopaki lubią grać. Ale brak im prawdziwej pasji. Kiedy skończy się szkoła, będą opowiadać, że kiedyś mieli zespół, wiesz?

Pokiwałam głową, patrząc, jak Irv pomaga Fordowi ustawiać jeden wzmacniacz na drugim. Mac stał już za swoją perkusją, dokręcając klamry cymbałów. Patrzyłam na jego twarz, całkowicie skupioną na czynności, którą wykonywał, gdy wtem Eric rzucił:

- No więc... ee... chciałbym cię o coś spytać.

- Mnie?

- Uhm, ciebie. - Uśmiechnął się. - Nie robię sekretu z tego, że uważam cię za super dziewczynę, Sydney. Chciałbym się z tobą umówić. Co ty na to?

Zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć. Pytanie było tak bezpośrednie, że nie dawało cienia szansy na unik lub wykręty. Mimo to zastanawiałam się, jak wybrnąć, gdy wtem rozległ się dzwonek do drzwi. Byłam ocalona.

- Ojej! - rzuciłam, ukrywając gwałtowną ulgę. - Zaraz wracam, dobrze?

Miałam wprowadzić całą drogę przez siłownię, schody i hol, żeby wymyślić, co mu powiedzieć, gdy wrócę, ale niewiele to dało. Kiedy jednak otworzyłam drzwi i ujrzałam Laylę podtrzymującą czerwonego, ubłoconego i mokrego Spence`a, natychmiast zapomniałam o Ericu.

- Możesz mi pomóc? - spytała, wciągając go do holu. Gdy mnie mijali, poczułam silną woń alkoholu. A także, ku swemu zdumieniu, nawozu ogrodniczego. - Masz jakiś ręcznik albo coś?

- Hej, Sydney - radośnie wybełkotał Spence. - Co u ciebie?

- Proszę, zatrzymaj się - warknęła do niego Layla. - Stań tutaj i zdejmij buty.

Mówiąc to, zniknęła w toalecie, zostawiając nas samych. Lekko chwiejający się Spence zrzucił swoje najki - jeden but, a potem drugi, po czym sięgnął do tylnej kieszeni spodni, by wyjąć płaską butelkę. Otworzył, wypił głęboki haust, a potem wyciągnął ją do mnie.

- Wódki?

- Nie, dzięki - odparłam. - Pada deszcz czy co?

Potrząsnął głową, pociągając kolejny łyk.

- Zrzaszacie. Włączyły się, gdy przechodziłem przez ogród twoich sąsiadów. Są pod silnym ciśnieniem, najwyraźniej. Na pewno się nie napijesz?

- Ona nie pije - odpowiedziała za mnie Layla, wychodząc z łazienki. Trzymała ręcznik do rąk. Wskazała mi go, pytająco unosząc brwi. Kiedy skinęłam głową, rzuciła ręcznik Spence`owi. - Wytrzymaj się i odłóż go, dobrze? Chłopcy nie będą zachwyceni, że cię tu przywlokłam.

- Bzdura. - Wsunął butelkę z powrotem do kieszeni, a potem zbliżył się do niej i objął ją w pasie. - Mówiłem ci już, mała, że nawet mnie nie zauważą.

I chociaż Layla wyraźnie w to wątpiła, pozwoliła przyciągnąć się i pocałować. Ku jej zdziwieniu, nie mówiąc już o moim, zmusił ją do otwarcia ust i zaczął namiętnie plądrować językiem ich wnętrze. Na szczęście w tej samej chwili zadzwonił telefon.

Chwyciłam słuchawkę i wybiegłam do kuchni.

- Halo?

- Rozmowa na koszt abonenta z Zakładem Karnym w Lincoln - odezwał się znajomy automat. - Czy akceptuje...

- Tak - powiedziałam, robiąc kilka kroków w stronę okna.

- Są na dole?! - zawołała Layla zza moich pleców. Gdy obróciłam się, by na nią spojrzeć, Spence pieścił jej szyję. Przytaknęłam. - Już zaczęli?

W telefonie rozległo się buczenie, a potem trzask.

- Sydney?

- Tak, poczekaj sekundę - powiedziałam do brata. A potem odwróciłam się do

Layli: - Tak i nie wiem. Będę tam za moment.

Skinęła głową, odsuwając się od Spence`a, i zniknęła w korytarzu. Ruszył za nią, znów wyjmując butelkę. Świetnie.

- Przepraszam - zwróciłam się do Peytona. - Mam tu kilkoro przyjaciół. Jak się miewasz?

- W porządku - odparł. - Tym bardziej że właśnie wybrałem drużynę w tym głupim show, który tak lubisz.

- Niech zgadnę - powiedziałam. - To drużyna Ayre.

- Skądże - odparł. - Z nią trzyma nasz doktor. Ja twardo stoję za Rosalie.

- Co takiego? - oburzyłam się. - Zwariowałeś? Ona jest obłąkana.

- Tak? A Ayre to co? Nie widziałas tego przyjęcia, na którym wepchnęła Delilah do basenu?

- Została sprowokowana - broniłam jej.

- Akurat - prychnął. - Ale nie będę cię zatrzymywać, jeśli masz gości. Jest tam mama?

Zamrugałam ze zdziwienia.

- Nie. Już wyjechała...

- Co takiego?

- Oboje z tatą wyjechali po południu. Na tę twoją uroczystość.

- Przecież to jest jutro.

- Tak, ale ona ma przedtem jeszcze sporo do zrobienia. - Peyton milczał. - Zatrzymają się w hotelu i chyba chcą się jeszcze spotkać z jakimiś innymi rodzinami.

To dziwne, ale przez telefon można wyczuć różnicę między ciszą spokojną i pełną gniewu. Jedna jest lekka, a druga waży tony. Jednocześnie czułam, jak nasz kontakt słabnie i niemal zanika.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział w końcu. Za nim rozległy się hałasy, które znałam już z poprzednich rozmów. Podniesione głosy, jakieś walenie, głośniki interkomów. W więzieniu było jeszcze głośniejsze niż w Jackson. - Powiedziałem, że nie chcę, żeby to robiła. I nie życzę sobie ich przyjazdu. To zakład karny, nie szkoła. I nie wiem, czemu ona nie chce tego zrozumieć.

Uau - pomyślałam. Tak długo czekałam, żeby ktoś potraktował to w ten sposób. I nigdy się nie spodziewałam, że tym kimś będzie Peyton. Gdy zastanawiałam się, co odpowiedzieć, ze studia na dole dobiegło głośne uderzenie.

- Przypuszczam... - zaczęłam, po czym się zawahałam. Na linii rozległy się szумы.

- Ona próbuje łapać się wszystkiego, co wydaje się normalne.

- Ale to nie jest normalne - odparł. - Zawiniłem, skrzywdziłem kogoś i odbywam karę. Za każdym razem, gdy ona próbuje to zmienić, po prostu... dostaję szału. To musi się różnić od normalnego życia, rozumiesz? I musi być trudne. Wszyscy to rozumieją. Tylko nie ona.

Choć ostatnio rozmawialiśmy częściej, mój brat nigdy nie powiedział mi więcej - ani w ciągu ostatnich miesięcy, ani lat. Było to tak nieoczekiwane i żywiołowe, że zdałam sobie sprawę, że wstrzymuję oddech. Zawsze uważałam, że on i rodzice są całkowicie zgodni, że tworzą jeden front. Okazało się, że Peyton jest niezależną, świadomą siebie osobą. Jak mogłam tego nie widzieć?

- Przykro mi. - Te dwa słowa też nie przyszły mi lekko.

- Taaa... - Miał ściśnięty głos. Przypomniałam sobie, jak szedł nad tą rozpadliną. Ja widziałam jego odwagę. On coś zupełnie innego. - W takim razie... no cóż, spróbuję zadzwonić na jej komórkę.

- Jasne, trzymaj się, Peytonie.

- Do usłyszenia, Syd.

Trzask i rozmowa się skończyła. Odwiesiłam słuchawkę ze ściśniętym sercem. Widziałam, jak rano mama pakowała tony wypieków i słodczy, nie wspominając o innych przygotowaniach. Mogła wmawiać nam wszystkim, że robi to dla Peytona, i może naprawdę w to wierzyła. Nie byłam tego pewna. Nie przypuszczałam jednak, że mogę poczuć się bardziej zawstydzona całą tą sytuacją. I znowu się myliłam.

## Rozdział osiemnasty

- Stop. - Eric podniósł rękę. - Nie podoba mi się to intro. Spróbujmy jeszcze raz. Ford jęknął, a Mac, który siedział za swoimi bębnami, przewrócił oczyma.

- Chłopie - odezwał się Irv z za moich pleców - to jest tylko demo do konkursu, a nie wasz pierwszy album.

- To nie znaczy, że ma być do kitu - burknął Eric.

- W ogóle go nie będzie, jeśli nie odpuścisz - rzekł Irv. - Jesteśmy tu już... Jak długo, Sydney?

- Półtorej godziny - powiedziałam, zerkając na zegarek.

- Półtorej godziny - powtórzył wolno, podkreślając słowa - i wciąż nic nie macie.

Bądź poważny.

- Jestem bardzo poważny - oświadczył ponuro Eric.

- To bądź mniej - wtrącił się Mac. - Nagrajmy to w końcu.

Eric z grobową miną obrócił się tyłem do dzielącej nas szyby i zaczął stroić gitarę. Spojrzałam na zegarek. Ames miał przyjść o dziesiątej, co znaczyło, że do tej pory zarówno oni, jak też cały ich sprzęt musi zniknąć. Początkowo wydawało się to osiągalne, teraz jednak zaczynałam mieć wątpliwości.

Pierwszy problem stanowił perfekcjonizm Erica. Drugim natomiast był Spence. Wtoczył się do studia, zwalając dwa wzmacniacze (co usłyszałam w kuchni), a potem, choć Layla kazała mu usiąść na kanapie i nie przeszkadzać, wygłaszał uwagi typu: „Chyba gubisz rytm” lub „Więcej dzwonekó!”. No i przez cały czas pociągał z butelki. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego Layla go przyprowadziła.

- Wcale go nie przyprowadziłam - wyjaśniła, gdy wymknęłyśmy się do siłowni w trakcie kolejnej skomplikowanej dyskusji na temat przejścia między sekcjami. - Powiedziałam mu, że idę do ciebie i że twoi rodzice wyjechali. A on zrozumiał, że jest impreza, więc złapał butelkę i się przywłókł. Kiedy Rosie podrzuciła mnie pod twój dom, czekał już na podjeździe.

Zastanowiło mnie, co robił wcześniej, gdy po otwarciu drzwi zobaczyłam, jak niemal na niej zwisa.

- Często tak pije?

- Nie. - Jej głos drżał. Po chwili dodała: - To znaczy czasami, ale zazwyczaj nie.

Zresztą to nie jego wina, że wciąż nie zaczęli nagrywać. Eric zawsze...

Zerknęłam przez otwarte drzwi studia, gdzie teraz przy konsolocie siedział Irv i jeśli mnie wzrok nie mylił, zakrywał dłońmi twarz.

- Lay-la! - bełkotał Spence, który wychylił się z kanapy i spoglądał w naszą stronę. - Chodź tu do mnie, tęsknię.

- Moment - odparła, wyciągając z kieszeni telefon. Zerknęła na ekran. - O nie!

- Co takiego?

- Mama. - Wróciła do studia, gdzie, przechylając się przez ramię Irva, włączyła interkom. - Mac, dostałam wiadomość od Rosie. Chyba trzeba jechać z mamą do szpitala.

W jednej chwili zerwał się i stanął w drzwiach kabiny.

- Co się stało?

- Nie wiem. Już tam dzwonię. - Przyłożyła aparat do ucha, przysuwając się do ściany, o którą się oparła. Rozwalony na kanapie Spence wyciągnął w jej stronę niemal pustą butelkę, ale zbyła go machnięciem ręki.

- Cześć, to ja. Co się dzieje?

Gdy słuchała, co mówi Rosie, wszyscy ucichli. Zerknęłam na Maca, ale on wpatrywał się w Laylę.

- No dobra - odezwała się w końcu. - Informuj, co się dzieje. Jeśli uznasz, że trzeba tam jechać, spotkamy się na miejscu. Co? Planowaliśmy o dziesiątej trzydzieści, ale możemy być zaraz, jeśli mama chce.

Ktoś westchnął z rezygnacją. Przypuszczałam, że Eric.

- No dobra. Zrób tak. Dzięki, Ro. - Rozłączyła się i spojrzała na Maca. - To samo, co zawsze. Zawroty głowy, płytki oddech. Była zupełnie zamroczone i Rosie wpadła w panikę. Ale mama mówi, że już jest lepiej. Rosie nie spuszcza jej z oczu.

- Pewnie to te nowe leki - powiedział Mac. Rozmawiali ze sobą tak, jakby reszta z nas nie istniała. - Podobno nawet małe dawki mogą powodować wyraźne skutki uboczne.

- Fatalnie, bo to dość skuteczne środki. - Layla wsunęła telefon do kieszeni. - W każdym razie spróbujmy to wreszcie nagrać. Chcę jechać do domu.

- Ja też. - Mac obrócił się w stronę studia. - Próbujemy tę piosenkę ostatni raz - zwrócił się do Erica. - Potem jedziemy dalej, okej?

Eric nie miał szczęśliwej miny, ale skinął głową i poprawił pasek gitary. Irv sprawdził ustawienia na konsolocie, a Mac zaczął odliczać. Rozległy się pierwsze akordy. Wstrzymałam oddech, gdy gładko przeszli od intro do pierwszej zwrotki, a potem do refrenu, czyli do tej pory najdalej.

- Usiądź i się zrelaksuj. No, golnij sobie - przemawiał Spence do Layli,

przyciągając ją do siebie. Westchnęła, a potem ku mojemu osłupieniu wzięła od niego butelkę i pociągnęła łyk wódki. – Brawo! Teraz lepiej, co nie?

Przełknęła, krzywiąc się, a potem otarła usta wierzchem dłoni.

– Nie wiem, czy tego wieczoru może mnie spotkać jeszcze coś gorszego – wykrztusiła.

A jednak mogło. W chwili gdy to mówiła, w otwartych drzwiach studia stanął Ames. Najpierw pomyślałam, że tak mi się tylko wydaje. Ale gdy się odezwał, nie miałam już złudzeń. Był całkiem rzeczywisty.

– No proszę! Imprezka.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, ale niestety pierwszy był Spence.

– Więcej czadu! – ryknął, a potem wyciągnął do Amesa butelkę. – Witaj, stary! Drinka?

– Nie – odpowiedziałam za niego. Rozpaczliwie zbierałam myśli, próbując wyjaśnić: – To nie jest żadna impreza. Nagrywamy demo na konkurs.

Ames wymownie spojrział na butelkę oraz Spence`a, który tymczasem osunął się na Laylę. Potem odwrócił się do mnie.

– Twoja mama nie uprzedziła mnie o tym.

– Była bardzo zajęta – odparłam. – Zresztą oni już kończą.

– Wiele bym za to dał – rzekł Irv. Chłopcy wykonywali ostatnią zwrotkę piosenki, którą wreszcie zdołali nagrać w całości. – Ale przyznaję, że są postępy.

Nie podobał mi się sposób, w jaki Ames rozglądał się wokół, lustrując wszystkich wzrokiem – Laylę na kanapie, chłopców za przeszkleniem, Irva w fotelu przed konsolą, a na koniec mnie.

– Chodźmy porozmawiać gdzie indziej – powiedział. – Okej?

Layla odprowadziła mnie wzrokiem, gdy ruszyłam za nim do siłowni. Gestem wskazał, bym usiadła na ławce treningowej taty.

– No więc... – Skrzyżował ręce na piersi. – Zechcesz mi powiedzieć, co to wszystko znaczy?

– Już powiedziałam. Nagrywają demo na konkurs.

– I piją.

– Spence pije – sprostowałam. – Nawet dobrze go nie znam.

– I mimo to zaprosiłaś go do swojego domu pod nieobecność Julie i Peytona? – Przechylił głowę na bok. – Muszę powiedzieć, Sydney, że jestem zaskoczony. Nie spodziewałem się po tobie czegoś podobnego.

– To moi koledzy. Potrzebowali studia. Nie ma w tym nic dziwnego.

– A ten gość za bębnami to kto?

Zamrugalałam, zupełnie zbita z tropu.

- O co ci chodzi?

Wzruszył ramionami, a potem oparł się o ścianę, uważnie mnie obserwując.

- Ot, zwykła ciekawość. Któregoś dnia widziałem was na parkingu tego centrum handlowego nieopodal Mason. Robiliście wrażenie dość sobie bliskich. A nawet bardzo bliskich.

Chwilę trwało, nim zrozumiałam. Przyglądał mi się w tym czasie z lekkim uśmiechem.

- Zamierzasz powiedzieć o tym mamie?

Nie odpowiedział, tylko spojrział w stronę studia, gdzie na kanapie rozciągnął się Spence z zamkniętymi oczyma, a obok na podłodze stała pusta butelka. Layli nie było nigdzie w zasięgu wzroku, co pewnie oznaczało, że nadeszła kolej na jej nagranie.

- Nie wiem - odparł z namysłem. - Pogadamy o tym później.

Chciałam wiedzieć już teraz, co knuje. Przyjął wyrok i uznać jego następstwa. Ale znałam Amesa. Wiedziałam, że mając taki atut w ręce, wykorzysta go w najdogodniejszej chwili.

- Sydney...

Spojrzałam w stronę drzwi prowadzących do studia i zobaczyłam w nich Irva.

- Tak?

- Jesteś nam potrzebna.

Odwróciłam się do Amesa.

- Ależ idź. - Rozpostarł ręce. - Zaraz dołączę.

Wróciłam do studia, gdzie za przeszkleniem zobaczyłam Laylę. Ze słuchawkami na głowie stała przed mikrofonem. Eric regulował ustawienia na konsolce, by Irv mógł dalej nagrywać, a z tyłu rozlegało się głośne chrapanie Spence`a.

- O co chodzi? - spytałam.

- Potrzebne nam tło wokalne - wyjaśnił Eric, manipulując wśród przycisków. - Nie mamy czasu na podkładanie dźwięku, więc ty zastąpisz podkład.

- Ja? - Cofnęłam się. - Przecież nie umiem śpiewać.

- Każdy umie.

- Pozwól, że sprostuję - broniłam się. - Nie umiem śpiewać dobrze.

- To nie jest opera. - Nie zamierzał dyskutować. - Musimy tylko dopełnić dźwięk.

Znasz tę piosenkę, prawda? „Four a.m.” Prescottta.

Oczywiście, że znałam. Kiedy już oprzytomniałam z cielecego uwielbienia dla sympatycznego Logana Oxforda, moim kolejnym olśnieniem był Paulie - zły



chłopiec. „Four a.m.”, jego największy hit, pół rap i pół wokal, to opis, jak wraca do domu po ostrej nocnej balandze z pićiem i bijatyką. A także opowieść o tym, jak przez całą drogę pragnie zadzwonić do pewnej dziewczyny, by na koniec stwierdzić, że na nią nie zasługuje. Czy istnieje trzynastolatka, która nie chciałaby być obiektem westchnień zakochanego buntownika? Tematem jego piosenki? Pamiętam, że słuchałam jej tygodniami.

- Chyba coś pamiętam - przyznałam się.

- Super. - Eric wstał i obrócił się do mnie. - A teraz słuchaj. Zmieniamy akustykę, wyciszamy tonację w stosunku do pierwotnej aranżacji. Pamiętasz te gitarowe akordy? To wszystko było teatralne, sztucznie nadęte. My zastosujemy chwyt odwrotny. Zrobimy to lekko, w tonie ballady, bardziej w stylu piosenki miłosnej niż chełpliwej recytacji podkreślającej liczne przejawy męstwa, prawdziwe lub nie.

Stojący za mną Ames gwałtownie zamrugął.

- Ożeż...

- Właśnie - ciągnął Eric. - No więc ty wejdiesz w trakcie refrenu i staniesz za Laylą, symbolizując rutynowy aspekt swej roli. Ma on podkreślić, że wyrażasz odczucie wielu dziewcząt, nie wyłącznie tej jednej, która śpiewa. Ale wchodzisz tylko na dwa wersy „Ty śpisz zaledwie milę stąd/ choć jesteś tak daleka”. Dwie następne...

- „Tak bardzo pragnę cię zobaczyć/ a w snach nie muszę czekać”? - Nie mogłam dłużej udawać, że nie znam tego na pamięć.

- Tak. To dla kontrastu będzie solo Layli. Widzisz, twoje słowa mówią o realiach sytuacji, o tęsknocie, podczas gdy następne wersy wkraczają w sferę ideału. Takie uczucia ze strony chłopców są bowiem marzeniem dziewcząt. Okej?

Jego wywód nie przerósł możliwości mojego umysłu, co dowodziło, jak dobrze poznałam Erica i jego koncepcje muzyczne. Gdy wrócił do zespołu, Ames wypuścił powietrze.

- Uau, słyszałem tę piosenkę setki razy, ale nigdy nie przypuszczałem...

- Nie ty jeden - pocieszył go Irv, regulując coś na konsolcie.

Odwróciłam się do szyby, patrząc na Laylę, która kiwała głową, słuchając Erica. Najwyraźniej wyjaśniał jej wszystko od początku. Mac siedział już przy bębnach i mówił coś do Forda, gdy poczułam, że zbliża się Ames. Położył mi ręce na ramionach i lekko je ścisnął.

- A więc śpiewasz? Nie mogę się doczekać, żeby to zobaczyć. Zdenerwowana?

- Nie - odparłam, choć nie było to prawdą. Lekko się odsunęłam, próbując się uwolnić, ale był za blisko. Nie zdejmował rąk z moich ramion i w tej samej chwili

ponownie je ścisnął.

- Będzie super. Tylko się odpręż.

Przełknęłam ślinę, reagując wręcz odwrotnie. Miałam nadzieję, że wyczuje moje napięcie i się odsunie. Nic z tego. Nadal dotykał moich ramion, gdy Mac podniósł wzrok.

I wtedy w jego spojrzeniu zobaczyłam Laylę. Przed wieloma tygodniami, w sądzie, patrzyła na mnie tak samo. Ale gdy w jej oczach, wówczas obcych, kryło się pytanie: „Wszystko w porządku?”, wyraz oczu Maca był zupełnie inny. Wiedział, że tak nie jest. Wstawał już, kierując się w moją stronę, gdy Eric oznajmił:

- Okej, Sydney. Jesteś gotowa?

Szybko odsunęłam się od Amesa i ruszyłam w stronę zespołu. Eric ustawiał już mikrofon. Gdy gestem wskazał, gdzie mam stanąć, Layla nachyliła się do mojego ucha.

- Co tu robi ten zbok?

- Zostaje na noc. Ale miał być dopiero o dziesiątej.

- Och... - Poprawiła słuchawki. - Jakie są szanse, że wygada wszystko twojej mamie?

- Mówi, że musimy porozmawiać.

Spojrzała na niego groźnie, gdy Ames, patrząc na nas, podniósł w górę kciuk.

- Przysięgam, że zostałam z tobą, ale muszę wracać do mamy.

- Nic się nie stanie - uspokoiliam ją, po czym zerknęłam tam, gdzie był Mac. Jak przypuszczałam, patrzył na mnie. Miałam zaledwie sekundę, by mu przekazać, że nie musi się niepokoić. Ale na wszelki wypadek dodałam szeptem: - Będzie dobrze.

W tym momencie mimo wszystko w to wierzyłam. Wiara ta towarzyszyła mi w czasie krótkiej próby, a i potem, gdy rozpoczęli nagranie. Niemal zapomniałam o stojącym za szybą Amesie i o tym, co czeka mnie później. W tej chwili liczyła się tylko muzyka. Gitara Erica i stojący za nim Ford. Magiczna słodycz głosu Layli płynąca wraz ze słowami, które tak dobrze znałam. I wreszcie mój własny głos zlewający się z jej sopranem, jeśli nawet trwało to zaledwie kilka sekund. No i przez cały czas był obok Mac, który kontrolował rytm i narzucał go całości.

Wspominałam to wszystko później jako ostatnie szczęśliwe chwile. I byłam za nie wdzięczna losowi. W końcu nie każdemu są dane.

\* \* \*

- No i co? Nagrało się?

Czekaliśmy w pełnym napięcia milczeniu, gdy Eric, marszcząc brwi, włączał kolejne przyciski.

- Jest okej - oznajmił po chwili.

- Alleluja! - wykrzyknął Irv w imieniu wszystkich. - Czy możemy wreszcie coś zjeść?

- Przecież ty przez cały czas jesz - zachnęła się Layla.

- Do tej pory tylko coś przekąsiłem, a teraz czas na posiłek.

- Musimy już wracać - oznajmiła. - Rosie na nas czeka. Zbierajmy się, co?

Mac skinął głową, po czym razem z Irvem i Fordem zaczęli pakować sprzęt i instrumenty. Słyszałam, że Ames kręci się na górze, Layla natomiast podeszła do Spence`a, który spał jak zabity.

- Na szczęście szybko trzeźwieje - powiedziała, szarpiąc go za ramię. - Spence, obudź się, wychodzimy.

- Jeszcze minutkę - mamrotał w poduszki.

Pokręciła głową i podniosła butelkę z podłogi. Zaczęła ją zakręcać, gdy raptem zmieniła zdanie - zdjęła nakrętkę i pociągnęła łyk. A potem podała butelkę mnie.

Przez kolejne tygodnie miałam odtwarzać tę chwilę wciąż od nowa. Bezmyślny odruch, który trwał sekundy, okazał się dla mnie punktem zwrotnym, wytyczył granicę między czasem przeszłym i przyszłym. Nie wiem, czemu wzięłam tę butelkę ani czemu podniosłam ją do ust. Może sprawiły to emocje tego wieczoru, a może obawy związane z Amesem. Tak czy inaczej to zrobiłam, bez względu na powody. Wypiłam głęboki haust i zamknęłam oczy, przełykając palący płyn.

Gdy je otworzyłam, w drzwiach stała moja matka.

Pojawiła się równie nieoczekiwanie jak Ames. Patrząc na jej twarz, zobaczyłam nagle wszystko z krystaliczną ostrością - gładkie szkło butelki w mojej dłoni, zwisającą z kanapy stopę Spence`a, chłopców krzątających się na granicy pola widzenia i coś do siebie mówiących, a obok Laylę, równie osłupiałą jak ja.

- Sydney? - spytała, jakby niepewna, czy widzi naprawdę mnie. Bruzda między jej brwiami była głębsza niż kiedykolwiek. - Co tu się dzieje?

- Mamo... - Szybko odstawiłam butelkę. Wydało mi się to ważne, choć już wiedziałam, że nie będzie miało znaczenia. - To nie... Oni tylko tu nagrywali.

- Ty pijesz? - W jej stwierdzeniu brzmiało tyle niedowierzania, że równie dobrze można było uznać je za pytanie.

- Tak naprawdę to wcale nie. - Jej wzrok przesunął się na butelkę, a potem na Spence`a, który głośno chrapał na kanapie. - To znaczy tylko łyk. Właśnie w tej chwili.

- Pijesz - powtórzyła, wpatrując się w głąb pokoju. - Kim są ci ludzie w studiu Peytona?

- To zespół mojego brata - odezwała się Layla. Mama spojrzała teraz na nią. - Ma na imię Mac. Poznała go pani u nas, w pizzerii. Chcieli nagrać demo, a Sydney...

- Mamo, przecież ci mówiłam, chyba pamiętasz? - przerwałam jej.

- A ja powiedziałam „nie”. - Urywaniem głosem wyraźnie wymawiała sylaby. A potem skierowała wzrok na mnie. - Świadomie złamałaś zakaz, Sydney. I sprowadziłaś do domu alkohol, nie mówiąc już o ludziach, których nie znam.

- Mamo...

Podniosła rękę.

- Dość. Nie chcę tego słuchać. Miałam ciężki wieczór. Wyprowadź ich stąd. Natychmiast.

Layla szybko podeszła do Spence`a, szarpiąc go tak mocno za ramię, że w końcu się obudził. - Co... - wymamrotał.

- Wstawaj - rzuciła, a potem podeszła do konsoly i włączyła interkom. - Pospieszcie się, chłopcy. Wychodzimy.

Eric odwrócony do nas tyłem westchnął.

- Robimy, co się da. To delikatny sprzęt.

- Szybciej - warknęła głosem ochrypłym z napięcia.

Wszyscy na chwilę przerwali swe czynności, by na nas spojrzeć. Dopiero wtedy zobaczyli mamę. Mac szeroko otworzył oczy. Nigdy nie widziałam go tak zdumionego. Zaraz jednak ruszył w naszą stronę.

O Boże - pomyślałam, jednocześnie wdzięczna i przerażona, gdy wychodził ze studia. Layla borykała się ze Spence`em, stałam więc tylko z mamą, gdy podszedł.

- Pani Stanford - zaczął. - To nie jest... Sydney zrobiła nam uprzejmość. Żałuję, że postawiłem ją w takiej sytuacji. To wyłącznie moja wina. Bardzo przepraszam.

Brzmiało to tak prawdopodobnie i szczerze, że aż ścisnęło mi się serce. Zawsze kiedy myślałam, że już bardziej nie mogę go lubić, okazywało się, że to jednak możliwe.

Przesunęłam ręką po jego ramieniu i zacisnęłam mu palce na dłoni.

- Nie musiałeś tego mówić.

- Ale chciałem - odparł.

- Przepraszam, kim ty jesteś? - warknęła mama.

- To Mac - wyjaśniłam. - Brat Layli. Mój kolega.

- A raczej chłopak - odezwał się głos z boku. Ames. - A może tylko koleś, z którym się bzyka na parkingach.

- Co?

Obróciłam się wolno, by zobaczyć znieruchomiałą Laylę. Patrzyła na nasze wciąż splecione ręce tak samo, jak przed chwilą mama patrzyła na butelkę. Jakby wprost nie mogła w to uwierzyć.

- Widziałem ich - powiedział Ames do mamy. - Nie zamierzałem ci o tym mówić, bo myślałem, że Sydney sama to zrobi. No, ale teraz już wiesz.

- Tak, teraz wiem - powtórzyła, a potem spojrzała na Maca. - Czy to twój alkohol?

- Nie - odparł. - Nie mój.

Potem zwróciła się do mnie:

- Wszyscy mają natychmiast stąd wyjść. Rozumiesz?

- Pani Stanford... - zaczął Mac.

- Nie odzywaj się do mnie. - Jej oczy pociemniały z furii. - Wynoś się z mojego domu i zabieraj swoich kolegów. Już.

Mac jeszcze przez moment nie puszczał mojej dłoni, ale w końcu jego palce się rozluźniły.

Po ich przyjściu, gdy wyciągali sprzęt, nieustannie słyszałam głosy - dyskutowali, co i gdzie ustawić, pokpiwali z wypadającego dysku Erica, mówili to i owo, jak zwykle grupa ludzi, którzy mają wspólny cel. Teraz nikt się nie odzywał. Wiedziałam o tym, bo nasłuchiwałam, co dzieje się w studiu, patrząc w oczy mamy, która nadal nie spuszczała ze mnie wzroku. Tyle czasu byłam dla niej niewidzialna. I oto nagle stałam się przedmiotem jej uwagi. Szkoda, że nie takiej, jakiej zawsze pragnęłam.

Mimo że stałam w pewnej odległości, widziałam ich wszystkich - Laylę, która nie patrząc na mnie, wlokła zaspanego Spence`a, zatroskane spojrzenia Erica i Forda, potężną dłoń Irva, która wydała mi się niebywale lekka, gdy krótko musnął moje ramię, i wreszcie Maca, który wychodził ostatni. Tylko wtedy mama oderwała ode mnie wzrok i popatrzyła za nim. Ja natomiast nie byłam w stanie tego zrobić. Nie zostałam jeszcze ukarana i nie wiedziałam, co mnie czeka. Ale moje serce, które otworzyło się po tak długim czasie, z wolna się kurczyło. A gdy zatrasnęły się za nimi drzwi, poczułam, że i ono się zamyka.

## Rozdział dziewiętnasty

Nie była to sala sądowa i nikt nie kazał mi wstać. Ale od razu wiedziałam, że czeka mnie rozprawa, gdy weszłam nazajutrz do kuchni.

Siedząca za stołem mama odchrząknęła i spojrzała na tatę. Była siódma rano. Pół godziny wcześniej wszedł do mojego pokoju i kazał mi wstać, wziąć prysznic i zejść na dół. Nie było to trudne, bo i tak całą noc nie spałam. Ale to, co miało nastąpić, zapowiadało się znacznie gorzej.

- Sydney - zaczął, gdy usiadłam przy stole, podkurczając nogi. - Myślę, że nie musimy mówić, jak bardzo, bardzo zawiedliśmy się na tobie.

Nie odezwałam się słowem. Wiedziałam, że jeszcze nie czas.

- Mama wyraźnie powiedziała, że nie zgadza się na udostępnienie studia twoim kolegom - ciągnął. - Mimo to zaprosiłaś ich tutaj. Jesteś niepełnoletnia i znasz zasady obowiązujące w tym domu, tymczasem był tu alkohol, a ty piłaś.

Teraz już nie mogłam się powstrzymać.

- Ja tylko...

Podniósł rękę, ale to wzrok mamy zatrzymał mnie w pół zdania.

- Dobrze wiesz, jak bardzo ciąży nam obojgu sprawa twojego brata i jak matwi nas jego sytuacja. To wprost niewiarygodne, że swoim zachowaniem nie wahałaś się obarczyć nas, twoich rodziców, jeszcze cięższym brzemieniem.

- Nie zamierzałam nikogo obarczać - wyszeptałam, wpatrując się w blat. - Chciałam tylko pomóc koledze.

- To ten Mac? - Mama wymówiła jego imię z takim wstrętem, jakby chodziło o jakąś paskudną chorobę. - Ames mówi, że to twój chłopak.

Czułam, że twarz mi płonie. Ale tym razem z gniewu.

- Ames nic o mnie nie wie.

- Najwyraźniej. Przyjechał tutaj, przekonany, że obejrzycie razem film, a zastał głośną imprezę.

- To nie była impreza.

- Sydney! Ktoś tu był pijany.

- To chłopak Layli i wcale go nie zapraszałam. Ledwie go znam.

- Doprawdy krzepiące - prychnęła mama.

- To nie jest... - Urwałam, próbując złapać oddech. - Layla i Mac są moimi

przyjaciółmi. Jego zespół chce wystąpić w konkursie, ale musi nagrać demo. A my mamy studio.

- Studio - przerwała mi - które zabroniliśmy ci komukolwiek udostępnić.

- Ale wcześniej się zgodziłaś! - przypomniałam. - Tego wieczoru, kiedy zamawiałam pizzę. Byłaś za. A potem zadzwonił Peyton ze swoimi pretensjami i zaraz wszystko się zmieniło.

- Ta sprawa nie dotyczy twojego brata - zwrócił mi uwagę ojciec.

- Chociaż raz! - rzuciłam tak gwałtownie, że zaskoczyłam ich oboje. - Zawsze chodzi tylko o niego, o Peytona. W porządku, przywykłam do tego. Ale ten jeden jedyny raz to było coś, na czym mi naprawdę zależało.

- Chciałaś zaprosić znajomych, żeby tu, w naszym domu, pić bez nadzoru alkohol - stwierdziła mama. - To naprawdę budujące.

- Nie! - powiedziałam tak głośno, że aż tata rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie. Zniżyłam więc głos. - Chciałam zrobić coś dla moich przyjaciół. Podziękować za to, że są dla mnie dobrzy. Odwdzińczyć się choć trochę, że przyjęli mnie do swego grona. To wszystko.

Mama westchnęła, popijając łyk kawy, podczas gdy tata pochylił się w przód.

- Mam nadzieję, że nas zrozumiesz - rzekł. - Jesteśmy naprawdę zdziwieni, że ludzie, których niemal nie znamy, stali się dla ciebie tak bliscy, że złamałaś dla nich zakaz i podważyłaś zaufanie, jakim cię darzyliśmy.

- Chciałam, żebyście ich poznali - przypomniałam. - I wciąż chcę. Zaprosiłam tu Maca tego wieczoru, kiedy pierwszy raz mówiliśmy o studiu. Poznałeś go, tato. To nie była tajemnica.

- Cieszę się - włączyła się mama. - Bo zaczęłam już myśleć, że kłamałaś w każdej sprawie.

- Dlaczego tak mnie traktujesz? - spytałam. - Nigdy nie stwarzałam problemów, dobrze o tym wiesz. To był jeden wieczór i jedna taka rzecz. Jeden błąd. Bardzo mi przykro. Ale nie możesz...

- Twój brat też zaczął od jednego błędu - odparła - który doprowadził do drugiego. A ten drugi...

- Ja nie jestem Peytonem - zaprotestowałam. Śmieszne, że musiałam o tym przypominać, bo przez całe moje życie powtarzali, że dobrze to wiedzą.

- Tak, do diabła, nie jesteś nim. I nie będziesz, dopóki ja będę miała coś do powiedzenia. - Odsunęła krzesło i wstała. - W poniedziałek z samego rana wybieramy się do Perkins Day, żeby porozmawiać o twoim powrocie. W międzyczasie będziesz chodzić do szkoły i nigdzie więcej. Zanim wszystko

zostanie załatwione, masz codziennie wracać do domu o piętnastej trzydzieści.

- Załatwione? - Ogarnęła mnie panika. - Nie możesz mnie przenieść do innej szkoły.

Gwałtownie odwróciła się w moją stronę i uderzyła pięścią w stół.

- Ja - krzyknęła mi prosto w twarz, aż się cofnęłam - mogę zrobić, co zechcę! Jestem twoją matką i ustalam zasady. Od tej pory będziesz ich przestrzegać. Koniec.

Odsunęła się i wyprostowała. Gdy wychodziła z kuchni, nie poruszyłam się, wciąż ściskając poręcz krzesła.

Tata jeszcze przez chwilę siedział w milczeniu. Wiedzieliśmy oboje, że jak zawsze ją poprze. Ale właśnie tę chwilę milczenia miałam sobie przypomnieć później. Zdawała się zapowiadać, że granice ustalonego przez rodziców zakresu odpowiedzialności mogą ulec zmianie. Być może zechciałby mnie wysłuchać, gdybym próbowała się tłumaczyć. W końcu nic już i tak nie mogło pogorszyć mojej sytuacji. Nie dowiedziałam się tego jednak, bo ze znużeniem się podniósł i przysunął krzesło do stołu. Rozprawa została odroczone.

\* \* \*

To Peytonowi mogłam podziękować za wszystko, co stało się tego wieczoru. Po naszej rozmowie zadzwonił na komórkę mamy właśnie w chwili, gdy rodzice meldowali się w hotelu. Niemal widziałam, jak odbiera telefon, rozpromieniona jak zawsze na dźwięk jego głosu. A także jak jej uśmiech blednie, ustępując miejsca zdumieniu, gdy powiedział, teraz już bez ogródek, że nie życzy sobie jej tam widzieć. Wyobrażałam sobie również, jak protestuje i drżącym głosem próbuje perswadować, zanim łzy napłynęły jej do oczu. I niemal słyszałam ciszę, która zapadła, gdy kategorycznie oświadczył, że nie weźmie udziału w więziennej uroczystości, nawet jeśli ona tam będzie, po czym się rozłączył.

Wszystko to nietrudno było sobie wyobrazić, podobnie jak jej drogę powrotną do domu, a także, jak wchodząc, usłyszała od Amesa, co dzieje się na dole. Dziwne było natomiast to, że choć byłam świadkiem wydarzeń, które nastąpiły potem, właśnie one zdawały mi się snem.

W niedzielę rano mama, już wypoczęta, przystąpiła do realizacji swego nowego projektu. Tym razem byłam nim ja. Stało się to oczywiście, gdy zeszłam na śniadanie i zastałam ją z kubkiem kawy nad jakimś lśniącym, nowym biuletynem i stosem kartek.



- A więc skontaktowałam się z dyrektorką Florence - oznajmiła bez powitania. - Jej zdaniem zmiana szkoły w połowie semestru nie będzie dla ciebie korzystna.

Stanęłam w miejscu, obiecując w myślach pani Florence - wysokiej kobiecie o ptasich rysach, która nigdy nie darzyła mnie szczególną sympatią - bezmierną wdzięczność.

- Czyli zostanę w Jackson?

Podniosła kubek i wypila łyk kawy.

- Do czasu wystawienia ocen. Potem wrócimy do sprawy. Na razie postanowiłam wprowadzić pewne zmiany.

To nie brzmiało obiecująco. Podeszłam do lodówki, wyjęłam mleko, a potem sięgnęłam po płatki i talerz. Wiedziałam, że czeka na moje pytanie. Nie zadałam go jednak, korzystając z jedynej przewagi, jaką miałam.

- Począwszy od jutra - odezwała się, odczekawszy chwilę - zapisałam cię w Kiger Center na zajęcia uzupełniające oraz przygotowawcze do egzaminu na uczelnię. Odbywają się od poniedziałku do piątku, od piętnastej trzydzieści do siedemnastej.

Kiger Center był ośrodkiem szkoleniowym, w którym pracowała Jenn. Mieścił się w centrum handlowym naprzeciwko wartowni Arbors.

- Mam przecież dobre stopnie. Podobnie jak wyniki testów przedegzaminacyjnych.

- Zawsze można je poprawić - odparła mama. - Ponadto grupa z Kigera codziennie w porze lunchu ma zajęcia w Jackson. Do niej również cię zapisałam.

- Mam się uczyć podczas lunchu?

Spojrzała mi w oczy.

- Jesteś w szkole średniej i musisz solidnie przygotować się do egzaminu na studia. Powinnaś wykorzystać każdą okazję.

- Przecież - wykrztusiłam, choć zdawałam sobie sprawę, że wszelkie dyskusje są daremne - cały czas będę się tylko uczyć.

Otworzyła folder i zaznaczyła coś na jednej z kartek.

- A więc będziesz dobrze przygotowana, gdy przeniesiemy cię do Perkins lub jednej z innych szkół, które biorę pod uwagę.

- Innych szkół? - Zapowiadało się coraz gorzej.

- Od czasu, gdy ostatnio robiłam rozeznanie, pojawiło się kilka nowych możliwości - odparła. Wyjęła kartkę i położyła ją przede mną. - Najchętniej typowałabym Kiffney-Brown, ale będziesz musiała naprawdę ciężko pracować, żeby zdać tam egzamin kwalifikacyjny. Otworzyli również szkołę społeczną z profilem matematyczno-przyrodniczym, co brzmi interesująco. Ale na razie zaczynam

zbierać dane.

Sądziłam, że lęk, który odczuwałam od czwartkowego wieczoru, nie może się już nasilić. Ale widok informatorów, rubryk z punktacją osiąganą przez kandydatów na wyższe uczelnie, wysokością chesnego (jeśli występowało) i warunkami przyjęcia uświadomił mi, jak bardzo się myliłam. Niejeden raz widziałam mamę w akcji. Peyton zdołał ją w końcu zmusić, by przestała organizować mu życie. Teraz miała pełny arsenał środków, nie wspominając już o czasie, by skoncentrować się na mnie.

- Wciąż jeszcze odreagowuje - pocieszał mnie Mac, gdy mu to relacjonowałam. Przynajmniej na razie nie odebrano mi za karę telefonu, mogłam więc dzwonić i pisać, gdy tylko nadarzała się okazja. - Przeraziła się, widząc cię z tą butelką, no i nas wszystkich w studiu. Aż nazbyt się to kojarzyło z wysokami twojego brata.

- Chce mnie przenieść do Kiffney-Brown - powiedziałam. - To szkoła dla jakichś geniuszy. Niepotrzebnie się łudzi, bo mimo wszystkich tych lekcji, na które mnie zapisała, nie mam tam żadnych szans.

- Ale to i tak lepsze niż ta społeczna - odparł. - Irv ma tam kumpli. Mówi, że straszne lamusy.

Znów ogarnął mnie lęk. Jednak nie z powodu wymogów naukowych, choć nie było to pocieszające. Znacznie gorzej znosiłam myśl, że rozdzielią mnie z nim, z Laylą i z całym tym światem, w którym jakoś znalazłam własne miejsce. Zakładając oczywiście, że nadal mnie tam chcieli.

- Czy coś mówiła? - spytałam go ponownie. Wysłałam do Layli dziesiątki esemesów, zostawiłam nawet wiadomość w poczcie głosowej. Nie otrzymałam jednak żadnej odpowiedzi. To fakt, że jasno określiła zasady dotyczące relacji z Makiem. Ale miałam nadzieję, że mi wybaczy albo choć mnie wysłucha.

- W głowie jej tylko Spence - odparł. - Totalny dramat. Wiesz, jak to wygląda.

W ten sposób uchylił się od odpowiedzi, a ja poczułam się jeszcze gorzej. Chathamowie byli czymś tak niezwykłym, jak widok karuzeli pośród gęstego lasu. Nie miałam pojęcia o ich istnieniu i natknęłam się na nich czystym przypadkiem. Teraz jednak, gdy już ich znałam, nie potrafiłam o tym zapomnieć i powrócić do życia, jakie prowadziłam wcześniej. Sama świadomość, że gdzieś są, wszystko zmieniła. Najbardziej zaś mnie samą.

W poniedziałek rano mama wyposażyła mnie w folder z informacjami na temat zajęć w porze lunchu (zdanie: „Obowiązuje codzienna obecność” podkreśliła na żółto) oraz z pakietem szczegółów dotyczących programu zajęć po lekcjach. Gdy weszłam do szatni przed pierwszym dzwonkiem, czekał tam na mnie Mac. Jedyłą

korzyścią z obecnej sytuacji – za to bardzo ważną – było to, że nie mieliśmy powodu dłużej się ukrywać.

- Hej – przywitał mnie. – Długo cię nie widziałem.

Uśmiechnęłam się lub raczej próbowałam, a on zamknął mnie w ramionach i przyciągnął do siebie. Mimo że otaczał nas zewsząd typowy dla Jackson hałas, wydawało mi się, że wszystko ucichło, gdy wcisnęłam twarz w jego koszulę i poczułam na czole odcisk medalika. Mac pachniał mydłem i kawą, a ja pragnęłam tylko stać, wdychając jego zapach tak długo, jak to możliwe. Rozległ się jednak dzwonek, więc odprowadził mnie do klasy, pocałował i zniknął w tłumie.

Wypatrywałam go potem wszędzie, podobnie jak Layli. Szkoła, która wydawała mi się przepastna i niezbadana, gdy zobaczyłam ją pierwszy raz, stała się znajoma i czytelna, od kiedy znalazłam tu przyjaciół. Z chwilą gdy pozbawiono mnie kontaktów z nimi w porze lunchu, szansa spotkania zależała tylko od szczęścia. Między drugą i trzecią lekcją gdzieś nad głowami uczniów dostrzegłam Erica, i zawsze, dokądkolwiek się kierowałam, starałam się przechodzić obok szafki Layli. Nigdy jednak jej nie spotkałam. Spiesząc na zajęcia grupy z Kigera w porze lunchu, wyciągnęłam szyję, by zerknąć przez okno na ławki, gdzie siadaliśmy dawniej. Ale nie miałam szczęścia. Plan mojej matki działał. Znowu zostałam sama. Tym razem jednak było mi dużo trudniej.

- Wszystko się ułoży – pocieszał mnie Mac, gdy któregoś popołudnia udało nam się spotkać na krótkich kilka minut w jego furgonetce, nim ruszyłam do centrum Kigera. Mama wcześniej dwukrotnie wysyłała mi esemesy, przypominając, że mam się w nim stawić dokładnie o piętnastej trzydzieści. Miała tam na mnie czekać, by ustalić program zajęć.

- To dopiero pierwszy dzień. Obiecuję, że wszystko dopracujemy – zapowiedziała.

Chciałam wierzyć zarówno jemu, jak i jej. Ale zbyt dobrze znałam moją matkę. Gdy zabrała się do czegoś, jej uścisk tylko się zacieśniał. Nie powiedziałam mu jednak tego. Nachylił się i poczułam jego usta na swoich wargach, a kiedy się odsunął i otworzyłam oczy, ujrzałam Laylę. Szła przez parking w wojskowej kurtce, a jej włosy luźno opadały na ramiona. Widząc nas, zatrzymała się i przez chwilę patrzyłyśmy na siebie, z czego Mac zupełnie nie zdawał sobie sprawy. Potem odwróciła się i ruszyła w przeciwnym kierunku.

\* \* \*

- No dobra – powiedziała Jenn, gdy późnym popołudniem mama wyszła w końcu

z Kiger Center, gdzie zamęczała wszystkich pytaniami i wątpliwościami. Była już szesnasta czterdzieści pięć, za mało czasu, by cokolwiek zaczynać, a jednak poleciła mi odsiedzieć do końca zajęć. – Co jest grane?

Usiadłyśmy w holu. Jej uczniowie, głównie młodzież z Arbors przygotowująca się do końcowego egzaminu kwalifikacyjnego, pisali test w sali znajdującej się w głębi budynku.

– Krótka wersja jest taka, że pod jej nieobecność zaprosiłam znajomych do domu i na dodatek piłam.

Zrobiła wielkie oczy. Zawsze mogłam liczyć na reakcje Jenn.

– Mówisz serio?

Przytaknęłam.

– W wersji dłuższej chciałam po prostu pomóc moim kolegom. Dodajmy do tego, że Ames jak zwykle był wredny, a mama weszła akurat w chwili, gdy piłam pierwszy i ostatni łyk alkoholu.

– Dłuższa wersja wydaje się znacznie bardziej skomplikowana.

– Dlatego jest dłuższa. – Odchyliłam się na oparcie niewygodnego krzesła, które wybrałam. Najwyraźniej przeznaczone było dla osób, które korzystały z niego przez chwilę i nie rozsiadały się na dobre. – Moi rodzice wyjechali do Lincoln odwiedzić Peytona. Tymczasem on oświadczył mamie, że nie życzy sobie jej widzieć. Wróciła więc do domu, gdzie na odmianę ja zaprosiłam znajomych. Od tego czasu jestem pod ścisłym nadzorem.

– Z wyjątkiem lekcji w szkole i tutejszych zajęć przygotowawczych do SAT[2] – dodała. Rozejrzała się wokół, po czym zniżyła głos. – Posłuchaj, nikt ich nie traktuje poważnie. Nawet ci, którzy powinni. A ty na pewno do nich nie należysz.

– Zapisała mnie również na zajęcia grupy z Kiger Center, które odbywają się w Jackson podczas lunchu.

– Co? – Jeszcze szerzej otworzyła oczy. Boże, jak ja kochałam Jenn. – Do czego ona zmierza? Masz przeskoczyć rok czy co?

– Interesuje się też Kiffney-Brown. A także tą nową społecznością.

– Rany, nie życzę ci żadnej. W Kiffney jest krwiożercza rywalizacja, a do Marks Carter bardzo ciężko się dostać. Znam ludzi, którzy jechali na xanaksie w trakcie aplikacji. – To była dziedzina, na której Jenn dobrze się znała. – Poza tym wiadomo, jakie znaczenie dla komisji rekrutacyjnych ma ciągłość nauczania. Czy ona naprawdę chce, żebyś musiała się tłumaczyć z trzech szkół w ciągu dwu lat?

– Myślę, że teraz chce mnie po prostu trzymać jak najdalej od Layli i Maca. Reszta spraw ma dla niej drugorzędne znaczenie, choć próbuje udawać, że jest

inaczej.

W głębi holu rozległ się wybuch śmiechu.

- Słyszę was! - zawołała Jenn i od razu wszystko ucichło. Westchnęła, kręcąc głową. - Mówiłaś mi już o Layli, ale kim jest Mac?

- To jej brat - odparłam. - Ten chłopak, który przywiózł nam pizzę, wtedy, na twoje urodziny. Może pamiętasz?

- Próbuję zapomnieć o wszystkim, co dotyczy tego wieczoru. - Odchrząknęła. - A czym on się naraził?

Spuściłam wzrok, zastanawiając się, jak wytłumaczyć, co nas łączy. Wciąż gorączkowo myślałam, gdy usłyszałam jej śmiech. Ze starymi przyjaciółmi tak bywa, że nasze milczenie mówi im więcej niż słowa.

- Sydney! - Wyciągnęła rękę i klepnęła mnie w kolano. - Rany, czemu nic mi nie powiedziałaś?

- To naprawdę...

- Ty się rumienisz! - Parsknęła głośnym śmiechem. - Nie dziwota, że ostatnio nie miałaś dla nas czasu.

Podniosłam na nią wzrok.

- Wybacz, że jestem taką beznadziejną przyjaciółką. Ja po prostu... zupełnie straciłam głowę.

Przez chwilę milczała, przyjmując do wiadomości to wyznanie, a także moje przeprosiny. Potem się uśmiechnęła.

- Rozumiem. A teraz zacznij od początku i wszystko mi opowiedz. No i muszę zobaczyć jego fotografię. Masz jakąś?

Oczywiście miałam. I to wiele. Kilka z tamtej nocy na karuzeli, kilka innych zrobiłam, gdy jeździliśmy razem po mieście. Ale tylko na jednej byliśmy we dwoje. Wtedy w Commons Park, siedząc w kabinie jego furgonetki, przytuliłam się do niego, a on oparł brodę na czubku mojej głowy. Patrząc na liście, które spadały na szybę, wyciągnęłam komórkę, odsunęłam ją na długość ręki i kliknęłam.

- Uau - powiedziała, gdy przewinęłam do ostatniego zdjęcia. - Musiałam być naprawdę pijana. Bo inaczej na pewno bym go zapamiętała.

Uśmiechnęłam się, patrząc na fotografię.

- Jest naprawdę miły. I wszystko to stało się niedawno. A teraz na dodatek do całej tej afery Layla się o nas dowiedziała...

- Dowiedziała się? - zdziwiła się Jenn. - To był sekret?

- W pewnym sensie. Tak. - Schowałam telefon. - Jakiś czas temu chodził z jej przyjaciółką. Zostawiła go, a on ciężko to przeżył.

- Przecież ty tego nie zrobisz - stwierdziła z takim przekonaniem, jakby to był dogmat. - Ona chyba to wie?

- Mam nadzieję - odparłam. - Ale chwilowo nie chce ze mną rozmawiać.

Jenn odchyliła się, zakładając nogę na nogę.

- To ci dopiero! Nie rozmawialiśmy przez tydzień, może dwa, a tymczasem w twoim życiu wszystko się zmieniło. Ja natomiast zmieniałam tylko dzwonek w telefonie.

- Daj spokój. - Uśmiechnęłam się do niej.

- Taka jest prawda. - Wyjrzała przez okno na uliczny ruch. - Może też powinnam przenieść się do Jackson.

- Koniecznie. Mogłabyś chodzić ze mną do Kiger Center.

Parsknęła śmiechem, a potem spojrzała na zegarek.

- Muszę wracać do moich głąbów.

- Jenn... - Byłam zdumiona.

- Och, proszę... To nie sekret, wierz mi. Większość z nich chodzi do tej samej klasy już trzeci rok. - Nachyliła się, krótko mnie obejmując. - To okropne, że się tu znalazłaś. Ale bardzo się cieszę, że cię widzę. Czy to źle?

Pokręciłam głową.

- Nie, chyba że się mną znudzisz. Będę tu bez przerwy, jeśli mama postawi na swoim.

- To niemożliwe. - Wstała. - Zobaczymy się jutro?

- Mhm.

Chwilę później skierowała się w głąb holu i zniknęła za drzwiami po lewej stronie. Ja natomiast zostałam tam do chwili, gdy zegar nad recepcją wskazał dokładnie piątą. Potem ruszyłam do samochodu. Otwierałam drzwi, gdy zadzwieczał mój telefon. Wiadomość od mamy.

*Wracasz do domu?*

Rozejrzałam się wokół, podejrzewając, że może być gdzieś w pobliżu i mnie obserwować. Wcale bym się nie zdziwiła.

*Wyjeżdżam* - odpisałam.

W przerwie, która nastąpiła, uruchomiłam silnik i wycofałam się z parkingu. Za mną z budynku Kiger Center wychodzili niepoprawni uczniowie Jenn, bez troski rozmawiając.

*Czekam o piątej* - brzmiał kolejny esemes od mamy. Byłoby to najnormalniejsze zdanie, gdybym nie wiedziała, że teraz stoi i patrzy na zegarek. Jechałam do domu tak wolno, jak tylko potrafiłam. Jakbym w ten sposób mogła zmienić to, co mnie

czekało. Gdy wjeżdżałam na podjazd, wszystkie popołudnia, które miały odtąd nastąpić, stanęły mi przed oczyma - jedne po drugich, niczym staranne, małe kwadraty w kalendarzu. Zapragnęłam odjechać tak szybko, jak się dało, nie oglądając się wstecz. Ale byłam dobrym dzieckiem, wbrew temu, co myśleli rodzice. Weszłam do środka.

## Rozdział dwudziesty

*2 ekstra duże wege, 2 ekstra duże rzymskie, sałatka grecka, krążki cebulowe. Wróż.*

Z uśmiechem podniosłam telefon, który leżał obok podręcznika do matematyki.

*Dziewczyny - odpisałam. - Chorobliwe wegetarianki. Ta od sałatki zamówiła też krążki.*

Wcisnęłam „wyślij” i czekałam. Był czwartkowy wieczór i już od dwóch tygodni obowiązywał mnie nowy harmonogram. Miałam jednak wrażenie, że upłynęło znacznie więcej czasu - całe lata. Choć prawdę mówiąc, nawet w tej sytuacji zdołałam wykraść dla Maca po kilka minut przed szkołą i po lekcjach, a czasem w drodze na zajęcia w porze lunchu. Wieczorami, odrabiając lekcje w swoim pokoju, miałam zawsze telefon pod ręką, żeby nie tracić z nim kontaktu. Nie było to wprawdzie to samo, co wspólne jazdy po mieście, ale jakoś się trzymałam.

Któregoś z pierwszych dni tego nowego reżimu spotkaliśmy się w szatni. Poprosił, żebym zamknęła oczy i wyciągnęła rękę. Gdy to zrobiłam, wsunął mi coś w dłoń.

- Teraz spójrz.

Otworzyłam oczy i ujrzałam srebrny łańcuszek, taki sam jak ten, który nosił, tyle że cieńszy i dłuższy, a na nim medalik z wizerunkiem świętego. Nie była to jednak ta sama święta, która mu patronowała. Na medaliku widniał profil mężczyzny z wzniesionymi do góry oczyma.

- Kto to jest? - spytałam.

- Nie mam pojęcia. Znalazłem ten medalik w słoiku, w którym mama trzyma ich wiele. Początkowo szukałem takiego jak mój, a potem choćby takiego, o którym bym coś wiedział. W końcu jednak, patrząc na podobiznę jakiegoś świętego, uznałem, że nie muszę znać jego tajemnicy. Że nic o nim nie wiedząc, nie ograniczę go do jednej, konkretnej sprawy, lecz pozostawię otwartym na wiele. Tak by mógł stać się wszystkim, czego zapragniesz.

Obróciłam medalik w rękę. Był mocno wytarty zarówno z przodu, jak i z tyłu, gdzie dostrzegłam kilka nieczytelnych słów. Mój uniwersalny święty...

Podniosłam wzrok.

- Cudowny. Dzięki.

- Niech cię wspiera.



Rozpiął łańcuszek, a ja obróciłam się i uniosłam włosy do góry. Gdy założył mi go na szyję i zapiął, medalik opadł na moje serce. Tam, gdzie być powinien, bo tam był również Mac. Od tej pory miał mi codziennie przypominać, że choć tak wiele czasu spędzałam sama, wcale tak nie było. Już nie.

Choć wypełniałam wszystkie polecenia mamy, nie dawała mi nawet chwili wytchnienia. Każdą minutę wypełniały mi zajęcia, a moje dni składały się wyłącznie ze szkoły i nauki. Miałam tak nienaganną obecność w Kiger Center, że zaproponowano mi pracę w recepcji. Rodzice wyrazili zgodę, uznając, że wesprze to moje starania o przyjęcie na uczelnię, a poza tym utrzyma mnie w pobliżu domu. Tak więc teraz, zamiast tracić czas na zajęciach, które – jak w końcu przekonała mamę Jenn – były dla mnie całkowicie zbędne, odbierałam telefony, odpowiadałam na pytania i pomagałam nadzorować testy. Było to daleko mniej interesujące niż rozwożenie pizzy, ale przynajmniej nie musiałam siedzieć w domu.

*Znowu zgadłaś* – odpisał kilka minut później. – *Stężenie estrogenu powyżej normy.*

*Zwątpiłeś we mnie?*

Chwila przerwy, a potem:

*Nigdy.*

Dzięki tym kontaktom, a także krótkim rozmowom w trakcie jego pracy i dłuższym, gdy po powrocie do domu odrabiał lekcje, zdołałam jakoś przetrwać wieczory. Telefon, który zawsze był mi potrzebny, stanowił teraz jedyny dowód, jak żyłam przed pechowym wieczorem w studiu. W szkole i w domu wszystko się zmieniło, ale zdjęcia, esemesy i sygnał w telefonie, który zaprogramowałam specjalnie dla Maca (brzmiał jak dzwonki karuzeli), stanowiły dowód, że kiedyś miałam inne życie. Nawet jeśli teraz uległo zawieszeniu.

*Naprawdę wiele nie tracisz* – napisał pewnego wieczoru. – *Irv wciąż wyjada wszystko w polu widzenia, a Eric ma obsesję na punkcie nazwy zespołu. Bla bla...*

*Jak twoja mama?*

Pani Chatham była ostatnio dwukrotnie na oddziale ratunkowym w związku z wysokim ciśnieniem, które stanowiło skutek uboczny nowego leku. Jej stan za każdym razem stosunkowo szybko się poprawiał, ale obserwując Maca, widziałam, że jego wrodzona powaga zmienia się w stałe przygnębienie.

*Lepiej* – odpowiedział. – *Powiem jej, że pytałaś.*

Nastąpiła chwila przerwy, aż w końcu się odważyłam:

*A Layla?*

*Powoli się uspokaja* – odpisał. – *Daj jej jeszcze trochę czasu.*

To nie było trudne. Czas był wszystkim, co miałam, choć straciłam wpływ na to, jak go spędzam. Ale popołudniami, gdy siedziałam w recepcji Kigera lub w domu za kuchennym stołem, odrabiając lekcje, bardzo mi jej brakowało. Nie w tak dotkliwy, skoncentrowany sposób, w jaki tęskniłam do Maca, ale inaczej – jakbym umieszczała ją w szerszej, bardziej ogólnej perspektywie. Myślałam o wszystkich tych godzinach, które wspólnie spędzałyśmy w Seaside, okruchach pizzy na naszych talerzach, o tym, jak stuknęła ołówkiem w blat i patrzyła w okno, gdy z szafy grającej płynęła muzyka country. A także o skomplikowanych przygotowaniach frytek przed lunchem, o jej dźwięcznym, wysokim głosie i śmiechu, gdy kpiała z Erica. Czułam się tak, jakbym była Dorotą z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*, która zmienia się z postaci biało-czarnej w kolorową, a potem znów wraca do poprzedniego stanu. Żeby zrozumieć utratę, trzeba coś najpierw otrzymać – przyjaźń, miłość, nadzieję. Ja wszystko to dostałam.

Jednocześnie uświadomiłam sobie, że Peyton przestał dzwonić. Miesiąc lub dwa wcześniej pewnie bym tego nie zauważyła, a jeśli nawet, to zapewne z ulgą. Teraz jednak w dni, które spędzałam w domu, włączałam „Big New York” lub „Los Angeles” i myślałam, że być może on też na to patrzy. Nie poprawiało mi to jednak nastroju, lecz przeciwnie, sprawiało, że zaczynałam do niego tęsknić w niezrozumiały dla siebie sposób. Wszystko się teraz zmieniało.

W kolejną sobotę siedziałam w pracy i pomagałam dziewczętom z Arbors ściągnąć naszą aplikację. Nie wiedziałam, czy przyczyną problemu jest jej telefon, czy coś z internetem, wpęłzałam więc pod kontuar, by sprawdzić połączenie. Gdy stamtąd wyszłam, przede mną stał Spence.

– Cześć! – Obdarzył mnie promiennym uśmiechem. Takim samym jak w dniu, gdy trzykrotnie zamawiał pizzę. – To naprawdę ty?

– Naprawdę – odparłam, polecając dziewczynie, by powtórzyła cały proces. – Co tu robisz?

– Lekcje przygotowawcze do SAT. – Wsunął ręce do kieszeni. – Muszę podkreślić wyniki. Podobno te wasze belferki to niezłe laski. To prawda?

Dziewiętoklasistka skuliła się nad blatem, odsuwając się od niego. Mądre dziecko – pomyślałam. Nie odpowiadając mu, spytałam:

– Co u Layli?

Wzruszył ramionami.

– W porządku. Zresztą mało się ostatnio widzimy. Mam szlaban. Moi starzy się wściekli.

– No proszę.

- Taaa... - Pstryknął placami, zbywając sprawę. - Na razie dokładam starań, żeby ich zmiękczyć. Nieźle mi idzie.

W tej samej chwili w holu pojawili się uczniowie z grupy, która zaczynała zajęcia o czternastej, a za nimi Jenn. Gdy wychodząc, tłoczyli się przy drzwiach, opadła na krzesło obok mnie.

- Czy jest już piąta? - spytała.

- Gdzieś tam pewnie jest - odpowiedział Spence, opierając się na łokciu. - Zawsze to powtarzam.

Jenn uśmiechnęła się uprzejmie, ja natomiast spojrzałam na ekran komputera, sprawdzając plan zajęć.

- To jest Spence - przedstawiłam go. - Z grupy na piętnastą.

- Poważnie. - Uśmiechnął się do niej, a potem do mnie. - Widzę, że moja przyszłość dobrze się zapowiada.

*W przeciwieństwie do twojej* - napisałam na skrawku papieru i pchnęłam go pod ladą do Jenn. Uniosła brwi. *Chłopak Layli* - dopisałam. Znała wystarczająco dobrze tę długą historię, żebym nie musiała podawać więcej szczegółów.

- Ooo... kej - powiedziała, wstając. Po czym rzuciła do Spence'a: - Przyniosłeś materiały naukowe?

- Co takiego?

- Dostałeś e-mailem wykaz materiałów, z których korzystamy w każdym semestrze.

Spojrzał na mnie.

- To załatwiła moja mama. *No hablo* żadnego wykazu. Sorki.

Jenn z westchnieniem wyszła z za kontuaru.

- Chodź za mną.

Zrobił, jak poleciła, i tak rozpoczęła się pierwsza z wielu „niewymownie uciążliwych”, wedle jej słów, sesji szkoleniowych.

- Myśli, że omota wszystkich swoim czarem, którego zresztą trudno mu odmówić. Ale nie w tym rzecz - komentowała później, gdy pakowałyśmy się przed wyjściem. - Problem polega na tym, że jest po prostu głupi, strasznie głupi. A to nie jest korzystna kombinacja. Nie rozumiem, jak Layla to znosi.

- Zawsze mówiła, że ma kiepski gust do facetów - odparłam. - A poza tym to nawet nie wiem, czy się widują.

- Byłoby dla niej lepiej, gdyby z tym skończyła. - Zapięła zamek w torbie. - Nie znam jej nawet, ale jestem pewna, że stać ją na więcej.

Najwyraźniej jednak Layla miała inne zdanie. Następnego soboty ujrzałam przez

szybę, że na parking przed Kigera wjeżdża Rosie. Obok niej siedziała pani Chatham, a gdy obróciła się do tyłu, zobaczyłam tam Laylę. Podnosiła właśnie torebkę i włosy opadły jej na twarz. Nie mogła mnie więc widzieć, gdy mówiła coś do matki, a potem wysiadała. Dopiero gdy samochód ruszył i spojrzała w okno budynku, nasze oczy się spotkały.

„Nigdy nie zapominałam twarzy” – powiedziała przed wieloma tygodniami, ale teraz zastanawiałam się, co myśli, widząc moją twarz. W czarnym swetrze, dzinsach i butach motocyklowych stała z torbą przerzuconą przez ramię, ja natomiast – jak zawsze, gdy ją widziałam, począwszy od tamtego wieczoru – zdałam sobie sprawę, że bardzo mi jej brak. Na kontuarze przede mną rozbłysł ekran telefonu, sygnalizując wiadomość, a jednocześnie pojawiła się ikonka Maca. Tym razem jednak nie złapałam gorączkowo aparatu. A potem, jakby chcąc mi to wynagrodzić, Layla weszła do środka.

W drzwiach rozległo się głośne „biip”, gdy je otwierała, ale żadna z nas nie odezwała się na powitanie. Nie podeszła też do recepcji, tylko przysiadła na jednym z niewygodnych krzeseł w holu. Był to jednak pewien postęp, zdecydowałam się zatem zrobić następny krok i powiedziałam:

– Cześć. Przyszłaś po Spence`a?

W końcu na mnie spojrzała.

– Tak. Mówił, że tu pracujesz.

A więc wiedziała i mimo to przyszła. Kolejny dobry znak.

– Dopiero od dwóch tygodni.

– Podoba ci się?

– Nie. – Blady uśmiech, który otrzymałam w odpowiedzi, ośmielił mnie na tyle, że dodałam: – Mama wpisała mnie tutaj na codzienne dyżury. Właściwie to powinni mi płacić.

Layla usiadła na poręczu krzesła, układając torbę na kolanach.

– Mac mówi, że ona trzyma cię na krótkiej smyczy.

– Raczej w obroży zaciskowej. – Mówiąc to, zdałam sobie sprawę, że wstrzymuję oddech. Wspomniała Maca, co chyba dobrze wróżyło. Boże, miałam tyle nadziei. – A jak ty?

Wzruszyła ramionami, bawiąc się frędzlem torebki.

– Jako tako. Mam dużo zajęć. Mama gorzej się czuła, ale myślę, że o tym wiesz.

Do tej pory cała ta rozmowa była jak domek z kart, który w każdej chwili może się rozsypać. Zawsze byłam z nią szczerą i czułam się winna, że w jednej sprawie postąpiłam inaczej, nawet jeśli tak było bezpieczniej.

- Słuchaj - zdobyłam się na odwagę - powinnam była powiedzieć ci o Macu i tym, co do niego czuję. Przepraszam.

Przygryzła wargę, wciąż międląc torebkę, a potem podniosła wzrok.

- Nie mogłam uwierzyć, że ukrywałaś to przede mną w tajemnicy. Myślałam, że mówimy sobie wszystko.

- Bo tak było. - Słyszając to, uniosła brew. - No dobra... Ale wciąż powtarzałaś, że zerwiesz nawet z najlepszą przyjaciółką, gdyby ona i Mac... A ja nie chciałam i nadal nie chcę wybierać między wami dwojgiem. Tyle że potem wszystko się wydało, a ty i tak mnie nienawidzisz.

- Sydney... - Przechyliła głowę na bok. - To nieprawda, że cię nienawidzę.

- Nie możesz mi wybaczyć.

- Bo oboje knuliście za moimi plecami.

- Jak miałam ci powiedzieć? Zagroziłaś, że nigdy więcej nie dopuścisz do tego, by spotykał się z kimś, z kim się przyjaźnisz.

- Nie. - Pokręciła głową. - Powiedziałam, że nigdy więcej nie chcę być odpowiedzialna za wprowadzenie w życie Maca kogoś, kto go zrani. Zamierzasz to zrobić?

Potrząsnęłam głową.

- Nie, na pewno nie.

- A więc nie ma problemu. Tyle tylko, że przez was wyszłam na idiotkę. A wiesz, że nie znoszę tego uczucia.

- Naprawdę mi przykro - powiedziałam. I tak było.

- W porządku. - Głęboko wciągnęła powietrze, po czym je wypuściła. - Ale jeśli go skrzywdzisz, to choć jesteś moją najlepszą przyjaciółką, skopię ci tyłek. Jasne?

- Jak dzień.

Teraz naprawdę się uśmiechnęła i przeszła przez hol, stając przy recepcji naprzeciw mnie.

- No to powiedz mi coś o tej nauczycielce. Spence twierdzi, że ona się do niego przystawia. Prawda czy nie?

Przez kolejne dziesięć minut, do chwili gdy Jenn i Spence wyłonili się z sali lekcyjnej, rozmawiałyśmy bez przerwy. O pani Chatham, jej pobytach w szpitalu i nowym leku, który zastosowano. O wznowieniu przez Rosie treningów i jej nadziejach na występy z Mariposą. O tym, że Eric wysłał wreszcie demo na konkurs, i choć nie zna jeszcze wyniku, jest jak zawsze pewien sukcesu. A także o trwającej nadal debacie na temat nazwy zespołu. Na koniec dowiedziałam się jeszcze, że Spence włamał się do baru swego ojczyma i za karę nie wolno mu

wychodzić, co praktycznie uniemożliwia im spotkania.

- Ale przecież tu jesteś - zdziwiłam się.

- Po wielu kombinacjach i tylko na godzinę - odparła. - Powiedział matce, że ma dodatkową lekcję, więc nie musi wracać przed piątą. Ale zabrali mu samochód, a ja nigdy nie mam szansy skorzystać z jednego z naszych, więc jesteśmy zdani na łaskę Rosie.

- Albo Maca - dodałam.

Pokręciła głową.

- On nigdy nie przepadał za Spence'em. A po tym, jak zachował się w twoim domu i jak cię wrobił, w ogóle szkoda gadać. Nie ruszy palcem, żeby mu pomóc. Nawet jeśli w ten sposób mógłby pomóc mnie.

Byłam wzruszona i jednocześnie poczułam się winna.

- Przykro mi.

- Daj spokój, ja go rozumiem. - Wsunęła za ucho kosmyk włosów. - Ale sama mówiłaś, że jak nam na kimś zależy, to nie da się tak po prostu odejść. Nawet jeśli są powody, prawda?

Skinęłam głową i wtedy dostrzegłam Jenn, która szła przez hol wyraźnie zmęczona. Z tyłu za nią dobiegał głos Spence'a:

- Rozchmurz się trochę. Nie chciałem cię urazić. Mówiłem tylko, że jeśli się uśmiechniesz, będziesz ładną dziewczyną.

- Przestań wreszcie gadać - warknęła Jenn. - Proszę.

- Ładniejszą! Chciałem powiedzieć: jeszcze ładniejszą - nie rezygnował, wyłaniając się zza rogu. - O, cześć, mała. Już jesteś!

Layla tylko na niego spojrzała chłodnym wzrokiem.

- Ee... Jenn, to jest Layla - próbowałam je sobie przedstawić. - A to, Laylo, moja przyjaciółka Jenn, z Perkins Day.

Jenn, jak zawsze przyjazna, wyciągnęła rękę.

- Miło mi cię w końcu poznać. Wiele o tobie słyszałam.

- Ja o tobie również - odparła Layla, ściskając jej dłoń. - A więc jest już geniuszem?

- Nie całkiem - uśmiechnęła się Jenn, siadając za kontuarem. - Ale robimy postępy w zakresie słownictwa.

- Zdekapitować - wyrecytował Spence, obejmując Laylę w pasie - to znaczy: odrąbać komuś głowę. Podoba ci się?

- Nie. - Odsunęła się od niego.

- A co byś powiedziała na frytki? - spytał niezrażony.

- Przynajmniej coś na początek. - Westchnęła, przerzuciła torbę przez ramię i odwróciła się do mnie.

- Do zobaczenia w poniedziałek.

Skinęłam głową.

- Do widzenia.

Patrzyliśmy z Jenn, jak wychodzą. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, ruszyli przez parking do CrashBurgera. Były tam frytki oceniane przez Laylę na siedem w skali od jednego do dziesięciu. Dobra wiadomość dla Spence`a. Zdobył punkt, który bardzo mu się przydał.

Dotrwaaliśmy z Jenn do piątej, kiedy to wyłączyłam komputery, zamknęłam recepcję i się z nią pożegnałam. Stałam przy swoim samochodzie, szukając kluczyków, gdy tuż za mną rozległ się klakson. Obróciłam się i zobaczyłam Rosie, która wjeżdżała na sąsiednie miejsce. Pomachałam do niej, a wtedy siedząca obok pani Chatham poprosiła gestem, bym podeszła.

- Dzień dobry - przywitałam ją.

Opuściła szybę, uśmiechając się do mnie.

- Witaj, skarbie - odparła, gdy Rosie wyłączyła silnik. - Co ty tu robisz?

- Pracuję w centrum szkoleniowym - poinformowałam.

- Mamo, lecę do marketu. Potrzebujesz czegoś? - spytała Rosie.

- Nie, zostanę i pogadam chwilę z Sydney.

Rosie wysiadła i głośno trzasnęła drzwiami.

- No więc jak sprawy w domu?

Nie byłam pewna, co wie. Przypuszczałam jednak, że wystarczająco dużo, by zrozumiała, jeśli powiem, że są skomplikowane.

Z westchnieniem pokiwała głową.

- A jak twój brat?

- On jest... - Umilkłam, po raz pierwszy nie wiedząc, jakich użyć słów, by opisać Peytona. - Ostatnio rozmawialiśmy trochę. O mamie, w pewnym sensie o tym, co się stało, i jeszcze o kilku innych sprawach. Niedużo, ale jednak.

- Cieszę się, że to słyszę. - Uśmiechnęła się. - Wolne postępy też są postępami.

- Uświadomiłam sobie ... - zaczęłam i zaraz przerwałam, by zaczerpnąć tchu - że może nie wiedziałam, co on naprawdę czuje. Zbyt wiele z góry zakładałam i teraz jest mi przykro.

- Niesłusznie. - Spojrzała na mnie uważnie. - Relacje między ludźmi ulegają zmianie, tak zresztą jak oni sami. To, że kogoś znasz, nie znaczy, że wszystko o nim wiesz. Nawet jeśli to jest twój własny brat.

- To dziwne, że gdy w końcu zaczęliśmy rozmawiać, on przestał się odzywać do mamy i w ogóle nie dzwoni. - Spojrzałam na swoje kluczyki. - Zezłościło go, że wciąż wtrącała się w jego życie. Nawet w więzieniu. No i teraz skupiła się na mnie.

- Słyszałam - zauważyła - że masz wiele nowych zajęć.

Zerknęłam w stronę CrashBurgera, ale Layli nadal nie było w polu widzenia. Zegar nad bankiem wskazywał 5:04. Mama już czekała, ale ja nie chciałam się żegnać. Jeszcze nie.

- Muszę przyznać, że postąpiłam niewłaściwie i podważyłam jej zaufanie. Ale stało się to pierwszy raz. Nigdy przedtem nie zrobiłam nic złego. Natomiast patrząc na to, jak mnie ukarała, można by sądzić, że kogoś zabiłam.

Obok przejechał samochód z rykiem muzyki. Dudniące basy niemal nas ogłuszyły. Pani Chatham odczekała, aż się oddali, a potem powiedziała:

- Ona się boi, Sydney. Nie chce stracić i ciebie.

- Ale to niesprawiedliwe. Płacę za to, co zrobił Peyton. Znowu. Mam już dość.

Jej wzrok był pełen współczucia.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że często myślisz o tym chłopcu, pamiętasz? Tym, którego skrzywdził twój brat.

- Tak, to David Ibarra.

Przytaknęła.

- Jeśli tak bardzo ciąży ci poczucie winy, to czy umiesz sobie wyobrazić, czym musi to być dla niej? Jesteś zaledwie świadkiem, ale twój brat to jej dziecko, jej odpowiedzialność. I cokolwiek zrobi, zawsze będzie częścią niej.

Pomyślałam o Rosie. Dotąd uważałam, że tylko ona poniosła koszty swego czynu. Teraz jednak nie byłam tego taka pewna.

- Chcę powiedzieć, że twoja mama nie może już zmienić tego, co on zrobił, ani niczego naprawić - ciągnęła. - Może się jednak postarać, by nie wydarzyło się to ponownie. Z tobą. Różnie doznajemy cierpienia i różnie sobie z nim radzimy. Ale to właśnie ono was łączy. Może powinnaś z nią o tym porozmawiać.

- Nawet nie wspomina Davida Ibarry - powiedziałam. - Interesuje ją wyłącznie Peyton.

- To, że nie porusza tej sprawy, nie znaczy wcale, że jej to nie obchodzi. Może jest wręcz przeciwnie? I dlatego właśnie nie chce o tym mówić.

Chwilę milczałam, przypominając sobie, jak zdumiały mnie słowa Peytona.

- Bo wtedy wszystko staje się bardziej realne - dodałam po namyśle.

- Właśnie.

Za mną zerwał się wiatr, podrywając w powietrze kilka liści. Zapragnęłam



znaleźć się w tej chwili z Makiem w Commons Park i zapomnieć o całym świecie. Łatwiej było chować w sobie żal, niż szukać innych rozwiązań. Współczucie i empatia to skomplikowane sprawy. Ale w moim życiu już od dawna nic nie było proste. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła 5.10.

- Muszę wracać - powiedziałam, gdy Rosie wyszła z apteki, trzymając w ręku torebkę z zakupami. Nadal nigdzie nie było Layli. - Mama się denerwuje, jeśli nie wie, co robię.

Pani Chatham pokiwała głową, po czym wysunęła przez okno dłoń. Podałam jej swoją, a ona mocno ją ścisnęła.

- Pomyśl o tym, co powiedziałam, dobrze? O szczerzej rozmowie.

Mrugnęła do mnie i puściła moją rękę w chwili, gdy Rosie siadała za kierownicą. Będąc już w samochodzie, spojrzałam na nie zza szyby. Coś do siebie mówiły, Rosie piła wodę sodową, a jej matka podjadała chipsy z torby. Wrzuciła kilka do ust, a potem podała Rosie torbę. Ta sięgnęła po chipsa i zaraz dała matce butelkę, proponując, by się napiła. Wszystko to odbywało się w tak naturalny, oczywisty dla nich sposób, że przez całą drogę do domu ta przypadkowa, nieistotna scena uparcie stała mi przed oczyma.

\* \* \*

- To naprawdę niewyobrażalne. Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym.

Wracałam do domu, wciąż myśląc o pani Chatham. Ale kiedy wjechałam na podjazd i ujrzałam lexusa, wiedziałam od razu, że temat Davida Ibarry zejdzie na dalszy plan. W kuchni zobaczyłam Amesa przy stole i mamę, która mieszała w garnku risotto.

- Zalegałem mu tylko miesiąc - oburzał się. - Zaledwie jeden! Myślę, że chciał się mnie pozbyć, żeby zgarnąć więcej od jakiegoś frajera.

- Powinieneś dokładnie przeczytać umowę - radziła mama, jednocześnie przyglądając mi się z uwagą, gdy zdejmowałam plecak. - Sprawdź, czy ma do tego prawo. Jeśli chcesz, mogę zadzwonić do Sawyera.

- Nie, nie rób sobie kłopotu - odparł, a potem spojrzał na mnie. - Sydney! Nareszcie jesteś!

- Wyszłaś później z pracy? - spytała mama. Jasne, że zauważyła.

- Trochę - mruknęłam. - Mam w czymś pomóc?

- Możesz nakryć do stołu. Ames też z nami zostanie. Pewnie umiera z głodu.

- Och, Julie... - westchnął, jakby nie wiedział, że przychodząc o tej porze,

automatycznie otrzyma zaproszenie na kolację. – Naprawdę nie musisz robić sobie kłopotu. Jestem już dużym chłopcem.

– I w dodatku bezdomnym – odparła. – Trzeba cię przynajmniej nakarmić.

Przeszłam za stołem w stronę szuflady ze sztucami, próbując na niego nie patrzeć.

– Ten cwaniak, mój gospodarz, wyrzucił mnie z domu – wyjaśnił niepytany. – Jeśli dodać, że w zeszłym tygodniu wylali mnie z roboty, to przyznaj, że mam fart.

– Niesłychane... – stwierdziła mama ze współczuciem. – Ale cóż, nieszczęścia chodzą parami.

– W moim przypadku tabunami – powiedział, nie spuszczając mnie z oczu. – Ale mam już zamiar na robotę, no i kumpli, którzy użyczą mi materaca. Poradzę sobie.

Słyszałam, jak na podjazd wjeżdża tata i otwierają się drzwi garażu.

– Po co masz gdzieś się błąkać, skoro u nas jest wolna sypialnia – oznajmiła mama. – Możesz zostać, póki czegoś nie znajdziesz.

Zamarłam z widelcami w dłoni.

– Och, Julie, nie... – W jego głosie brzmiała sztuczna stanowczość. – Nie chcę się narzucać.

– Co ty mówisz! – wykrzyknęła. – Po wszystkim, co zrobiłeś dla nas i Peytona, przynajmniej tak możemy się odwdzińczyć.

Nie wiem, jak zdołałam nakryć do stołu i wytrzymać przez całą kolację. Ames rozsiadł się na miejscu mojego brata, po lewej stronie taty i na wprost mnie. A potem miał się do nas wprowadzić. Nadal jednak udawał, że protestuje, gdy mama zapewniła, że udzieli mu wszelkiej pomocy, zanim „stanie na nogi”. Gdy skończyliśmy jeść, zwlekałam najdłużej jak mogłam z wyjściem z kuchni. Wolno wkładałam naczynia do zmywarki, a potem niespiesznie wszystko porządkowałam, zanim w końcu ruszyłam na górę, by odrabiać lekcje. Nie mogłam jednak nie widzieć, jak za oknem Ames wypakowuje swoje rzeczy (dziwnym trafem miał wszystko w samochodzie), a potem kolejno wnosi je do pokoju sąsiadującego z moim. Za każdym razem, przechodząc przez korytarz, zerkał w moją stronę. Aż w końcu głośno zamknęłam drzwi.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

- Jesteśmy...!

Nigdy wcześniej nie widziałam, by Eric biegł. Ale w sekundach poprzedzających ten okrzyk w okamgnieniu pokonał całą przestrzeń szkolnego parkingu. Teraz, ciężko dysząc, stał przed nami z triumfalną miną.

- Gdzie? - Mac spojrział na niego pytająco.

- Na liście! Zakwalifikowali nas! - Pochylił się, kładąc dłonie na kolanach, zaczerpnął tchu i znów się wyprostował. - Właśnie dostałem wiadomość.

- Serio? - zdumiała się Layla.

Kiwał głową, wciąż z trudem łapiąc oddech.

- Za trzy tygodnie od piątku występujemy w Bendo. Pięć zespołów w różnym wieku. Rany jeża, chyba dostanę zawału.

- No to, chłopie - Irv oparł się o bok furgonetki, wyjadając precle z dużej torby - musicie się sprężyć.

- Trzy tygodnie... - nadmienił Mac - to niewiele.

- Właśnie - przytaknęła Eric. - Będzie hardkorowo. Zagęszczamy próby, gaz do dechy. To absolutny priorytet.

- Niektórzy mają obowiązki - zauważył Mac.

- A nawet życie - dodała Layla.

Eric spojrział na nich, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Mówicie poważnie? To nasza wielka szansa! Nagrodą jest nagranie w wytwórni Hambone. Tam, gdzie zaczynali Truth Squad i Spinnerbait.

- Nienawidzimy Spinnerbait - skrzywił się Mac.

- Jasne, ale rzecz w tym - nie poddawał się Eric - że teraz nie ma nic ważniejszego.

- Oprócz mojego podwieczorku - wtrącił się Irv. - Więc jeśli mam was zabrać, to ruszamy do DoubleBurgera.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że tam jadasz. - Layla pokręciła głową. - Ich frytki są tłuste i gąbczaste.

- Właśnie takie, jak lubię - odparł Irv, na co wzniosła oczy do nieba. - Zbierajcie się, burczy mi w brzuchu.

Mówiąc to, nie przestawał pożerać precli. Jego apetyt zawsze mnie zdumiewał,

ale w takiej sytuacji wydał się wręcz niepokojący.

- Zaczynamy jutro po szkole - ogłosił Eric. - Tak? Powiem Fordowi.

- Zobaczę, co da się zrobić. - Mac miał niepewną minę.

- Raczej co musisz zrobić. To nie są żarty. I nie ma tu półśrodków. Wygramy albo przegramy. Triumf albo klęska. Sukces albo...

- Dlaczego ty nie widzisz nic pośredniego? Wszystko jest bombowe albo denne.

- Dlatego - odparł Eric - że w ten sposób prawdziwi artyści...

- Tak powinien nazywać się wasz zespół - rzuciła Layla, wpatrując się w telefon.

- Prawdziwi Artyści? - zdziwił się Irv.

- Nie. Bombowi lub Denni.

Zapadła cisza. Z doświadczenia wiedziałam, że zaraz ktoś zaprotestuje (zapewne Eric), po czym od nowa rozpocznie się dyskusja. Ale wtedy Mac rzucił:

- Podoba mi się.

- Intrygujące - zgodził się Eric. Przez chwilę myślał. - Poza tym wyraża koncepcję ironicznej interpretacji utworów, które wykonujemy, jak też ocenę ich wpływu na szerokie środowisko muzyczne. Są tak popularne i chwytliwe, że ich twórcom należy się uznanie. Nie zapominajmy jednak o szkodach, które wyrządziły. I to nie tylko produkcji muzycznej, obniżając jej poziom, lecz również społeczeństwu jako całości.

- Społeczeństwu? - zdumiałam się.

- Czasem lubię sobie tego posłuchać. - Irv zbierał się do odejścia.

- Muszę się nad tym zastanowić. Dam wam znać - rzucił Eric i ruszył za nim.

Patrząc, jak odchodzą, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że tworzą przedziwną parę.

- Duży i Hipster - stwierdziła Layla, jak zawsze czytając w moich myślach. - Są jak supermeni, tylko bez... ee... tego super.

Parsknęłam śmiechem, a potem spojrzałam na zegarek. Ostatnio często to robiłam.

- Jest późno, muszę iść.

- Już? - Mac spojrzał na mnie z żalem.

Te piętnaście minut, które udawało nam się wykraść przed moim wyjazdem z Jackson do Kigera, zawsze trwało zbyt krótko.

- Zostawiłam w domu ładowarkę do komputera i mama ma mi ją przywieźć. Dziś nie mogę się spóźnić.

- No cóż - westchnął, ale nadal mnie obejmował, a ja nadal nie próbowałam się uwolnić. To zazwyczaj wymagało kilku prób. Wtem poczułam, że w jego kieszeni

wibruje telefon. Odsunęłam się, żeby mógł go wyjąć.

Twarz mu się zmieniła, gdy spojrzał na ekran.

- Co się stało? - spytałam.

- Mama.

Layla stojąca obok mnie z drugiej strony podniosła wzrok.

- Co takiego?

Ale on już coś pisał.

- Trudności z oddychaniem, traciła przytomność. Zadzwonili do lekarza. Czeka na nich w szpitalu.

- Jezu! - jęknęła. - Jedziemy.

Podeszła do furgonetki, otworzyła drzwi od strony pasażera i rzuciła torbę na podłogę. Ale Mac stał w miejscu, przebiegając wzrokiem kolejną wiadomość.

- Mamy jechać do Seaside i tam czekać.

- Co takiego? Chcę jechać do szpitala.

- Tata się nie zgadza. Musimy zająć się lokalem. - Okrążył samochód. - Rosie będzie nas informować.

- Wiesz, jak ona to robi - protestowała Layla. - Dobrze, że w ogóle nas zawiadomiła. Ja muszę tam być.

- Czy ty słyszysz? Nie mogę cię zawieźć. No, wsiadaj, musimy się spieszyć.

- Ja ją zawiozę - rzuciłam bez zastanowienia. Dopiero w następnej chwili zdałam sobie sprawę, że nawet gdybym wyjechała do Kigera zaraz, byłabym już spóźniona.

- Serio? - spytał Mac, siadając za kierownicą. - A co z twoją mamą?

- To wyjątkowa sytuacja. Musi zrozumieć. - A przynajmniej miałam taką nadzieję.

- Dasz mi znać? - rzucił do Layli.

- Mhm. - Chwyciła torbę, gdy uruchomił silnik.

- Dzięki, Sydney.

- Nie ma sprawy.

Wycofał samochód, wzbijając kurz, i zaczął wyjeżdżać z parkingu, omijając znajome dziury. Minął wartownię, ledwie zwalniając przy znaku „Stop”, tak że wartownik krzyknął ostrzegawczo. Po chwili furgonetka zniknęła za zakrętem.

- Który to szpital? - spytałam Laylę, gdy i my wyjeżdżałyśmy z parkingu.

- U General.

Znajdował się na drugim końcu miasta.

- Jesteś pewna?

- To jedyny, którego koszty pokrywa nasze ubezpieczenie - odparła. - Przepraszam cię.

- Nie, nic nie szkodzi - zapewniłam, jednocześnie zerkając na zegar na desce rozdzielczej. Było już wpół do czwartej, a my jeszcze nie ruszyliśmy z miejsca.

Próbowałam nie myśleć o czasie, nawet wtedy, gdy wciąż natykałyśmy się na czerwone światła. Nigdy nie byłam w U General. Wszyscy mieszkańcy Arbors korzystali ze szpitala metodystów w Lakeview, zupełnie nowego i odległego zaledwie kilometr od naszej dzielnicy. Niejasne znaki drogowe utrudniały jeszcze orientację, zwłaszcza w dalszej części masta, której niemal nie znałam.

W końcu jednak, gdy przebiłam się przez rozległe tereny budowlane i odczekałam na kolejnych światłach, dotarliśmy przed oddział ratunkowy.

- Tu wysiądę. - Layla zebrała swoje rzeczy, gdy zwolniłam, a potem stanęłam za ambulansem z otwartymi tylnymi drzwiami. Wewnątrz nie było nikogo.

- Chcesz, żebym z tobą weszła?

- Nie, dam sobie radę. Dzięki, zadzwonię.

Wysiadła i przerzuciwszy torbę przez ramię, szybko weszła do budynku przez podwójne drzwi z automatem. Ogarnęło mnie poczucie winy, że zostawiłam ją samą, a jednocześnie ulga, że nareszcie skieruję się we właściwą stronę. Okrążając rondo, minęłam miejski przystanek autobusowy, gdzie na ławce tłoczyli się ludzie. Mały chłopiec z ręką na temblaku i poważnym wyrazem twarzy podążył za mną wzrokiem.

Byłam spóźniona na moją zmianę w Kigerze o ponad pół godziny. Wysłałam już Jenn wiadomość, że wypadła mi nagła sprawa i że przyjadę najszybciej, jak zdołam. Ale to nie ona stanowiła powód mojego zdenerwowania. Przez całą drogę do szpitala i z powrotem, tak w ruchu, jak i na kolejnych czerwonych światłach, czekałam, aż zadzwięczy mój telefon i usłyszę głos mamy: Gdzie jesteś? Nie wiedziałabym, co odpowiedzieć. Mogłam mieć tylko nadzieję na jej litość, gdy spotkamy się twarzą w twarz. Ale kiedy wjechałam na parking przed Kigerem, zamiast niej zobaczyłam Amesę.

- Sydney, Sydney... - Pokręcił głową, gdy wysiadłam. Trzymał w dłoni ładowarkę ze starannie zwiniętym przewodem, najwyraźniej ręką mamy. - Powinnaś być tutaj czterdzieści pięć minut temu.

- Musiałam coś załatwić. - Wyciągnęłam rękę po ładowarkę.

Cofnął się tak, że nie mogłam jej dosięgnąć.

- To ciekawe, bo Julie nie wspomniała, że masz jakieś plany. Wiedziała o tym?

Zacisnęłam szczęki. Czułam, że Jenn obserwuje nas zza kontuaru w recepcji.

- Musiałam odwieźć znajomą do szpitala.

- Och... Teraz już w porządku?

- Mam nadzieję. Mogę prosić o ładowarkę?

W końcu wolno mi ją podał.

- Wiesz, że znowu mnie stawiasz w kłopotliwej sytuacji? Twoja mama wiele dla mnie zrobiła. Nie powinienem jej okłamywać.

- Nie proszę cię o to.

- Ale jeśli jej powiem o twoim spóźnieniu - ciągnął, jakby mnie nie słyszał - to zapewne nałożą na ciebie dalsze ograniczenia. A ja nie chciałbym się do tego przyczynić.

Tym razem nie odpowiedziałam, próbując zgadnąć, jaką przyjmie taktykę.

- Powiedzmy - mówił - że zachowamy to w tajemnicy. Ale będziesz miała u mnie dług.

- Możesz jej powiedzieć. - Wzruszyłam ramionami. - Nie zależy mi na tym.

- No co ty! - Podniósł ręce do góry. - Nie jestem taki. To będzie nasz sekret, zgoda?

Nie podobał mi się jego ton, ale zanim zdołałam odpowiedzieć, zadzwieczał telefon. Wiadomość od Maca.

*Chwilowy alarm. Już dobrze* - przeczytałam.

- Muszę już iść - rzuciłam do Amesa, łapiąc klamkę, by otworzyć drzwi. - Czekają na mnie.

- Jasne - rzekł z zadowoleniem, odsuwając się na bok. - Do zobaczenia na kolacji.

Ruszyłam przez hol w stronę recepcji, weszłam za kontuar i rzuciłam torbę na podłogę. Jenn patrzyła na Amesa, który szedł do samochodu.

- O co mu chodziło?

- O nic - powiedziałam. - Zawsze jest jednakowo obmierzły.

Podniosła jakąś broszurę.

- Pójdę sprawdzić, co robią moje głąby, dobrze?

Skinęłam głową, a ona niebawem znikła w głębi korytarza. Wzięłam telefon, żeby odpowiedzieć Macowi.

*Bardzo się cieszę. Martwiłam się.*

*Już nie trzeba. Wszystko dobrze.*

Wyjrzałam na zewnątrz, gdzie z wolna zapadał mrok. Nadchodziła zima. Słowa na ekranie czekały na odpowiedź. A może nie. „Wszystko dobrze” było dobrym zakończeniem, punktem, w którym chętnie bym się zatrzymała. Pomyślałam, że przeciągnę tę chwilę tak długo, jak zdołam. Bo jeśli nie odpowiem, nie będzie dalszej rozmowy, dobrej ani złej. Siedziałam przez godzinę i nie odpisałam.

Wydawało mi się od co najmniej pięciu minut, że słyszę chrupanie. W końcu byłam już pewna.

- Czy ty coś jesz?

Cisza, a moment później:

- Czipsy ziemniaczane.

Zaniemówiłam. Od kiedy poznałam Maca, nigdy nie widziałam, by jadł coś niezdrowego. Jego typowy lunch składał się z plastra chudego indyka, odtłuszczonego sera, garści migdałów i dwu mandarynek. Było to wręcz niewyobrażalne, by konsumował tłuszcze nienasycone, i to jeszcze w produkcji z automatu. Zapadła cisza.

- Cokolwiek teraz myślisz - odezwał się w końcu - ja też to pomyślałem. Na dodatek z paraliżującym poczuciem winy.

- Od kiedy ty jesz czipsy?

- Praktycznie od urodzenia. - Kolejne chrupnięcie. - Aż do marca ubiegłego roku.

Od tamtej pory odstawiłem je jak ćpun prochy.

- Aż do...

- Wczoraj. - Chrupnięcie. - Te wszystkie sprawy zaczynają mnie przerastać.

Nie znajdowałam odpowiedzi. Mac charakteryzował się wrodzoną równowagą psychiczną. Nie należał do tych, którzy jednego dnia jaśnieją optymizmem, a drugiego wpadają w rozpacz. Zastanowiłam się jednak, może zbyt wiele sobie przypisując, czy i ja nie przyczyniam się do jego stanu.

- Jakie sprawy?

- Dotyczące mamy - westchnął, po czym usłyszałam coś, co nie budziło żadnych wątpliwości. Był to szelest zgniatanej torby po czipsach. Pięknie... - A także tego koncertu, no i... nas.

Ktoś przechodził korytarzem obok mojego pokoju, zwalniając przy drzwiach. Odruchowo spojrzałam w miejsce, gdzie powinien znajdować się zamek, gdyby istniał. Zniżyłam głos:

- Nas?

- Tak - odparł spokojnie. - Nie zrozum mnie źle, cieszę się każdą spędzoną z tobą chwilą. Ale ta sytuacja... jest daleka od ideału.

Czułam, że się uśmiecham.

- Wiem o tym. Przepraszam.

- Nie masz powodu przepraszać. To wszystko wina Spence`a. - Musiał się



przemieścić, bo przez moment jego głos w telefonie zanikł. – Oczywiście i bez niego byłoby kiepsko, gdyby twoja mama nas nakryła, ale na pewno nie aż tak.

- Layla mówi, że wciąż jesteś na niego wściekły.

- Bo jestem.

Zamilkliśmy. Nie umiałam powiedzieć, czy ktoś, kto przechodził korytarzem, poszedł dalej, czy stoi tuż za drzwiami. Od chwili gdy przed tygodniem Ames zamieszkał w naszym domu, zdałam sobie sprawę, że jedno i drugie jest możliwe.

Już wcześniej nie znosiłam jego wizyt. Drażniły mnie te przeciągłe spojrzenia i sposób, w jaki wodził za mną wzrokiem. Ale wszystko to okazało się teraz drobiazgiem bez znaczenia. Choć wprowadził się tylko z walizką, workiem marynarskim, kilkoma pudłami i komputerem, zdołał w krótkim czasie zagarnąć większość przestrzeni, którą musiałam z nim dzielić. Najpierw było pudełko papierosów przy drzwiach garażowych. Potem rzucony na podłogę naszej wspólnej łazienki mokry ręcznik z logo uniwersyteckiej drużyny koszykarskiej, nad którym codziennie musiałam przechodzić. A w dodatku z głośników jego radia za ścianą nieprzerwanie płynął potok rozmów i dyskusji. Słyszałam je w dzień i w nocy, tak że jeśli nie dręczyły mnie koszmary, w najlepszym razie śniły mi się rozmowy przy okrągłym stole i dyskusje panelowe.

Poza tym przy byle okazji wchodził do mojego pokoju. Masz może zapasową tubkę pasty do zębów? Wiesz, gdzie są żarówki? Czy też jest ci tak gorąco? I to już w ciągu pierwszych trzydziestu sześciu godzin. Miałam wrażenie, że nieustannie snuje się w pobliżu, zerka na mnie i przystaje, by porozmawiać, opierając się o framugę drzwi. Gdy zaczęłam regularnie je zamykać, pukał – trzy delikatne uderzenia, jedno wolne, dwa szybkie. A gdy otwierałam, zawsze wchodził do środka.

- Widzę, że ostro zakuwasz – zagaił poprzedniego wieczoru, gdy kończyłam wypracowanie z angielskiego na temat *Wichrowych Wzgórz*. Pracowałam przy biurku, on zaś usiadł na moim łóżku, przerzucając pismo, które tam zostawiłam. Zazwyczaj o tej porze przebierałam się w piżamę, ale teraz musiałam poczekać, aż wyjdzie. – Gdybym w szkole był taki jak ty, uniknąłbym wielu kłopotów.

Jak ostatnio miałam w zwyczaju, odpowiedziałam mu zdawkowym skinieniem głowy, udając, że bez reszty pochłania mnie zadanie.

- Peyton mówił to samo – ciągnął, przewracając kolejną stronę. – Że jesteś zupełnie inna niż on. I bardzo go to cieszyło.

Nigdy nie lubiłam rozmawiać z nim o moim bracie. Natomiast mama właśnie dlatego obdarzała go względami, zwłaszcza że teraz Peyton przestał się do niej

odzywać.

Od czasu nieudanego wyjazdu do Lincoln próbowała się z nim skontaktować na wszelkie dostępne sposoby. Telefony nie wchodziły w rachubę, więc codziennie do niego pisała, przekazując listy przez stowarzyszenie pomocy rodzinom. Ale jedynej odpowiedzi, jaką otrzymała, udzielił jej Ames, z którym mój brat nadal się kontaktował.

- Potrzebuje po prostu trochę przestrzeni - usłyszałam, jak mówi podczas jednej z ich ożywionych dyskusji przy kawie w kuchni. - Odezwie się, gdy będzie gotów.

- Po prostu czuję, że zrozumiałby mnie w końcu, gdybym mu to wytłumaczyła - zwierzała mu się. - Jeśli zadzwoni do ciebie, gdy będę w pobliżu, mogłabym próbować go przekonać.

- Też mi na tym zależy - odparł Ames. - I tak się może zdarzyć. Ale wiesz, że na razie musisz zaakceptować jego życzenia?

Ta rozmowa jeszcze bardziej przygnębiła mamę. Mnie zaś wydało się dziwne, że wprawdzie Ames omal nie wychodził z domu (twierdząc, że wciąż „bada rynek pracy”, choć nie widziałam, by cokolwiek robił), dotąd nie otrzymał od Peytona nawet jednego telefonu spośród - jak twierdził - wielu wówczas, gdy mama znajdowała się w pobliżu. Najwyraźniej jednak tylko ja zwróciłam na to uwagę.

Teraz, gdy na drugim końcu linii czekał Mac, wstałam, śmiało podeszłam do drzwi i je otworzyłam. Korytarz był pusty, ale przez lekko uchylone drzwi pokoju mojego brata padało światło i dobiegały odgłosy rozmów. Patrząc w przeciwną stronę, dostrzegłam sylwetkę mamy, która siedziała przy komputerze w swoim centrum operacyjnym.

- Mam nadzieję - powiedziałam, zamykając drzwi - że mama doceni moje zachowanie i trochę zmięknie. Naprawdę bardzo chcę zobaczyć wasz występ.

- W twojej sytuacji nie oczekiwałbym za wiele - odparł. - Staralbym się najwyżej otrzymać czasem zgodę na wybór miejsca, w którym mogę zjeść lunch.

- Na to też przyjdzie czas - zapewniłam, nadrabiając zwątpienie dziarskim głosem. - Ale ten koncert to nadzwyczajna okazja. To zdarza się raz. Pora też jest wczesna, więc robię, co mogę, żeby zebrać jak najwięcej punktów.

- Nie chcę tylko, żebyś była zawiedziona, jeśli się nie uda - odparł. - Oczywiście, bardzo mi zależy na twojej obecności, przecież wiesz. Ale to nie wszystko.

No właśnie. Wiedziałam, że nie wolno oczekiwać wszystkiego. I nigdy nie oczekiwałam. Chciałam tylko tego jednego. I choć było to wiele, myśl ta dodawała mi otuchy podczas długich popołudni w Kigerze i wieczorów, które spędzałam wpatrzona w niezamknięte drzwi swojego pokoju, jedynie w towarzystwie

Niezanego Świętego.

- Po prostu pomyśl o mnie dobrze - poprosiłam. - I zostaw te chipsy.

Czułam, że się uśmiecha.

- Będę się starał.

Rozłączyłam się i spojrzałam na kalendarz stojący na biurku. Notowałam tam terminy związane ze szkołą i pracą - sprawy osobiste zapisywałam w telefonie. Przejrzałam wpisy - test przedmaturalny, spotkanie informacyjne dla kandydatów na studia, termin wypłat w Kigerze. Na koniec wzięłam pióro, zatrzymałam się na dacie koncertu i zakreśliłam kółko, a potem drugie. Nic nie dopisałam, bo zabrakło mi pewności. Ale czułam, że wyróżniając tę datę, w pewnym sensie ją urzeczywistniam. I choć nie miała podpisu, wiedziałam, co oznacza.

## Rozdział dwudziesty drugi

Tata odchrząknął. Wiedząc z doświadczenia, że zapewne chce zmienić temat, wygłosić oświadczenie lub udzielić nam ważnej informacji, z uwagą na niego spojrzałam. To samo zrobiła mama. Tylko Ames nie przerywał jedzenia.

- A więc co nowego na froncie poszukiwań pracy?

Mama uniosła kieliszek z winem i wypła łyk. Sposób, w jaki patrzyła na tatę, mówił mi, że nie było to spontaniczne pytanie. Najwyraźniej poprzedzała je rozmowa i wspólny plan.

Ames przełknął kęs.

- Mam kilka namiarów. Jeden z moich przyjaciół z Walker zna ludzi w tym nowym hotelu Valley Inn. Potrzebują tam recepcjonisty, ale jest sporo chętnych, więc nie wiem, co z tego wyjdzie.

- Myślę, że oprócz hotelarstwa są jeszcze inne możliwości - rzekł tata. - Widziałem ostatnio wiele ogłoszeń typu: Potrzebna pomoc.

- Możliwe - Ames podniósł szklanekę z wodą - ale wolałbym nie zmieniać branży.

Rodzice wymienili spojrzenia, a potem tata stwierdził:

- No cóż, wypłata jest wypłata.

- Fakt - zgodził się Ames. - Mam jednak przeczucie, że się załapię w Valley Inn.

Cisza, która zapadła, była tak niezręczna, że poczułam, jak skręca mnie w żołądku. W końcu coś zaczynało się zmieniać. Nie wiedziałam tylko co.

Po kolacji poszłam do siebie i siadłam za biurkiem. Telefon położyłam w zasięgu ręki, w razie gdyby Mac zadzwonił między kolejnymi dostawami. Wyjęłam właśnie podręcznik do ochrony środowiska, gdy usłyszałam kroki na schodach, a potem: puuk, puk-puk.

Wstałam, żeby otworzyć drzwi.

- Co takiego?

- Mam prośbę. - Zrobił krok w przód, tak że musiałam wpuścić go do środka. -

Czy możesz mi pożyczyć ładowarkę do telefonu? Gdzieś zapodziałem swoją.

Nim zdołałam odpowiedzieć, wziął jedno z pism leżących na stoliku nocnym i usiadł na moim łóżku. Otworzyłam szufladę biurka i wyjęłam ładowarkę.

- Proszę.

Przewrócił stronę, a potem spojrzał na mnie, lecz nie wyciągnął ręki.

- O, super, dzięki.

Rzuciłam ładowarkę na łóżko obok niego i wróciłam do biurka. Nie drgnął nawet wtedy, gdy zabrałam się do pracy. Minutę po minucie słyszałam, jak przewraca strony.

Chwilę później zadzwieczał mój telefon. Spojrzałam na ekran - wiadomość od Maca.

*6 porcji czosnkowych bułeczek. Nic więcej. Zgaduj!*

Uśmiechnęłam się.

*Kolacja ze spaghetti dla fanów węglowodanów?*

*Dam znać.*

- No więc - odezwał się Ames - czym to się zajmujesz?

Położyłam telefon na blacie.

- Ochroną środowiska.

- Och! - Skrzywił się. - Sama nazwa przygnębia.

Nie odpowiedziałam, otwierając podręcznik w nadziei, że zrozumie to właściwie. Ale się myliłam. Właśnie zaczęłam się zastanawiać, jak go wyprosić, gdy w korytarzu pojawiła się mama.

- Sydney, zapomniałam powiedzieć, że... - zaczęła, lecz urwała na widok Ames siedzącego na moim łóżku. - Och, myślałam, że się uczysz.

- Owszem - odparłam.

- A ja jej przeszkadzam - oświadczył wesoło, zamykając magazyn.

Widząc, jak bruzda na jej czole się pogłębia, zrozumiałam, że właściwie odebrałam wcześniejsze sygnały. Wpływ, jaki dotąd na nią wywierał, wyraźnie osłabł. Może nawet całkiem go utracił, chociaż nawet tego nie zauważył.

- Powinna odrabiać lekcje - powiedziała sucho. - Czy tak?

Wreszcie na nią spojrział.

- Tak, jasne.

Mama odsunęła się od drzwi, wyraźnie robiąc mu przejście. Minęła chwila, a potem druga, nim zrozumiał jej gest i wstał.

- Dzięki za ładowarkę. - Przechodząc obok, ścisnął moje ramię. - Jesteś wielka.

Nie odpowiedziałam, tylko patrzyłam na mamę, która obserwowowała, jak ociągał się z wyjściem. Mijając ją, spytał:

- Masz ochotę na kawę? Chyba pójdę zaparzyć dzbanek.

- Nie, dziękuję - odparła. - Mam sporo roboty.

- Okej. - Skierował się w stronę pokoju Peytona. - Daj znać, gdybyś zmieniła zdanie.

Patrzyła, jak odchodzi. Kiedy w końcu spojrzała na mnie, szybko wróciłam do książki.

- Mają być otwarte czy zamknięte? - Wskazała drzwi.

Patrzyłyśmy na siebie długą chwilę. Zrozumiała - pomyślałam. Nie wszystko, ale jednak trochę. Nareszcie.

- Zamknięte - powiedziałam.

Skinęła głową i głośno je zamknęła.

\* \* \*

Następnego dnia po południu siedziałam w recepcji Kigera, słuchając, jak Jenn wyjaśnia swoim głąbom równanie kwadratowe, gdy tuż pod drzwi podjechała furgonetka Maca. Zamrugalam, nie wierząc własnym oczom. Zrozumiałam, że się nie mylę, dopiero wtedy, gdy wyskoczyła z niej Layla i wpadła do środka.

- Czy on tu jest? - rzuciła. Miała czerwoną twarz i spuchnięte oczy.

- Spence? - spytałam, choć nie było to konieczne. Pokręciłam głową. - Nie.

Zagryzła wargę, a potem wyjęła telefon i mi go podała. Przeczytałam wiadomości na ekranie. Najpierw jej pytanie, czy mogą się przynajmniej spotkać i porozmawiać, a potem jego odpowiedź: *Mam kurs doszkalający. Sorki.*

- Rzucił mnie! - Gdy na nią spojrzałam, rozpaczliwie łkała. - I to przez cholerny telefon.

- Och, Laylo - westchnęłam. Mac nadal siedział za kierownicą i choć pragnęłam go zobaczyć, bo zawsze tego chciałam, rozumiałam, dlaczego trzyma się na dystans. Tu chodziło o nią, nie o nas. - Tak mi przykro. To naprawdę ohydne.

- Co za dupek! - Otarła oczy wierzchem dłoni, pociągając nosem. - Wiedziałam, że coś się dzieje. Nagle zrobił się bardzo zajęty i nie odpowiadał na moje esemesy. No więc dziś do niego zadzwoniłam i spytałam wprost. Nawet nie próbował zaprzeczać. - Pociągnęła nosem, wrzucając telefon do torebki. Znów zerknęłam na Maca, nadal patrzył na nas z samochodu. - Nie rozumiem, czemu wciąż mnie to spotyka. Przecież jestem dobrą osobą, to znaczy staram się być, i...

- Jesteś. - Wstałam i obeszałam kontuar.

- Chcę tylko spotkać kogoś przyzwoitego. - Znów pociągnęła nosem, a jej oczy napęłniły się łzami. - Rozumiesz? Kogoś dobrego i troskliwego, jak w tych wszystkich romansach, które tak dobrze znam. Przecież to nie może być tylko fikcja, nie może. Tacy faceci gdzieś są, muszą być. Tylko ja nie mogę żadnego znaleźć.

W tym momencie głos jej się załamał. Objęłam ją i przyciągnęłam do siebie, a ona wtuliła mi głowę w ramię. Wiedziałam, że nie usłyszy, nawet jeśli coś powiem. W cierpieniu stajemy się głusi. Ale gdyby mogła mnie wysłuchać, powiedziałabym, że ma rację. Tak, tacy faceci istnieją. W gruncie rzeczy jeden z nich właśnie na nas patrzy. Trzyma się na odległość, bo wie, że w tej chwili mamy swoje sprawy, ale przecież czeka tuż za drzwiami.

\* \* \*

- Nie rozumiem, do czego jestem ci potrzebna - powiedziała ponuro Layla, kiedy kilka dni później siedziałyśmy po szkole na masce mojego auta. - Myślałam, że chodzi tylko o nagranie demo.

Do koncertu pozostawały niecałe dwa tygodnie i najwyraźniej nie tylko Mac zaczynał się denerwować. Eric, spięty nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, z uporem maniaka domagał się nieustannych prób i uwagi. Fakt, że Mac miał obowiązki, Ford odloty, a Layla złamane serce, bynajmniej go nie zniechęcał.

- Taki był początkowy plan - odpowiedział jej Eric, pokonując krótką odległość między moim samochodem a innym, stojącym obok. - Ale mówią, że ta piosenka szczególnie im się podoba. No więc chyba nie możemy jej pominąć.

- Nie planowałam występów publicznych. Nie mogę nawet znieść widoku swojej twarzy w lustrze.

Spojrzałam na Maca, który stał oparty o zderzak obok mnie. Wprawdzie poznałam Laylę w chwili, gdy rzucił ją poprzedni chłopak, ale uświadomiłam sobie, że dopiero obecna sytuacja zaważyła na jej poczuciu wartości. Ta odważna, pewna siebie dziewczyna nagle przygasła. Tylko czas - twierdził Mac - może ją uzdrowić. Choć i frytki odgrywają pewną rolę.

Eric podszedł do niej i położył jej ręce na ramionach. Spodziewałam się, że Layla się wzdrygnie, a nawet go odepchnie. Ale ona nieruchomo patrzyła gdzieś w bok.

- Będiesz wspaniała - powiedział ciepło. - Może zresztą tego właśnie ci trzeba?  
- Śpiewać piosenkę o przegranym związku przed tłumem widzów? - Westchnęła.  
- Nie sądzę.

- Śpiewać piosenkę o sile i odwadze pomimo złamanego serca - sprostował. - Tylko mi zaufaj, dobrze?

Nie wyglądała na przekonaną, ale go nie odepchnęła. A gdy nachylił się i pocałował ją w czubek głowy, zamknęła oczy.

Spojrzałam na Maca.

- Co to było? - szepnęłam.

- Chwilowe zamroczenie - odparł również szeptem. - Mówiłem ci, że ona nie jest sobą.

- Co wy tam szepczecie? - zainteresowała się Layla.

- Nic ważnego - odparł Mac.

- Że chcę przyjść na wasz występ. - Nie zdołałam się zreflektować i powiedziałam to jednocześnie z nim. Spojrzała na mnie obojętnie. - Zamierzam dziś prosić mamę, żeby się zgodziła - dodałam. - Życz mi szczęścia.

- Życzę. - Podciągnęła kolana pod brodę, wystawiając twarz do słońca. - Komuś się to w końcu należy.

Kiedy późnym popołudniem wyjeżdżałam z Kigera i kierowałam się do domu, miałam gotowe odpowiedzi na wszelkie zastrzeżenia. Nawet jeśli mama powie „nie”, choć liczyłam na to, że tego nie zrobi, moje argumenty powinny wywrzeć na niej wrażenie.

Gdy weszłam, stała przy kuchni, mieszając coś na patelni.

- Co to będzie? - spytałam, stawiając torbę na krześle.

- Smażony tempeh z pieprzem. - Rozległo się głośne syczenie, gdy wrzuciła coś na patelnię. Po jej lewej stronie leżała otwarta książka kucharska.

- Pomyślałam, że czas już sięgnąć do nowych przepisów, wprowadzić nieco zmian.

- Naprawdę? - Byłam zaskoczona. - Jest jakiś powód?

- Nie. - Dorzuciła garść zieleniny, a po chwili w powietrzu uniosła się woń cebuli.

- Po prostu odczuwam potrzebę zmian.

Nie wiedziałam, czy moment jest dobry, czy zły. W przypiływie optymizmu zdobyłam się jednak na odwagę.

- Właściwie to chciałabym pomówić o czymś, co się z tym wiąże.

Przerzuciła zawartość patelni, nad którą buchnęła para.

- Wiąże się z...

- Ze zmianami. Albo dyskusją na ten temat.

Milczenie, potem syk smażeniny i wreszcie:

- Słucham.

Zrobiłam głęboki wdech.

- Wiem, że postąpiłam fatalnie, zapraszając wtedy moich kolegów. I bardzo źle się stało, że chłopak Layli pił.

- Ty piłaś, jeśli dobrze pamiętam.

Jeden łyk - pomyślałam, lecz zaraz przypomniałam sobie, że mam się trzymać



tematu.

- Tak. Zachowałam się karygodnie. Ale od tamtej pory robię wszystko, czego ty i tata wymagacie. Chodzę na dodatkowe zajęcia w porze lunchu, po szkole pracuję w centrum Kigera, a w domu wciąż się uczę. Nigdzie nie wychodzę i nawet o to nie proszę.

Wciąż stała odwrócona do mnie plecami, nie widziałam więc wyrazu jej twarzy. Zabrzmiało jednak obiecująco, gdy powiedziała:

- Jak dotąd, nie przeczę.

Podjazd oświetliły reflektory samochodu, co oznaczało, że za chwilę pojawi się tata lub Ames. Oczywiście wolałam rozmowę w cztery oczy, więc musiałam się spieszyć.

- Zespół moich przyjaciół został wybrany do konkursowego koncertu. Nagrodą jest nagranie demo w dużej wytwórni. Występy zaczynają się wcześnie, bo o siódmej wieczorem w następny piątek. Wezmą w nich udział artyści z różnych grup wiekowych. Bardzo chciałabym to zobaczyć.

Zmniejszyła płomień palnika i odłożyła łyżkę. Potem obróciła się, by na mnie spojrzeć.

- To ci sami koledzy, którzy tu byli?

Skinęłam głową.

- Tak.

- Och, Sydney - westchnęła, przeciągając dłonią po włosach. - Wolałabym, żebyś poprosiła o coś innego.

Czułam, jak martwieje mi serce.

- Ale mnie zależy właśnie na tym.

- Na wieczorze w klubie? Z ludźmi, którzy piją?

- Pił tylko chłopak Layli. Zresztą już się rozstali.

- Nie w tym rzecz. Prosisz o poważne ustępstwo ze strony mojej i taty. Wolelibyśmy przywracać ci dawne przywileje stopniowo, w miarę postępów.

Pomyślałam, że Mac to przewidział.

- Chodzi tylko o ten jeden wieczór. - Nadal nie rezygnowałam. - Potem wszystko może wrócić do obecnej normy.

- Mówisz tak, jakby było w tym coś złego. Tymczasem ostatnio naprawdę dobrze się spisujesz. - Obróciła się znowu do kuchni. - Szczerze mówiąc, wahałabym się przed jakąkolwiek zmianą.

- Właśnie powiedziałaś, że masz na nią ochotę.

Roześmiała się.

- Ależ ja mówiłam o kolacji!

Rozległo się skrzypienie drzwi garażowych. Miałam minutę, może dwie, nim front się zjednoczy.

- Proszę, zastanów się nad tym. To wszystko, na co liczę. Ale nie mów „nie”. Jeszcze nie teraz.

Wyłożyłam sprawę, przedstawiłam argumenty, odparłam zastrzeżenia. Teraz pozostawała mi tylko nadzieja, że szczęście, o którym mówiła Layla, może w końcu mnie spotka.

- No dobrze - zgodziła się w chwili, gdy otworzyły się drzwi garażu. - Pomyślę o tym. A teraz podaj mi curry i kumin. Sos gęstnieje.

Wyjęłam z kredensu przyprawę, której potrzebowałam, a potem podeszłam do niej. Zawartość wielkiej patelni nie przypominała niczego, co robiła wcześniej. Nie wiedziałam nawet, co to jest tempeh, ale nie wyglądało to zbyt apetycznie. Tę uwagę zachowałam jednak dla siebie, gdy podawałam jej przyprawę. Zmrużyła oczy, patrząc w książkę, a potem otworzyła pojemnik z kuminem.

- Wóz albo przewóz - oznajmiła, przyprawiając danie. Znów buchnęła para, a potem rozległ się syk, gdy dorzuciła curry. Jeszcze jakiś czas mieszała warzywa łyżką, przekładając je raz po raz, i na koniec spytała: - No i co o tym myślisz?

- To naprawdę zmiana.

- Istotnie. - Dosypała jeszcze kuminu, a potem nachyliła się nad patelnią i długo wciągała w nozdrza zapach potrawy. Na koniec przywołała mnie gestem. Wahając się, podeszłam. Woń nie była dobra ani zła. Po prostu nowa. Inna.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Był sobotni poranek i wyszłam właśnie spod prysznic. Kiedy otworzyłam drzwi łazienki, usłyszałam głos Amesa:

- Julie? Możesz na chwilę?

Stał na korytarzu, trzymając w ręce telefon. Odruchowo owinęłam się ciasniej ręcznikiem.

- Nie bardzo - odpowiedziała mama ze swego centrum operacyjnego. - Pracuję.

- Chyba tym razem nie będziesz mi mieć za złe, jeśli ci przerwę. - Uśmiechnął się do mnie szeroko, idąc w stronę otwartych drzwi. A potem wyciągnął do niej telefon.

No cóż, wyrazy uznania - przyznałam w duchu. Stojąc w obliczu eksmisji z naszego domu i codziennego życia, dokonał jedyne cudu, do jakiego był zdolny. Wiedziałam to od chwili, gdy usłyszałam, jak mama mówi: „Halo!”.

- Peyton - poinformowała mnie ruchem warg.

Rozpromieniona, bez tchu wyrzucała słowa, tak że prawie się zlewały. I choć byłam za ścianą, niemal widziałam jej twarz, szczęśliwą i zarumienioną. W jednej chwili zupełnie się zmieniła, a z nią wszystko inne.

Ale nie całkowicie. Bo choć rozmawiali przez pełne pół godziny, a mama nie ruszyła się z miejsca, jakby w obawie, że czar nagle pryśnie, Peyton nie zamierzał się spieszyć. Kiedy spytała, czy może go odwiedzić, odparł, że nie, jeszcze nie. Na razie gotów był jedynie rozmawiać przez telefon.

Zastanawiałam się później nie raz, w jaki sposób Ames zdołał go przekonać. Co takiego powiedział, by przełamać patową sytuację? W każdym razie jego instynkt samozachowawczy w sytuacji zagrożenia zareagował bezbłędnie.

Tak dalece przywykłam do tego, że Peyton nie dzwoni, że gdy kilka dni później po południu rozległ się telefon, byłam zaskoczona. Wstrzymując oddech, wysłuchałam rutynowego komunikatu i zaakceptowałam rozmowę.

- Hej - powitałam go po chwili. - Kawał czasu.

Zapadło milczenie. Słyszałam tylko dobiegające z dali odgłosy.

- Taa... Sytuacja nieco się... skomplikowała. Ale to nie ma nic wspólnego z tobą.

Teraz ja zamilkłam. A potem wypaliłam:

- Tu też jest niewesoło. Mama nakryła mnie, jak piłam z przyjaciółmi. Wściekła się i od tamtej pory mam ścisły nadzór.

- Co takiego? Ty? Piłś?

Był tak zaszokowany, że zastanawiałam się, czy czasem nie zapomniał, gdzie sam się znajduje.

- Jeden łyk - powiedziałam. - I...

- Sydney, nie daj się w to wciągnąć. Jesteś na to o wiele za mądra.

- To był tylko łyk - powtórzyłam. - A ona odebrała mi wszystko, absolutnie wszystko. To niesprawiedliwe.

W ciszy, która zapadła, zdałam sobie sprawę, że nigdy jeszcze nie usłyszał ode mnie nic, co uświadomiłoby mu, jak jego postęпки odbiły się na mnie i naszej rodzinie. Natychmiast zapragnęłam się wycofać. Powiedziałam za wiele i zbyt szybko, a jednak padły słowa, które już dawno czekały, by w końcu wybrzmieć. Otworzyłam usta, lecz on odezwał się pierwszy.

- Masz rację. - Na chwilę zamilkł, a potem rzucił: - To niesprawiedliwe i naprawdę wkurzające. Wybacz mi.

Nie byłam przygotowana na to, co odczułam w chwili, gdy to mówił. Od bardzo dawna pragnęłam usłyszeć coś podobnego. Teraz jednak, gdy tak się stało, miałam ściśnięte serce.

- W porządku - zdołałam wykrztusić, a potem staraliśmy się nie mówić o tym więcej.

Jednak odtwarzałam tę rozmowę w pamięci raz po raz, usiłując przywołać uczucie, jakie we mnie wzbudziła. Podobnie jak mój Nieznany Święty, przyniosła mi pociechę, której potrzeby nie byłam świadoma. Aż do chwili, gdy w końcu ją znalazłam.

W miarę jak mijały dni, nastrój mamy się poprawiał, a we mnie wstępowała nadzieja. Data koncertu szybko się zbliżała, a ona była tak bez reszty zaabsorbowana Peytonem, że powinno to działać na moją korzyść. Cierpliwie czekałam, by w odpowiedniej chwili ponownie wrócić do sprawy. Chodziłam do szkoły, pracowałam w centrum Kigera, a potem odrabiałam lekcje. Wszystko to w nadziei, że w końcu moje starania zostaną docenione. Podtrzymywały mnie na duchu tylko krótkie chwile spędzane z Makiem oraz nadzieja, że będzie ich więcej. Dzień stawał się lepszy, gdy widziałam go przed pierwszym dzwonkiem i gdy całował mnie na pożegnanie przed odjazdem do Kigera.

Kilka razy dzwonił, gdy zespół zbierał się w szopie za jego domem, pozwalając mi słuchać, jak ćwiczą Bombowi lub Denni. Tak bowiem brzmiała - przynajmniej chwilowo - ich oficjalna nazwa. Włączałam wtedy tryb głośnomówiący i kładłam telefon obok siebie, siedząc w recepcji lub przy biurku w moim pokoju.

Wyobrażałam sobie, jak Eric przeży się przed mikrofonem, jak Ford kołysze się w transie, a Mac wybija rytm. Zdarzało się, że nagle przerywali, a potem znów zaczynali. Czasem wysiadał dźwięk, a czasem wybuchały typowe spory. Ale za każdym razem, gdy Layla zaczynała śpiewać, przechodził mnie dreszcz. Mogłam sobie jedynie wyobrażać, czym będzie jej występ w Bendo. Jeśli tylko pozwolą mi tam pójść...

Mac na zmianę ćwiczył i pracował. Jeśli miał zamówienie w mojej okolicy, wybierał trasę obok centrum Kigera, by choć na chwilę się ze mną zobaczyć. Częściej jednak wymienialiśmy wiadomości. We wtorek po południu wyłączyłam już komputer, gdy napisał:

*Miałem dziwną dostawę.*

Zazwyczaj zaczynał od treści zamówienia, oczekując, że zgadnę, kto jest zleceniodawcą. Byłam więc zaskoczona tą zmianą.

*Jaką?*

*Duża pepperoni, bułeczki czosnkowe.*

Nawet ja wiedziałam, że to najbardziej typowy zestaw. Podobne zamówienie mógł złożyć dosłownie każdy. Właśnie miałam odpisać, że potrzebuję więcej szczegółów, gdy znów brzęknął telefon.

*Myślę, że to ten chłopiec.*

Uniosłam brwi, nie rozumiejąc.

*Jaki chłopiec?*

Milczenie. Z pokoju konferencyjnego wyszła tymczasem Jenn, gasząc za sobą światła w korytarzu.

- Jesteś gotowa do wyjścia?

- Tak - odparłam. - Za sekundę.

*Ibarra?*

Wpatrywałam się w to słowo, początkowo nie mogąc połączyć liter. Zdarza się, że gdy widzimy coś zbyt często, w końcu odnosimy wrażenie, że napisano to w obcym języku. Jenn była już przy drzwiach i przerzucała plecak przez ramię. Wyszłam z recepcji i ruszyłam za nią. Na zewnątrz stanęłam obok, gdy włączała kodem system alarmowy i zamykała drzwi.

- Zobaczymy się jutro? - spytała. Gdy skinęłam głową, skierowała się przez parking do samochodu. Ja natomiast ruszyłam do swojego, jednocześnie wybierając imię Maca z listy „Ulubionych”. Wcisnęłam „połącz”.

- Skąd wiedziałeś, że to on? - spytałam, gdy odebrał.

- Nie wiedziałem. Przynajmniej nie od razu. - Nie wydawał się zdziwiony, że się

nie przywitałam. – Okazuje się, że jeździłem tam już wcześniej. To jest dom w bok od...

– Pike Avenue. – Oczywiście wiedziałam.

– Tak. – Mac prowadził. Słyszałam tykanie włączonego kierunkowskazu. – Z jakiegoś powodu dziś wszystko złożyło mi się w całość. To miły chłopiec.

Oczywiście. A teraz, choć widziałam go nie tak dawno na własne oczy w SuperThrift, wydał mi się bardziej realny niż kiedykolwiek przedtem. Tak właśnie działa przypadkowy kontakt, zderzenie rzeczy niczym niepowiązanych. Jakby los klepał nas po ramieniu, domagając się uwagi.

– Muszę iść – powiedziałam. – Absolutnie nie mogę się spóźnić.

Chwila ciszy. A potem:

– Wszystko w porządku, Sydney?

Nie byłam pewna. Do tej pory taplałam się przy brzegu, utrzymując głowę nad wodą. Teraz poczułam, że zagarnia mnie fala i niesie na głębinę. Koncert miał się odbyć za trzy dni. David Ibarra przestał być tylko twarzą i wirtualną stroną Ume.com. Mieszkał w konkretnym miejscu i mogłam tam pójść, gdybym się zdecydowała. Tak długo czekałam w nadziei, że coś się wydarzy i nastąpi zmiana. Teraz, gdy czułam, że się zbliża, mogłam zrobić choć tyle, by się nie cofać.

\* \* \*

Nadszedł czas.

– Mamo?

Podniosła wzrok znad biurka w swoim pokoju.

– Tak?

– Możemy chwilę porozmawiać?

W odpowiedzi zamknęła otwarty biuletyn. Była środa po południu, niezbyt daleko do piątku, lecz też nie niezbyt blisko. Odczekałam również do telefonu Peytona, wiedząc, że poprawi jej nastrój. Na dodatek zarówno Ames, jak i tata byli poza domem. Teraz albo nigdy – pomyślałam.

– Chciałam z tobą porozmawiać na temat piątku – zaczęłam – i tego koncertu, o którym ci mówiłam.

Między jej brwiami pojawiła się bruzda. Nie był to dobry znak.

– Koncertu?

– Prezentacji zespołu Layli i Maca. – Nie panikuj – powtarzałam sobie. – To koncert dla ludzi w każdym wieku. Powiedziałaś, że się zastanowisz.

Każde zdanie brzmiało pytająco. Wiedziałam, że to nie najlepsza taktyka. Zmobilizowałam więc resztki pewności.

- Zaczyna się o siódmej - oznajmiłam takim tonem, jakbym uzyskała już zgodę i teraz ustalała szczegóły. - Występują jako drudzy. Wrócę więc do domu najpóźniej o dziesiątej.

Bruzda się pogłębiła, choć pragnęłam tego nie widzieć.

- Powiedziałam chyba, że wolałabym, żebyś nie zaczynała od nocy w klubie.

- Mamo, od tygodni nigdzie nie wychodzę i z nikim się nie spotykam.

Westchnęła, już zmęczona tą rozmową.

- Po prostu uważam, że nie jest to dobry pomysł. Czemu nie zadzwonisz do Jenn i Meredith, żeby gdzieś z nimi pójść?

- To nie jest to samo - upierałam się, wiedząc, że dlatego właśnie proponuje takie rozwiązanie. - Proszę, powiedz, że mogę tam pójść. Proszę!

Posunęłam się w ostateczności do rozpaczliwego błagania. Następnym razem - pomyślałam - nie będzie żadnych planów ani strategii. Ale fakt, że myślałam o następnym razie, potwierdzał tylko to, co oczywiste. Przegrałam. Wciąż jednak nie wycofywałam się, chcąc ją zmusić, by powiedziała mi to prosto w oczy.

- Skarbie, nie - padło w końcu. A potem smutno się uśmiechnęła, co tylko pogorszyło sprawę. - Przykro mi.

Na tym koniec. Wielki Boże, strzał, który miał mi zapewnić wygraną, trafił na aut, ośmieszając przedwczesne nadzieje. Mogłam tam jeszcze stać i dalej dyskutować, przywołując wszystkie zebrane argumenty, ale nie miało to sensu. Mama nigdy nie zmieniała decyzji. Gdy raz powiedziała „nie”, oznaczało to „nie”.

- Trudno - skwitował Mac nazajutrz, gdy spotkaliśmy się w szatni przed pierwszym dzwonkiem. Na dodatek zaczęłam płakać, co było żenujące, a ponadto mało atrakcyjne. - To tylko jeden występ. Będą jeszcze inne.

- Co ty jej zrobiłeś?

Odwróciłam się i zobaczyłam Laylę, która piorunowała go wzrokiem.

- Nic - odparł speszony.

- Ta dziewczyna płacze, Macaulay. - Sięgnęła do torebki, wyjęła opakowanie chusteczek higienicznych i mi je podała. - Lepiej teraz ze sobą nie zrywajcie. Jeśli sama nie mogę być w szczęśliwej parze, chciałabym przynajmniej mieć jakąś pod ręką.

- To nie on - łkałam, wyciągając kilka chusteczek naraz. - To przez moją mamę.

Mówiąc o tym, jeszcze bardziej się rozszlochałam.

- Nie pozwoliła jej przyjść na nasz występ - wyjaśnił Mac.

- I dlatego płaczesz? - Layla westchnęła. - No wiesz, wiele bym dała, żeby ktoś zabronił mi na to iść. Eric strasznie się rządzi, a zapowiada się jeszcze gorzej. Czy Mac ci mówił, że każe nam medytować przed tym występem?

Wiedziałam, że chce mnie rozbawić, i byłam tym wzruszona.

- Co takiego?

- Okazuje się... - oparła się o szafkę obok, tak że stałyśmy ramię w ramię - że tak właśnie robią poważne zespoły przed poważną imprezą. Medytują i wizualizują. Ma to nas ustawić w ich kategorii mentalnej, ale ja się obawiam, że stoją tam już inni.

Pociągnęłam nosem.

- To mi wygląda na cytat.

- A jak myślisz? - Położyła mi głowę na ramieniu. - Będzie nam ciebie brak. Ale to tylko jeden wieczór. Niestety inni pewnie przyjdą.

Zadzwoił dzwonek. Pora do klas. Zegar nigdy mi nie sprzyjał. Mac objął mnie i przyciągnął do siebie.

- Już lepiej?

- Mhm - potwierdziłam, sięgając po jego rękę. Uścisnął moją i objął mnie jeszcze mocniej, zanim się odsunął. Gdy odchodził korytarzem do klasy, znów zaczęłam płakać.

- Młodzięcza miłość - orzekła Layla, podając mi nowe chusteczki.

Zakłopotana, otarłam oczy. Mieli rację. To tylko jeden wieczór i jeden występ. Tyle że nigdy nie byłam skłonna do płaczu i ten nagły wybuch emocji również mnie zaskoczył. Tak dalece, że dopiero znacznie później uświadomiłam sobie, dlaczego tak się stało. Otóż nie tylko dlatego, że decyzja mamy głęboko mnie zraniła. Bardziej jeszcze spowodowało go ich współczucie i zrozumienie, świadomość, że w takiej chwili nie jestem sama. Z reguły okazujemy słabość wobec tych, którzy potrafią nas wesprzeć. Mac i Layla potrafili to zrobić, nawet jeśli nie mogłam im się odwdzięczyć.



## Rozdział dwudziesty czwarty

- Czy umówiłaś się z Jenn?

Mama najwyraźniej miała wyrzuty sumienia. Oczywiście nie na tyle, by zmienić decyzję, ale czułam, że gdybym teraz o cokolwiek poprosiła, zapewne miałabym szanse uzyskać jej zgodę. Szkoda, że naprawdę zależało mi tylko na jednym.

- Nie - odparłam, zamykając zmywarę.

Wiedziałam, że na mnie patrzy, gdy wzięłam gąbkę i przecierałam blaty. Tata i Ames nadal siedzieli przy stole w jadalni, kontynuując dyskusję na temat sytuacji na froncie zatrudnienia/ zakwaterowania, która rozpoczęła się w czasie kolacji. Ames najwyraźniej się zdziwił, gdy temat znów wypłynął. Niewątpliwie sądził, że pośrednicząc między mamą i Peytonem, zapewni sobie więcej niż kilka dni zwłoki. Gdyby spytał, mogłabym mu powiedzieć, że moi rodzice nigdy zapominają. Kiedy raz podjęli jakąś sprawę, nigdy nie pozostawiali jej w zawieszeniu. Nawet jeśli nie było to dla wszystkich oczywiste.

- No cóż - powiedział do nich, sięgając po kolejny kawałek chleba - mój kontakt w Valley Inn nie wypalił. Ale mam dojsca w kilku innych miejscach.

- A mieszkanie?

Ames spojrzał na mamę.

- Stanowię dla was problem?

- Rozmawialiśmy o tym - odparł tata. - Zaproponowaliśmy ci pobyt tymczasowy, powiązany z intensywnym poszukiwaniem innych rozwiązań.

- Jak dotąd nic nie znalazłem. - Ames spokojnie smarował chleb masłem. Pomyślałam, że jeszcze wiele musi się nauczyć. A już na pewno powinien przestać teraz jeść. - Rynek pracy... jest teraz trudny.

Tata spojrzał na mamę, która wyciągnęła rękę w stronę krzesła obok niej, podniosła jakiś biuletyn i położyła go na stole. Ho-ho.

- Zadałam sobie niewiele trudu, przeglądając te ogłoszenia, i znalazłam sześć ofert odpowiednich do twoich kwalifikacji. A poza tym nie zliczę liczby poszukujących współlokatora do wynajęcia pokoju.

Ames przeżuwał, patrząc na nią, gdy pchnęła biuletyn przez stół. W końcu przełknął.

- Jeśli chcecie, żebym się wyniósł, to już się zwijam.

Odpowiedziała mu wymowna cisza. Mocno się przeliczył.

- Myślę, że tak będzie najlepiej - powiedziała po chwili mama. - Peytonie?

- Zgadza się z tobą. - Tata podniósł serwetkę i wytarł usta. - Doceniamy to, co dla nas zrobiłeś, ale tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Byłam w szoku. To zabawne, jak toczy się ten świat - pomyślałam. - Odmawia ci tego, czego najbardziej pragniesz, i oto nagle, zupełnie nieoczekiwanie oferuje coś w zamian. Pomyślałam, że w tym wypadku trzeba się było o to modlić.

Ames jak zawsze niełatwo kapitulował. Początkowo próbował wynegocjować jeszcze miesiąc, potem tydzień i resztę bieżącego. Pod przymusem coraz bardziej obniżał stawkę, aż w końcu ja i mama, nie mogąc na to patrzeć, wyszliśmy do kuchni. Tata natomiast był w swoim żywiole. Mógł tak dyskutować przez całą noc, a ja czułam, że może się to okazać konieczne.

Kiedy o wpół do ósmej ruszyłam do swojego pokoju, wciąż prowadzili rozmowę. Koncert zaczął się o siódmej i Irv obiecał, że gdy wejdą na scenę o siódmej czterdzieści pięć, połączy się ze mną przez HiThere!, żebym mogła zobaczyć ich w telefonie. Do tej pory towarzyszyłam im duchem, nieustannie wymieniając esemesy z Makiem i Laylą.

Layla:

*Eric właśnie powiedział, że mój strój nie jest dość meta. Co to, u diabła, znaczy? Nie dość czarny?* - Też nie byłam pewna.

Mac:

*Nawalila kontrola dźwięku i wszyscy kłócą się o stroje. Dobij mnie.*

*Będziesz wspaniała* - odpisałam.

Z korytarza przez wpółotwarte drzwi dobiegł mnie jakiś odgłos. Przestałam pisać i nasłuchiwałam. Chwilę później usłyszałam mamę chodzącą po swoim pokoju i wróciłam do telefonu.

*Jest dużo ludzi* - napisała tymczasem Layla.

*Zdenerwowana?*

*Nie.* - Chwila przerwy, a potem: *Tak.*

Kolejny brzdęk. Mac:

*Chyba w końcu przyłożę Ericowi. Dla dobra ogółu.*

*Spróbuj się opanować* - odpisałam. - *Słyszę, że macie powodzenie.*

*Nie my, tylko ten show.*

Cały Mac - pomyślałam i przesłałam do wiadomości od Layli.

*Chciałabym, żebyś tu była. To nie w porządku, że cię tu nie ma.*

Brzdęk. Mac:

*Wolałbym być z tobą w Commons Park.*

Ta jednoczesna wymiana esemesów przyprawiała o zawrót głowy. Ucieszyłam się więc, że obojgu mogę wreszcie odpisać to samo:

*Ja też.*

Była siódma czterdzieści pięć, gdy Irv wysłał mi zaproszenie z HiThere! Wcisnęłam "Akceptuj" i cały ekran wypełniła jego twarz. Z trudem go słyszałam w hałasie tłumu widzów.

- Wchodzą na scenę - relacjonował, gdy dziewczyna o platynowych włosach wpadła na niego z tyłu.

- Jak grał pierwszy zespół?

- Okropnie. Same nagłośnione wrzaski. Szczęście, że wszyscy nie uciekli. - Obrócił się, przepuszczając jakiegoś chłopaka w skórzanej marynarce. - Wszyscy już są. Tylko Eric... O, nadchodzi. Przepycha się przez tłum.

Leżałam na łóżku, uśmiechając się do siebie.

- Jasne, cały on.

Zaczęli. Rozległy się urywane akordy, kilka uderzeń bębna.

- Okej! - Irv przekrzykiwał hałas. - Jesteś gotowa?

Ktoś przechodził pod moimi drzwiami, ale teraz nie zwróciłam na to uwagi.

- Tak - odparłam. - Pokaż.

Obracałam telefon, w miarę jak zmieniał się obraz. Dzięki idealnemu punktowi obserwacyjnemu, w jakim stanął Irv, a także sile i zasięgowi jego rąk widziałam całą scenę oraz niemal w nią wciśnięty pierwszy rząd widzów. Eric w swej fedorze nachylał się do mikrofonu, na prawo od niego Ford szurał wielkimi stopami, a po drugiej stronie stała Layla w kowbojskich butach i czerwonej sukni, z włosami luźno spiętymi na karku. Eric zerknął na nią, uśmiechnął się i zaczął grać.

Ze zdenerwowania ścisnęłam dłonią medalik z moim Nieznanym Opiekunem, a potem wzmocniłam dźwięk na tyle, na ile tylko się dało. Gdy Eric przeszedł do znanej mi na pamięć piosenki Logana Oxforda, dotknęłam palcami ekranu i zaczęłam powiększać obraz. Przez chwilę wpatrywałam się uważnie, aż wreszcie znalazłam to, czego szukałam. Mac schylał się nad perkusją i grał w zapamiętaniu, aż włosy opadły mu na twarz. Być może tylko ja patrzyłam na niego tak uważnie. Nigdy się tego nie dowiem. Ale nie był niewidzialny. Nie dla mnie. Tutaj jesteś - myślałam. - Tutaj...

\* \* \*

*Ani słowa?*

*Jeszcze nie.*

Było po północy i wszystkie zespoły zakończyły już występy. Teraz sędziowie i sponsorzy konkursu mieli wyłonić zwycięzcę. My natomiast czekaliśmy – oni w klubie, a ja w swoim pokoju. Próbowalam się uczyć, ale nie potrafiłam się skupić. I nie tylko dlatego, że udzieliło mi się napięcie Maca i Layli (nigdy dotąd nie wysłałam tylu esemesów w tak krótkim czasie, co naprawdę o czymś świadczyło), ale również z powodu hałasów, które dobiegały z sąsiedniego pokoju. Tym razem dźwiękom radia towarzyszyły głośne odgłosy pakowania się. Gniewne i pełne złości.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co dzieje się obok, aż do chwili, gdy oni skończyli swój występ. Grali dobrze, a śpiew Layli wzbudził powszechny zachwyty. I choć w ostatnim refrenie nieco się posypali, byłam pewna, że nikt oprócz mnie nie zwrócił na to uwagi. Słyszałam ich głośno i wyraźnie, nawet przez mój telefon, podobnie jak brawa i oklaski, które nastąpiły później. Gdy rozłączyłam się z Irvem, wokół mnie zrobiło się nagle bardzo cicho. I wtedy usłyszałam pierwszy głuchy łomot, a po nim hałas wepchniętej szuflady. Zanim jeszcze rozległ się trzask zamykanej szafy, przed moimi drzwiami stanęli rodzice.

- Ames wyprowadza się jutro rano – powiedziała mama, gdy otworzyłam. -  
Chcemy tylko, żebyś wiedziała.

Kolejne walnięcie. Tata uniósł brwi.

- Wszystko w porządku? – spytałam.

- Tak – odparł. - To obustronna decyzja.

Przeczył temu jednak nieustanny raban trwający przez następną godzinę. W nocną ciszę wtargnął hałas zamykanych szuflad, a drzwi szafy łomotały w zawiasach. Było to na tyle niepokojące, że w jednej z krótkich przerw, podczas których Ames wychodził na papierosa, wymknęłam się z pokoju i pchnęłam uchylone drzwi do jego pokoju. Zerknęłam przez ramię, by sprawdzić, czy korytarz jest pusty, a potem podeszłam do łóżka, na którym stał rząd pudeł. W jednym były książki – powieści w miękkiej oprawie i kilka tytułów dotyczących uzależnień i sposobów terapii. W drugim bielizna i ręczniki oraz kilka par zwiniętych skarpetek. Natomiast w trzecim leżały chaotycznie kubki do kawy, zapalniczki i ładowarki, a w róg wetknięty był plik zdjęć. To, które dostrzegłam na wierzchu, przedstawiało Amesa i Peytona na piaszczystej plaży i zapewne upamiętniało wycieczkę do Jacksonville. Objęci ramionami uśmiechali się do obiektywu. Spojrzałam na następne, tym razem zrobione u nas, przy kuchennym stole. Przy łokciu mojego brata stał koktajl kawowy, on zaś, niecierpliwie unosząc brew, czekał

na trzask migawki. Kolejne ukazywało Marłę i Amesę na tle choinki w święta Bożego Narodzenia, a ostatnie, leżące na dnie, przypomniało mi uroczystą kolację w Luna Blu wydaną przez rodziców z okazji dyplomu Peytona. Pamiętam, jak mama podała kelnerce swój telefon, by na fotografii znaleźli się wszyscy obecni – pośrodku mój brat w śnieżnobiałej koszuli, z boków rodzice, dalej ja koło mamy, obok mnie Ames, a z jego drugiej strony Marla. Uśmiechaliśmy się w migotliwym blasku świateł, gdy rozległ się trzask flesza.

Wtem dobiegł mnie odległy sygnał telefonu. Wrzuciłam zdjęcie do pudła i ruszyłam biegiem do siebie, dopadając łóżka w nadziei, że nadeszła wiadomość o wyniku konkursu. Ale było inaczej.

*Jedziemy do szpitala.* – Tym razem Mac napisał w imieniu obojga. – *Mama. Jest źle.*

\* \* \*

Przez telefon można zrobić wiele rzeczy – wysłać wiadomość, zdjęcie, sprawdzić prognozę pogody, informacje i horoskop. Można kogoś widzieć i rozmawiać z nim w rzeczywistym czasie, grać w różne gry, opłacić parking. Ale jednego technologia nie zdołała skonstruować – aktu fizycznej obecności. Pogodziłam się w końcu z tym, że nie mogę uczestniczyć w koncercie moich przyjaciół. Ale teraz sprawa przedstawiała się inaczej.

Nie przyszło mi nawet na myśl, by prosić o pozwolenie na wyjazd do szpitala. Było już dobrze po północy, a ja otrzymałam wystarczająco wiele odmownych odpowiedzi na znacznie bardziej rozsądne prośby, by na cokolwiek liczyć. W panice, która ogarnęła mnie po otrzymaniu tej krótkiej wiadomości, odłożyłam telefon na bok i siadłam przy biurku, by skreślić kilka słów.

Nie zrobiłam tego wyłącznie po to, by uspokoić własne sumienie. Dobrze wiedziałam, że mama przeczyta najwyżej pierwsze dwa zdania, po czym ruszy mnie szukać, nie zważając na resztę. Zależało mi jednak na tym, by wyjaśnić motywy swojej decyzji. Jeśli miałam zostać osądzona, chciałam przynajmniej przedstawić szczegóły sytuacji.

*Mamo,*

*Jadę do U General. Odwiedzono tam matkę Layli i Maca i pragnę im towarzyszyć. Nigdy nie chciałam być nieposłuszna, zarówno dziś, jak i tamtego wieczoru w studiu. Nie jestem taka jak Peyton. Robię to jako ich przyjaciółka, a nie dlatego, że jestem złą córką. Wiem, że możesz tego nie zrozumieć, ale mam nadzieję, że*

*spróbujesz.*

Zostawiłam kartkę na klawiaturze włączonego komputera, a potem chwyciłam torebkę, narzuciłam żakiet i wyszłam, zamykając za sobą drzwi. Po miesiącach spoglądania na zegarek i obliczania czasu wiedziałam, ile potrwa, nim zostanę zdemaskowana. Nie ja jedna słyszałam, gdy otwierały się drzwi garażu.

Na dole było ciemno, tylko w kuchni paliło się pojedyncze światło. Zajrzałam do środka, lecz nie zobaczyłam nikogo. Wtem, gdy kładłam już rękę na drzwiach prowadzących do garażu, ktoś stanął za mną.

Najpierw wyczułam obecność i rozmiary ciała. Potem ciepło, a na koniec oddech. Tuż nad karkiem. Zamarłam, gdy przed moją twarzą pojawiła się ręka, rozczapierzone palce na drzwiach. Ames.

- Dokąd to się wybierasz?

Instynktownie złapałam gałkę, przekręciłam ją i mocno pociągnęłam. Ale drzwi nie drgnęły. Zamknęłam oczy, odruchowo chcąc się odwrócić, choć wiedziałam, że oznacza to kontakt twarzą w twarz, jeśli nie nos w nos.

- Zostaw mnie. - Próbowałam zdobyć się na zdecydowany ton.

- Sydney, minęła północ - rzekł drwiąco. - Nie sądzę, by twoi rodzice to pochwalali.

Poczułam woń papierosów. Byliśmy krępująco blisko, lecz nie mogłam się cofnąć, bo miałam za sobą drzwi. On zaś stał nieporuszony.

- Zostaw mnie - powtórzyłam, ale jeszcze bardziej się zbliżył. Podniosłam rękę, chcąc odepchnąć go otwartymi dłońmi, lecz złapał mnie za nadgarstki.

Dźwięk, jaki wydałam, łapiąc oddech, samą mnie zaskoczył. Przez cały ten czas, gdy krążył w pobliżu, a potem mieszkał z nami pod jednym dachem, czułam się osaczona. Jednak dopiero teraz, nie widząc drogi odwrotu, zrozumiałam, co to naprawdę znaczy.

- Ames - teraz głos mi drżał - odsuń się.

On jednak uśmiechnął się tylko i jeszcze mocniej ścisnął mi nadgarstki, jednocześnie odsuwając od siebie moje dłonie. Kiedy odepchnął je na wysokość moich uszu, naprawdę się przestraszyłam.

Wtedy się nachylił, zamykając oczy. Wiedziałam, że muszę działać. Zbyt długo zachowywałam się biernie, oglądając telewizję w długie samotne popołudnia i nie przyznając się rodzicom do tego, co mnie dręczy. Wszędzie wokół, w całym domu widniały ślady dziewczyny, którą byłam, a którą już nie chciałam być. Nadszedł czas, by spojrzeć prawdzie w oczy - Peyton nie był jedynym uwięzionym.

Zaciskając powieki, próbowałam się odwrócić, gdy przyłgnał do mnie ustami. Wówczas jednak szarpnięciem przytrzymał moją twarz, uniemożliwiając opór, a jego palce boleśnie wbiły mi się w podbródek.

- Chcę, żebyś na mnie patrzyła - wydyszał.

Nadal zaciskałam powieki.

- Nie!

- Sydney - wzmocnił uchwyt - spójrz na mnie.

- Nie! - Mój ściśnięty głos zabrzmiał jak krzyk. I nagle, słysząc go, uświadomiłam sobie, że moja prawa ręka jest wolna.

- Tylko... - zaczął. I wtedy z całej siły uderzyłam go w twarz. Rozległo się plaśnięcie, a on zachwiał się i cofnął, wpadając na ścianę.

Sięgnęłam do gałki, która dotąd wbijała mi się w plecy. Przytrzymując w palcach śliski metal, zdołałam ją przekręcić i otworzyć drzwi. Czułam się niemal wolna, gdy znów mnie dopadł i unieruchomił, obejmując w pasie. Tym razem głośno krzyknęłam i zaczęłam się wrywać, całym ciężarem prac w przeciwną stronę. Walczyłam w zapamiętaniu, gotowa na wszystko, gdy wtem, w ułamku sekundy, poluzował uchwyt, a ja, pchnięta siłą bezwładu, zsunęłam się po schodkach.

Tracąc równowagę, wyciągnęłam rękę, by oprzeć się o zderzak samochodu mamy. A potem spojrzałam za siebie, pewna, że nastąpi kolejny atak. Tymczasem zamiast Amesa zobaczyłam za sobą tatę.

Ręką z zaciśniętą pięścią trzymał go mocno za szyję i odciągał w głąb korytarza. Wszystko działo się tak szybko i było tak niewiarygodne, że zdołałam tylko zarejestrować odgłos uderzających w podłogę stóp Amesa. Nigdy nie widziałam, by twarz taty była tak zmieniona. Niemal go nie poznałam.

- Co ty chciałeś zrobić? - Jego głęboki, urywany oddech punktował każde słowo. - Co... ty... chciałeś... zrobić?

Ames jęknął, podnosząc rękę do góry, by się uwolnić.

- Nie mogę...

- Nic ci się nie stało? - spytał mnie tata, całkowicie go ignorując.

W milczeniu skinęłam głową. Tymczasem w głębi domu zapaliło się światło i usłyszałam głos mamy:

- Peytonie, co tam się dzieje?

Znów spojrzałam na tatę, a potem na twarz Amesa, teraz szkarłatną. Nie dałoby się szybko wyjaśnić im wszystkiego, a mnie pozostało niewiele czasu. Tak więc gdy tata pchnął Amesa na krzesło w kuchni, a cień mamy stawał się coraz bardziej wyraźny, w miarę jak schodziła po schodach, wskoczyłam do samochodu.

Bolały mnie nadgarstki i wciąż czułam palce wbijające mi się w podbródek, ale choć cała się trzęsłam, wiedziałam, że jestem komuś potrzebna. Wszystko, co poza tym się działo, musiało poczekać. Sięgnęłam po pilota i wcisnęłam guzik otwierający drzwi garażowe. Wydało mi się to dziwnie uzasadnione, że znajome skrzypienie i zgrzytanie – to samo, które słyszałam, gdy tata wyjeżdżał w noc aresztowania Peytona i gdy w moje samotne popołudnia mama wracała do domu – zapowiadało również początek czegoś, co miało nastąpić. Stało się odgłosem, przy którym życie w naszym domu na chwilę odkrywało się przed światem, zanim znów zasnuł je cień. Kiedy wycofywałam się podjazdem, nie próbowałam nawet sprawdzić, czy ktoś nie wybiegł, żeby mnie zatrzymać. Nie chciałam wiedzieć. Zostawiłam za sobą otwarte drzwi.

\* \* \*

Mimo oszołomienia tym, co mnie spotkało, na każdym świetle, które mijałam w drodze przez miasto do szpitala, sprawdzałam wiadomości. Zbyt dobrze znałam Maca, żeby wiedzieć, że napisałby natychmiast, żebym się nie martwiła, gdyby nie było po temu powodów. Ale się nie odzywał.

Szpital U General był jasno oświetlony. Mimo późnej pory panował tam gorączkowy ruch. Zaparkowałam w pobliżu i pobiegłam do izby przyjęć, gdzie tłok i hałas wręcz przypominały Jackson, z tym że więcej tu było dorosłych ludzi i płaczących dzieci. Gdy odczekałam długich piętnaście minut, pielęgniarka poinformowała mnie, że pani Chatham została przyjęta na oddział i jest w pokoju 919, co zapisała na skrawku papieru. Jadąc windą na górę, wpatrywałam się w tę liczbę tak intensywnie, jakbym mogła wyczytać z niej to, czego się dowiem, gdy dotrę na miejsce. Uległam magicznemu myśleniu w najbardziej rzeczywistym czasie, lecz gdy drzwi windy się rozsunęły, włożyłam papierek do kieszeni.

Z każdym wykonywanym ruchem – wówczas gdy wciskałam przycisk w windzie, gdy patrzyłam, jak przed moimi oczyma przemykają kolejne piętra, i gdy na dziewiątym stawiałam pierwsze kroki po wyblakłym, przetartym linoleum – wyobrażałam sobie inne czynności, które rozgrywają się w tym samym czasie. Widziałam, jak mama obudzona szamotaniną na dole, a może naszymi głosami, najpierw wpada na tatę i Amesę w kuchni, po czym wybiega, by mnie szukać. Jak wchodzi do mojego pokoju i znalazłszy kartkę, gorączkowo narzuca ubranie i wskakuje do samochodu, ruszając w ślad za mną. Oczyma wyobraźni zobaczyłam dwa posuwające się osobnym torem istnienia, których drogi wkrótce miały się



przeciąć, nie inaczej niż kiedyś, innej nocy, stało się to w przypadku Peytona i Davida Ibarry. W każdej chwili istnieje nieskończenie wiele szans, by drogi się przecięły, a ludzie zderzyli ze sobą, zjednoczyli lub dokonali wielu innych rzeczy, które mogą się mieścić pośrodku. Zadziwiające, że w ogóle potrafimy żyć, wiedząc, co może się wydarzyć za sprawą zwykłego przypadku.

I właśnie to – nie życie – było najbliższe w szpitalu. Widziałam to w zasuniętych lub rozsuniętych zasłonach, słyszałam w odgłosach aparatury, westchnieniach i jękach.

Przy końcu korytarza dostrzegłam napis: „Poczekalnia dla rodzin”. Ale pokój z kanapami, fotelami i wyciszonym, choć włączonym telewizorem w kącie był pusty. Miałam już zawrócić, gdy zobaczyłam oparty o ścianę futerał z gitarą, a obok worek marynarski. A na krześle odsuniętym od jedyne go stołu znajomą torebkę i napoczęty lizak YumYum na chusteczce. A więc przed chwilą tu byli. I wyszli w pośpiechu.

Dziewięćset dziewiętnaście – myślałam, wracając przez korytarz. Pokoje, które mijałam, rozmazywały mi się przed oczyma, gdy skupiałam się na samych liczbach. 927. Wyobrażałam sobie mamę za kierownicą, jadącą w ciemnościach przez miasto. 925. W oddali wyłania się szpital. 923. Ten sam jasny, zatłoczony hol. 921. Mało czasu. Ale dotarłam na miejsce.

Drzwi były otwarte. Zatrzymałam się przed nimi, z trudem łapiąc oddech. Tuż za progiem, odwrócony do mnie szerokimi plecami, stał Irv. Trzymająca go za rękę Rosie w kurtce z logo Mariposa i włosami związanymi w koński ogon wydawała się przy nim bardzo mała. Jej drugą rękę ścisnął Eric, który bez kapelusza, z wystraszoną miną, wyglądał wręcz dziecinnie. W głębi pokoju dostrzegłam Laylę. Z włosami opadającymi na ramiona patrzyła wprost przed siebie. Obok niej stał Mac. Pani Chatham leżała w masce tlenowej na twarzy, z zamkniętymi oczami, a jej mąż, siedzący przy niej na krześle, obejmował głowę dłońmi.

W mojej kieszeni zabrzączał telefon. Wiedziałam, kto dzwoni, i że to pierwszy z wielu telefonów, które jeszcze nastąpią. Ale nawet nie drgnęłam. Natomiast pan Chatham poruszył się, gdy mnie spostrzegł, a potem zauważyła mnie Layla.

Gdy nasze oczy się spotkały, znów pomyślałam o tamtym popołudniu sprzed miesiąca, w sądzie, gdy zobaczyłyśmy się pierwszy raz. Stojąc w obliczu tego, co najtrudniejsze, pragniemy zawrócić, ukryć się w naszym niewidzialnym miejscu. Ale to niemożliwe. I dlatego tak ważne jest nie tylko, by ktoś nas widział, ale również i to, byśmy byli potrzebni.

Layla puściła rękę brata i wyciągnęła ją do mnie. Gdy podeszłam i stanęłam

między nimi, zamykając krąg, czułam na sobie wzrok Maca. Ale ja patrzyłam tylko na nią. A potem czuwałam z szeroko otwartymi oczyma, gdy ona zamknęła swoje.

## Rozdział dwudziesty piąty

- To dla ciebie.

Layla usiadła prosto, przecierając dłonią usta. Miała splątane włosy, a na jej policzku odcisnął się ślad prążkowanej tapicerki fotela.

- Co to jest?

- Sama zobacz.

Ostrożnie, by nie obudzić matki, wyjęła mi torbę z ręki. Pani Chatham drzemała przez większość czasu, odzyskując siły po lekkim ataku serca, którego zapowiedź stanowiły niedawne zasłabnięcia. Gdy się budziła, pytała o męża lub dzieci, a jeśli któregoś nie było, dociekała przyczyn tej nieobecności. Od czasu do czasu dopytywała również, jak rozwija się akcja „Big New York” i „Los Angeles”. Szybko się jednak męczyła i znów zapadała w sen, my zaś czekaliśmy, aż się ocknie. Wtedy zadawaliśmy jej pytania, a gdy nie reagowała, próbowaliśmy odpowiedzieć na nie sami.

Usiadłam na fotelu obok Layli. Był jeszcze ciepły, ponieważ przed chwilą opuściła go Rosie, która wyszła, by zaczerpnąć świeżego powietrza i napić się kawy. Na zewnątrz właśnie wschodziło słońce. Nie mogłam wprost uwierzyć, że zebraliśmy się tu wszyscy przed niecałą dobą. Podobno w takich miejscach traci się rachubę czasu, ale nie tylko dlatego te ostatnie godziny wydały mi się dłuższe niż jakiegokolwiek inne.

Layla, tłumiąc ziewnięcie, otworzyła torbę wolną ręką. Na widok jej zawartości wytrzeszczyła oczy, a potem spojrzała na mnie.

- Czy ty...? No nie...

Uśmiechnęłam się.

- Specjalna okazja.

- Mówisz serio?

- Tsss - syknęła z korytarza przechodząca pielęgniarka. Wszystkie poruszały się bezszelestnie, by nagle się pojawić i nas strofować.

- Przepraszamy - wymówiła bezgłośnie Layla, kładąc palec na ustach. A potem z uśmiechem zagłębiła dłoń w torbie i wyjęła pudełko frytek z Littles.

Położyła je na podręcznym stoliku obok siebie, a następnie zdjęła warstwę serwetek, skinieniem dziękując mi za starania, których dołożyłam, by zapobiec

mieszaniu się zapachów. Gdy sięgnęła do torby ponownie, ujrzała tam pudełko z Bradbury Burger, a na koniec, po kolejnej warstwie serwetek, wyłoniły się frytki z Pamlico Grill. Wtedy odchyliła się na oparcie fotela i pełnym uznania spojrzeniem objęła cały zestaw.

- Triada. To niesamowite.

- Pomyślałam, że ci się spodoba.

- Jestem zaszczyczona. - Westchnęła z zadowolenia, a potem znów zajrzała do torby. - Czy może...

Wyciągnęłam z torebki jeszcze jedno pudełko, tym razem z porcjami keczupu z każdego z tych miejsc. Oczywiście minimalnie różniły się smakiem.

- Proszę.

Uśmiechnęła się z zachwytem, a potem podwinęła nogi pod siebie i rozpoczęła swój ceremoniał. Gdy na to patrzyłam, pani Chatham westchnęła przez sen, zmieniając pozycję.

Byłam zmęczona bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Wydarzenia, które rozegrały się w ciągu ostatniej doby, nie pozwalały na sen. Dopiero o świcie zdołałam krótko się zdrzemnąć pomiędzy rozmową z rodzicami i powrotem do szpitala. Ale i tak żałowałam, że w tym czasie ominął mnie widok usuwania z naszego domu rzeczy Ames. Przez płytki sen słyszałam, jak mama i tata konferowali z Sawyerem w centrum operacyjnym, podczas gdy jeden z jego pracowników wynosił pudła. Gdy się ocknęłam, w domu panowała cisza. Zapragnęłam pójść do pokoju Peytona i osobiście sprawdzić, jak tam wygląda. Z łóżka zniknęła pościel, okna były uchylone, dywan świeżo odkurzony. Ames naprawdę zniknął.

W niedługim czasie miałam podjąć decyzję, czy wniosę oskarżenie, a także odbyć rozmowę z psychologiem. Mama nalegała, bym udała się tam dwukrotnie - najpierw w towarzystwie jej i taty, a potem samodzielnie. Był to zaledwie pierwszy krok zmierzający do uporania się z reakcją na akt przemocy, a także wydarzenia poprzedzających go miesięcy. Ponieważ nie oglądając się, wyjechałam, by dołączyć do Maca i Layli, nigdy nie usłyszałam słów, które padły, gdy mama zeszła na dół, i nie dowiedziałam się, jak doszło do obrażeń, za które Ames usiłował później przez adwokata wyłudzić odszkodowanie. Cokolwiek jednak działo się w moim domu, pozwoliło mi to dotrzeć do szpitala, a później razem z Laylą i Makiem doczekać chwili, gdy ich matka otworzy oczy. Przynajmniej ten jeden raz czas działał na moją korzyść.

Ale wtedy nie wiedziałam o tym wszystkim. Ważna była tylko dłoń Maca w mojej dłoni, a z drugiej strony głowa Layli oparta o moje ramię. I choć w ciasnej

przestrzeni szpitalnego pokoju było nas ośmioro, ciszę zakłócały tylko odgłosy monitora rejestrującego pracę serca. Naszemu milczącemu czuwaniu towarzyszył lęk, jakiego dotąd nie znałam. Nie wyobrażałam sobie jednak, bym mogła być gdzie indziej. Bez względu na cenę, jaką miałam zapłacić – a nie znałam jeszcze jej wysokości – byłam niewzruszenie pewna, że nie mogłam postąpić inaczej.

Gdzieś około drugiej w nocy ogarnął mnie niepokój o moją mamę. Spodziewałam się jej lada chwila, ale gdy mimo upływających godzin wciąż jej nie było, podobnie jak telefonów i wiadomości, zaczęło mnie to zastanawiać. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co mogłoby ją powstrzymać przed udaniem się w pościg za mną i tym samym zapobiec nieuchronnej konfrontacji. O trzeciej nad ranem byłam już zdenerwowana. Tak więc gdy pani Chatham odzyskała przytomność i wszyscy, doznawszy ulgi, zaczęli mówić jedni przez drugich, szepnęłam do Maca, że muszę zatelefonować, i wyszłam na korytarz. Wtedy ją zobaczyłam.

Siedziała tuż za drzwiami na metalowym krześle pod ścianą. Tak blisko, że gdybym się obejrzała, musiałabym ją dostrzec. Podobnie jak ja przyjechała do U General, spytała o panią Chatham i dostała numer pokoju. I choć była wstrząśnięta zajściem z Amesem – w końcu zrozumiała, dlaczego protestowałam, gdy zostawiali mnie z nim samą – nadal oburzała ją moja samowola i zamierzała natychmiast zabrać mnie do domu.

- Ale zrezygnowałaś – powiedziałam nazajutrz, kiedy w końcu usiedliśmy z tatą, by o tym porozmawiać. – Nie weszłaś nawet do środka.

Przetarła oczy. Wydawała się równie zmęczona jak ja.

- Zamierzałam to zrobić. Byłam zdecydowana wyciągnąć cię stamtąd za włosy, jeśli okaże się to konieczne.

- No więc co się stało? – spytałam.

Spojrzała na mnie z wyrazem podobnym do tego, jaki widziałam na jej twarzy w szpitalnym korytarzu – zmęczonym i smutnym.

- Zobaczyłam ciebie – odparła po prostu.

Mnie – otoczoną ludźmi, którzy byli mi bliscy. Mnie – dobrą przyjaciółką i dobrą osobę. Mnie – uosobienie wszystkiego, co mi wpoila, czerpiąc z tego dumę. Po tak wielu miesiącach widzenia mnie wyłącznie w kontekście mojego brata w końcu, w jaskrawym szpitalnym świetle, moja matka zobaczyła prawdziwą Sydney. Bez uprzedzeń i porównań.

Peyton zawsze wypełniał cały jej horyzont i nasycił go barwami. Początkowo wibrująco jaskrawymi, z czasem gasnącymi, a w ostatnich latach mrocznymi. Ale teraz, w otoczeniu ludzi, których nie znała, w tym dziwnym pokoju i miejscu, stałam

się przeciwieństwem niewidzialnej istoty, którą byłam dotąd – jedyną osobą rozpoznawalną. Wreszcie zrozumiała to, o czym od dawna próbowałam ją przekonać – że jestem inna niż brat. Być może oznaczało to również, że i ona się zmieni.

Oczywiście nie wiedziałam tego wszystkiego, gdy ujrzałam ją na korytarzu. Na jej widok wręcz zaniemówiłam.

– Jest lepiej? – spytała w końcu, wskazując gestem otwarte drzwi pokoju 919.

– Będzie – odparłam.

Gdy podniosła rękę i potarła nią twarz, czekałam na polecenia, pouczenia lub coś w tym rodzaju. Koniec pościgu oznacza, że ktoś jest złapany. Teraz pozostawały już tylko szczegóły.

Ale na to przyszedł czas później. Nasza rozmowa przy stole nazajutrz była pierwszą z wielu na temat ostatnich miesięcy. I nie dotyczyła tylko tej jednej nocy, lecz wszystkiego, co działo się wcześniej, sięgając wstecz aż do chwili, gdy Peyton wpadł w kłopoty – naszych wędrówek po lesie, moich samotnych popołudni, decyzji przejścia do Jackson, Maca i Layli, Davida Ibarry, a także Ames. Tak długo tłumiałam to w sobie, że teraz nie starczało mi tchu, by wyrazić wszystko, co chciałam. Ale próbowałam.

Czasem rozmowa stawała się trudna, bo i tak się zdarzało, wtedy jednak przypomiinałam sobie jedną z chwil w szpitalnym korytarzu. Nawykłam do tego, że mama zawsze miała plan. Tym razem było inaczej.

Gdy stałam, patrząc na nią, nachyliła się, opierając łokcie na kolanach, i objęła głowę dłońmi. Jakaś pielęgniarka cicho przeszła obok i nawet na nas nie spojrzała. Cierpienie było dla niej codziennością.

Przyzwyczajamy się do tego, że ludzie są tacy bądź inni. Polegamy na tym. A kiedy nas zaskoczą, w sensie dobrym lub złym, doznajemy wstrząsu. Nigdy nie przypuszczałam, że widok mojej załamanej matki tak mnie poruszy. Nie wiedziałam również, że odnajdę w tym szansę, by nareszcie okazać własną siłę.

Uklękłam przy krześle i objęłam ją rękoma. Zaskoczona lekko zeszywniała, lecz zaraz poczułam jej bliskość, gdy z wolna się poddała, ludzka, żywa i ciepła. Nasz uścisk był niezdarne, tak jak się to zdarza, gdy coś jest cenne i kruche. Jej włosy opadły mi na twarz, a źle ustawiona noga bolała mnie w kostce. Ale byliśmy razem, a z pokoju obok docierały równomierne dźwięki monitora. Rejestrował rytm innego serca, jednocześnie stanowiąc trwałe i pewne świadectwo harmonii naszych serc.

## Rozdział dwudziesty szósty

- Jesteś gotowa?

Spojrzałam na Maca, który siedział za kierownicą furgonetki.

- Jak nigdy w życiu.

Uśmiechnął się, wyciągnął rękę i uściśnął moją dłoń. Potem zjechaliśmy z krawężnika naprzeciw Seaside i ruszyliśmy w drogę.

Od konkursowego koncertu minęły dwa miesiące. Zaczął się nowy rok. Ale już teraz zapowiadał się lepiej niż poprzedni.

Pani Chatham była w domu i odzyskiwała siły, a jej dzieci i mąż krzatali się przy niej jeszcze bardziej troskliwie niż kiedykolwiek przedtem. Bombowi lub Denni nie wygrali konkursu. Najwyraźniej sędziowie inaczej ocenili wrzaski ich konkurencji niż Irv. Wzbudzili natomiast zainteresowanie właściciela lokalnego studia, który nagrywał dla nich prawdziwe demo w zamian za czarną robotę, którą wykonywał Eric. Dodajmy, że z chwilą, gdy otrzymał zajęcie w branży muzycznej, jego rozdęte ego osiągnęło rozmiary przekraczające granice wyobraźni.

Layla najwyraźniej widziała to inaczej, co uświadomiłam sobie pewnego popołudnia w szpitalu, dwa dni po ich występie. Przyjechałam, niosąc to, co zwykle - frytki, pisma ilustrowane oraz zapas YumYum - i weszłam do pokoju, spodziewając się zobaczyć ją jak zawsze na rozkładanym fotelu obok łóżka matki. Była tam. Ale nie sama. Na fotelu rozciągał się Eric, a ona, ciasno w niego wtulona, obejmowała go za szyję. Cofnęłam się zdumiona, lecz nie skomentowałam tego ani słowem, gdy po dłuższej chwili spotkałyśmy się w korytarzu. Dwa tygodnie później, kiedy oficjalnie ogłosili, że są parą, zrobiłam wszystko, by wyglądać na zaskoczoną.

Jeśli chodzi o mnie i Maca, nic się nie zmieniło. Szczęśliwie mieliśmy teraz dla siebie więcej czasu, bo mama nieco złagodziła dotychczasowe ograniczenia. Nie dała mi całkowicie wolnej ręki - to nie byłoby w stylu Julie Stanford - ale wypracowałyśmy kompromis. Zwolniła mnie z zajęć w porze lunchu, nadal jednak przez trzy dni w tygodniu pracowałam z Jenn w centrum Kigera. Dzięki temu utrzymywałyśmy stały kontakt, a często również wpadała tam Meredith (na mocy milczącej umowy Margaret, choć wciąż obecna w ich życiu, nigdy nie była zapraszana). Layla i ja miałyśmy zazwyczaj dla siebie jedno popołudnie w tygodniu. Myszkowałyśmy wtedy w SuperThrift lub ruszałyśmy na poszukiwanie idealnych

frytek, jeśli tylko nie uczyłam jej prowadzić, co było równie groźne, jak zabawne, choć najczęściej jedno i drugie. Cały wolny czas, który mi pozostawał, spędzałam w towarzystwie Maca - u niego w domu, w Seaside lub rozwożąc z nim zamówienia. Okazało się również, że szeptana reklama pizzy, którą zachwalałam na każdym kroku, była strzałem w dziesiątkę. Pan Chatham twierdził, że mam dryg do interesów, ja zaś nigdy nie czułam się tak doceniona.

Gdy postanowiłam, że nie wniosę skargi na Amesa, jego prawnik przestał nagabywać tatę w związku z odszkodowaniem z powodu obrażeń. Na tym urwały się nasze kontakty. Natomiast Peyton dzwonił teraz regularnie na mój telefon, tak byśmy mogli swobodnie rozmawiać poza domem i zasięgiem słuchu rodziców. Mieliśmy sporo do omówienia, zarówno sprawę z Amesem, jak i wiele innych. Czasem jednak milkliśmy oboje, a ciężar ciszy, jaka wówczas zapadała, był ponad moje siły. Na szczęście, kiedy już zawiodło wszystko inne, mieliśmy zawsze do omówienia „Big New York”, no i niemal zdołałam go przekonać do drużyny Ayre. Robiłam postępy.

Peyton zacieśniał również kontakty z rodzicami, do których dzwonił teraz bardziej regularnie. Zaczął uprawiać codzienne biegi w czasie zajęć na świeżym powietrzu i pracował nad tempem, czytając na ten temat wszystko, co wpadło mu w ręce. Nasza mama, która w college`u uprawiała biegi na przełaj, była poniekąd ekspertem, i teraz, gdy znaleźli wspólny temat, nastąpiła nowa, chwiejna faza ich wzajemnych stosunków. W końcu Peyton poprosił, by go odwiedziła. Gdy to usłyszałam, ogarnął mnie niepokój. Obawiałam się, czy nie wrócimy do punktu wyjścia, a jej zaangażowanie nie przekształci się w obsesję. Ale reakcja mamy była zaskakująca. Odwiedziła go i cieszyło ją, kiedy dzwonił, zwłaszcza gdy chciał z nią dyskutować. Ale pozostawiła mu przestrzeń prywatności, której potrzebował, i teraz czekała na jego inicjatywę, zamiast nieustannie go nadzorować.

Przyczyniło się do tego zapewne nowe zajęcie, które znalazła. Po pierwszej nocy w U General wróciła tam ponownie, by odwiedzić panią Chatham. W rozmowie poruszyły sprawy związane z ubezpieczeniem, jak również niedostatek wsparcia szpitala dla pacjentów oraz ich rodzin. Mama zaproponowała wtedy, że w imieniu Chathamów wystąpi do szpitalnej administracji, by uzyskać w tej kwestii podstawowe informacje. Ale już w następnych tygodniach tak dalece zaangażowała się w problemy pacjentów, że otrzymała propozycję płatnego zatrudnienia. Twierdziła wprawdzie, że musi to przemyśleć, gdyż ma zbyt wiele innych zajęć, ale tata i ja wiedzieliśmy, że w końcu się zgodzi. Uwielbiała szlachetne cele, a w U General nigdy nie mogło ich zabraknąć.



Peytonowi pozostawało jeszcze dziesięć miesięcy pobytu w Lincoln. Jego wyrok został skrócony, między innymi ze względu na dobre zachowanie. Po wyjściu na wolność miał spędzić sześć tygodni w ośrodku przejściowym, poszukując w tym czasie pracy oraz zakwaterowania, a także trenując do swego pierwszego 10K. Mimo znacznych postępów, jakie zrobiła mama, widziałam, jak cierpi, nie mogąc mu w tym pomóc. Nie raz, przechodząc obok jej komputera, widziałam na ekranie ogłoszenia wynajmu mieszkania i oferty pracy. Stare nawyki są trudne do przewyciężenia. Ale wiedziałam, że nad tym pracuje.

Ja też to robiłam. Kolejny Dzień Rodzin w Lincoln wyznaczono w lutym i postanowiłam wziąć w nim udział. Mama oczywiście była zachwycona. Nieco jednak przygasła, gdy powiedziałam jej, że Peyton życzy sobie, bym odwiedziła go sama. Zbliżaliśmy się do siebie małymi krokami i czekała nas jeszcze daleka droga, a ja nie chciałam naruszać tej kruchej równowagi. Pewna byłam tylko jednego. Wiedziałam, że gdy on znajdzie się na wolności, nasze stosunki będą zupełnie inne niż te, które łączyły nas w dzieciństwie. Wyrośliśmy na krańcowo różnych ludzi. Teraz jednak cieszyła mnie myśl, że zacznę go poznawać, i miałam nadzieję, że on odczuwa podobnie.

W domu również musieliśmy się uczyć, szukając sposobu na życie bez Peytona, zawsze tu obecnego, jeśli nawet nie ciałem, to duchem. Rozmawialiśmy z mamą na temat różnych uczelni i planowałyśmy odwiedziny kilku kampusów. Z myślą o innej przyszłości. Tym razem mojej.

Po wielu namowach skłoniłam również Maca, by wyznał ojcu, jak bardzo mu zależy na studiach inżynieryjnych – na uniwersytecie lub jakiejś uczelni technicznej. Pan Chatham miał wątpliwości, czego można się było spodziewać, lecz nie powiedział „nie”. Teraz popołudniami w Seaside, w przerwie między odrabianiem lekcji, Mac i ja przeglądaliśmy informatory, szukając wszelkich możliwych informacji na temat procesu aplikacyjnego. Tymczasem Layla, która po przeczytaniu kilku znalezionych w bibliotece książek na temat zarządzania znów żywo interesowała się rodzinną firmą, była pochłonięta remontem klimatyzacji i próbowała przekonać ojca do innych zmian. Nie odnosił się do tego z entuzjazmem, ale słuchał jej rad. W końcu uchodziła za eksperta. Kto wie? Może Seaside zostanie w rodzinie, nawet jeśli Mac pójdzie na studia i zajmie się czym innym?

Rzecz w tym, że nikt z nas nie wie, co go czeka. Przyszłość to jedyne, czego nie można zniszczyć, bo jeszcze nie istnieje. W jednej chwili idziemy samotnie przez ciemny las, a w drugiej wszystko się zmienia. Pojawia się przed nami, jakby za

sprawą magii, coś cudownego i nieoczekiwanego – coś, czego nigdy byśmy nie spotkali, gdybyśmy nie szli dalej. Na przykład nowy przyjaciel, niespodziewanie tak bliski, jakby był znany od lat, lub widok, którego nigdy się nie zapomina. Może nawet jakaś karuzela.

Co do mnie, to miałam do załatwienia pewną starą sprawę. W gruncie rzeczy to pani Chatham podsunęła mi tę myśl, gdy dyżurowałam przy niej podczas jej pobytu na oddziale rehabilitacji kardiologicznej. W ramach ćwiczeń musiała spacerować po korytarzu, lecz po powrocie do pokoju, zupełnie wyczerpana, kładła się i natychmiast zamykała oczy. Pewnego razu, kiedy już myślałam, że zasnęła, i zaczęłam odrabiać matematykę, nagle się odezwała:

– Wiesz, że powinnaś z nim porozmawiać.

Chodząc tam i z powrotem po korytarzu, mówiłyśmy o Peytonie. Opowiadałam, jak z wolna budujemy wzajemne stosunki, choć nie jest to łatwe. W okresie rekonwalescencji często traktowała czas w sposób elastyczny, powracając nagle do sprawy, o której dawno zdążyłam zapomnieć. Lekarze twierdzili, że wynika to częściowo z wyczerpania, a częściowo jest skutkiem przyjmowanych leków.

– Staram się – odparłam – ale często, nawet teraz, nie wiem, co powiedzieć.

– Owszem, wiesz. – Ziewnęła, obracając twarz do poduszki. – Zaczynij od „przepraszam”.

– Przepraszam? – powtórzyłam.

Westchnęła, najwyraźniej zasypiając.

– Potem możesz iść dalej.

Siedziałam przy niej zakłopotana, gdy jakiś mężczyzna minął otwarte drzwi, niosąc w ręku bukiet kwiatów i pęk balonów. Były lśniące i kolorowe, a ja patrzyłam na nie, zastanawiając się, za co mam przeproszać Peytona. Jednak dopiero nazajutrz zdałam sobie sprawę, że być może nie chodziło o niego.

Teraz, gdy siedziałam w furgonetce, dobiegł mnie z kieszeni sygnał nadchodzącej wiadomości. Wyciągnęłam telefon i spojrzałam na ekran.

*Jestem w studio z Erikiem. Cały puchnie z dumy, gdy mnie oprowadza. Rety!*

Uśmiechnęłam się.

*Przecież to lubisz.*

*Przysięgam, że nie.*

Kolejny brzdęk. Tym razem mama.

*Przywieziesz pizzę na kolację? Twój ojciec domaga się też czosnkowych bułeczek.*

Zrobione – odpisałam. – *Będę o szóstej.*

OK.

- Wszystko w porządku? - spytał Mac.

- Tak - powiedziałam. - Jak najlepszym.

Ale im byliśmy bliżej, tym bardziej się denerwowałam. Wprawdzie dobrze znałam te ulice, bo jeździłam tędy nie raz, jednak minęło sporo czasu, od kiedy widziałam ten skręt i to skrzyżowanie. Toteż gdy w końcu zatrzymaliśmy się przed parterowym ceglany domkiem z czarnymi framugami drzwi i okien, serce waliło mi jak młot.

Mac wyłączył silnik, a potem się obrócił, by na mnie spojrzeć. Czujny jak zawsze, czekał na mój ruch. Sięgnęłam do klamki, otworzyłam drzwi i zsunęłam się z fotela. Gdy obchodziłam samochód, by podejść do okna z jego strony, sięgnął za siebie po pudełko pizzy.

- Mogę pójść tam z tobą - powiedział - jeśli będzie ci łatwiej.

- Byłoby - odparłam - ale myślę, że to musi być trudne.

Nie odpowiedział, tylko ujął moją twarz w dłonie i pocałował. Jak zawsze, tak i teraz pragnęłam, by trwało to wiecznie. I choć wiedziałam, że mamy dużo czasu, zmusiłam się, by odejść.

A potem, nie wiem jak, znalazłam się na chodniku przed domem. Im bardziej zbliżałam się do drzwi, tym bardziej byłam skupiona. Miałam wrażenie, że widzę wszystko i czuję z krystaliczną ostrością, i to z bardzo bliska - rudego kota liżącego łapkę obok schodów, nachylenie poręczy, gdy wchodziłam, dźwięk telewizji, a może muzyki z wnętrza domu. Czyjś śmiech. Gdy stanęłam przed drzwiami, obejrzałam się, by spojrzeć na Maca. Jego obecność w moim życiu nie naprawiła wszystkiego. Nikt nie mógł tego zrobić. Ale było dobrze. Nie można się przecież spodziewać idealnego szczęścia. W rzeczywistości

szczęściarzem jest ten, kto zdoła się choć zbliżyć do tego stanu.

Przełożyłam pudełko z pizzą do drugiej ręki, a potem zapukałam. Między pukaniem lub dzwonkiem a chwilą, gdy otwierają się drzwi, zawsze jest trochę czasu, a my zastanawiamy się wtedy, co jest po drugiej stronie. Pracując z Makiem, tak jak teraz, widziałam fragmenty życia wielu ludzi, ułamki setek historii. Ale ta należała tylko do mnie.

- Już otwieram! - rozległ się głos, a potem usłyszałam turkot, coraz głośniejszy, w miarę jak się zbliżał.

Podniosłam rękę, obejmując medalik, który dał mi Mac. Zdałam sobie nagle sprawę, że ostatnio często to robię. Mój Nieznany Święty... Myśl, że mam opiekuna, ktokolwiek to był, dodawała mi otuchy. Wszyscy pragniemy, by ktoś nas

strzegł, jeśli nawet nie zawsze wiemy przed czym.

Kliknął zamek, obróciła się gałka i drzwi stanęły otworem. David Ibarra ze zdziwieniem podniósł na mnie wzrok.

- Czy my zamawialiśmy pizzę?

- Niezupełnie - odparłam.

Gdyby istniały słowa zdolne wyrazić moje uczucia, i tak nie miałabym pojęcia, co się teraz stanie. Mógł zatrzaskać mi drzwi przed nosem lub spytać, czemu go nachodzę. Wyobrażałam sobie wiele możliwych scenariuszy i każdy ich wariant. Ale tylko stając tu przed nim, mogłam przekonać się o tym, co nastąpi.

„Zaczynij od >>przepraszam<<” - radziła pani Chatham. Tyle że teraz, gdy patrzyłam mu w twarz, w moich myślach uparcie powracał inny początek. Było to na sali sądowej wiele miesięcy temu. „Oskarżony, proszę wstać!” - usłyszałam, a potem padło pytanie. To, co wydarzyło się później, było dla mnie, Peytona, moich rodziców, Maca, Layli i nas wszystkich jedną długą, wciąż nieskończoną odpowiedzią. Dlatego wydało mi się właściwe, bym teraz zadała własne pytanie.

- Nazywam się Sydney Stanford - powiedziałam. - Czy mogę wejść?

[1] *Antoniusz i Kleopatra*, akt 1, scena 5. (przyp tłum.).

[2] Scholastic Assesment Test bada kompetencje uczniów szkół średnich i stanowi element rekrutacji na uczelnie wyższe - przyp. tłum.